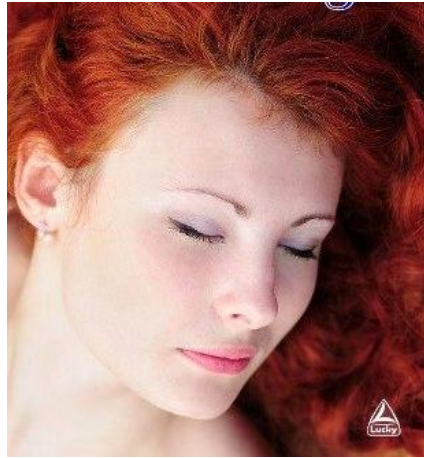




Christina Dodd



Romantyczna gra

Tytuł oryginału: Tongue in Chic

Dla mojego wydawcy – wspaniałej Kary Cesare, której sugestie i oceny są zarazem taktowne i cudownie genialne. Niech tyje nasza długa i owocna przyjaźń!

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Karze Welsh za świetną organizację działań promocyjnych i wydawniczych oraz Anthoniemu Ramondo i wydziałowi sztuk NAL za wspaniałe okładki, nadające mym książkom całkowitą niepowtarzalność i sprawiające, że tak wspaniale się sprzedają.

Prolog

Marzec 1951

Wybrzeże Południowej Karoliny. Późne popołudnie.

Isabelle Benjamin kończyła swój ostatni obraz w pracowni na czwartym piętrze majestatycznej posiadłości Waldemar. Przez cały ostatni tydzień światło dopisywało, wilgotność była wcale znośna a temperatura nie przekraczała dwudziestu pięciu stopni. Postąpiła krok do przodu, przyjrzała się płótnu i z satysfakcją pokiwała głową.

To była bez wątpienia najlepsza z jej dotychczasowych prac.

Ujęła w dłoń cienki pędzel, namoczyła go w czarnej farbie i uśmiechając się szeroko, wykonała podpis.

Po krótkiej chwili zabrała się do porządkowania. Zakręciła tuby z farbą, wytarła pędzle, starannie umyła je w zlewie i ułożyła na stole. Zdjęła też fartuch i zawiesiła na wystającym ze ściany haczyku.

Nie wiedziała, po co się właściwie przejmuje. Kiedy wyjedzie, Bradley i tak wyrzuci na śmieci wszystko, co mogło mu o niej przypominać. Wewnętrzny głos podpowiadał jej jednak, że jej mąż nie zdobędzie się na to, by wyrzucić ten obraz. A jeśli... No cóż, będzie to niepowetowana strata dla świata sztuki.

Tylko że nikt o tej stracie się nie dowie.

Uniosła płótno ze sztalug. Było całkiem duże i wciąż wilgotne. Mimo to ostrożnie zaczęła mocować je w ciężkiej, połączanej ramie. Palcami zaginała małe gwoźdźniki trzymające obraz na miejscu. W końcu zadowolona z efektów pracy odwróciła obraz i jeszcze raz mu się przyjrzała. Jej palce rozmazały nieco farbę przy krawędziach, ale zdołała to przewidzieć i nieostre w tym miejscu tło wydawało się ukrywać drobne zniszczenia. Farba

sklei płótno z ramą i nikt nie ośmieli się ich rozdzielić. Z pewnością nie Bradley... Gorzki uśmiech zakwitł na jej wargach, a pojedyncza łza stoczyła się po policzku.

Isabelle wytarła ją rękawem. Dość już tego. Przez ostatnie dwa lata uрониła zbyt wiele łez.

Jej małżeństwo dobiegło końca. Było pieśnią przeszłości.

Ujęła obraz w obie ręce i ruszyła na dół, do pokoju dziecięcego na trzecim piętrze.

Pokój był urządony nadzwyczaj starannie. Różowe, plisowane zasłony zwieszały się pysznie przy długich, starych oknach. Litery kolorowego alfabetu wydawały się tańczyć na ścianach, a każdy dziecięcy miś zajmował swoje specjalnie wybrane miejsce na półce. Cudowne łóżeczko dziecięce – prawdziwy antyk było zasłane białymi prześcieradłami a śpiąca w nim trzymiesięczna dziewczynka otulona różowym kocykiem leżała na brzuszku, bo miało to zapobiegać kolkom. Jej słodkie, różowawe usteczka poruszały się wymownie, gdy śniła o mleku, a serce Isabelli ścisnęło się na wspomnienie tego, jak jej mąż i teściowa zmusili ją, by odstawiła dziecko od piersi.

Już nikt nie będzie jej do niczego zmuszał. Nikt nie będzie zabierał jej dziecka do zimnego, szarego żłobka o rzekomych walorach wychowawczych. Uciekały. Uciekały na wolność.

Niania o skwaszonej permanentnie minie siedziała na bujanym krześle pogrążona w uproszczonej przez magazyn Reader's Digest wersji „Nędzników”.

Po wejściu Isabelli podniosła się leniwie w geście fałszywej kurtuazji.

– Mogę w czymś pomóc, madame?

– Przyszłam po Sharon. Proszę, znieś ją na dół.

– Jeśli madame pozwoli, posłużę radą doświadczonej opiekunki. Po tym jak ułoży się dziecko do snu, nie ma potrzeby go budzić. To się kłóci z rygiorem i niekorzystnie wpływa na zachowania w dorosłym życiu.

– Równie niekorzystnie wpływa, o ile pamiętam przytulanie jej, gdy płacze i karmienie jej, gdy jest głodna. – powiedziała, nie kryjąc sarkazmu, Isabelle.

Stara pani Graham aż zatrzęsała się z oburzenia na te słowa.

Isabelle rzeczywiście nigdy nie mówiła do niej w ten sposób. Dotąd starała się utrzymać pozory, znajdować kompromisy i cierpliwie znosić szykany nawet ze strony pośledniej służby.

Ale teraz miała na uwadze przyszłość dziecka. Nie mogła pozwolić, by jej cudowna córeczka wzrastała niekochana, w niewygodnym, zapinanym pod brodą czepku i ściśnięta w pudełku urządzonym dłońmi w białych rękawiczkach. Nie chciała dla swojej córeczki przyjaciół dobranych na podstawie dochodów i pochodzenia z odpowiednich warstw społecznych ani młodości zakończonej balem debiutantek i kolejnym naznaczonym łązami małżeństwem. Musiała wyrwać się z błędnego koła.

– Załóż jej wełnianą czapeczkę, owiń ją ciepło w kocyk i przynieś ją do mnie – zakomenderowała. – Będę w bibliotece.

– Wedle życzenia, madame. – Pani Graham odpowiedziała sucho, po czym wygięła się lekko w parodii ukłonu. Jasno dała do zrozumienia, że stara pani Benjamin niebawem się o wszystkim dowie.

Isabelle nie troszczyła się o to. Najstraszniejsza nawet złość jej teściowej nie była w stanie odwieść jej od stanowczo podjętej decyzji.

Szybkim krokiem przemierzyła dwa skrzydła domu, kierując się w stronę biblioteki. Obraz trzymany w wyciągniętych ramionach stawał się coraz cięższy. Zmęczone ramiona zaczęły drżeć. A teraz miało nastąpić to...

To, czego najbardziej się obawiała. Wiedziała tylko, że kiedy będzie miała to za sobą, więcej przeszkód nie będzie... A sama odczuje ulgę. Ulgę pełnego wyzwolenia.

Wkroczyła śmiało do wysokiego pokoju o ścianach, które wydawały się zbudowane z okrytych skórą woluminów. Kamienne lwy strzegły fasady kominka, szczerząc kły. Masywne biurka i staromodne krzesła dopełniały umeblowania biblioteki.

Bradley, tak jak przypuszczała, wylegiwał się na wygodnym fotelu z podnóżkiem, szklanka z bourbonem na stoliku za jego plecami, w dłoni tłące się cygaro.

Był przystojnym mężczyzną z twarzą okoloną żywą czupryną ciemnych włosów. Przy ich pierwszym spotkaniu to jego wygląd zadecydował o niekrytym zainteresowaniu Isabelle. Wygląd i przemiłe uczucie, że starszy, niezmiernie bogaty mężczyzna wydawał się nią zafascynowany. Prawił miłe słówka, konwersacja z dziewczyną sprawiała mu przyjemność. Nie wydawał się zwracać uwagi na jej ubóstwo.

Przede wszystkim zaś, podziwiał jej sztukę. Po raz pierwszy ktoś, kto bywał w Luwrze, Florencji i odwiedził Taj Mahal, zobaczył w jej obrazach coś na tyle obiecującego, że zdecydował się zasięgnąć w jej imieniu rad najlepszych na świecie ekspertów.

W żyłach Bjorna Kelly'ego mieszała się irlandzka i skandynawska krew. Miał oko przesłonięte przepaską, kuśtykał, ale posiadał charyzmę, która zwodziła i oczarowywała. Nie był najszczęśliwszy, odpowiadając na wezwanie Bradleya, który kazał mu zjechać z drugiego końca świata, by pochylił się nad jego „przelotną fanaberią”, ale diametralnie zmienił ton, kiedy ujrzał owoce tego zauroczenia. Nawrzeszczał wtedy na nią za złą technikę i brak wizji, kazał porzucić malowanie dziecinnych obrazków i dal

jej mężowi nazwiska najlepszych amerykańskich nauczycieli, którzy sprostaliby jej geniuszowi.

Bjorn użył dokładnie tych słów. Z jej sztuki promieniował geniusz.

Kiedy Isabelle wspominała te chwile, jej serce wypełniło się uczuciem szczerego ciepła. Przez krótki moment miała ochotę rozplakać się i roztrzaskać płótno na twardej, upartej i urodziwej głowie męża.

Ale zamiast tego przemierzyła tylko pewnymi krokami bibliotekę – nie będzie już nigdy chodziła na paluszkach! – i oparła obraz tuż koło kominka.

Podskoczył, jakby użądliła go osa.

– Co to ma u diabła być? Jakiś okrutny prezent na odejście?

– Mój wyraz wdzięczności, Bradley. Bez ciebie nie byłabym w stanie namalować obrazu takiego jak ten – powiedziała wolno, przyciągając do kominka jedno ze stojących przy biurku krzesel.

– Beze mnie i bez przekłętego Kelly’ego. – Wargi Bradleya były tak sztywne, że wydawały się prawie nie poruszać, gdy cedził słowa.

– Tak, przekłety Kelly był bardzo pomocny.

– Nie przedrzeźniaj mnie – warknął.

Isabelle spojrzała mu prosto w oczy.

– Bo co?

Nieprzyjemna cisza zdawała się nabrzmiewać, wznosząc pomiędzy nimi jeszcze jeden mur, do momentu, w którym pani Graham nie zdecydowała się jej przerwać.

– Sharon wciąż śpi – powiedziała tonem, który wyrażał dezaprobatę dla przebiegu ich rozmowy, a równocześnie dawał do zrozumienia, że winą za wszystko obarczała Isabelle. Pani Graham była służalczą, szybką w ferowaniu wyroków kobietą, od trzydziestu lat służącą najbardziej szanowanym południowym rodzinom i uważała się za coś zdecydowanie

lepszego od Isabelle, której dziwnym trafem udało się wyjść bogato za mąż. Właściwie nie miałyby nic przeciwko odejściu Isabelli z posiadłości Waldemar.

Oczywiście nie byłaby tak szczęśliwa, wiedząc, że oznacza to również status bezrobotnej dla niej samej.

– Zaczekaj tu – powiedziała Isabelle. – Wezmę dziecko, kiedy skończę.

Stała na krześle i zdjęła ze ściany wiszący tam obraz. Zeskoczyła zwinnie na dół, podeszła do półek z książkami i postawiła przy nich stare malowidło. Uniosła z podłogi swój obraz i ponownie stanęła na krześle. Zakołysało się niebezpiecznie pod połączonymi ciężarami jej własnym i masywnych, drewnianych ram.

Bradley błyskawicznie znalazł się przy niej i chwycił ją dłońmi w pasie.

Stali przez chwilę oboje nie ruszając się, połączeni jeszcze raz pamięcią dotyku. Dotyku, w którym tyle niegdyś było pożądania, szaleństwa i bólu... zwłaszcza bólu.

Bradley postąpił krok do tyłu, wycierając ręce o spodnie.

Zniewaga ugodziła prosto w tę resztkę ciepłych uczuć, na które jeszcze potrafiła się niedawno zdobyć. Prawie zatrzęsała się z oburzenia.

Ale nie chciała rozpętywać kolejnej awantury. Dobrze wiedziała, jaki byłby jej efekt.

– Jesteś skończoną dziwką. – Pogarda była w jego głosie, słowach, postawie i oskarżającym spojrzeniu.

Pani Graham westchnęła zszokowana.

– Wiem. – Isabelle spojrzała na niego z góry. – Ale nie będę sprzeciwiała się rozwodowi ani nie wystąpię o finansowe wsparcie. Nie chcę

od ciebie nic. Możesz sobie znaleźć wymarzoną kobietę. Zeszła z krzesła i odsunęła je z powrotem pod biurko. Podeszła do pani Graham, wzięła od niej Sharon i przytuliła mocno.

Dziecko zawierciło się niespokojnie i uniosło na chwilę powieki.

– Czy chcesz się z nią pożegnać?

– Po co? – Usiadł w fotelu i uniósł szklanekę z bourbonem do ust. –

Nic dla mnie nie znaczy.

W żyłach człowieka, który mówił tak o dziecku, z którym jeszcze niedawno się bawił, musiał płynąć ciekły lód zamiast krwi.

Isabelle nie mogła się mylić. To, co robiła, było najlepsze dla niej i dziecka.

– Masz rację. – Skinęła głową i ruszyła w stronę drzwi.

Kiedy odwróciła się, by spojrzeć na niego ostatni raz, siedział na swoim fotelu i kontemplował nowy obraz zawieszony nad kominkiem.

Rozdział 1

Błysnęło. Cienie bezlistnych konarów odbiły się krzywymi szponami na krętej ścieżce. Zwiewna, ubrana na czarno postać zatrzymała się niepewnie skulona. Rozejrzała się wokół. W jej gestach dało się wyczuć wahanie. Ciałem wstrząsały dreszcze wywołane zimnem albo być może strachem. Po chwili ruszyła dalej, w stronę wielkiego wiktoriańskiego domu górującego nad burzliwym oceanem. Grzmot wstrząsnął ziemią, a kolejna błyskawica na ułamki sekund wydobyła z mroku przerysowane kontury zabudowań. Zwieńczenia wieńczących czteropiętrową konstrukcję kopuł bodły przepływające kłęby chmur, blaszane wiatromierze kręciły się dziko i hałaśliwie a fale z hukiem biły o kamienisty brzeg. Kolejny silny podmuch wiatru rozbił o dach werandy pierwsze krople deszczu.

Postać w czerni wbiegła zwinnie na stopnie i stanęła przed masywnymi dwuskrzydłowymi drzwiami. Wielki srebrny klucz bez trudu wszedł do zamka, dał się przekręcić bez specjalnych oporów, po czym ponownie zniknął w przepastnej kieszeni. Jedno naciśnięcie drobnej dłoni w rękawiczce i drzwi otworzyły się bezszelestnie.

W środku nie zapaliło się ani jedno światło, ale intruz bez wahania skierował swe kroki do wnętrza.

I znowu błyskawica rozpędziła na sekundę długie cienie. Zaraz za błyskawicą toczył się dudniący pomruk grzmotu.

Postać zatrzymała się na chwilę i powoli rozejrzała wokół, na ile pozwalał na to gęsty mrok.

Z wielkiego holu roztaczał się widok na dwa piętra w górę. Ramy obrazów i zdobione kwiatony wydawały się ociekać złotem. Poważne oczy spoglądały z dziewiętnastowiecznych portretów. Schody pięły się w górę, a

górne stopnie niknęły w ciemności. Grzmot wstrząsnął kryształowym żyrandolem i rozszczepione w rozkołysanych pryzmatach światło błysnęło na ścianach wielobarwną tęczą, by zaraz zniknąć i na powrót pogрузić domostwo w mroku.

Intruz zgarbił się, głowę ukrył w ramionach i zaczął skradać się w stronę drugiego wejścia po lewej. Słaby promień latarki prześlizgiwał się szybko po pomieszczeniu, zamierając co chwila to na oprawionych w skórę książkach, to na masywnym, rzeźbionym biurku i niedopasowanym do niego nowoczesnym krześle. W drugim rogu dwa wypchane nazbyt sumiennie fotele zachęcały do zajęcia miejsca przed kominkiem o marmurowej fasadzie zdobionej rzeźbami lwich głów.

Latarka zgasła. Intruz i bez niej poruszał się po domu pewnie i bez wahania. Tym razem skierował kroki ku kominkowi. Błyskawice raz po raz przecinały niebo łamanymi liniami, ale burza jakby zboczyła w stronę oceanu i grzmoty brzmiały już mniej zatrważająco.

Postać zatrzymała się przy jednym z foteli i z uwagą przyjrzała się obrazowi wiszącemu nad kominkiem. Latarka rozbłysła na nowo i promień powoli przesunął się kilkakroć po obrazie. Na płótnie został uwieczniony jakiś dwudziestowieczny biznesmen z wiernym psem. Intruz nagle stracił całe zainteresowanie obrazem i nerwowo zaczął kierować promień latarki to tu to tam, jakby gorączkowo szukał czegoś zupełnie innego.

– Och, babciu, babciu. Obiecałaś. Obiecałaś...

Nagle w górze, zupełnie nieoczekiwanie rozbłysło jasne światło.

– Co tam się dzieje? – Donośny męski głos domagał się natychmiastowej odpowiedzi.

Intruz obrócił błyskawicznie na pięcie. Dłonią w rękawiczce osłonił twarz przed rażącym światłem.

Wysoki mężczyzna o ciemnych włosach stał w drzwiach z ręką uniesioną do włącznika. Jego twarz była mocno opalona, rysy ostre. Twarz promieniująca powagą.

Oto przed Meadow stanął najbardziej zuchwały i najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego dane jej było oglądać.

– Och! – krzyknęła, gdy jej stopa zaplątała się w chodnik przy nazbyt szybkim obrocie. Zamachała jeszcze rękoma, próbując utrzymać równowagę, ale nie na wiele to się zdało. Jej głowa wytraciła cały impet upadku na kamiennej głowie lwa zdobiącej fasadę kominka.

Ta ostatnia okazała się wytrzymalsza na uderzenia.

Kiedy gwiazdy przestały wreszcie wirować przed oczami, uniosła dłoń, by pomacać się po niemiłosiernie pulsującej bólem skroni.

Ktoś złapał ją za dłoń.

– Zostaw, cały czas krwawisz.

Mężczyzna. Ten, który ją przyłapał. Ciekawe jak zdołał znaleźć się tak szybko przy niej.

Wyjaśnienie było oczywiste. Musiała stracić przytomność. Tylko że wcale nie pamiętała tego jak była nieprzytomna. Pamiętała tylko... Że go widziała.

– Czy mam wezwać policję, proszę pana?

Drugi głos. Też męski, ale łagodniejszy i jakby czekający na polecenia.

– Zadzwoń po lekarza.

– A później na policję?

– Tylko po lekarza.

– Oczywiście, proszę pana. – W głosie pytającego pojawiła się nagana, ale również oddanie. Usłyszała, jak w korytarzu cichną powoli kroki.

– Otwórz oczy – zakomenderował zuchwały głos.

Musiała się pomylić. Nie mógł należeć do kogoś przystojnego. Ktoś, kto wydawał polecenia krwawiącym na ziemi dziewczętom takim tonem, po prostu nie miał prawa być przystojny.

Otworzyła oczy. Spojrzała na niego.

Odpowiedział spojrzeniem. Chłodnym, przewiercającym na wskroś.

Jej serce zatrzymało się między jednym uderzeniem a drugim. Wstrzymała oddech. Zamieniła się w słup soli.

Wszystko dlatego, że miała rację. Nie był przystojny w zwykłym rozumieniu tego słowa. Jeśli miała od razu znaleźć określenie, powiedziałaaby, że był gorąco – szorstki. Był jak nieoszlifowany szlachetny kamień. Zapierał dech w piersi. Jego spojrzenie było jak para błyskawic – spalało i uśmiercało na miejscu. O rany! Jeśli to miała być kara za włamanie i próbę kradzieży bezcennego obrazu, to chyba postanowi zostać zawodowym złodziejem dzieł sztuki.

– Ja... – Niestety, nie była w stanie wydusić z siebie o wiele więcej.

Zuchwały nieznajomy przysiadł na piętach. Miał na sobie białą koszulę, niegdyś zapewne starannie wykrochmaloną, ale teraz mocno wygniecioną. Rękawy podtoczył wysoko, za łokcie.

Ładne ramiona.

Reszty stroju dopełniały niebieskie jeansy ciasno opinające jego uda.

Ujął ją za nadgarstek.

Jej serce podskoczyło gwałtownie i zaczęło bić tak, jakby za wszelką cenę chciało wyrwać się z piersi.

– Kim jesteś? – zapytał.

Najwyraźniej nie udzieliła odpowiedzi wystarczająco prędko, bo zaraz usłyszała drugie pytanie.

– Co tu robisz?

– Tu? – Uniosła głowę i spróbowała rozejrzeć się wokół. Potworny ból i mdłości sprawiły, że od razu zapragnęła wrócić do pozycji leżącej.

– Zaraz zwymiotuję – mruknęła.

Delikatnie położył rękę na jej brzuchu i trzymał ją tak przez chwilę. Zamknęła ponownie oczy, więc mogła tylko słyszeć, jak jej rozmówca w końcu wstaje i odchodzi, by po chwili znowu znaleźć się przy niej.

– Skoro musisz, weź chociaż tę misę.

Z najwyższym trudem uniosła głowę i pozwoliła sobie na krótkie uchylenie powiek.

Mężczyzna trzymał w dłoni wazę o misternie zdobionych techniką kwasorytu brzegach, złotych dekoracjach i arcymistrzowskim wykończeniu w stylistyce Regeletto.

– Oszalałeś? – zapytała z przerażeniem w głosie. – Przecież to oryginał. Nie mogę wymiotować do dzieła sztuki!

Przez krótki moment, ledwie mgnienie powieki wydawało jej się, że na jego twarzy odmalowała się wesołość.

Ale nie. Głos pana Zuchwałego, jak go napędce ochrzciła, przejmował powagą.

– Oczywiście. Wybacz, proszę. Straciłem głowę. – Rozejrzał się wokół. – Powiedz, czy raczysz zwymiotować do wazy na poncz, wykonanej z francuskiej porcelany w fakturze Limoges?

– Jasne – mruknęła, nabierając głęboko powietrza. – Ale chyba nie będę musiała. Czuję się już lepiej, nie powinnam tylko siadać.

– Mogłaś mieć wstrząśnienie mózgu.

Jego pewność siebie działała jej na nerwy.

– A ty co, jesteś panem doktorem?

– Nie, oczywiście, że nie. Nie kazałbym dzwonić po doktora, gdybym nim był.

– Hmm – mruknęła w odpowiedzi. Ostatnimi czasy poznała zbyt wielu lekarzy. Co prawda pan Zuchwały mówił w sposób wystarczająco arogancki, by uchodzić za adepta medycyny, ale jego zachowanie wydawało się mówić, że jego profesja daleka jest od profesji doktora.

– Nie potrzebujemy jednak profesora chirurgii, żeby ustalić, że przywaliłaś w lwa wystarczająco mocno, żeby pozbawić go zęba.

Ostrożnie przeniosła wzrok na rzeźbę wielkiego kota. Rzeczywiście, jego uzębienie było jednostronnie wybrakowane.

– Mam nadzieję, że to nie jest jakiś omen.

– Jeśli jest, to nie mam pojęcia, jak go odczytać.

Drugi mężczyzna wrócił. Mogła teraz stwierdzić, że był wysoki, silnie zbudowany i równie mocno opalony. Twarz zdradzała azjatyckie pochodzenie.

– Doktor jest w drodze.

– Sam, dopilnuj, żeby nikt mi nie przeszkadzał.

Bez słowa, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi, Sam wyszedł i zaniknął za sobą drzwi.

– Kim więc jesteś? – zwrócił się do niej pan Zuchwały, ściągając spinkę z jej włosów i uśmiechając się, gdy te rozplynęły się jasną falą.

Ludzie, a zwłaszcza mężczyźni mieli w zwyczaju uśmiechać się do niej na widok tych błyszczących niczym miedź loków. Po prawdzie to wszyscy ludzie, a zwłaszcza mężczyźni mieli w zwyczaju uśmiechać się do niej cały czas.

Wszyscy z wyjątkiem tego jednego, promieniującego powagą, o wyrazie twarzy polującego jastrzębia. Jego uśmiech zniknął tak szybko, jak

się pojawił, a twarz przybrała wyraz tym bardziej poważny. Jakby chwilowa radość była pomyłką, o której należało szybko zapomnieć.

Wróciła już jako tako do zmysłów. Zdecydowanie nie miała ochoty wyjawiać celu swojej wizyty, a także sama miała ochotę zadać kilka pytań.

– A kim ty jesteś?

– Nazywam się Devlin Fitzwilliam.

Nie mówiło jej to zbyt wiele.

– A jesteś tutaj, bo...

– Bo mieszkam tu. To mój dom.

Gapiała się na niego przez chwilę bez słowa.

– Ten dom należy do mnie – powiedział, jakby chciał pomóc w zrozumieniu sensu jego słów. – Ten sam, do którego się włamałaś, ten, w którym widziałaś wazę w stylu Regeletto oraz lwa bez kła.

– Waldemar należy do ciebie? – Musiała się mocno skupić, żeby zrozumieć znaczenie słów jedynie pozornie zrozumiały. – A co z poprzednim właścicielem? Tym, który mieszkał tu...

– Bradley Benjamin? Czy chodzi ci o niego? – Devlin uniósł jej rękę i delikatnie zsunął z niej czarną rękawiczkę. A następnie zupełnie naturalnym gestem uniósł jej palce do ust i ucałował ich koniuszki... O mój Boże, naprawdę je ucałował!

– Który Bradley Benjamin, Trzeci czy Czwarty?

– Ee... Nie wiem. – Nie była przygotowana na taki przebieg zdarzeń. Chciała tylko się włamać, chwycić obraz i szybko się wynieść. Nie miała zamiaru wdawać się w pogawędkę z nie – grzeszącym nadmiarem grzeczności typem, który na dodatek prowadził dialog za nich oboje.

– Bradley Benjamin Trzeci sprzedał mi dom – powiedział Devlin. – A jego syn, również Bradley Benjamin. Nazywam go dla ułatwienia

„Czwartym”, co go niezmiernie złości, wpada czasem na obiady i coś do wypicia.

Aha, pomyślała. Babcia się pomyliła. I to straszliwie. Bradley Benjamin sprzedał dom. A ten tutaj był u siebie. Dlatego obrazu nie było tam, gdzie powinien być.

A Meadow miała kłopoty. Poważne kłopoty.

– Kim więc ty jesteś, skoro zdecydowałaś się tu włamać?

– Jestem... Meadow. – Tylko nie Natalia Szarvaz. To było jej zawodowe imię i jeśli gospodarz się o nim dowie, nie będzie miała szans na wykaraskanie się z tej sytuacji. – Ja... Nie... Nie mogę...

Zgubiła się trochę. Jakże głupie musiały wydawać się wszystkie wyjaśnienia. Powinna była przewidzieć, że może dać się złapać. Przygotować jakąś historyjkę.

Ale babcia wydawała się wszystkiego taka pewna... A teraz jakiś nieznajomy o zimnych oczach całował opuszki jej palców ciepłymi wargami i przyglądał jej się badawczo. Ostatnie pocałunki przed podróżą do więzienia. Ciekawe jak wyjaśni to rodzicom święcie przekonanym, że ich Meadow prowadzi seminarium w Atlancie poświęcone wydmuchiowaniu szkła.

– Nie pamiętasz więc? – Devlin ucałował jej nadgarstek.

Miłe, bardzo miłe.

Wargi, nie, pytania.

– O właśnie, nie pamiętam, bo... Bo mam amnezję – Niezłe Meadow, pomyślała. Szybko zaimprovizowane, ale niezłe.

Z oknem błysnęło, a kilka sekund później zagrzmiało.

Meadow podskoczyła. Zupełnie jakby same niebiosy piętnowały jej kłamstwo.

Na ustach Devlina błąkała się kpina. Nie wierzył jej.

Na poczekaniu wymyślała dalszy ciąg historii.

– Nie pamiętam, co tu robię. Może włamałam się w rezultacie psychicznej zapaści? – Niezłe kłamstwo. Co się może teraz stać? W najgorszym razie policja wyśle ją do szpitala na kilkudniową obserwację. Wyjdzie w przyszłym tygodniu i będzie mogła spróbować ukraść obraz jeszcze raz.

Chyba że w międzyczasie Stwórca uśmierci ją jakąś celniejszą błyskawicą.

– Kiedy mnie nie poznałaś, tego się właśnie obawiałem.

– Devlin patrzył w jej oczy z taką troską, że Meadow obawiała się choćby mrugnąć. – Kochanie, udało ci się w końcu wrócić.

– Nic nie pamiętam... – wyjąkała. Miała złe przeczucia co do jego ostatnich słów.

Objął ją delikatnie i czule ramieniem.

– Och tak, widzę, że nic nie pamiętasz, ale jesteś moją żoną.

Rozdział 2

– Zwariowałaś? Nie jesteśmy małżeństwem! – krzyknął ktoś rozpaczliwie i hałas sprawił, że głowa Meadow znowu wybuchła pulsującym bólem. Zdała sobie sprawę, że wrzask wychodzi z jej ust.

– Biedactwo. Nic nie pamiętasz, ale wzięliśmy ślub osiem miesięcy temu.

Błyskawica rozbłysła za oknem, a światła domu zamigotały niepewnie.

– Jasne, to dlatego właśnie powitałaś mnie z otwartymi ramionami.

– Zostawiłaś mnie. Zniknął w jednym z najniezwyklejszych dni mojego życia i nie miałem pojęcia, co ci się stało. Zamartwiałem się śmiertelnie, a kiedy się w końcu zjawiasz, cała i zdrowa, udając, że mnie nie poznajesz... Ja... Po prostu... – Wspaniale udawał człowieka, któremu emocje odbierają głos.

Oczywiście to nie emocje sprawiły, że zamilkł. Po prostu gorączkowo rozmyślał nad nowym kłamstwem. Wiedziała, bo była pewna, że nigdy wcześniej go nie spotkała. Nigdy! Bo na pewno by go zapamiętała.

Każda dziewczyna by go zapamiętała. Miał twarz anioła, ale wydawał się wygadany, jak najbliższy sługa Szatana. Błyski zza okna i rozchwiane abażury kapały go w migotliwej, iście piekielnej aurze.

– Nie do końca rozumiem – powiedziała z naciskiem.

– Wszystkie te miesiące niepewności. Nie wiedziałem, czy cały czas jesteś wśród żywych. To prawda, że miałem ochotę tobą bezceremonialnie potrząsnąć. Ale zraniłaś się, a ja odzyskałem zdrowy rozsądek i mogę cię spokojnie ująć w ramiona. Tak jak tego pragnąłem.

Najwyraźniej też pragnęła uścisku mocnego i tak czułego, że na chwilę zapomniała o bólu, ale za to poczuła, jak gwałtownie przyśpiesza jej serce.

Bała się, oczywiście. I to pewnie dlatego jej serce wydawało się szaleć. To nie mogła być przecież jego pachnąca cytrusami i sandałowym drzewem skóra ani gęsty zarost ocieniający wspaniale ukształtowany podbródek. Jego twarda pierś promieniowała przyjemnym ciepłem, tak kuszącym, że miała ochotę oprzeć dłonie na jego klatce piersiowej i przesunąć je niżej, w dół brzucha... Musiał ćwiczyć, co do tego nie było wątpliwości. O ile Meadow lubiła muskularnych mężczyzn, o których jej babcia mówiła, że są zbudowani jak dęby, o tyle wołała tę dęby oglądać z pewnego dystansu. Z doświadczenia wiedziała, że mężczyźni, którzy koncentrowali się na swojej cielesności, najczęściej okazywali się nadętymi, egotycznymi bufonami. A zbudowany jak dąb facet niezabsorbowany sobą mógł zakłócić wewnętrzny spokój jej duszy.

Zwłaszcza jeśli pachniał tak pięknie.

O mój Boże, czy naprawdę odwzajemniła uścisk i złożyła głowę na jego piersi?

Oderwała się od niego.

Nie rezygnował i przytulił ją tym mocniej.

– Co spowodowało amnezję, kochanie? – zapytał z troską w głosie. – Czy to uderzenie w głowę?

– Nie wiem. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek z tobą była

– odpowiedziała szybko. Muszę go przycisnąć, myślała.

– Wspomniałeś, że pobraliśmy się na...

– Majorce.

– Majorce – *Majorce!?*

– Piękna wyspa na południe od Hiszpanii.

– Oczywiście. – Ból ustał, doskwierały jej teraz... Zawroty głowy.

– Mam tam dom.

– No jasne...

– Nie wierzysz mi?

– Co do domu na Majorce, wierzę.

– Więc możesz również uwierzyć, moje dotknięte amnezją kochanie, że się tam poznaliśmy i pobraliśmy. W końcu nie masz żadnej alternatywnej dla tej historii, prawda?

Spojrzała na niego... Jego smagłą, opaloną twarz, ciemne zmierzwiłone włosy i brązowe oczy...

Mężczyzna jak on – mężczyzna, którego twarz zdawała się wyrażać mieszankę nieustannego skupienia i powagi – nie mógł być miłym obiektem żartów. Zapewne trudno byłoby go rozbawić. Ale czy właśnie nie karał jej za wtargnięcie do jego domu, żartując w okrutny sposób? Czyż absurd całej tej sytuacji nie rozbawiał go? Czy nawet trochę nie chciało mu się śmiać?

Czy kiedykolwiek w ogóle się śmiał?

Miała wrażenie, że może nie doczekać łatwo chwili, w której jej rozmówca uśmiechnie się szeroko i przyzna, że tylko się z nią drażni.

Co nie polepszało jej oplakanej sytuacji.

– Głowa mnie boli – powiedziała wreszcie, szukając rozpaczliwie ucieczki z tej matni.

Na dźwięk głosów w foyer odwrócił głowę.

– Doktor już tu jest.

– O rany! Prawdziwy doktor z domową wizytą. Myślałam, że odwiedzają chorych w domu tylko na archiwalnych filmach. – O ile pamiętała, lekarze nie zajmowali się ułatwianiem chorym życia.

– Zatrudniłem doktor Apps. Cały czas jest do dyspozycji hotelu. A ty dostarczyłaś nam okazji, żeby sprawdzić, jak szybko może się tu znaleźć. Trzymaj się mocno. – Wypowiadając ostatnie słowa, wsunął ramię pod jej

kolana, przycisnął ją do piersi i uniósł w górę.

– Hotel? Jaki hotel? – Zacisnęła ręce na jego koszuli.

– Dobra dziewczynka – mówił do niej tonem, jakim przemawia się do psiaka. – Ten hotel. Tajemniczy Ogród.

– To jest hotel? – Chyba naprawdę bardzo mocno się uderzyła. Albo zapomniała po części ludzkiej mowy.

Devlin umiejętnie manewrował, by zminimalizować jej zawroty głowy i nudności. Swoją delikatnością sprawił, że co prawda nie zwymiotowała na jego chodnik, ale czuła się tak bezpiecznie, jak waza w stylu Regeletto, którą niedawno przystawiała sobie do ust.

– Wielkie otwarcie będzie dopiero za trzy tygodnie – powiedział, a następnie zwrócił się już do kogoś innego.

– Pani doktor, bardzo dziękuję za szybkie przybycie.

– Ulokował Meadow na szezlongu i ruszył w stronę drzwi.

– Meadow spadła...

W kilku słowach przedstawił lekarce szczegóły zajścia. Dziewczyna ciekawie uniosła głowę.

Doktor Apps odwróciła się i obdarowała ją mechanicznym, medycznym spojrzeniem, zarezerwowanym przez lekarzy dla beznadziejnie nudnych przypadków. Miała ładne zęby, ładną twarz, delikatny makijaż i usta podkreślone łagodnym odcieniem różu. Ładną, wyćwiczoną i niezwykle smukłą figurę i ładne włosy upięte ładną spinką. Wszystko było w niej konwencjonalnie i do obrzydliwości ładne.

I kto tu wydaje się bardziej nudny?

Meadow osunęła się na wygodny szezlong. Czuła wszędzie obecność Devlina, jego cielesność, zapach skóry i jego napiętą uwagę. Oparła głowę na poduszce i jeszcze raz spróbowała zebrać myśli.

Bradley Benjamin sprzedał posiadłość Waldemar.

Devlin Fitzwilliam odkupił ją i urządził w niej hotel.

Jej wspaniały plan był wart funta kłaków.

Obrazy przewieszono, zapewne idąc za radą jakiegoś wspaniałego architekta wnętrz, który podpowiadał, gdzie będą prezentowały się najatrakcyjniej. A może zostały wycenione i sprzedane? Nie, raczej nie. Usłyszałaby o tym.

Cóż więc było robić?

Zostać przez pewien czas i rozejrzeć się po domu, oczywiście.

Ale Fitzwilliam twierdził, że była jego żoną, a ona sama nie miała pojęcia dlaczego. Zupełnie, ale to zupełnie nie potrafiła zgadnąć, czego od niej chciał.

Poza tym oczywiście, czego każdy mężczyzna może żądać od kobiety. Tyle że Devlin nie sprawiał wrażenia gwałciciela. Pociągnęła nosem. Już raczej musiał się bronić przed hordami napastujących go kobiet. I po cóż miał zamartwiać się półprzytomną dziewczyną, gdy miał do dyspozycji kogoś, jak pani doktor? Pani doktor, która zachowywała się, jakby chciała przybrać się jedynie w naszyjnik z pereł i zaprezentować Devlinowi na łożu z morskiej piany.

Meadow zajęczała cicho.

Żadnej odpowiedzi. Jej *mąż* rozmawiał z *panią doktor* i żadne z nich nie okazywało jej najmniejszego zainteresowania.

Jęknęła głośniej.

– Kochanie! – Devlin zaraz znalazł się przy niej.

Tak było lepiej.

– Zobaczmy, co się stało. – Lekarka stanowczo odsunęła go na bok.

Uprzejmie ustąpił jej miejsca.

– Witam, przepraszam, nie znam twojego imienia...

Meadow słyszała, jak Devlin mówił, jak się nazywa, ale na razie, postanowiła grać według nowych reguł.

– Meadow, mam na imię Meadow.

– Powiedz, co ci się przydarzyło, Meadow – powiedziała doktor Apps. Miała na sobie luźny, błękitny strój z mnóstwem kieszeni wyładowanych medycznym sprzętem. Ośluchiwała Meadow, świeciła jej latarką w oczy, obejrzała guza na głowie i ze znudzonym wyrazem twarzy wysłuchiwała jej opowieści o włamaniu, upadku i chwilowej utracie przytomności.

– Na jak długo straciłaś przytomność?

– Nie wiem, na wystarczająco długo, żeby Devlin się przy mnie zjawił – powiedziała, wskazując palcem przysłuchującego się uważnie wymianie zdań mężczyznę.

– Na jak długo? – zwróciła się do niego z zapytaniem doktor Apps.

– Nie więcej, niż minutę – odpowiedział.

Lekarka pokiwała głową.

– Źrenice wyglądają dobrze. Bez zmian. Ruchy gałek ocznych w porządku. Jakies problemy z pamięcią?

To był ten moment. Szansa na ucieczkę z labiryntu kłamstw.

– Owszem. Mam amnezję. Nie pamiętam, co tu robię.

– Myślałam, że powiedziałaś coś o włamaniu? – Doktor Apps bezceremonialnie czyściła ranę na głowie Meadow.

– Jasne, to znaczy on przynajmniej tak twierdzi. – Znowu wskazała Devlina. – Zakładam, że kamery monitoringu wszystko zarejestrowały.

Devlin skinął głową.

Świetnie. Kiedy zaciągnie ją do sądu i pokaże filmy z nagrania, wrzuci ją lochu na resztę życia.

– Ale ja tego nie pamiętam. Nie pamiętam nic zupełnie.

– Ale powiedziałaś mi, jak się nazywasz. – Lekarka nie wydawała się dawać wiary jej słowom w stopniu większym niż Devlin.

– To jedyna rzecz, jaką pamiętam. Nie pamiętam nawet, jak mam na nazwisko. – Meadow śmiało brnęła dalej. Czowała się trochę jak Klinger w serialu MASH, za wszelką cenę próbujący przekonać lekarzy o swojej niepoczytalności.

– Wiem tylko, że obudziłam się z krwawiącą głową.

– Hmm. Zupełnie niezwykle. – Doktor Apps nawet na nią patrzyła. Zamiast tego wlepiła spojrzenie w Devlina, zupełnie jakby coś powiedział. Chociaż od dłuższego czasu stał bez słowa w biernym oczekiwaniu.

– Naprawdę? – Meadow, pragnąc odzyskać uwagę, uniosła się na łokciach, ale głowa wybuchła jej całą feerią barw i szybko osunęła się na poduszkę. – Proszę mnie wziąć do szpitala na obserwację.

Doktor Apps przeniosła wzrok na dziewczynę.

– Jakież wymioty?

– Już nie – odpowiedziała Meadow.

– Straszyla mnie, że zwymiotuje do porcelanowej wazy z manufaktury w Limoges. – Devlin oparł ramię na szeszlunku.

– O nie! O mój Boże! – Lekarka ściągnęła różowiutkie usta w wyrazie przestachu. – Te wazy są niezmiernie kosztowne, moja Meadow.

Świetnie, pani doktor najwyraźniej uważała siebie za znawcę dzieł sztuki a Meadow za krwiożerczego wandalą.

Devlin nie ruszył się, by jej pomóc.

Dziewczyna powoli przenosiła wzrok z jednego na drugie.

– Chodnik też jest bezcenny a miskę można przynajmniej wrzucić do zmywarki do naczyń – z uciechą przyglądała się wyrazowi przerażenia

malującemu się na twarzy doktor Apps.

– Kochanie, przestań się drażnić. Wiesz, co się stało, kiedy ostatni raz umyłaś wazę z Limoges w zmywarce. Poodchodziły z niej wszystkie złocenia. – Devlin przejechał po jej czole opuszkami palców. – Obawiam się, pani doktor, że Meadow mówi prawdę. Naprawdę niczego nie pamięta, nawet tego, że jest moją żoną!

Doktor Apps przyjrzała im się uważnie. Przyjrzała im się jeszcze raz. W końcu zaśmiała się tak serdecznie, że Meadow może nawet by ją polubiła, gdyby nie niecodziennosc całej sytuacji.

– Devlin, cholera, wrobiłeś mnie, tak? Chciałeś sprawdzić, jak szybko działa obsługa medyczna hotelu i wezwałeś mnie do wymyślonej sprawy?

Wzruszył ramionami bez uśmiechu.

– Nie sądzisz chyba, że waliłbym biedną Meadow po głowie tylko po to, żeby sprawdzić, jak szybko się zjawisz?

– W takim razie wykorzystales wypadek jakiejś sprzątaczkii, żeby zobaczyć, jak działam. – Doktor Apps schowała stetoskop i latareczkę w jednej z przepastnych kieszeni. Wyciągnęła gazę i plaster z innej i nie zważając na pojękiwania Meadow, skończyła opatrywać i bandażować jej ranę.

– Już prawie uwierzyłam, gdyby nie ta historia z włamaniem i amnezją i dziewczyną rzekomo będącą twoją żoną. Trochę za trudno było przełknąć to wszystko naraz. – Poklepała Meadow po ramieniu. – Sama to wszystko wymyśliłaś?

Devlin uśmiechnął się złośliwie.

– Meadow, następnym razem, trzymaj się scenariusza, tak żebyśmy mogli spokojnie przejść przez całe, zaplanowane ćwiczenia.

– Trzymałam się, to ty powiedziałeś, że... Ja mówiłam prawdę! – A

przynajmniej przeważnie prawdę, pomyślała.

Prawdopodobnie byłoby dla nich lepiej, gdyby rzeczywiście zymiotowała do wazy z Limoges. Niestety, zawroty głowy ustały wraz ze złością wywołaną oskarżeniami o kłamstwo.

Oczywiście, że dopuszczała się fałszu i kłamstw, ale bynajmniej nie dla jakichś błahych przyczyn, o których mówiła doktor Apps.

– Naprawdę uderzyła się mocno w głowę – powiedział Devlin.

– No i głowa będzie ją bolała. Może też doświadczać nudności, być może stanów podenerwowania. Powinna zostać w łóżku przez jeden dzień. Niech sama podejmie decyzję w tej sprawie. Żadnego dźwigania ani ciężkich prac. Zostawię receptę na środki uśmierzające ból. A dziś w nocy, ktoś powinien ją budzić co godzina, żeby upewnić się, że nie traci świadomości. Ale nie martw się, nie ma powodu do obaw – mówiła zupełnie, jakby Meadow była nieobecna. Kiedy Devlin się podniósł, ujęła go za ramię.

– Jak mi poszło na teście praktycznym?

– Wspaniale, przybycie do mnie nie zajęło ci więcej niż dziesięć minut. – Odprowadził ją do drzwi. – Wybacz, że wyrwałem cię z łóżka, ale nadarzyła się wyjątkowo dobra sposobność.

– Rozumiem. Dzwon w każdej chwili, kiedy tylko będziesz mnie potrzebował.

Błyskawica skąpała salon w bladym świetle.

– Ta przekłeta burza szybko się nie skończy. Dam ci kierowcę, żeby odwiózł cię do domu.

– To przecież niecały kilometr – zaprotestowała, ale pomysł musiał jej przypaść do gustu.

– Przemokniesz mi do suchej nitki – odpowiedział stanowczo.

Ich głosy oddalały się powoli.

Kolejna błyskawica i jeszcze głośniejszy grzmot.

Meadow czuła, jak się w niej gotowało. Nie tylko oboje traktowali ją z góry, ale na dodatek lekarka nie chciała uwierzyć w jej amnezję. Oczywiście nie wierzył w nią też Devlin, a ona nic mogła nawet zdemaskować jego pomysłu z małżeństwem, bo tym samym przyznałaby się do winy. Devlin dopilnowałby pewnie, żeby znalazła się w więzieniu. Sprawiał wrażenie nad wyraz nieustępliwego człowieka. To on prawdopodobnie przygotował na nią pułapkę w postaci bezzębnego teraz lwa, próbowała żałośnie zażartować, ale wcale jej nie było do żartów.

Ale jeśli się nie przyzna, utknie tu razem z nim.

Utknie. Tu właśnie. W posiadłości Waldemar. W domu dziadków, poszukując obrazu, którego tak bardzo potrzebowała, a którego jakoś nigdzie nie mogła dojrzeć.

Jej plan wydawał się taki prosty.

Włamać się do Waldemar.

Ukraść obraz.

Opuścić Waldemar.

Sprzedać obraz za absurdalnie wielką sumę pieniędzy.

Wydać te pieniądze na bardzo drogie leczenie matki.

Odwróciła się i spojrzała na kominek. Nadęty, stary jegomość na obrazie najwyraźniej się z niej naśmiewał. Ilekroć mu się przyglądała, wydawał się coraz bardziej sardoniczny. Po prostu miała do czynienia z niewłaściwym obrazem.

Rozdział 3

Jak to było w ogóle możliwe?

Klucz kieszeni zaczął uwierać ją w biodro. Wyciągnęła go i przyjrzała się długim srebrnym zębom i zdobionemu uchwyтови. Powinna go schować. Z pewnością może się jeszcze przydać.

Słyszając kroki Devlina, pośpiesznie ukryła klucz pomiędzy poduchami a niskim oparciem szelongu, tak że nawet dociekliwa sprzątaczką nie powinna go łatwo znaleźć.

Światło błyskawicy rozświetliło portret na ścianie i sprawiło, że oczy jegomościa z obrazu błysnęły z dezaprobatą. Nie przejmowała się. Żadne groźne spojrzenia nie robiły już na niej wrażenia. Liczyło się tylko odnalezienie obrazu.

Osunęła się, gdy usłyszała zbliżające się kroki Devlina. Tylko wzrok podniosła.

Był taki... Wysoki i poważny. I wyczekujący. Zupełnie jakby to na nią czekał.

Jeśli doktor Apps cokolwiek dla niego znaczyła, dobrze potrafił to ukryć.

– Gotowa do łóżka? – Nie czekając na odpowiedź, uniósł ją jak piórko i skierował kroki w stronę drzwi.

– Powiedz mi, jeśli poczujesz się gorzej.

– Wszystko ze mną w porządku. – Poza tym, że trzymał ją tak czule, jak tylko może trzymać mąż swoją ukochaną żonę. Najgorsze było to, że bardzo jej to odpowiadało. Miała niemal namacalne wrażenie, że jej obecność sprawia mu przyjemność.

Wspiął się po długich, wspaniałych schodach. Docierały teraz do niej

zapachy świeżej farby i kleju do tapet. Wszędzie, gdzie kierowała wzrok, widziała stare lampy, lustro w połączonych ramach oraz inne dowody, świadczące o tym, że nowy właściciel nie żałował pieniędzy na najlepszych architektów wnętrz. Waldemar zostało odnowione, stając się sanktuarium luksusu i dobrego smaku.

– Wygląda wspaniale – wymamrotała.

– Dom? O tak, wyszło całkiem nieźle. – Omiótł wzrokiem korytarz z zadowolonym wyrazem twarzy. – Mamy takie powiedzenie w Charlestone. Za biedny, żeby malować, za dumny, żeby pobielić wapnem. Bradley Benjamin nie miał pieniędzy, żeby utrzymać starą posiadłość tak, jak na to zasługiwała. Właściwie uczyniłem temu domostwu przysługę, nabywając prawa własności.

– A jemu samemu? Czy jemu też uczyniłeś przysługę?

– A więc to było przyczyną sprzedaży. Bradley był bankrutem.

– Nie. Stary Benjamin i ja mieliśmy umowę. Ja nie wyświadczam mu przysług, a on nie określa mnie mianem bękarta. A przynajmniej nie mówi mi tego w twarz. Albo przynajmniej nie za często. – Obrócił się bokiem i zwinnie przeszedł przez drzwi. Niósł ją teraz przez salon wypełniony masywnymi meblami w kolorze najlepszego Bordeaux.

– Oto jesteśmy – powiedział, gdy wkraczali do sąsiadującej z salonem łazienki wykończonej w czarnym marmurze, z czarną wanną i wspaniałym prysznicem o kabinie z czerwonego szkła. Złote chryzantemy w niebieskich, chińskich wazach dopełniały przepychu.

Delikatnie posadził ją na łazienkowym blacie, pomógł oprzeć jej głowę o ścianę, stopy wsunął do zlewu. Zimno marmuru promieniowało przez ubranie i niosło ożywczy chłód, poczuła, jak energia wpływa w zdętwiałe członki.

– Myślę, że masz ochotę skorzystać z łazienki, zanim pójdziesz spać?
– Patrzył teraz na nią zagadkowym spojrzeniem, nie wypuszczając z troskliwego objęcia.

– Tak, był ciepły. Jak ciepła bułeczka.

– Czy poradzisz sobie sama, czy też mam... – Wsunął palec za obręb jej wyciętego podkoszulka.

– Hej! – Chwyliła szybko jego rękę. – Dam sobie radę!

Na jego ustach wykwitło coś w rodzaju łobuzerskiego półuśmiechu.

– Na pewno?

Nie była do końca pewna. Musiała przyznać, że ten szorstki mężczyzna wydał jej się nagle... Czarujący.

– Na pewno. Wyjdź, proszę. Kiedy będę potrzebowała pomocy – zawołam.

– Obiecujesz? Nie chcę, żebyś jeszcze raz roztrzaskała sobie głowę.

– Nikt z nas tego nie chce. Zawołam, kiedy będę cię potrzebowała. – Przekręciła się na blacie, spuściła swobodnie stopy i przyglądała się, jak wychodzi.

– W górnej szufladzie są szczoteczki do zębów i inne przybory. Szlafrok znajdziesz na wieszaku. – Poruszał się gracją, która sprawiała, że w stopach poczuła mrówki. Chyba miała ochotę klepnąć go w pośladek.

Odwrócił się jeszcze raz w jej stronę, zanim wyszedł.

– Czy jesteś pewna, że nie będziesz mnie potrzebowała?

Być może. Ale nie z powodów, o które teraz pytał.

Zeskoczyła zwinnie i stanęła na wyprostowanych nogach.

– Nie kręci mi się w głowie i nie mam nudności.

– Nie pamiętasz tylko, kim jesteś.

– Z pewnością nie pamiętam, że jestem twoją żoną.

– Przymierzam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ci przypomnieć. – Przez moment z uwagą przyglądał się konsternacji malującej się na twarzy i rozdziawionym ze zdziwienia ustom, ale zaraz szybko wyszedł.

– A właśnie, że nic nie zrobisz – powiedziała do zamkniętych drzwi. Zamknięte drzwi nie odpowiedziały.

Przyjrzała się w lustrze bladej i zmęczonej twarzy, bandażowi, który zdążył przykleić się po części do włosów i śladom krwi rozmazanym na czole.

Ostatnie dwa lata życia, choć niewyobrażalnie ciężkie, udało jej się przetrwać dzięki wrodzonej skłonności do optymizmu i wierze w pozytywne myślenie. Na każde wyzwanie odpowiadała uśmiechem, wiedząc, że jej radość unosi na duchu również innych.

Teraz wyglądała, jakby udało jej się uciec z piekła. Nawet czuła się podobnie. A winny temu, był niewątpliwie Devlin Fitzwilliam.

Choć jej matka prawdopodobnie bez trudu dowiodłaby tezy, że wszystkiemu winna była Meadow.

W natłoku wyrzutów sumienia, gwałtownych uczuć i determinacji skryła twarz dłoniach. Matka. Gdyby wiedziała, co przydarzyło się jej córeczce... Meadow jęknęła na samą myśl.

– Musisz iść do łóżka i porządnie się wyspać – powiedziała do siebie na głos. – Jutro rozwiązanie samo się pewnie napatoczy.

Dzisiaj była zdecydowanie zbyt rozkojarzona i roztrzęsiona.

Nakłamała przecież Devlinowi o amnezji. Czy jej uwierzył?

Oczywiście, że nie. Na pewno?

Sam kłamał, twierdząc, że są małżeństwem. Gdyby nie wierzył, że straciła pamięć, wiedziałby, że ona wie, że z pewnością nie są mężem i

żoną. Meadow sama zaczęła się gubić w tej piramidzie kłamstw.

Być może chciał, żeby się przyznała? Ale nie sprawiał wcale takiego wrażenia. Sposób, w jaki się zachowywał, wskazywał na to, że pragnie, aby tu została. Po co? Jak długo? Co zamierzał?

Zdenerwowana ściągnęła sweter. Na szczęście nosiła miseczkę „A”, a sportowy stanik, który założyła, spłaszczal ją tym bardziej. Z tyłu również nie miała czym się pochwalić a czarne legginsy, które nosiła na zajęciach jogi, wcale tego nie ukrywały. Devlin musiał to dostrzec, więc z pewnością nie chodziło mu o rozkoszne krągłości.

Oparła się dłońmi o zlew i nachyliła w stronę lustra.

Najwyraźniej nie zachwyciła go również swoją twarzą, która w tym momencie wydawała się szczególnie mało atrakcyjna i pozbawiona wyrazu. Oraz blada i spocona. A przede wszystkim malowało się na niej zdenerwowanie. Poważne zdenerwowanie.

Czego więc chciał? O co mu chodziło? Jaki miał plan i dlaczego w ogóle miał jakiś plan? Jaki cel mu przyświecał?

Otworzyła szufladę i bez trudu znalazła w niej wybór mydełek i kremów, o których marzyło większość znanych jej kobiet. Wszystko ładnie zapakowane w poręcznych buteleczkach. Uczesała się i umyła twarz, starając się nie zamoczyć bandaża. Zdjęła buty, legginsy i skarpetki i rzuciła na kupkę na środku podłogi. Założyła ciepły, aksamitny szlafrok. Jak wszystkie hotelowe podomki i ta była za duża. Dolna krawędź kończyła się przy łydce i musiała podtoczyć rękawy, żeby ujrzeć swe dłonie. Przepasała się ciasno paskiem i otworzyła drzwi.

Sypialnia była pusta.

Nie mógł odejść daleko. Powiedział, że zjawi się na każde jej zawołanie, a ona potrafiła rozpoznać mężczyznę, który dotrzymywał słowa.

Wdrapała się na wysokie łoże z baldachimem i westchnęła, czując, jak zapada się w miękkości materaca i delikatności chłodnych, mięciutkich prześcieradeł. Okryła się kołdrą, była lekka, ale bardzo przytulna. Zawieszony trzy metry nad nią sufit wydawał się jaśnieć złotą farbą, której użyto również do ścian. Wspaniale prezentowała się również listwa gzymsowa, starannie zdobiona i pomalowana w kolorze wiśniowego drewna.

Artystyczna część jej duszy podziwiała wspaniałe rzemiosło. Część duszy należąca do wyczerpanej kobiety nie pragnęła niczego poza zamknięciem oczu i oddaniem się w objęcia Morfeusza.

Zaraz!

Czy on aby nie chciał, by się tu znalazła? Nietuzinkowy pomysł, ale po cóż innego wymyślałby takie kłamstwo? Dlaczego upierał się, że jest jego żoną i brnął przez kolejne tego kłamstwa komplikacje? Tylko po to, by zatrzymać ją w... Jak on to nazwał, Tajemniczym Ogrodzie?

Wiedziała tylko jedno. Jakikolwiek były jego powody, nie mogło jej to wszystko wyjść na dobre.

* * *

Błękitne oczy Meadow, te same, które zdradzały jej kłamstwo, ukryte były teraz pod powiekami. Jej miedziane włosy rozlały się chmurą na poduszce, okalając jej twarz, a migotliwe światło co chwila wydobywało z ciemności któryś z kosmyków. Jej skóra miała fakturę brzoskwini, a na dodatek pod palcami sprawiała podobne wrażenie. Devlin dowiedział się tego i zaraz oderwał dłoń od jej policzka.

Opatrunek doktor Apps wyglądał jak kokon, a ten połączony z cieniem zmęczenia rysującym się pod oczami nadawał jej niezwykle kruchy wygląd.

Przez chwilę obawiał się, że rozplynie się niczym senna jawa.

Tak dużo o niej wiedział a równocześnie tak niewiele.

Znał jej imię. Meadow. Ale nie miał pojęcia, kim dokładnie jest.

Chciała coś ukraść i miała ku temu powód. Nie wiedział tylko, co to było.

Nie była dyletantką, jeśli chodzi o sztukę. Nie wiedział jednak, czym dokładnie się zajmowała.

Wiedział jednak o wiele więcej, niż ona sama mogła przypuszczać. Ludzie z południa Stanów mieli nadzwyczaj dobrą pamięć, zwłaszcza jeśli w grę wchodził poważny skandal. A babcia Meadow była największym skandalem, jaki można sobie wyobrazić. Na Wybrzeżu Amelii nikt nie zapominał o Isabelle, jej romansach i o tym jak upokorzyła dumnego Bradleya Benjamina.

Devlin nigdy nie spotkał Isabelle, ale czuł ku niej pewnego rodzaju sympatię.

Długie lata jego młodości, za sprawą Bradleya przypominały najgorsze piekło. Przyczyn ku temu było wiele i były one różne – dwieście pięćdziesiąt lat współzawodnictwa pomiędzy rodzinami Fitzwilliamów i Benjaminów, niechęć Bradleya okazywana samodzielny, pomyślnie realizującym plany życiowe kobietom, jak matka Devlina, przede wszystkim zaś szczerą, niepowstrzymana nienawiść Bradleya wobec dzieci urodzonych poza małżeńskim związkiem – bękartów.

Takich jak Devlin.

Bradley czuł do niego wstręt. Dlaczego?

Bo Devlin przypominał mu o jego głośnej, życiowej porażce i upokorzeniu, które mu odtąd towarzyszyło.

Kiedy więc nadarzyła się sposobność zemsty, Devlin zdobył posiadłość Waldemar i zajął dumny bastion wyższości Benjaminów. Na tym nie koniec – bezprzykładna głupota i olbrzymi brak kompetencji syna

Bradleya zdecydowały o tym, że mógł uzyskać wszystkie prawa własności do starej, rodowej siedziby. A wisienką na torcie zemsty było to, że Devlin nie zamieszkał w Waldemar – takie posunięcie Bradley w swej małostkowości by wyśmiał i Devlin zdawał sobie z tego sprawę. Zamiast tego zamienił posiadłość w luksusowy hotel.

Tym właśnie zajmowały się bękarty.

Uśmiechnął się do Meadow, delikatne wygięcie ust ledwie.

Oto w jego łóżku spoczywała jeszcze lepsza sposobność zemsty.

Czy Bradley Benjamin rozpozna w niej wnuczkę Isabelle?

Wysoce prawdopodobne.

Czy przejmie się tym faktem?

O tak!

Bradley nienawidził Isabelle, ale był czas, gdy należała do niego, a jeśli była choć jedna cecha, którą Devlin dzielił z Bradleyem, musiało to być chorobliwe przywiązanie do własności. Nie zniesie myśli, że wnuczka jego żony znalazła się w bliskiej komitywie z bękartem Fitzwilliamów.

Delikatnie dotknął szyi dziewczyny i przez moment przyglądał się swej opalonej dłoni kontrastującej na tle jej jasnej, usianej piegami skóry.

Bradley nie mógłby znieść, że Devlin i Meadow znaleźli się razem w łóżku.

W najlepszym razie wszystkie te posunięcia nie będą go nic kosztowały.

Może poza opłaceniem śledztwa dotyczącego jej przeszłości.

Nie wiedział do końca, kogo ma przed sobą – plotka mówiła, że ta dziewczyna nie powinna istnieć. Na szczęście już niebawem jego detektywi doniosą mu, kim jest, ile ważyła przy porodzie i z kim umawiała się przez ostatnie pięć lat.

Podniósł jej telefon komórkowy i otworzył go na chwilę.

Telefon wyświetlał informację o braku zasięgu.

Jasne.

Sprawdził listę połączeń.

Pustka.

Numery, które ostatnio wybrała?

Również nic.

Mądra dziewczynka wyczyściła pamięć telefonu przed włamaniem.

Tylko że ona się przecież nie włamała. Jakimś dziwnym trafem udało jej się otworzyć drzwi i wejść. Kamery nie uchwyciły jej zwinnych dłoni, ale z pewnością nie uruchomiła alarmu zainstalowanego w wejściowych drzwiach. Co prawda przechodząc korytarzem, uruchomiła inne, aktywowane ruchem ciche alarmy, ale nie wyjaśniało to wcale czegoś, co bardzo chciał wiedzieć jego szef ochrony – jak właściwie udało jej się wejść do środka.

W przyływie nietypowej dla siebie wesołości zastanowił się nawet czy to po prostu stare domostwo czując wiekowe powiązania krwi, nie wpuściło jej tutaj.

Nie obchodziły go powiązania. Nie dbał o nie. Bardziej interesowało go rozwiązanie całej zagadki a przy okazji rodzące się możliwości popsucia Bradleyowi krwi.

Devlin wierzył w swoje Irlandzkie szczęśliwe urodzenie.

Meadow była tylko kolejnym dowodem na to, że los mu sprzyjał.

Rozdział 4

Meadow otworzyła oczy obudzona promieniami słońca i napełniona świeżą dawką optymizmu, by skonstatować zaraz, że nie budzi się w tym łóżku sama. Ktoś leżał za nią, ciasno przytulony.

Mężczyzna. Zdecydowanie mężczyzna. Na dodatek ten sam, który był tu w nocy, by według zaleceń pani doktor co godzina ją budzić.

Chyba musiał być przyczyną jej optymizmu.

Odwróciła się, by przyjrzeć się smagłej, przystojnej, zastygłej w powadze twarzy Devlina.

– Dzień dobry, kochanie. – Palcami pieścił jej policzek, czekoladowo – brązowe niebezpiecznie przenikliwe oczy wydawały się penetrować najgłębsze zakamarki jej duszy.

Jej biednej duszyczki wystawionej na bezwstydną spojrzenia.

– No dobrze. – Udało jej się utrzymać surowy ton głosu

– co tu robisz?

Zupełnie jakby nie wiedziała. Wykorzystał okazję i przysunął się bliżej.

– A gdzie miałbym być, jeśli nie w łóżku z moją ukochaną żoną. – Przysunął się jeszcze bliżej, szukając stopami jej stóp.

– Nie jestem twoją ukochaną żoną! – O rany! Musiała zareagować panicznie.

Wszystko z powodu jego słów. Wszystko dlatego, że podomka, w której mądrze położyła się wczoraj do łóżka była teraz rozsunięta na całej długości a w samych majtkach i staniku czuła się niemiłosiernie odkryta. Wszystko dlatego, że on był tylko w miękkim bawełnianym podkoszulku i... Do końca nie wiedziała, w czym jeszcze – kołdra kryła go od pasa w dół, a

ona nie zamierzała sięgać, by przekonać się o tym, jak kompletna jest jego garderoba.

– Ależ jesteś, kochanie. Po prostu nie pamiętasz. – Jego palce ześlizgnęły się z policzka na szyję. – Mogę ci o tym przypomnieć.

– Przestań – warknęła i odsunęła się od niego.

– Jak twoja głowa? Wciąż boli?

– Odrobinę – skłamała. Ból nie przeszedł, ale z pewnością nie był tak wielki, by nie mogła rozpocząć swoich poszukiwań.

– Doktor mówiła, że powinnaś przynajmniej przez jeden dzień poleżeć.

– Doktor to idiotka. Wszystko ze mną w porządku – powiedziała szybko, poirytowana, że cytował doktor Apps po tym, jak budzili się razem w łóżku.

– Jesteś nieco rozdrażniona? – Smutno pokręcił głową, zupełnie jakby był ekspertem od jej porannych nastrojów. Przecież nie mógł mieć o nich pojęcia. – Powinnaś dziś wypocząć.

– Nie jestem rozdrażniona! – odpowiedziała, uśmiechając się sztucznie i zaciskając zęby. – Widzisz? Nie jestem.

Odpowiedział uśmiechem. Miłym, naturalnym i... Uwodzicielskim.

– Pozwolę ci wstać pod jednym warunkiem, kochanie. Jeśli obiecasz mi, że gdy tylko poczujesz się słabiej, zaraz mi o tym powiesz.

– Jakby cię to naprawdę obchodziło. – Być może była nieco rozdrażniona.

Ucałował ją w czoło.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Chcę, żebyś wróciła. Chcę, żebyśmy znowu byli razem, jak wówczas, na Majorce. Chciałbym, żeby odżył nasz romans, rozmowy,

pasja...

Musi mu w końcu powiedzieć, że to się nigdy nie wydarzyło. I zapytać, dlaczego chce, żeby tu została.

Może teraz? Nie, chyba lepiej później. Kiedy jej łydka nie będzie uwieczniona pomiędzy jego łydkami.

– Nie pamiętam.

– W takim razie sprawmy, by wszystko wydarzyło się od początku. Możemy udać się na plażę i znów przypadkowo spotkać...

– Spotkaliśmy się przypadkowo?

– Los nam sprzyjał. Ja byłem wyjątkowo zmęczony doglądaniem szczegółów zakupu tego domu i znudzony pracą. Zgubiłem drogę i przyjemność życia; zamyślony opierałem się o skałę i patrzyłem na bezkresne morze.

Słońce pieściło promieniami jego twarz. Fale rozbijały się

A u jego stóp, a Morze Śródziemne pachniało morską. Solą, choć dolatywały go też unoszące się w powietrzu nuty lawendy. Chwila była wspaniała, jak diament osadzony w bezmiarze czasu... ale nic nie było w stanie rozwiać melancholii rozlanej w jego sercu. Przez całe życie przyjemność sprawiało mu jego własne towarzystwo, samotność była mu kompanem, sprawdzała się najlepiej w bezlitosnym świecie businessu, w świecie zawierania umów, remontowania budynków, zamieniania ich w luksusowe apartamenty i wznoszenia wspaniałych hoteli na gruzach zrujnowanych posiadłości.

Ale tego dnia zwykła samotność nie wystarczała. Tego dnia był po prostu samotny. Bardzo samotny.

Kątem oka dostrzegł szybkie, kolorowe mignięcie. Odwrócił się, by spojrzeć na wspaniałą kobietę. Wysoką, o włosach błyszczących jak

najczystsza miedz...

– Nie jestem wysoka. Mam tylko sto sześćdziesiąt trzy centymetry wzrostu.

Devlin położył palec na jej ustach i z naganą pokręcił głową.

– Sposób, w jaki układała się twoja letnia sukienka, sprawiał, że wydawałaś się wysoka a twoje długie, lekkie kroki skierowały moje myśli na pewien określony tor...

– Jasne, chyba nawet wiem, jaki.

Wiedział już, że to szczęśliwy los przeznaczył mu tę kobietę.

– Nie upierałabym się przy tym.

W dłoni trzymała sandały. Szybkie kroki wzbijały piach, a spojrzenie utkwiała w linii horyzontu, gdzie błękit morza zlewał się w jedno z błękitem nieba. Na jej twarzy malowała się nieokreślona tęsknota, a myślami zdawała się szybować gdzieś bardzo daleko. Pomyślał, że jest uosobieniem samotności, którą czuł, a kiedy postąpił w jej stronę, zauważył, że w jej oczach najpierw odmalowało się zaskoczenie, chwilę później strach a ten zaraz ustąpił... ciepłej radości. Bez słowa wzięła go w ramiona, by połączyć się z nim w pocałunku i od tej chwili nic już nie było takie jak dawniej.

– O rany! – wyszeptała Meadow. Był dobry. Wiedziała, że wszystko to bzdury, ale opowieść prawie ją porwała i jeszcze chwila a sama by w nią uwierzyła. Czowała się, jakby naprawdę tam była.

– Być może mnie nie pamiętasz, ale twoje ciało potrafi mnie rozpoznać. Wprost prosi o przyjemność, którą mogę mu dać. – Jego głos brzmiał jak czarny aksamit, był miękki, niski i uwodzicielski. Ujął jej nadgarstek i przesunął dłonią w stronę wewnętrznej części łokcia. Kciukiem pieścił delikatne zagłębienie w skórze.

– Nie potrzebujemy ciepłych piasków ani ożywczych śród-

ziemnomorskich tchnień wiatru. Nie potrzebujemy palm i łodzi o przeszklonych dnach. Potrzebujemy tylko siebie, by świat odpłynął w zapomnienie.

Nie tyle zagarniał jej ciało, ile uwodził ją samymi słowami. Każde zdanie brzmiało cudownie i wzbudzało na plecach dreszcz, który przebiegał po całym kręgosłupie ku miejscom, które niewiele miały wspólnego z małżeństwem a o wiele więcej fizycznym zbliżeniem. Jego udo pocierało jej uda, a Meadow zastanawiała się przez moment, kiedy ostatni raz depilowała nogi.

W końcu zdecydowała, że niewiele ją to obchodzi, bo o wiele bardziej chce po prostu otrzeć się o niego. Jej biodra poruszyły niemal mimowolnie, gdy nagle jakiś zapomniany głos rozsądku nakazał jej się powstrzymać.

Nie miała na sobie prawie nic a on... No cóż, któż to wiedział? Niebezpieczny teren dla kobiety, której ostatni kwitnący romans uwiądnął wobec komplikacji spowodowanych chorobą w rodzinie.

Odsunęła policzek od jego ręki i odwróciła wzrok.

– Przestań.

Uniósł się na łokciu.

– Spójrz na mnie.

Spojrzała. Musiała spojrzeć. Chciała widzieć, co robi, by móc odpowiednio zareagować. Jeśli to znaczyło, że była mu posłuszna, nie było na to rady. Jeśli jej wzrok napotka jego i ich spojrzenia splecą się, jeśli jego oczy przenikną pozory i odsłonią ją przed nim, nie będzie mogła nic na to poradzić. Miał swoją metodę na sprawianie, by czuła się bezbronna i musiała przyznać przed samą sobą, że jej się to podobało.

– Jesteśmy szczęściarzami – rzekł, przesuwając palcami od jej ucha do

karku i przysuwając się bliżej. – Większość par doświadcza tylko jednego „pierwszego pocałunku”. My będziemy mieli dwa.

Jej myśli rozpływały się w niebycie. Ale instynkt działał niezawodnie. Powinna uciekać. Uciekać jak najdalej.

Pozwoliła jednak, by przyciągnął ją jeszcze odrobinę. W obszar dominacji swojego ciepła i zapachu.

To chyba było w porządku. Miał przecież na sobie swoje bokserki.

Ciekawy tok rozumowania, pomyślała.

Pochylił się nad nią. Czuła jego oddech wędrujący po skórze, tuż przy uchu.

– Czasami, kiedy spotyka się dwoje ludzi, wiedzą, że wystarczy dotyk, by zapłonął między nimi ogień. Tyle że często boją się o skrzeseanie pierwszej iskry. Byłoby grzechem, gdybyśmy teraz postąpili wbrew naturze...

Obróciła twarz, by stanowczo zaprotestować. Nakazać mu, by się odsunął.

I nagle, niby przypadkiem, niechcący prawie, jej usta spotkały jego usta a iskra zajaśniała gorąco. Oczy zamknęły się same. Pod powiekami przemknęła błyskawica jaśniejsza niż te, które widziała wczoraj. Ramiona wysunęły się same i objęły go z całych sił, jedna dłoń na karku, jedna na ramionach. Czuła niemal jak niewidzialna energia przeskakuje pomiędzy jej rękoma a jego ciałem. Cała dała owładnąć się miłosnej magii.

Wargi Devlina były cudowne i diabelsko kuszące. Jego ręce nie błąkały się, pozostawały w miejscu i trzymały ją mocno, a cudowny gorąc narastał coraz bardziej, już wydawało się, że pali na nich ubrania pozostawiając jedynie nagie rozgrzane pożądaniami ciała.

Jej oddech stawał się coraz szybszy. Zmysłami nie rejestrowała

niczego poza nim. Jego tchnienie na jej ustach, jego zapach wypełniający jej nozdrza i ogień, jaki budził do życia, napierając biodrami na jej biodra.

Och, jakże podobał jej się jego język. Sposób, w jaki ją całował, dotykając jej zębów, języka, warg. Drażniąc i zapraszając. Podobało jej się, że pozwolił, by i ona zgłębiła jego usta. Cieszyła się jego rozkosznych jękiem, cieszyła się, kiedy przetoczył się na plecy, pociągając ją za sobą.

Był cudownie potężny. Wspaniała bestia emanująca ciepło i poruszająca bez wysiłku jej ciałem. Kiedy znalazła się na górze i przejęła inicjatywę, całując coraz zapamiętałej, przestał przytrzymywać ją w ramionach. Zamiast tego sięgnął niżej i rozchylił poły szlafroka. Zacisnął dłonie na jej pośladkach i przycisnął ją mocno, ale tylko na chwilę, bo zaraz zaczął nią rytmicznie poruszać.

Podświadomie zdawała sobie sprawę, że wszystko dzieje się zbyt szybko. Nie mogła kochać się z mężczyzną, który ją okłamywał. Nie chodziło nawet o to, że ona też go okłamywała. Ale głos rozsądku dolatywał z oddali. Cieleśnie byli sobie zupełnie oddani.

A przynajmniej ona oddawała mu się beztrósco.

Możliwe też, że był w tym po prostu dobry? Słyszała o mężczyznach, którzy potrafią zdziałać cuda w łóżku i prowadzić kobietę ku samym granicom ekstazy. Nie miała na tym polu, niestety zbyt wiele doświadczenia, ale tu i teraz każdy ruch ich ciał był przyczynkiem do nowej porcji rozkoszy.

Wsunęła ręce pod jego podkoszulkę, przejechała rękoma po drabinie wspaniałych mięśni brzucha i żeber aż do sutków. Wyciągnął ramiona w górę w niemej prośbie, by go rozebrała.

Jako mała dziewczynka odważyła się na skok z dachu na trampolinę przed domem. Złamała wówczas nogę. Doktor ostrzegał ją wtedy przed

podejmowaniem niepotrzebnego ryzyka.

Niestety, Meadow miała w zwyczaju podejmować decyzje pod wpływem chwili.

Nie rób tego, Meadow.

Usiadła, obejmując go ciasno udami.

Będziesz żałowała, Meadow. Wewnętrzny głos nie dawał za wygraną.

Ściągnęła z niego koszulkę i odrzuciła w kąt pokoju.

No cóż, sumienie nie miało racji. Nie żałowała nic a nic.

Wspaniałe węzły mięśni pyszniły się pod opaloną skórą. Ramiona, piersi i brzuch sprawiały wrażenie wyrzeźbionych. Nie mogła się oprzeć chęci dotknięcia tych wspaniałości, muskała opuszkami palców sutki, by zaraz przesunąć dłonie niżej, zatoczyć kóleczek wokół pępka i zatrzymać je w końcu na gumce majtek. Zafascynował ją na chwilę kontrast pomiędzy jej jasnymi paznokciami a jego ciemnymi włosami. Przełknęła głośno ślinę, podziwiając z zapartym tchem rozległą pierś.

– Wyglądasz wspaniale.

– Po tym jak mnie porzuciłaś, oddawałem się często uprawianiu miłości. Z samym sobą oczywiście – powiedział, całując się w biceps.

Niech go licho. Skąd mógł wiedzieć, że uwielbiała mężczyzn, którzy potrafią ją rozbawić?

– Praktyka czyni mistrza?

– Zobaczymy – odpowiedział, wsuwając rękę za gumkę jej majtek.

W jej głowie pulsowała jedna myśl. Niech je zdejmie.

Pochyliła się do przodu.

Zręcznie zsunął z niej skąpy pasek materiału.

To bardzo niemądre, pomyślała. Nie rób tego.

Energicznym ruchem nogi odrzuciła majtki na bok.

Jego ręce umiejętnie pieściły jej pośladki i wewnętrzne strony ud, po czym zaczęły przesuwać się ku miejscu, gdzie uda te się łączyły.

Nabrała głęboko powietrza w bolesnym oczekiwaniu.

Dotknął kciukiem jej łechtaczki.

Zatopila w nim paznokcie.

Delikatnie zanurzył w niej jeden palec.

Wydała westchnienie, które było bardziej wymowne, niż Jakiegokolwiek słowa.

– Na Majorce było tak samo – wyszeptał jej na ucho.

– Pocałowałaś mnie i ogarnęły nas cudowne płomienie.

W jej głowie rozdzwonił się alarm.

– Majorce? – Wspominał Majorkę już wcześniej. Dlaczego właśnie tam? Przecież nigdy nie widziała żadnej ze śródziemnomorskich wysp.

Nie chciała zaczynać związku podszytego kłamstwami.

Kłamstwem Devlina.

I jej kłamstwem.

– Dość tego – powiedziała, opierając się ręką o jego brzuch i zeskakując gwałtownie z łóżka.

Głośno wypuścił powietrze.

Źle obliczyła odległość i z trudem złapała równowagę, po tym, jak wylądowała na podłodze. Podparła się ręką, wyprostowała i głęboko zaczerpnęła powietrza. Żadna z tych czynności nie pomogła w odzyskaniu psychicznej równowagi.

Sumienie krzyczało głośno, by jak najdalej się stąd wynosiła. Ciało domagało się swoich praw i ciągnęło w stronę łóżka.

A zdrowy rozsądek kazał zadawać pytania. Czy celowo wspomniał o Majorce? Czy chciał, by się zatrzymali, zanim zabrną za daleko? To

sugerowałyby, że ogień namiętności nie szkodził w przypadku Devlina chłodnemu rozumowaniu. Że jedna myśl mogła szybko ujarzmić rozbuchane płomienie.

Ściągnęła poły szlafroka i odwróciła się do niego.

Leżał na łóżku, prześcieradło podciągnięte do pasa, ręce pod głowę, mięśnie naprężone jak u dzikiego zwierzęcia. Ciemny puch ocieniał pachy i pierś. Kasztanowe włosy tworzyły wokół twarzy mroczną aureolę rysującą się wyraźnie na jasnej poduszce. Oczy jaśniały intensywnym blaskiem.

Nie wyglądał jak ktoś podporządkowany zimnym kalkulacjom umysłu. Może wspomniał o Majorce przez pomyłkę.

– Zawsze jesteś taki beztroski?

– Nigdy. – Uniósł się na łokciu. – To dlatego się w tobie zakochałem. Sprawiasz, że przestaję być bezdusznym businessmanem, a zamieniam się w szalonego miłośnika plaż, który wie, co naprawdę istotne w życiu.

– A co to takiego?

– Ty.

Nachyliła się niebezpiecznie blisko łóżka przyciągana grawitacją jego pożądania.

Nie, Meadow. Powstrzymaj się! Znajdź siłę!

Wyprostowała się gwałtownie.

– Jesteś niezły.

Lubiła komplementy jak każda kobieta. Cóż, może lubiła je odrobinę za mocno.

– Pozwól, że się ubiorę. Pozbawianie mnie garderoby będzie trudniejsze. – Ruszyła pewnym krokiem w stronę łazienki, pewna, że choć na chwilę udało jej się odzyskać władzę nad sobą, zdecydowana nie dopuszczać do sytuacji, w których pożądanie i namiętność brały górę i

pewna, że teraz już stanie się odporna na jego uwodzicielski czar.

– Wyrzuciłem twoje ubrania.

TTLR

TLLR

Rozdział 5

Meadow opanowana nagłym gniewem głośno nabrała powietrza. Zatrzymała się i powoli odwróciła głowę.

Devlin uśmiechał się zupełnie niewinnie.

Najwyraźniej nie potrafiła uczynić spojrzenia wystarczająco groźnym. Być może przeszkadzał w tym brak majtek?

– Chyba nie dosłyszałam. – Wykonała krok w stronę łóżka, półuśmiech na wargach a w oczach sztylety. – Wyrzuciłeś moje ubrania?

– Niebawem przyślą nowe ze sklepu w miasteczku. Stroje właściwe dla mojej żony. – Jego głos brzmiał zupełnie niewinnie a przy tym niezmiernie rzeczowo.

– Stroje właściwe dla twojej żony? – Nieświadomie podnosiła głos. – Co to ma dokładnie oznaczać?

– Oznacza dokładnie taki rodzaj ubrań, jaki miałaś w zwyczaju nosić na Majorce.

– A jeszcze dokładniej?

– Letnie sukienki. Kwiaty, żywe kolory. – Wykonał nieokreślony gest ręką. Domyśliła się, że chodzi właśnie o owe kwiaty w żywych kolorach.

– Letnie sukienki w co...? – Zwykle nosiła jeansy i T – shirty. I sandały na korkowej podeszwie. A do sandałów skarpetki, nie przejmując się tym, co myślą o tym inni. – Jestem przecież twoją żoną. Dlaczego nie przywiozłeś moich ubrań z Majorki?

– Zostawiłem je tam. Cały czas miałem nadzieję, że wrócisz.

Czyste, skąpane w falach poranne słońce oświetlało promieniami połowę jej ciała i twarzy pozostawiając drugą połowę w cieniu. Za kogo on się miał? Za tajemniczego super – złoczyńcę, który uparł się, żeby ją

oczarować a równocześnie szybkimi zmianami w jej życiu wytrącić jej grunt spod nóg?

Ktoś powinien ściągnąć go na ziemię.

Utkwiła wzrok w jego sutkach. Złapała jeden i mocno ścisnęła. Za mocno.

– Och! – Chwycił się ręką za pierś i spojrzał na zaczerwienione miejsce. – Co to miało być?

– Bordowy sutek. – Z satysfakcją patrzyła, jak rozmasowuje bolące miejsce. – Żadna normalna kobieta nie nosi sukienek w kwiatki bez okazji. A ja noszę jeansy.

– Nie możesz tego wiedzieć. Przecież nie pamiętasz...

To miał być sarkazm. Nie było cienia wątpliwości.

– Próbujesz ze mnie zrobić kurę domową? – Ponura myśl. Czy rzeczywiście mogło to być jego zamiarem? – Wiem, jakiego rodzaju kobietą jestem. I z pewnością wiem, w co zwykłam się ubierać. Wiem, co noszą inne kobiety. Rozejrzyj się trochę.

– Nie patrzę na inne. Jestem żonaty.

Prychnęła ironicznie.

– Może umówię cię z okulistą. Wtedy przejrzysz.

– Jak rozumiem, dobra żona troszczy się o zdrowie męża.

Konwersacja pomiędzy nimi nie była wymianą zdań. Już prędzej wymianą pchnięć i ciosów.

Najgorsze było to, że właściwie nawet się jej to podobało, chociaż równocześnie była na niego zła, zła za... Za coś.

– Nie nadużywaj swojej małżeńskiej władzy i nie wyrzucaj moich ubrań.

– Oczywiście. Nie będę już musiał. – Wysunął nogi spod kołdry. –

Nie teraz kiedy jesteś ze mną i zamierzam zawsze być blisko ciebie.

Devlin był za wysoki. Sposób, w jaki wyłonił się spod prześcieradeł, rozpraszał Meadow, nie mogła nie zauważyć jego podniecenia rozpychającego niebieskie bokserki. Dodatkowych wrażeń dostarczały jej stopy na zimnej drewnianej podłodze i wspomnienia gorącej cielesności, jaką się wzajemnie obdarowali. To, co mówił, nie brzmiało jednak, jak przekomarzanie się, a raczej jak groźba. Kiedy kobieta wykona jeden krok za daleko – a ona wykonała przecież więcej niż jeden – musi być pozbawiona rozumu, by ignorować swój instynkt.

– Zawsze być blisko mnie? A co to dla odmiany ma znaczyć?

– Nie czujesz się zbyt dobrze. Doznałaś wstrząsu mózgu...

– Nieznacznego.

– A twoja amnezja objęła wszystkie najważniejsze dla nas momenty w życiu.

Miał w ręku atut i dobrze umiał nim zagrać.

– Co więcej, otwieram tu hotel. Na wybrzeżu Południowej Karoliny, w większości należącym do prywatnych właścicieli. To powiew przyszłości, nowa jakość. Wszystkie te stare posiadłości tracą na wartości a ich właściciele nie stać na utrzymanie. Co nie oznacza, że ludzie, którzy mają tu wpływy, nagle je stracili. Przeciwnie, znajdzie się wielu bogatych i bardzo wrogo nastawionych do mnie i moich pomysłów. Były już przypadki sabotażu.

– O rany – powiedziała niepewnie. Nie miała na co dzień do czynienia z tego typu problemami. Nie wiedziała co powiedzieć. – Na przykład jakie?
– wydusiła w końcu.

– Co poważniejsze rodziny dały sprzedawcom w miasteczku jasno do zrozumienia, że będą musieli błyskawicznie spłacić swoje hipoteki, jeśli

przyjdzie im do głowy zaopatrywać hotel. Przez co muszę sprowadzać zieleninę z aż Charleston.

– Nie żyjemy w średniowieczu!

Na jego ustach wykwitł zabląkany uśmiech.

– To jest właśnie Południowa Karolina. Jedna z pierwszych trzynastu kolonii na Nowym Łądzie. Niezmiennie od setek lat zarządzana przez te same rody.

– To są chyba wolne żarty. – Nie wiedziała zbyt wiele na ten temat, bo pochodziła z zachodu, wychowała się w górskiej miejscowości w okolicach Waszyngtonu wśród przedstawicieli lokalnej bohemy i artystów z całego świata. Oczywiście jej babcia wspominała niegdyś o tradycjach rodowych w Południowej Karolinie. O tradycjach, które potrafiły w jednostce zabić całą radość życia. Ale Isabelli udało się przecież uciec, a jej historie brzmiały jak baśnie z siedmiu wzgórz i siedmiu lasów.

Devlin najwyraźniej dawał jej do zrozumienia, że nic się nie zmieniło. Jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło, by się upewnić, że nie żartuje.

– Czy podejmowano jeszcze jakieś akcje w związku z hotelem? – zapytała Meadow.

– Zbudowałem za hotelem maszt telefonii komórkowej. Ktoś uznał za stosowne podcięcie lin i wywalenie go.

– Maszt telefonii? – Grymas wykrzywił jej twarz. Klepnęła się w nagi pośladek, szukając tylnej kieszeni spodni. – Czy zanim wywaliłeś moje portki, przyszło ci do głowy sprawdzić kieszenie?

– Telefon leży tam, na nocnym stoliku. – Wskazał palcem, sadowiąc się wygodniej na łóżku. – Teraz ochrona cały czas nadzoruje miejsce.

– Jak się w takim razie tu dostałam? – nie sądziła, żeby sobie to wymyślił.

– Wyjaśnienie jest nadzwyczaj proste. Jeden ze strażników postanowił nieopatrznie schować się przed deszczem, a nie – przetestowany generator dławił się i miał przerwy w dostarczaniu prądu. Problem będzie zażegnany jeszcze dziś.

– Zażegnany? Masz na myśli naprawę generatora?

– I zastąpienie strażnika nowym. – Jego wzrok stał się naraz zimny i nieprzenikniony.

Nie podobał jej się wyraz jego twarzy. Przypominał jej ostatnią noc. Przypominał też, że nie zna motywów, które kierują nim przy odgrywaniu całej tej farsy. Jeśli nie znajdzie szybko obrazu i jeszcze szybciej się stąd nie wyniesie, jej nowy mąż rozdepcze ją jak karalucha.

– Nie bądź taki zły. Przecież to była iście piekielna burza.

– Płacę wysokie stawki i mam prawo żądać najwyższego poświęcenia.

– Tak, ale biedny strażnik został bez pracy.

Nie zauważyła, żeby jego twarz choćby drgnęła.

– Powinien był o tym myśleć przed podpisaniem kontraktu.

– Pewnie tak. – Meadow sama starała się przestrzegać umów, ale mimo to jej serce wypełniło się współczuciem.

– Zrozum, ludzie, którzy chcą mnie powstrzymać przed otwarciem hotelu, są zdeterminowani i nie brak im pieniędzy. Nie mogę ryzykować, że komuś przyjdzie do głowy zranić moją żonę, a leniwy ochroniarz nie zrobi nic, by temu zapobiec. Rozumiesz, prawda? – Jego głos stał się nagle miękniejszy i łagodniejszy. Z rozczochną czupryną i tym swoim półuśmiechem wyglądał niemal szczerze... Wyglądał, jakby mu zależało. Jakby był nią bardzo poważnie zainteresowany. Tylko nią.

Z wahaniem ujęła go za dłonie.

– Jasne. Tylko czy ty naprawdę zamierzasz wszystkim powiedzieć, że

jestem twoją żoną?

– Oczywiście – pieścił jej dłoń swoim kciukiem.

Już chciała zapytać, co powie ludziom, kiedy jego żona nagle zniknie, ale w porę ugryzła się w język. Zaraz zapyta ją przecież, dlaczego miałyby znowu zniknąć a jej zajmie dobrą chwilę, zanim doda kolejne wiarygodne kłamstwo do tej piekielnej układanki. Jej matka powtarzała, że nie ma dobrych kłamstw. Że wszechświat wynagradza prawdę a karze fałsz.

Wzrok Meadow padł na ich połączone dłonie a zaraz później na łóżko. Porażka ostatniej nocy i nieoczekiwany poryw namiętności o poranku sprawiały, że musiała przyznać matce rację.

Mogła się przyznać. Powiedzieć całą prawdę i wylądować w areszcie za włamanie z zamiarem kradzieży. Świetny pomysł, Meadow.

Devlin obserwował jej wewnętrzną walkę, zmagania prawdy z kłamstwem, ścierające się obrazy jego samego z obrazami więzienia i uśmiechnął się. Sposób, w jaki to zrobił, sprawił, że zaczęła podejrzewać, że cała ta moralna batalia wydaje mu się nad wyraz zabawna.

Wyrwała rękę z jego dłoni i sięgnęła po telefon.

Kiedy go otworzyła, odezwał się:

– Szukałem numerów, ale pamięć jest pusta. – Podeszedł długimi krokami do szafy i wyciągnął z przepastnej szuflady jeansowe spodnie.

– Sprawdzales mój telefon? – Miał czelność!

– Myślałem, że znajdę tam numery osób, które mogłyby powiedzieć nam, kim jesteś. – Powoli naciągał jeansy.

– Aha – powiedziała niepewnie. Dzięki Bogu Judith wpadła na pomysł, żeby wyczyścić pamięć. Gdyby tego nie zrobiła, Devlin miałby wczoraj okazję porozmawiać z jej matką. Meadow wyobrażała sobie, jaką minę miałyby Sharon. Jak byłaby rozczarowana i pełna żalu. Zupełnie jak

wtedy, gdy miała trzynaście lat, a matka przyłapała ją na jedzeniu hamburgera – mięsnego! – w domu u jednej z koleżanek.

Straszliwe wspomnienie.

– Rozumiem, że nie ma tu zasięgu?

– Buduję nowy maszt dla gości hotelowych, ale będzie gotowy dopiero w przeddzień uroczystego otwarcia hotelu. Niechęć lokalnych kacyków osiągnie apogeum. Mam nadzieję, że będą tak skoncentrowani na działaniach uniemożliwiających samo otwarcie, że tym razem nie zwrócą uwagi na mały maszt.

– Tak... Pewnie masz rację. – Zamknęła telefon. – Chciałabym wziąć prysznic.

Otworzył usta.

– Sama.

Zamknął je bez słowa.

– Powiedz tylko, gdzie są te kwieciste sukienki. – Musiała przeszukać dom i musiała przeszukać go szybko.

– Jeszcze ich tu nie ma. Zobaczą co uda mi się znaleźć w sklepie z upominkami. – Ruszył powoli w stronę drzwi.

– Jeansy i T – shirt! – krzyknęła za nim.

– Ma być prawie czterdzieści stopni ciepła.

– W takim razie szorty i T – shirt.

Zatrzymał się i z uśmiechem przyjrzał się jej sylwetce.

– O co chodzi? – zapytała, rozkładając ręce.

– Sto sześćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, pięćdziesiąt siedem kilo. Miseczka A, rozmiar spodenek – sześć, numer buta – cztery – powiedział, po czym nie pytając nawet czy ma rację, odwrócił się i zamknął za sobą drzwi.

– Pięćdziesiąt siedem kilo. Co w tym złego? – Mężczyzna tak spostrzegawczy mógł prawdopodobnie odczytać jej myśli, zanim jeszcze ułożyłaby je w słowa a ona była dumna ze swej szczerości i otwartości.

Niewątpliwie miała kłopoty.

Szybko musiała znaleźć obraz i wynosić się stąd. Pragnęła. Bardzo, bardzo mocno pragnęła znaleźć się w domu rodziców z ilością pieniędzy, która pozwoliłaby na kontynuowanie kosztownego leczenia jej matki... A teraz znalazła nowy powód ku temu, by się śpieszyć.

Musiała mu się wymknąć, zanim oplecie ją umiejętnie swoimi mackami, uniemożliwi jakikolwiek ruch i obróci w perzynę jej misternie utkany złodziejski plan.

Rozdział 6

Meadow sięgnęła po słuchawkę hotelowego telefonu wiszącego na ścianie.

Błyskawicznie wybrała numer, po czym ze złością odwiesiła słuchawkę. Czy wielmożny pan Ubezpieczony – Na – Każdą – Ewentualność dowie się, że korzystała z telefonu?

Wysoce prawdopodobne.

Ale była niemal przekonana, że umieszczanie podsłuchu w aparatach znajdujących się w hotelowych pokojach było nielegalne. Jej rozmowa powinna więc być zupełnie prywatna.

A poza tym, czy naprawdę miała wybór?

Nie, nie miała.

Chyba nie miał czasu na to, by założyć pluskwy we wszystkich słuchawkach.

Czuła, że paranoja opanowuje jej swobodny tok myślenia.

Wykręciła numer ponownie, pragnąc usłyszeć głos osoby, która zawsze potrafiła wysłuchać Meadow, gdy ta była rozgniewana i rozczarowana życiem, potrafiła zachęcić do szukania rozwiązań, pomagała w planowaniu posunięć i obiecała, że będzie czekała w jej rodzinnym domu podczas dalekich wojaży Meadow.

Judith Smith pojawiła się w jej życiu, gdy Meadow miała czternaście lat. Przepelniona była chęcią nauczania się wszystkiego o świecie sztuki i malarstwa. Zanim skończyła naukę, stała się niejako nowym członkiem rodziny. Spędzała długie miesiące na malowaniu średniej jakości obrazów, a gdy tylko usłyszała krytyczne głosy na temat swojej sztuki, zaraz zrezygnowała.

Sharon powiedziała córce prywatnie, że jedyną osobą, która może stwierdzić klęskę danego artysty, był ten sam artysta. Powiedziała jej, że Judith za mocno pragnęła sukcesu i nałożyła więzy na swój talent. Talent, któremu sama nie pozwoliła odpowiednio się rozwinąć i dojrzeć.

Odeszła więc i wytyczała sobie inne ścieżki kariery. Nie chwaliła się nimi za bardzo, ale musiała mieć pieniądze, bo odwiedzała ich i zostawała na tak długo, jak się jej podobało. Pomogła Meadow w zaangażowaniu się w program dla młodych artystów uniwersytetu w Stanford i zasugerowała studia za granicą. Ojciec, matka i babcia wspomagali ją, jak mogli najlepiej, ale kiedy Meadow opuściła swój rodzinny, położony wysoko w górach dom i wyruszyła na spotkanie prawdziwego świata, to Judith stała się prawdziwym mentorem dziewczyny.

A teraz Meadow wstrzymywała oddech, czekając na pierwszy sygnał dzwonka.

Judith odebrała niemal od razu, jej nosowy głos balansujący na krawędzi paniki.

– Kto mówi?

– To ja. – Meadow zasłoniła ręką słuchawkę i zniżyła głos.

– Dzięki Bogu, tak się martwiłam. – Judith głęboko zaczerpnęła powietrza. – Dlaczego nie odbierasz komórki? Co się stało? Gdzie jesteś?

Meadow odpowiadała na pytania w tej samej kolejności:

– Nie mam tu zasięgu. Złapali mnie podczas włamania. Na terenie posiadłości.

– O mój Boże, czy wszystko z tobą w porządku? Znalazłaś obraz? Jesteś ranna?

– Odrobinę. Nic poważnego. A obrazu nie było na ścianie.

– Próbowałam cię przekonać, że tak będzie. Ludzie lubią zmiany w

swoich domach.

Judith mówiła tak spokojnie, że Meadow miała ochotę na nią nawrzeszczyć.

– Babcia mówiła, że obraz tu na pewno będzie.

Głos Judith stał się naraz szorstki.

– Myślisz, że chciałyby cię okłamać?

– Na pewno nie.

– Przepraszam, nie to chciałam powiedzieć. Po prostu, straszliwie jestem tym wszystkim zdenerwowana. – W głosie Judith pojawiło się zakłopotanie i poczucie winy. – Ale sama mówiłaś, że pod koniec życia wydawała się nieco zagubiona.

– Tak, ale obraz prawdopodobnie tu wisiał. Kiedyś. Tyle że posiadłość została sprzedana.

Meadow usłyszała, jak jej rozmówczyni wzdycha zaskoczona.

– Waldemar zostało sprzedane? – Czasami, w chwilach zdenerwowania, w głosie Judith ujawniał się bardzo silny, nowojorski akcent. To była jedna z tych chwil.

– Sprzedany człowiekowi o imieniu Devlin Fitzwilliam.

– Devlin Fitzwilliam – powiedziała wolno Judith. – Devlin... O mój Boże! Devlin Fitzwilliam złapał cię na włamaniu?

– Tak i... Zaraz, zaraz. – Panika Judith przykuła uwagę dziewczyny. – Znasz go?

– Każdy zna Fitzwilliam. Grał na pozycji atakującego w drużynie stanowej Florydy.

– Pozycja atakującego? To coś z futbolem, prawda? – zważywszy na jego budowę, miało to sens.

– Tak, moja droga. To futbol właśnie. Były o nim artykuły w

magazynach Forbes i Entrepreneur. Jest jednym z Fitzwilliamów z Charleston, synem Grace Fitzwilliam. – Meadow niemal czuła, jak Judith w zdenerwowaniu macha żywiłowo rękoma. – Czy to niczego ci nie przypomina?

– Niestety. Niczego zupełnie. – Meadow oparła się o ścianę i powoli zsunęła się po niej plecami, by w końcu ugiąć kolana i ze zrezygnowaniem usiąść na podłodze.

– Powinnaś oglądać telewizję, przynajmniej od czasu do czasu. Pani Grace Fitzwilliam jest architektem wnętrz i prowadzi swój program. Uczy, jak zmienić zwykły dom w precudny raj południowego stylu.

Och, Meadow lubiła telewizję. Tak jak jej ojciec. Ale matka nigdy nie pozwalała na odbiornik w swoim domu, a dziewczyna mieszkała z rodzicami przez ostatnie trudne półtora roku. Była trochę nie na czasie, ale ku swemu zaskoczeniu o wiele szczęśliwsza, niż na studiach, gdy z pewnością była jak najbardziej na czasie.

Decyzjami Sharon niewątpliwie kierowała pewna mądrość.

– Czy to reality show?

– Raczej coś w rodzaju „Metamorfoza wnętrz”. Słyszałaś o nim, prawda? – W głosie Judith tym razem pobrzmiwał sarkazm.

– Tak, Judith, nie mogę zbyt długo rozmawiać. – Meadow musiała szybko kończyć, zanim ją ktoś złapie. Równocześnie chciała dowiedzieć się jak najwięcej o Devlinie. – Co muszę wiedzieć, żeby dać sobie z nim radę?

– Fitzwilliam to gigant nieruchomości.

– Przekształca Waldemar w luksusowy hotel.

– Sama widzisz. Ma opinię nieczułego sukinsyna, który umiejętnie powiększa swoją fortunę.

– Nieczułego?

– Nie jest głupi i każdy o tym wie albo dowiaduje się o tym za późno, jeśli próbuje sztuczek w interesach. Rozjeżdża wszystkich, którzy próbują wejść mu w drogę. Jest synem tego miliardera, Nathana Manly, tego samego, którego korporacja upadła a właściciel ukradł pieniądze i uciekł do Ameryki Południowej dziesięć, czy piętnaście lat temu. Założę się, że o tym również nie słyszałaś.

– Nie słyszałam – rzeczywiście, specjalnie jej to nie zajmowało, ale dawało to pewne pojęcie o jego osobowości, zwłaszcza w odniesieniu do uwag, które wczoraj czynił na temat Bradleya nazywającego go bękartem. – A więc Fitzwilliam chce udowodnić, że nie jest taki sam, jak jego ojciec?

– Tak myślę. Trzeba też pamiętać, że rodzina Grace nie była zachwycona faktem, że ich córka zaszła w ciążę bez ślubu. Nie była żoną Nathana. Po prawdzie, to był on w tym czasie żonaty z kimś zupełnie innym.

– Każde nowe dziecko jest tchnieniem Boga.

– Fitzwilliamowie niekoniecznie dzielali ten sposób widzenia świata.

Na Meadow spłynęło olśnienie.

– Są jedną z rodzin, o których mówił. Jedną z tych, które wciąż wszystko kontrolują.

– Masz zapewne rację. Nosi swoje znamię nieślubnego dziecka z podniesionym czołem, ale plotka głosi, że potrafi być prawdziwym sukinsynem, kiedy ktoś próbuje go wykiwać.

– Aha. – A Meadow jakiś dziwnym trafem zdołała go już polubić. Uważała, że był co najmniej zajmujący.

Chyba musiały przez nią przemawiać hormony.

– Musisz być ostrożna. Bardzo ostrożna. – Meadow słyszała troskę w głosie przyjaciółki. – Co zamierzasz teraz zrobić?

Meadow jakoś nie potrafiła się przyznać do swojego żalosego pomysłu z amnezją ani absurdalnego pomysłu z małżeństwem, który chcąc nie chcąc się akceptowała. Całość brzmiała jak szekspirowska farsa, a wygłaszane przez nich dialogi wspaniale się w klimat tej farsy wpasowywały. Z wyjątkiem tych wypowiedzianych z rana. Te wpasowywały się lepiej w klimat niskobudżetowej produkcji erotycznej.

– Przekonałam go, żeby pozwolił mi zostać.

Judith zawahała się, a Meadow niemal słyszała, jak w głowie jej rozmówczynie wrze od przelatujących wariackich myśli i pomysłów. Judith była prawdopodobnie najinteligentniejszą osobą, jaką znała Meadow. Być może nie najbardziej utalentowaną, ale z pewnością nie taką, której brakowało dowcipu.

I która mimo całej swej błyskotliwości, nie potrafiła do końca ukryć palącej jej żądy sławy. Matka przyznała raz, że dostrzega czasem gorące tego płomienia, ale Judith z pewnością potrafiła skrzętnie skrywać swoje zamysły przed Meadow.

– Myślisz, że pozostanie tam, to dobry pomysł? Może jest jakiś lepszy?

– Myślę, że nie ma wyjścia. Ma strażników i systemy zabezpieczeń wszędzie dookoła. Nie będę miała okazji do ponownego włamania a muszę zdobyć ten obraz. – Przed oczami stanął jej inny obraz, zupełnie rzeczywisty i taki, który oglądała zbyt długo. Jej matki z chustą opasującą jej pozbawioną włosów głowę. Przełknęła napływające łzy. – Nie słyszałam, żeby został odkryty, a wiedziałabym na pewno, gdyby tak się stało. Plotki w świecie sztuki rozprzestrzeniają się z prędkością światła. Z czego wynika, że malowidło musi być w tym domu, muszę je tylko znaleźć.

– Jasne. Masz rację. Ale skoro tyle tam systemów zabezpieczeń... Jak

zamierzasz tego dokonać?

– Jestem sprytna. Uda mi się to jakoś wyłączyć a później znowu włączyć.

– O mój Boże, tak się o ciebie martwię. – Judith westchnęła szczerze.

– Wiem, wiem – powiedziała cicho Meadow. – Co słyszeć w domu? Czy uwierzyli, że potrzebowałam chwili wyciszenia w ośrodku medytacji i że jestem w Atlancie? – Czowała się strasznie, kłamiąc rodzicom, ale gdyby jej matka dowiedziała się, że Meadow jest w Waldemarze i знаła jej plany, byłaby wściekła. A wściekłość matki była wściekłością niezwykłą i niezwykle trudno było ją znosić.

Lepiej było dla wszystkich, że Meadow kłamała. Mimo wszystko potrafiła znieść myśl, że matka będzie miała jej za złe kradzież przekłętogo obrazu. O wiele gorzej przychodziłoby jej pogodzenie się z myślą, że mogła podjąć jakieś kroki, a nic nie zrobiła. Nie mówiąc już o tym, że babcia z pewnością by powróciła, by nawiedzić dom i straszyć ją po nocach za grzech zaniechania.

River był niewątpliwie utalentowanym artystą i wspaniałym ojcem, ale zaopatrywanie lodówki, płacenie rachunków i uzgadnianie cen z agentami wykraczało bardzo daleko poza jego możliwości. Na szczęście Meadow ubłagała Judith, aby ta została z jej rodzicami i zadbała o rozwiązywanie codziennych problemów, którymi wcześniej zajmowała się Sharon. Teraz dziewczyna starała się znaleźć w tej myśli ukojenie, ale mimo wysiłków, nie potrafiła opanować targającej nią niepewności.

– Tak, wszystko w porządku. Po prostu skoncentruj się na zadaniu. I nie dzwoń do nich. Powiedziałam im, że jesteś w miejscu, gdzie nie toleruje się telefonów komórkowych.

– Tak, ale... – Rozmawiała z matką niemal codziennie, lubiła słyszeć

jej przyjazny, ciepły głos i wiedzieć z całą pewnością, że matka wciąż była wśród żywych.

– Słaba z ciebie kłamczucha – powiedziała Judith z brutalną szczerością. – A jeśli zadzwonisz do Sharon, zaraz domyśli się, że coś kombinujesz. A nie chcesz przecież jej bez potrzeby zamartwiać.

– Nie chcę, masz rację.

Ale ostatnie słowa zwróciły uwagę Meadow ku innemu problemowi.

Skoro tak słabo wychodziły jej kłamstwa, dlaczego Devlin ją tu trzymał?

* * *

Judith odwiesiła słuchawkę i rozejrzała się po niewymownie brzydkim mieszkaniu, które wynajęła na Wybrzeżu Amelii w podrzędnym motelu o czytelnej teraz nazwie *Zabaw Chwileczkę*.

Latami pracowała na ten moment. Nie odstąpi od planu, tylko dlatego, że w jej pokoju jakieś wielkie karaluchy wydawały się zajmować hodowlą karaluchów innego rodzaju, nieco mniejszych. Była tu już kiedyś, niemal dokładnie osiemnaście lat temu i choć miejsce sprawiało dziś o wiele gorsze wrażenie, ona była o wiele bliżej celu. Niemal czuła już na języku jego smak.

Nie czuła się do końca w porządku okłamując Meadow. Znała ją od lat a dziewczyna była tak uczciwa i otwarta jak jej rodzice.

Z drugiej strony była również niezwykle utalentowana, a to sprawiało, że w Judith przewracały się wnętrzności. To nie było sprawiedliwe – dlaczego niektórzy ludzie byli geniuszami a inni... A inni byli po prostu dobrzy? W świecie sztuki miano geniusza zapewniało międzynarodową sławę. Bycie dobrym dawało zaś miejsce w pociągu dla głodujących artystów przemieszczających się bezładnie z miejsca na miejsce. Można

było też poświęcić się malowaniu „arcydzieł”, które kończą w restauracji a ich przyklejona do ramy cena, mimo upływu lat oscyluje w okolicach dwustu dolarów.

A to nie był szczyt marzeń Judith. Przez całe życie pragnęła zostać kimś. Chciała być dostrzegana, zwłaszcza przez krytyków sztuki. Chciała, by ją rozpoznawano i chwalono. A dwadzieścia lat temu, pięć lat po ukończeniu akademii musiała zderzyć się z brutalną rzeczywistością – nie była geniuszem – do sławy musiała dojść innymi, bardziej pokrętnymi ścieżkami.

Musiała odnaleźć zagubione arcydzieło.

Nie było to aż tak trudne. Z pewnością można było to zrobić. Trzeba było trochę poszperać i sprawdzić źródła najbardziej prawdopodobnych plotek. Oczywiście plotki mają to do siebie, że niewiele w nich prawdy i zajęło jej sporo czasu, zanim udało jej się odsiać ziarna od plew.

Minął rok, zanim usłyszała o mistrzyni Isabelle i obrazie, który pozostawiła. Usłyszała kolejną plotkę i jeszcze jedną aż w końcu kupiła wystarczającą ilość drinków starej piastunce – pani Graham, żeby uzyskać całkowitą pewność. Arcydzieło spoczywało w wiekowej posiadłości Waldemar.

Tyle tylko, że pani Graham była na tyle głucha, że wykrzykiwała każde słowo oraz na tyle uzależniona od alkoholu, że swą opowieść chętnie powtórzyłaby każdemu, kto uraczyłby ją ponownie mieszanką szampana z sokiem pomarańczowym. Judith nie miała wyjścia, a dodanie trutki na szczury do dwunastej tej nocy szklanki nie nastęczało aż takich trudności. Kiedy policja znalazła następnego ranka ciało staruszki leżące w poprzek alejki prowadzącej do baru, odwieziono ją do kostnicy, nie szukając nawet potwierdzenia dla naprędce postawionej diagnozy: *śmierć z przyczyn*

naturalnych.

Włamanie Judith do Waldemar nie przyniosło jednak pożądanych rezultatów. Przyniosło za to ślady psich zębów na lewym pośladku. Policja zdobyła też jej rysopis – portret pamięciowy zawdzięczała rozwścieczonemu Bradleyowi Benjaminowi, który ją wtedy przyłapał.

Zabrała się do wszystkiego jeszcze raz, tym razem podchodząc do problemu od zupełnie innej strony. Strawiła kilka miesięcy, studiując historię sławnej – a zarazem niesławnej artystki – Isabelli... Lecz zamiast obrazu, odnalazła jej rzekomo nieżywą od wielu lat córkę.

Wszystkie elementy układanki Isabelli były perfekcyjnie dopracowane. Sama publicznie ogłosiła, że jej córka zginęła w wypadku samochodowym w Irlandii w wieku czterech lat. Poczekała, aż media nasycą się tą wiadomością, po czym wkrótce później „adoptowała” Sharon i umiejętnie trzymała ją z dala od jupiterów sławy. Sharon rosła wesoło, nie zdradzając prawdy, a przy tym nie musiała nawet unikać prasy. Oczywiście starały się obie nie prowokować wścibstwa dziennikarzy.

Po tym jak Sharon poślubiła Rivera Szarvasa, zainwestowali pieniądze Isabelli w utworzenie artystycznej wioski. Miejsca rozwijania talentów, miejsca narodzin geniuszy nowego pokolenia. Fundowali stypendia, trenowali swoich następców. Po wiosce zawsze kręciła się grupka dzieciaków, zdezorientowanych życiowo, żyjących ideałami, śpiących na podłodze wyjadających jedzenie i dyskutujących o sztuce z płonącymi oczami... Nie było trudno wprowadzić się do wioski artystów, podając się – tak jak zrobiła to Judith – za artystkę szukającą zagubionej muzy.

Przez moment nawet myślała, że ową muzę znalazła. Namalowała najlepsze rzeczy w życiu. Właśnie wtedy, mieszkając z nimi i wdychając rozrzedzone, górskie powietrze. Na kilka miesięcy zapomniała o głupim

arcydziele Isabelli a odkryła w sobie wspaniałą dzikość, która pozwalała jej malować niemal bez przerwy. Była prawie całkowicie przekonana, że udało jej się odkryć w sobie upragnione, genialne tchnienie.

W końcu, kiedy pokazała swoje rzeczy jednemu z krytyków, dał jej adres restauracji, która miała wystawiać i sprzedawać podobne obrazy w zamian za procent od uzyskanej ze sprzedaży kwoty.

Do jego kawy też chciała dodać trucizny.

Zamiast tego wróciła zrezygnowana do Szarvasów. Wysłuchiwała bez zainteresowania mowy pocieszenia wygłoszonej przez Sharon i wyraziła chęć przepisania dzienników Isabelli na komputerze. Sharon było przykro z powodu jej porażki i nie śmiała odmówić. Judith odkrywała więc spokojnie świat plotek i tajemnice rodziny. Zaglądała ciekawie do świata wielkiej sztuki i życia wielkiej artystki. Tylko o samym obrazie nie znalazła żadnych informacji.

Taktownie i tak, by nie budzić podejrzeń, podpytywała Sharon o to i owo. Za wszelką cenę chciała zostać jej powiernikiem – kimś, komu malarka zaufa niemal we wszystkim.

Ale Sharon trzymała ją na dystans. Jej przenikliwe oczy sprawiały, że Judith zaczęła podejrzewać... Że Sharon potrafi odczytać wszelkie jej zamiary.

W końcu Judith zainteresowała się wnuczką Isabelli i okazało się to trafieniem w dziesiątkę.

Isabelle powiedziała wnuczce wszystko. Absolutnie wszystko.

Szybka wycieczka na Wybrzeże Amelii ujawniła, że obraz nie wisi już nad kominkiem.

Oczywiście, że nie.

To by było za łatwe.

Ale Judith nie wiedziała, jak zostać tam na dłużej i porozglądać się baczniej. Stary Benjamin wciąż żył. Policja wciąż miała jej rysopis. Wpadała do miasteczka w pośpiechu i zawsze starała się je jak najszybciej opuścić.

Mniej więcej w tym samym czasie skończyły się jej pieniądze. Umieściła swojego ojca – najbardziej zawziętego sukinsyna, jaki stąpał po ziemi – w domu starców, po czym spieniężyła jego dom i majątek. To pozwoliło jej na przetrwanie kolejnych dwóch lat.

Przyszwał moment, że znowu potrzebowała sponsora.

Pan Hopkins zaoferował swoją pomoc szybko i w bardzo dyskretny sposób. Wyglądało na to, że ją obserwował. Domyślając się tego, jak wiele wie, niemal na pewno tak było.

Mogła stać się sławna.

On chciał tylko obrazu.

Hopkinsa nigdy nie widziała na własne oczy. Był głosem w telefonicznej słuchawce, uspokajał ją, zalecał cierpliwość. Myślała o tym jak cierpliwa była przez wszystkie te lata, ale rzeczywiście, przeczucia go nie zawodziły. W końcu, z jego pomocą, właściwy moment nadszedł.

Obraz i sława znalazły się w zasięgu ręki. Nie pozwoli, by cokolwiek miało jej teraz stanąć na drodze.

Nic więc na tej drodze nie stanie. Ani nikt.

Rozdział 7

Gabriel Prescott wszedł pewnym krokiem do biura Devlina.

– Hej, Gabrielu. – Devlin nie podniósł wzroku. Nie musiał. Siedział naprzeciw rzędu ekranów osadzonych w starych, gustownie drewnianych ramach imitujących półki na książki. Przyglądał się im uważnie i oczywiście dostrzegł również przemierzającego korytarze Gabriela.

Nawet teraz nie odrywał od nich wzroku.

– Co robimy? – Gabriel zamknął za sobą drzwi.

– Podglądamy ją.

Sposób, w jaki Devlin wymówił słowo *ja*, sprawił, że Gabriel ciekawie zajrzał mu przez ramię. Na ekranie dostrzegł kobietę idącą powoli jednym z korytarzy i doprawdy, była cudowna. Rude włosy przywodziły na myśl płomień świecy okalający ognistą aureolą naturalną bladość jej twarzy. Miała długie nogi, okrągłe biodra i małe, jędrne piersi. Wydawała się uformowaną ręką wybitnego artysty – rzeźbiarza. Ubrana była w parę białych szortów, żółtą, obcisłą podkoszulkę, śmieszne, za duże kapcie ozdobione cekinami. Całości dopełniały nakrochmalona męska koszula z połami zawiązanymi na supeł tuż nad talią i ozdobiona powtarzalnym motywem uśmiechniętej twarzy opaska przytrzymująca włosy.

Meadow leniwie przechadzała się korytarzem, zatrzymując się przy niektórych obrazach i przyglądając się im w milczeniu.

Gabriel przysunął sobie krzesło i zajął wygodniejszą pozycję.

– Jeśli chcesz, żeby obserwować właśnie tę dziewczynę, jestem do dyspozycji. Kto to jest?

Devlin spojrzał na niego tajemniczo.

– Moja żona.

– Twoja żona. O cholera!

– Meadow.

Gabriel wpatrywał się jak urzeczony w ekran.

– Naprawdę? – Znał Fitzwilliama od dłuższego czasu. Od momentu, gdy po raz pierwszy zjawił się, by zainstalować system ochrony w którymś z jego projektów budowlanych. I nie pamiętał, by Devlin kiedykolwiek wspominał, że jest żonaty.

Oczywiście nie byli parą wiedzących o sobie wszystko przyjaciół. Devlin był raczej ponurym, tajemniczym sukinsynem bez poczucia humoru i Gabrielowi wydawało się, że swobodna dyskusja nie jest z nim możliwa. Był też straszliwie zaborczy i niebywale przywiązany do swojej własności. Z pewnością musiało to znajdować odbicie w jego stosunku do żony. Sposób, w jaki patrzył na Meadow, sprawił, że Gabrielowi poczuł współczucie dla dziewczyny. Nie miała pewnie łatwego życia.

– Co robi? – zapytał Gabriel.

– Zapewne szuka czegoś.

– Obrazu?

– Tak mi się wydaje. – W głosie Devlina brzmiała satysfakcja.

Gabriel nie nalegał. Najwyraźniej Devlin był w nastroju zagadkowym. Mógł od razu przejść do sedna sprawy.

– Słyszałem, że ostatniej nocy było włamanie.

– Było.

– Słyszałem, że go złapałeś.

– Ją – Devlin kiwnął głową w stronę ekranu, na którym Meadow właśnie zniknęła, by zaraz pojawić się na innym ekranie ukazującym dalszą część korytarza.

– Ją? – Gabriel poczuł się nieco skonfundowany. – Twoja własna żona

włamała się do twojego hotelu?

– Dokładnie tak.

– Możesz rzucić nieco więcej światła na tę sprawę? – Gabriel rozmyślał gorączkowo, ale żadne rozsądne wyjaśnienie nie przychodziło mu do głowy.

– Może ty mi lepiej powiesz, jak tu się dostała, bez uruchomienia alarmu w drzwiach wejściowych.

Ludzie Gabriela dobrze się spisali i zdążyli przekazać mu parę istotnych szczegółów, zanim jeszcze dojechał do rezydencji. Na to pytanie znał odpowiedź.

– Otworzyła drzwi kluczem.

Devlin obrócił się, by spojrzeć Gabrielowi prosto w oczy.

– Kluczem? A dlaczego to klucz miałby nie uruchomić alarmu?

– Ludzie wciąż używają kluczy, dlatego, w standardzie montujemy alarmy w ten sposób, że obracający się w zamku klucz dezaktywuje alarm. Ale myślę, że zmienimy zasady – powiedział Gabriel. A monter, który nie zapytał nawet, jakie były w tym zakresie preferencje klienta będzie miał już niedługo wiele czasu na rozważanie swojej decyzji, pomyślał. Gabriel kierował największą na wschodnim wybrzeżu agencją ochrony. Stworzył ją niemal z niczego i nie mógł sobie pozwolić na zaniedbania tego typu.

– Więc każdy klucz może otworzyć te drzwi?

– Każdy, który pasuje do zamka. A tych nie ma zbyt wielu. To zamek wykonany przez firmę Sargent Greenleaf, liderów na rynku od jakichś 150 lat. Zamek musiał być zainstalowany przez bardzo dobrego rzemieślnika. Sargent Greenleaf było firmą, która czyniła jego pracę łatwiejszą. Nie jest łatwo otworzyć go wytrychem, a zresztą nie ma mowy o wytrychu. Nie było żadnych zadrapań ani śladów użycia narzędzi. Znaleźliśmy tylko drobiny

metal w środku mechanizmu, który nie był używany od miesiąca, prawdopodobnie od wyprowadzenia się poprzedniego właściciela. – Usiadł prosto i położył dłonie na kolanach. – Najciekawsze jest to, że drobiny były srebrne. To był bardzo stary klucz, ale bez wątpienia pasował do zamka.

Devlin przypatrywał się Gabrielowi wystarczająco długo, by ten poczuł się nieswojo. Czuł nawet, jak włoski stają mu na szyi ze zdenerwowania. W końcu Devlin podniósł się i nie – śpiesznie podszedł do wielkiego, starego biurka, po czym otworzył w nim szufladę, z której wyciągnął wielki, kunsztownie zdobiony, posrebrzany klucz. Uniósł go w górę.

– Czy taki jak ten?

– Tak przypuszczam. – Gabriel przyglądał się kluczowi.

– Wspaniały. Czy otwiera drzwi od frontu?

– Nie. Stary Benjamin nie dał mi klucza od frontowych drzwi. Twierdził, że zaginął. Ale ten znalazłem gdzieś na dnie jego szafy, więc sprawdzaliśmy po kolei, do czego pasuje. Zajęło nam to cholernie dużo czasu, ale znaleźliśmy pasujący zamek. Ten klucz otwiera wielką metalową bramę na tyle posesji.

– A co jest za tą bramą? Cóż było warte srebrnego klucza?

– Ogród. – Ton Devlina nie wyrażał specjalnego zainteresowania całą sprawą.

– Ogród – powtórzył Gabriel jak echo i obrócił klucz w dłoni. – Ktoś musiał kochać ten ogród.

– Pewnie tak. Rodzina Benjaminów była znana z tego, że traciła czas na głupoty. – Devlin wykonał nieokreślony gest ręką jakby w pogardzie dla Benjaminów i sposobów, w jaki organizowali sobie czas. – Jak sądzisz, skąd Meadow miała srebrny klucz, który otwiera frontowe drzwi?

– Jest twoją żoną. Dlaczego jej nie zapytasz? – To akurat wydawało się logiczne. Mniej logiczna wydawała się historia z żoną włamującą się do domu męża przy użyciu zaginionego klucza.

– Zapytam. – Devlin poklepał Gabriela po plecach. – Dziękuję, że znalazłeś dla mnie czas.

– Musiałem, nieczęsto zdarza się, żeby ktoś obszedł nasze systemy zabezpieczeń.

– Przysięgłbym, że sama Meadow nie zdawała sobie z tego sprawy. – Devlin ruszył zdecydowanie w stronę drzwi, po czym zatrzymał się nagle, wrócił i wyłączył monitor, na którym paradowała dziewczyna.

Tak. Bardzo przywiązany do swojej własności.

– Napij się kawy – powiedział do Gabriela. – Możesz zostać na obiad. Kucharz robi przymiarki do wielkiego otwarcia. Myślę, że dania będą interesujące. Od dwóch tygodni jadam jak król.

– Bardzo bym chciał, ale muszę złapać samolot. Mamy wielki zlot rodzinny w Teksasie. Najmłodszej siostrze urodziło się dziecko i wszyscy zjeżdżają na chrzciny.

Devlin nie wiedział nawet, jak szczęśliwy był Gabriel, mogąc wypowiedzieć te słowa.

– Jasne, następnym razem.

Gabriel jakby się otrząsnął. Szybko przybrał rzeczowy ton.

– Zjawię się na otwarciu. Muszę być pewien, że wszystko od strony bezpieczeństwa jest dopięte na ostatni guzik. Zatrudniłem kogoś nowego. Kobieta ze wspaniałymi referencjami.

– Dla kogo pracowała wcześniej?

– Dla człowieka z Atlanty o nazwisku Hopkins. Czy coś ci to mówi?

– Słyszałem o nim. Prowadzi chyba potężną firmę zajmującą się

importem i eksportem. – Devlin zmarszczył czoło.

– Znany z balansowania na krawędzi prawa i operacji w szarej strefie.

– Oględnie mówiąc. – Usta Gabriela wygięły się w krzywym uśmiechu. – Pana Hopkinsa, jak zwykło się o nim mówić, na razie nikt nawet nie widział. Nikt nie wie gdzie mieszka. Nie figuruje w policyjnych kartotekach, ale plotka głosi, że zdradę wynagradza strzałem z bliskiej odległości w tył głowy. I jeszcze, że w negocjacjach potrafi uciec się do zastraszania i tortur. Podobno może sobie na wiele pozwolić, bo trzyma w kieszeni kilku co znamienitszych polityków i sędziów Atlanty. Przyjemniaczek.

– O rany. Czy na pewno chcemy jego ochrony?

– Oczywiście. Tylko pomyśl, któż ma lepszą ochronę, niż niewidzialny Pan Hopkins?

– Jasne.

– Poza tym, żeński personel jest niezbędny do monitorowania budynku. Mężczyźni nie mogą wchodzić wszędzie, ale niezmiernie ciężko znaleźć kogoś dobrego. W weekend wielkiego otwarcia nie może być żadnych problemów – powiedział stanowczo Gabe. Był przystojnym mężczyzną, a w jego żyłach mieszała się krew latynoska z angloamerykańską. Udało mu się przy tym po obojgu rodziców odziedziczyć najlepsze cechy. Był wysoki, silnie umięśniony a błyszczące żywo, zielone oczy sprawiały, że kobiety cofały się o krok na jego widok. Tylko po to, by po chwili mieć ochotę postąpić dwa kroki do przodu.

Devlin wiedział o tym. Był nawet tego świadkiem. Lubił Gabe'a, a co ważniejsze, ufał mu.

– Rozumiem – powiedział, gdy jego komputer odezwał się cichym dźwiękiem. Właśnie przyszedł e – mail. Z niecierpliwością kliknął

wiadomości i zaraz zmarszczył czoło.

Raport był krótki i niezwykle rzeczowy. *W wieku czterech lat, podczas wizyty u przybranego dziadka – Bjorna Kelly’ego – Sharon Benjamin zginęła w wypadku samochodowym w Irlandii w wieku czterech lat. Isabelle Benjamin nie miała więcej dzieci.*

Bzdura. – Napisał szybko w odpowiedzi. – *Kopcie głębiej.*

TTLR

Rozdział 8

Meadow potrzebowała planu budynku. Wychodząc z sypialni, myślała, że rozejrzy się spokojnie, wyciągnie klucz, który ukryła między poduchami szeszlona, przyjrzy się obrazom i znajdzie ten, po który tu przyszła.

Wierzyła w pozytywne myślenie.

Tym razem miała nawet przygotowane kolejne kłamstwo – jeśli ją złapią, powie, że zabłądziła.

Szybko jednak zawodowe zamiłowania wzięły górę i z fascynacją przyglądała się efektom pracy, która zmieniła posiadłość Waldemar w hotel Zaczarowany Ogród. Stara rezydencja, którą opisywała babcia, już nie istniała.

Wzniesiono nowe ściany, tworząc nowe pokoje i pomieszczenia. Długie korytarze pozbawione okien przypominały labirynt książkowej króliczej nory kończącej się zamkniętymi na głucho, masywnymi drzwiami. Na trzecim piętrze Meadow natknęła się na grupę pokojówek pchających wózki z pościelą, odkurzających i ścielących łóżka. Ktoś instalował automat do Coca – Coli zaraz przy maszynie do lodu.

Uprzejmie odpowiadano na jej powitania.

Zastanawiała się przez moment, czy nie zapytać służby o obraz, ale zapał i pośpiech, z jakim wszyscy pracowali, powiedział jej dobitniej niż słowa, że nie mają zbyt wiele czasu, za to wiele do zrobienia.

Poza tym pytanie wprost może nie być najszcześniejszym pomysłem. Zwłaszcza że Devlin mógł ją przez cały czas obserwować a później wziąć na spytki wszystkich, z którymi miała okazję porozmawiać.

Przechadzała się więc, leniwie przyglądając obrazom, ale jak dotąd nie natrafiła na nic szczególnego – na ścianach wisiały impresjonistyczne

krajobrazy na zmianę z typowymi dla późnego dziewiętnastego i wczesnego dwudziestego wieku portretami wykonanymi przez dawno zapomnianych artystów. Krajobrazom prawie w ogóle nie poświęcała uwagi, na trochę dłużej zatrzymywała się przy portretach, mając nadzieję, że na którymś ujrzy znajomy uśmiech czy budzące skojarzenia rysy. Nic takiego, na razie się nie wydarzało.

A teraz jej kłamstwo stało się prawdą. Zgubiła się bez reszty w płataninie korytarzy, które na dodatek świeciły pustkami.

Może nie potrzebowała planu budynku? Może lepszym rozwiązaniem byłby kompas?

Zdecydowała się, że będzie kierowała się na dół, to znaczy będzie, gdy znajdzie jakieś schody albo windę. Miała nadzieję, że tam właśnie znajdzie kuchnię albo miejsce, w którym ktoś będzie coś gotował. Nadzieja stawiała się tym bardziej szczerą, im bardziej głodniała.

Usłyszała rozmowę gdzieś za rogiem i ruszyła w tę stronę.

– Dlaczego to drzewo upadło? – Rozpoznała głos Devlina.

– Przegniło do korzeni. – Poznała też głos jego rozmówcy. To był Sam, widziała go ostatniej nocy, chciał dzwonić po policję, po tym, gdy została nakryta na włamaniu.

– Musiało być ulubionym drzewem starego Bradleya. Chcę, żeby ktoś je jeszcze dziś usunął. I jeszcze to drugie drzewo, to w które trafiła błyskawica.

– Nie wiem, czy uda mi się znaleźć kogoś w okolicy, kto mógłby się tym zająć.

– Więc znajdź kogoś, kto przyjedzie z daleka.

Zatrzymała się na chwilę. Devlin mówił zupełnie inaczej niż rano. Jego ton był suchy, rzeczowy, nieznoszący sprzeciwu. Nie interesowały go żadne

usprawiedliwienia.

– Chcę, żeby to przekłete drzewo stąd zniknęło, żeby korzenie zostały usunięte, a w tym miejscu pięknie kwitły ogrodowe kwiaty. I chcę, żeby to się stało przed uroczystym otwarciem. – Po prawdzie to jego głos brzmiał zupełnie tak, jak na samym początku ich znajomości, zanim jeszcze oznajmił, że jest jej mężem. Powróciło pierwsze wrażenie, jakie na niej wywarł. Chłodnego, obcesowego i pozbawionego uczuć człowieka.

– Tak jest. – Uległa postawa Sama tylko pogłębiała to wrażenie.

– Co z materacami? – Devlin zwrócił umysł ku nowemu zagadnieniu.

– Będą tu dzisiaj. Firma przeproszała nas za popełnioną pomyłkę i zaproponowała zwrot kosztów za nadgodziny niezbędne przy ich montażu w łóżkach.

– Świetnie, ale to za mało, żeby zrekompensować wszystkie niedogodności.

– Tak też uważałem i zaproponowałem, żeby dorzucili za darmo pokrowce, co też zrobili. – W głosie Sama zabrzmiało coś na kształt dumy.

– Bardzo dobrze. – Devlin łaskawie wyraził swoją aprobatę. – Jak idzie zatrudnianie personelu w ogóle?

– Dziś zaczyna pracę kolejnych sześć osób. Odezwała się też jakaś kobieta, która mówiła, że ma doświadczenie w prowadzeniu pralni. Przyjdzie jutro na rozmowę. Najgorsze jest to, że miejscowi czują się zastraszeni i coraz trudniej znaleźć kogoś, kto by chciał zaryzykować pracę w hotelu, wiedząc, że później już innej nie dostanie. Wszystkiemu winne arystokratyczne, południowe rody.

– Mam nadzieję, że spłoną w piekle. – Głos Devlina stał się zawistny. Pamiętliwy. Brzmiał w nim prawdziwy mrok, esencja negatywnych emocji.

By przeszkodzić mu w dalszym psuciu sobie karmy, Meadow

zdecydowała się wyłonić zza rogu.

– Ojej, ale jestem szczęśliwa, że was znalazłam. Zgubiłam się godzinę temu! – odezwała się, radośnie przyśpieszając kroku.

Twarz Devlina rozpogodziła się w ułamku sekundy i z surowego businessmana przeistoczył się cudownie w łobuzerskiego amanta.

– Właśnie mieliśmy wysłać misję poszukiwawczą.

Sam odwracał się powoli, by odejść, ale Meadow go ubiegła. Podeszła do niego wyciągając rękę.

– Nie mieliśmy okazji poznać się oficjalnie. Mam na imię Meadow.

– Sam. – Wsunął teczkę pod ramię i szybko uściśnął jej dłoń.

– Musisz chyba dowodzić tu ochroną? – zapytała. Sam był zbudowany jak bokser wagi ciężkiej. Szorstkość Devlina musiała z niego zetrzeć wszelkie znamiona poczucia humoru.

– Tak właściwie, to jestem osobistą sekretarką pana Fitzwilliama – odpowiedział bez cienia uśmiechu.

Zaśmiała się, ale szybko zdała sobie sprawę, że nie żartował.

– Wspaniale. A co pociągnęło cię do roli kojarzonej najczęściej z osobnikami płci żeńskiej?

– Pan Fitzwilliam bardzo dobrze płaci – odpowiedział, po czym odwrócił się i odszedł.

Zaczekała, aż znalazł się wystarczająco daleko, zanim odwróciła się ponownie w stronę Devlina.

– Czy trafiłam w czuły punkt? Miałam na myśli tylko to, jak potężnie jest zbudowany.

– Nie martw się. Sam nie obraża się łatwo. Po prostu nie jest zbyt rozmowny. – Spojrzał na nią, w taki sposób, że zrozumiała, że szybko zdążył zapomnieć o Samie. – Czy to moja koszula?

Spojrzała na niego surowo i zacisnęła dłonie luźno opadających połach.

– W rzeczy samej. Musiałam się jakoś ubrać, prawda? Myślałeś, że będę paradowała po hotelu w stroju bardziej pasującemu podlotkowi, niż...

– Zameżnej kobiecie?

– Tak. To znaczy nie. – Jej oczy zwięziły się niebezpiecznie. – Nie próbuj tych sztuczek. Powiedziałam ci już, że nie pamiętam żadnego zamążpójścia.

– Wciąż nic nie pamiętasz? – Ujął ją za dłoń i przyciągnął do siebie.

– Nie! – Nagle przyszło jej coś do głowy. – A co ty o mnie wiesz?

– Co masz na myśli? – Nawijał na palec pukiel jej włosów.

– Pobraliśmy się, więc musiałam ci coś o sobie opowiedzieć. Teraz ty opowiedz mi moją historię.

– Mógłbym. – Zawahał się na chwilę, pochylając się nad nią i głęboko wdychając powietrze tuż nad jej włosami. – Ale tego nie zrobię.

– Ponieważ? – Też głęboko odetchnęła, a znajomy zapach rozpoczął od razu reakcję łańcuchową. Naraz poczuła zawroty głowy przechodzące w tęsknotę, wreszcie w pożądanie. Wszystko dlatego, że zapach wydawał jej się niezmiernie bliski. W końcu spała w jego ramionach. Mało tego – niemal mu uległa!

Był mężczyzną, którego powinna się lękać.

– Masz amnezję, byłoby najlepiej, gdybyś odkryła prawdę zupełnie sama.

Był niezły. Musiała to przyznać. Nie udawało jej się złapać go na kłamstwie, choć próbowała z całych sił.

– Amnezja wydaje się postępować. Nie pamiętam, bym jadła tego ranka śniadanie.

– Głodna? – szeptał teraz przy samym jej uchu. Tak blisko, że włos dzielił go od pocałunku.

– Upiornie. – Odsunęła głowę od jego ust.

– Mogłaś zadzwonić po obsługę hotelową. – Delikatnie objął ją i dłonią skierował w stronę masywnych drzwi. – Chyba udało ci się znaleźć telefon?

Przygryzła lekko wargę, mając nadzieję, że nie zacznie powtarzać jej własnych słów, które wypowiedziała podczas rozmowy z Judith.

Nie zaczął. Nie odniósł się też do swojego komentarza. Zamiast tego zmienił szybko temat.

– Chodź. Pokażę ci kuchnię. Może uda nam się coś dla ciebie wybłagać.

– Nie wiedziałam, że obsługa hotelowa już pracuje – wsparła się na jego ramieniu, gdy szli korytarzem. Sama nie wiedziała dlaczego. Po prostu czuła przez moment, że może być dla niej wsparciem. Choćby w dosłownym sensie.

Jeśli ta farsa się przeciągnie, obawiała się nawet, że zacznie mu bezgranicznie wierzyć. Nawet w naiwną historię o małżeństwie.

– Pracownicy hotelu muszą coś jeść a kucharze i ich pomocnicy potrzebują praktyki w nowym środowisku. Uroczyste otwarcie Tajemniczego Ogrodu ma nastąpić za trzy tygodnie. Co wyjaśnia nawet to, że obsługa hotelowa, owszem, jest w pełni gotowa do działania. – Skręcili w lewo i po chwili zatrzymali się przed drzwiami windy. Devlin wcisnął przycisk.

– Przyjechałam windą, ale już po chwili w ogóle nie mogłam jej znaleźć. Odwróciłam się, a winda jakby zniknęła. – Rozejrzała się wokół. – To miejsce też nie wygląda znajomo. Myślisz, że winda wędruje, gdy nikt

na nią nie patrzy?

– Są dwie windy. Przyjechałaś tą drugą.

– Aha. – Aha, jednak ją obserwował.

– Muszę dostać mapę – powiedziała.

Wskazał ręką głośnik umieszczony w ścianie.

– Zwróciłaś na to uwagę?

– Tak. Jak rozumiem, służą do odtwarzania muzyki?

Nie śmiał się, musiała oddać mu sprawiedliwość.

– To interkomy. Widzisz ten przycisk. Kiedy tylko się zgubisz, naciśnij ten przycisk. Ktoś będzie mógł tobą pokierować, a jeśli naprawdę się zgubisz choćby przyjść i cię zabrać.

Zaczerwieniła się po same uszy. Nic nie mogła na to poradzić. Widziała już interkomy na uniwersytecie, ale nie przyszło jej do głowy, jak użyteczne mogą się okazać w okazałej rezydencji, w której przyszło jej teraz przebywać.

– Pewnie myślisz, że jestem jakąś prowincjuszka?

Delikatnie wprowadził ją do windy.

– Myślę, że jesteś cudowna.

– Mimo wszystko chciałabym dostać mapę. – Głównie dlatego, że nie zamierzała nikogo informować, choćby przez interkom, o celach i miejscu swoich poszukiwań.

Z wyjątkiem Devlina. I ludzi z agencji ochrony. I wszystkich przyglądających się monitorom.

– Możesz mieć, co tylko chcesz – uśmiechnął się łobuzersko. Przysięgłaby, że ten uśmiech nieczęsto gościł na jego obliczu. – Poza jednym.

– A dokładnie poza...

– Oddzielnym łóżkiem dziś w nocy.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, ucałował ją czule, ucałował ją z pełnym podziwu ciepłem tak cudownie szczerym, że wydawało jej się przez moment, że smakuje w tym pocałunku gorąco i sól Morza Śródziemnego.

TTLR

Rozdział 9

Kiedy winda zwolniła, by się zatrzymać, Devlin ujął jej twarz w dłonie i przyjrzał się jej badawczym wzrokiem. Ujrzał twarz kobiety obdarowanej cudownym pocałunkiem. Meadow miała zaczerwienione policzki, rozchylone wargi, oddychała ciężko, a kiedy w końcu powolutku zaczęła otwierać oczy, ujrzał w nich jeszcze miękki, zamglony błękit.

Te oczy, te piękne, wyraziste i zdradzieckie oczy.

– Znajdźmy ci w końcu coś na śniadanie – powiedział.

– Hmm? – Uśmiechnęła się do niego uśmiechem przesyconym samą ideą przyjemności.

Po chwili ujrzał, jak w mgnieniu oka wraca jej świadomość. Wyszedł z windy i przytrzymał drzwi.

– Hej, poczekaj chwilę. Nie odpowiedziałeś mi jeszcze na pytanie...

– Nie odpowiedziałem na całe mnóstwo twoich pytań – z satysfakcją rozglądał się po kuchni.

Jordan Reply zaprowadził tu porządek jak w wojskowej kantynie. Kuchenki gazowe i granitowe blaty lśniły czystością. Na okapach nie widać było drobinki kurzu czy tłuszczu. Para kuchcików szatkowała warzywa wielkimi nożami i żadne nawet nie podniosło głowy na wejście Devlina.

Jordan nurkował głową w przepastnej zamrażarce, z której gwałtownymi ruchami wyrzucał jakieś opakowania, głośno przy tym przeklinając z ciężkim nowoorleańskim akcentem.

– Jaki idiota podpisał odbiór tych szparagów? Albo tego selera i pomidorów? To nie nadaje się nawet dla świń! Słyszycie mnie? Nawet dla świń!

– Jordanie, chodź tutaj i poznaj moją żonę. – Kucharz próbował już

zabronić mu wstępu do kuchni, dlatego Devlin od razu przyjął niski, nieznoszący sprzeciwu ton.

Jordan zakręcił się na pięcie w błyskawicznym piruecie, rzecz zaskakująca zważywszy na jego tuszę i trzy podbródki.

– Żonę? Nie wiedziałem, że jesteś żonaty.

Była to bzdura. Devlin wiedział, że od ostatniego wieczoru wieść na temat jego małżeństwa musiała obiec całą hotelową służbę.

Kucharz zatrzasnął zamrażarkę jednym pewnym gestem i drobnymi kroczkami ruszył na spotkanie Meadow, jego króciutkie nóżki robiły niesamowite wrażenie w zestawieniu z olbrzymim korpusem.

– Pani Fitzwilliam, bardzo miło panią poznać.

– Ależ ja pana dobrze znam. Sławny Jordan Reply! – Meadow ruszyła w jego stronę z szeroko rozłożonymi ramionami.

– Mam pana książkę kucharską.

Przed zdumionymi oczami Devlina dokonywała się przedziwna scena, Meadow i Jordan objęli się, ucałowali w policzki, a wszystko to nie przestając mówić i wzajemnie sobie przerywając. Jego głos był wysoki i brzmiał całym doświadczeniem Nowego Orleanu, jej był niski, ciepły i bez akcentu. Mimo to sprawiali wrażenie wspaniałych przyjaciół. Devlin usłyszał po raz pierwszy w życiu stwierdzenia rodzaju: kielbaska *andouille* i *garde manger*. Po raz pierwszy ujrzał też wyszczerzone zęby mistrza kuchni, a ściślej biorąc wyszczerzone w uśmiechu, a nie ognistej złości.

Jakby w oczekiwaniu na eksplozję, nawet para jego pomocników przerwała pracę i ze zdumieniem wymieniała znaczące spojrzenia, mrużąc coś pod nosem.

Kiedy Meadow i Jordan w końcu odkleili się od siebie, Meadow zdecydowanie ruszyła na spotkanie pozostałych pracowników kuchni.

– A to muszą być twoi sławni uczniowie.

Jordan drobił swymi kroczkami za nią, uśmiechając się od ucha do ucha.

Devlin szedł na końcu, stawiając długie ciężkie kroki i zastanawiając się, jak cały ten rwetes i pogodny gwar wdarł się do cichej i noszącej minutę temu znamiona pełnego profesjonalizmu kuchni.

– To nie są wszyscy moi pracownicy, powiedział. Kolejna trójka przychodzi na trening dzisiaj po południu. – Jordan machnął ręką w stronę chudej kobiety w średnim wieku, która przypominała sobie właśnie, że ma posiekać jeszcze kilka kilo cebuli. – To jest moja Mia. Jest bardzo utalentowana. Na początku jesieni, gdy otworzymy tu prawdziwą restaurację, awansuję ją i zostanie moją *saucier*¹.

Mia rozdziawiła usta w szczerym zdumieniu.

– Naprawdę lubi pan moje sosy? – Zamknęła je zaraz pod karcącym spojrzeniem szefa i przeniosła spojrzenie na Meadow. – Bardzo miło mi panią poznać, pani Fitzwilliam. – Wytarła rękę o fartuch i wyciągnęła ją w stronę Meadow.

Dziewczyna ujęła ją za ramiona i ucałowała w oba policzki.

– Czy przygotowujesz dzisiejszy obiad? Nie będę ci przeszkadzać.

– Dziękuję pani. – Mia miała mięciutki, delikatny głos, który przypominał barwą głos Devlina. Tylko akcent miała bardziej prowincjonalny.

– A to jest Christian. Jest tu nowy, ma jeszcze wszystkie opuszki. – Jordan parsknął pogardliwie, mówiąc o niedoświadczeniu kucharza.

– Mam nadzieję, że wszystkie zachowa i jeszcze zostanie szefem kuchni. – Meadow uściskała grubiutkiego młodzieńca.

¹ *saucier* (fr.) ~ kucharz specjalizujący się w przygotowywaniu sosów [przyp. tłum.]

– Dziękuję, pani Fitzwilliam. – Akcent Christiana pochodził z głębokiego Południa. Mówił, przeciągając śpiewnie wyrazy.

– Mój szef kuchni przyjeżdża na tydzień przed otwarciem z samego Nowego Orleanu – kontynuował Jordan. – A z tego chłopca pragnę uczynić piekarza i ciastkarza.

– Naprawdę? – Christian przyjrzał się niemal radośnie ciastu, które już od dobrej chwili bezmyślnym ruchem rozwałkował.

– Tak, jeśli tylko będziesz pamiętał, żeby tak nie cisnąć.

– Jordan klepnął go w tył głowy.

Christian natychmiast zmniejszył nacisk.

– Tak jest, proszę pana. Miło było panią poznać pani Fitzwilliam.

– Poza tym. – Jordan zatarł ręce. – Wyglądasz na straszliwie głodną. Cóż mógłbym przygotować ci na śniadanie?

– Zerknął na zegar wiszący na ścianie – Czy raczej lunch?

Devlin postanowił w końcu o sobie przypomnieć.

– Jedziemy na lunch do miasta – powiedział.

Jordan obdarował go pogardliwym spojrzeniem, po czym całą uwagę przeniósł na Meadow.

– Czy lubisz... Jagody? – zapytał, sięgając do jednego z pudełek, napelił owocami leśnymi talerz i ustawił na blacie, tuż przy Meadow. Oderwał kawałek serowej bułeczki i niemal wcisnął go do ust dziewczyny.

– Wspaniale – powiedziała niewyraźnie z pełnymi ustami.

– A może sezamowe ciastka z domowej roboty konfiturami z wiśni?

– Hmm – mruknęła z przyjemnością i zamknęła oczy.

Devlin zaczął odczuwać głód. Jedzenia i dziewczyny.

Chciał, żeby patrzyła na niego z tą samą żądzą, jaką okazywała bezwstydnie konfiturom z wiśni.

Dlaczego nie zadzwonił wczoraj na policję? Gdyby chodziło mu tylko o znieważenie Bradleya Benjamina, mógł powiadomić prasę o fakcie przyłapania jego wnuczki na włamaniu. Powstały w rezultacie skandal pysznie smakowałby zemstą.

Kiedy Meadow spojrzała na niego tym wspaniałym błękitem oczu i oświadczyła, że cierpi na amnezję, wiedział, że wymyśliła to wszystko, by uchronić przed jakże prawdopodobną ewentualnością wyładowania w więzieniu. Niemal czuł, że już sobie w duchu gratulowała i w tym samym momencie coś się w nim zbudziło. Jakaś nie do końca znana część osobowości, która nakazała mu zaryzykować twierdzenie, że dziewczyna jest jego żoną.

Żoną! Na Boga, z wszystkich bajek, jakie mógł wymyślić, wpadł nie wiedzieć czemu właśnie na tą.

Zimny quiche jest po prostu wyśmienity. – W powietrzu mignął widelec Jordana. – Tradycyjna receptura. Bekon, jajka, śmietana, ser i francuskie ciasto.

Uniosła w górę rękę.

– Nie mogę, jestem wegetarianką.

Devlin gorączkowo myślał nad wydarzeniami ostatnich dwóch dni. Mógł udawać przed sobą, że po prostu wspaniale bawi się swoją rolą.

Tylko że Devlin Fitzwilliam bardzo nie lubił czegokolwiek przed sobą udawać.

Kiedy trzymał Meadow w ramionach, kiedy wdychał jej zapach i widział lśniące pukle miedzianych włosów rozlewające się po poduszce, czuł się, jakby ktoś tchnął świeży powiew w jego zastale i mroczne życie.

A kiedy straszyla go, że zaraz zwymiotuje, niemal wybuchnął śmiechem. Nie pamiętał, kiedy ostatnio raz chciało mu się śmiać do

rozpuku. Nie wiedział, czy był choć jeden taki moment w jego życiu.

- Wegetarianka. To tłumaczy, dlaczego jesteś taka chuda.
- Jordan przejechał nożem po quichu.
- Chciałabym bardzo być chuda.
- Jest perfekcyjna – powiedział Devlin.

Jordan i Meadow odwrócili głowy i spojrzeli w jego kierunku. Czyżby zapomnieli, że cały czas tam stał. A może tak rzadko prawił komplementy.

– Jasne, że jest perfekcyjna. Tylko że za chuda. – Jordan ponownie spojrzął na Meadow. – Weganka?

– Och, nie. – Pokręciła głową. – Nie jem tylko mięsa.

– To bardzo dobrze. O wiele łatwiej i o wiele smaczniej. I o wiele lepiej dla ciebie – Jordan uszczypnął ją w policzek.

– Odrobina mrożonej herbaty? Mamy wspaniałą imbirowo – brzoskwińską mieszankę.

– Świetnie.

Devlin nie przypuszczał, że taka cudowna nić porozumienia może zawiązać się pomiędzy jego szefem kuchni a jego żoną... To znaczy pomiędzy szefem kuchni a Meadow. Nie za bardzo to zresztą rozumiał. Jordan był jak inni jego pracownicy. Pracowity i niezwykle surowy. Pragnął wykorzystać okazję szefowania w kuchni światowej klasy hotelu. A teraz, proszę bardzo, szcherzył się w uśmiechu, czarował komplementami i swobodnie flirtował.

A pozostali pracownicy... Również się uśmiechali. Wszystkich opętała cholerna mania uśmiechania się.

Cóż u diabła się stało? Jakie wrażenie wywierała Meadow na ludziach? Dlaczego nie uśmiechała się w ten sposób do niego?

Okłamywał ją, to pewne, ale ona odpowiadała tym samym. Oboje zdawali sobie sprawę z tego, że podjęli niebezpieczną i wielopoziomą

grę. Ale spali w tym samym łóżku, a na dodatek właśnie niedawno obdarowała go pocałunkiem, który wiązał nie tylko ciała, ale i dusze dwojga ludzi.

Czy nie mogła jeszcze dorzucić jednego z tych ciepłych uśmiechów?

Jordan otworzył szafkę i zanim Meadow zdążyła coś powiedzieć, już wręczał jej talerz, na którym piętrzyły się bułeczki w towarzystwie miseczki z masełkiem i drugiej podobnej wypełnionej konfiturami. Całości dopełniały papierowe serwetki w srebrnej obręczy. Do drugiej ręki wciskał jej szklanekę mrożonej, słodkiej, imbirowo – brzoskwiniowej herbaty.

– Dziękuję. – Dziewczyna ucałowała go w policzek. – Dopilnuję, żebyśmy zjawili się tu na obiedzie.

– I tak mieliśmy zjeść tu obiad. – Devlin wiedział, że Sam musiał donieść o tym w kuchni. Sam zawsze był obowiązkowy.

Jordan nie zwrócił na niego uwagi.

– Świetnie, przyrządzę coś niesamowitego na twoją pierwszą noc w hotelu.

– Była tu również ostatniej nocy – powiedział Devlin. Tworząc głupie historie o amnezji, dodał w myślach. Zdumiona, gdy okazało się, że kłamstwo jest obosieczną bronią.

Jeśli to kłamstwa powstrzymywały ją przed obdarowaniem go uśmiechem, zrobi właściwą rzecz. Pozwoli jej wyznać prawdę.

Tyle że ona i tak jej nie wyzna. Przecież wymyśliła to wszystko, by ukryć swoje kłamstwa, by ukryć nieczny zamiar kradzieży. Niemniej jednak da jej szansę.

– Przyszła trochę za późno. Na pewno za późno na obiad.

– Jordan mówił, jakby był zniecierpliwiony uwagami Devlina.

Zniecierpliwiony!

Położył rękę na ramieniu Meadow i popchnął ją w stronę drzwi.

– Jest piękny dzień. Leć do ogrodu i tam spokojnie zjedz.

– Chodźmy – powiedziała do Devlina. – Jordan jest artystą, nie powinniśmy wchodzić mu w drogę.

– Czy mógłbym również otrzymać szklankę herbaty? – zapytał grzecznie, ale z czytelnym sarkazmem w głosie.

– Jasna sprawa, szefie. – Jordan odpowiedział w tym samym tonie, dorzucając jeszcze nutę ironicznej służalczości.

Meadow wybuchnęła śmiechem, jasnym i perlistym. Kuchnia wypełniła się tym śmiechem niczym bąbelkami najwspanialszego szampana.

Devlina ze zdziwieniem skonstatował, że tej rundy już nie wygra.

Bardziej zdziwił go jednak fakt, że niewiele go ta porażka obchodziła.

Na pewno nie zadzwoni na policję. Nie ma mowy o tym, żeby ją wypuścił.

W każdym razie jeszcze nie teraz. Nie wypuści jej, dopóki nie obdarzy go tym radosnym śmiechem. Dopóki nie odkryje jej tajemnic. Dopóki nie zrozumie, dlaczego wlewała w niego nieznaną energię i sprawiała, że czuł się jak... nowo narodzony.

No i dopóki nie będzie się z nią kochał.

Ba! Zwłaszcza, dopóki nie będzie się z nią kochał!

Rozdział 10

Devlin ruszył za Meadow schodami na górę i otworzył ciężkie kuchenne drzwi.

Znaleźli się nagle w rozświetlonym słońcem ogrodzie. Słyszała dolatujący z oddali odgłos piły motorowej ścinającej pnie i uderzenia młotków towarzyszące wznoszeniu ogrodowej altany. Cała posiadłość pulsowała odgłosami wyteżonej pracy.

Terminy goniły i nie dość, że otwarcie zbliżało się wielkim krokami, to trzeba było jeszcze usunąć wszelkie szkody wyrządzone przez burzę.

– Czyż to nie piękny dzień? – zapytała.

Było prawie trzydzieści stopni ciepła i niezbyt wilgotno. Delikatny wiatr chłodził rozgrzewającą się skórę.

– Zawsze tak tu jest o tej porze roku – odpowiedział Devlin.

– Zawsze? Ten dzień nie jest jak inne dni – powiedziała stanowczo, biorąc głęboki wdech. – Uwielbiam, jak mieszają się zapachy oceanu i sosen. Wspaniałe, prawda?

Pociągnął nosem. Dotarły do niego zapachy morza i ziemi przekopywanej przez ogrodników. Pachniało bogactwem i straszliwym snobizmem okraszonym głupotą i dbałością o czystość krwi mieszkających tu rodów. W zapachu pobrzmiwała też nuta jego bezwzględnej, przebiegłej inteligencji.

To był bardzo przyjemny zapach.

– Spójrz na łądygi bazylii!

Chciał podążyć za jej wzrokiem, ale małe roślinki wydawały się takie same i obawiał się, że przynajmniej połowa z nich to chwasty.

– To ogród kuchenny. Ogrodnicy nie zajmowali się nim jeszcze, mieli

dużo pracy w reprezentacyjnej części ogrodu.

– Więc są miejsca jeszcze ładniejsze niż to, w którym siedzimy?

Podeszła spokojnym krokiem do małej furki, otworzyła ją powoli i ruszyła na zwiedzanie reszty posiadłości.

Waldemar było w ruinie, gdy Devlin przejmował akt własności. Mimo olbrzymiej dumy Benjamin Bradley nie mógł sobie pozwolić na utrzymanie monumentalnego budynku z gigantycznym ogrodem.

Ale Devlin ściągnął tu cały legion architektów, dekoratorów wnętrz, sprzątaczy, malarzy i ogrodników i teraz królował nad ośmioma akrami, lasów, wybrzeża, cudownego ogrodu a jego rezydencję stanowił wyczyszczony i wspaniale odnowiony dom pyszniący się na szczycie i wyglądający oknami na rozbijające się o brzeg fale. Szeroka droga zaczynała się przy masywnych, metalowych wrotach, mijała starą po wozownię, nieźle utrzymaną i pełniącą obecnie funkcję garażu, by przeciąć w końcu rozległy trawnik szpalerem różanych, kwitnących krzewów.

Tak właśnie miała wyglądać ta posiadłość. Była snem Devlina i siarczystym policzkiem dla dumnego Bradleya Benjamina.

– Miejsce jest przepiękne, uwodzicielsko przepiękne. – Ton Meadow zmienił się, mniej było w nim upojenia chwilą a więcej rozwagi. – Każda kobieta dałaby się uwieść wizją zamieszkania tutaj...

– O tak. – Patrzył na nią i dokładnie wiedział, co miała na myśli. – Czy ty dałaś się uwieść?

– Co? – Zamrugła powiekami, jakby nie dotarło do niej pytanie. – Ach, nie. Zostałam wychowana w nieco innym duchu.

Przeczuwał to. Zastanawiał się czy potrafiła odczytać jego przeczucia.

Zza bujnego żywopłotu wyszła grupa ogrodników. Pchali taczkę pełną ziemi i kwiatów a na ramionach nieśli szpadle. Na widok Devlina i Meadow

zatrzymali się, po czym odwrócili i ruszyli z powrotem.

- Nie muszą odchodzić, nie chcę przeszkadzać im w pracy
- powiedziała dziewczyna.

Devlin złapał ją za ramię.

– Dostali instrukcje, żeby nie pracować przy gościach. To główne zasady. Nie komplikujmy tego bardziej.

– Teoretycznie nie jestem gościem.

– Jesteś jeszcze ważniejsza. Jesteś żoną właściciela. – Podobało mu się brzmienie tych słów. Podobało mu się, jak otworzyła szeroko oczy, a potem mrugnęła kilka razy, próbując ukryć zakłopotanie. Nie wiedziała jeszcze jak sobie z nim poradzić i cała sytuacja musiała być dla inteligentnej dziewczyny absolutnie wyjątkowa.

– Usiądźmy tam. – Wskazał ogrodowy stół stojący w cieniu wiekowego dębu o pniu pokrytym gęstniejącym mchem i gałęziach tak rozłożystych, że dotykały miejscami ziemi, tworząc coś na kształt zielonego namiotu.

– Cóż za wspaniałe stare drzewo. – Meadow ruszyła w tę stronę, a Devlin był wdzięczny promieniom słońca przebijającym się przez jej białą koszulę i zarysowującym subtelną linię jej ciała. Przypomnił mu się poranek, gdy Meadow budziła się w jego ramionach. Wiedział, że szczęściu musi zawdzięczać jej wczorajszą wizytę. Szczęściu, które nie opuściło go tego poranka, gdy widział w jej zaskoczonych na początku oczach rozpalający się ogień pożądania.

Miała w sobie coś, co przyciągało go w jakiś fizyczny sposób. Był pewien, że pomiędzy ich ciałami dochodziło do jakiejś fizyczno – magicznej reakcji.

Gdyby zemsta była monetą, on trzymałby w ręku najwspanialszy

unikat ze starożytnego złota.

Jadła ze smakiem i trochę go to zaskoczyło. Żadnego wybrzydzenia i cackania się z jedzeniem. Błyskawicznie pochłonęła serową bułeczkę z odrobiną dżemu i kilka ciasteczek, po czym wytarła usta serwetką, wzdychając z satysfakcją i rozglądając się po okolicy.

– Spójrz na te rododendrony. Czyż nie są imponujące?

Spojrzał. Kwitły. Były różowe. To nie ulegało wątpliwości.

Chyba właśnie to powinny robić.

– Tak... Imponujące.

– Skąd nazwa „Tajemniczy Ogród” dla hotelu?

Uwielbiał, kiedy zadawała mu otwarte pytania.

– Tego też nie pamiętasz, kochanie?

Mrugnęła niepewnie.

– Uwielbiasz książkę Francesa Hodgsona Burnetta?

– Nie czytałem jej.

– Nie czytałeś „Tajemniczego ogrodu”? – wykrzyknęła ze szczerym przestachem Meadow i przycisnęła ręce do piersi. – To wspaniała książka o dziewczynce, której nie kochano i chłopcu, który myśli, że jest inwalidą oraz ojcu pogrążonym w smutku po śmierci żony, który nie kocha swojego syna. I o tym jak cudowny ogród leczy ich rany.

– Brzmi nieco... Zagmatwanie. – Uprzejmy sposób dania do zrozumienia, że nie wierzy w tego rodzaju emocjonalne objawienia.

– Wręcz przeciwnie, jest inspirująca.

Nie mogła być tak naiwna, pomyślał. A może mogła?

Nie, raczej nie. Włamała się do posiadłości, by ukraść obraz. Chciała okraść Bradleya Benjamina i w tym akurat nie widział nic złego. Problematiczne było jedynie to, że teraz pragnęła okraść jego. Nikt nie

okradał Devlina Fitzwilliamama bez ponoszenia konsekwencji. Dziewczyna dowiedzie się o tym już niebawem. Nikt, ale to nikt zupełnie, bez względu na osobisty urok, nie miał prawa okradać Devlina Fitzwilliamama.

Zaśmiał się jej prosto w oczy i rzekł:

– Ja pamiętam bardzo dobrze...

Z nieustannie splecionymi dłońmi odkrywali sekrety Majorki. Cieszyli się urokiem wyspy skąpanej w słońcu, pełnej turystów, żółtych piasków plaż, niebotycznych klifów i cudownych ogrodów. Napawali się widokiem wspaniałych, niezapomnianych ogrodów. Każdy dzień niósł nowe przygody, odkrywał przed nimi uroki życia, a najpełniej dostrzegali je wszystkie w zwierciadłach swoich oczu. I któregoś dnia, na szczycie oblewanego falami wzgórza znaleźli mały, zapomniany skrawek terenu porośnięty dzikimi trawami i rozłożystymi krzewami... przeplatany kwiatami róży i małymi krokusami pyszniącymi się nad materacem soczystej trawy.

– Wiesz, jak wygląda krokus? – zapytała z ledwo wyczuwalną kpina w głosie.

– Jasne, przecież mi pokazałaś.

Jej oczy zwężyły się.

– A więc ja wiem, jak wygląda krokus?

Zatoczył ręką wokół siebie.

– Wiesz, jak wyglądają rododendrony?

Pokiwała głową z niedowierzaniem.

– W porządku. Co było dalej?

W ogrodzie znaleźli pozostałości jakiejś budowli, najpewniej domu ogrodnika. Nie miał dachu a połowa ścian legła w gruzach. Krzyknęła na widok maleńkiej myszki...

– Mocno się zmieniłam, bo nie boję się wcale myszy.
– Być może to ja krzyknąłem – powiedział niecierpliwie.
– Chcesz się w końcu czegoś dowiedzieć o tajemniczym ogrodzie czy nie?

– Oczywiście – odpowiedziała szybko, podparła brodę rękoma i zastygła w tej pozycji.

Ogród był zaczarowany. Nic innego nie tłumaczyło magicznie falujących traw i cudownego wiatru orzeźwiającego dusze ludzi i wprawiającego krzewy kwiatów w upojny taniec. Przyniesione w koszyku jedzenie było przepyszne, a kiedy oddawali się pocałunkom, cały świat zniknął. Zostawali tylko oni, ich ciała połączone na cudownej miękkości koca a ogród wokół wyśpiewywał pieśń syren.

W tym magicznym ogrodzie pierwszy raz się kochali...

– Tak więc, w wyrazie mojej wdzięczności dla ciebie, kupiłem tę posiadłość razem z tajemniczym ogrodem – w wyrazie wdzięczności dla niej, David Fitzwilliam, człowiek kierujący się w życiu zimną logiką i matematyką zysków wymyślał na poczekaniu romantyczne historie, które miały oczarować młodą kobietę.

Jaki to urok na niego rzuciła, że nagle zdecydował się zaprzęgnąć swój umysł do kreowania sentymentalnych wizji?

– Naprawdę? A czy są tu jak w powieści, wysokie mury i tajemnicze drzwi? – Jej błękitne oczy świeciły jasnym światłem i cudowną magią.

– Mury z kamienia i drzwi... z zamkiem. – Uwielbiał na nią patrzeć w takich momentach, gdy miała lekko rozchylone usta i wyraz twarzy taki, jakby właśnie dała się uwieść.

– I ścieżki wysłane kwiatami wszystkich kolorów i woni.

– A serce ogrodu porośnięte aksamitem trawy, po której możesz

tańczyć. – Usiadł na ławce i przyglądał się dywanom traw, ziół i kolorowych kwiatów falujących pod tchnieniem morskiej bryzy.

Dziewczyna patrzyła na niego, jakby był uosobieniem jej marzeń.

Chciał ją oczarować, to prawda, ale rzucony czar musiał być zbyt silny, bo i on sam dostał się w jego władanie.

Oderwała spojrzenie od jego twarzy i poklepała się po policzku.

– Bardzo tu ciepło – powiedziała nieśmiało.

Czerwieniła się cała. Za długo myślała o uprawianiu miłości w ogrodzie.

– Myślałem, że temperatura jest... Znośna. – Meadow wydawała mu się absolutnie cudowna.

– Tak, to chyba ta wilgotność powietrza. Nie jestem przyzwyczajona.

Przyglądał się jej twarzy, gdy rozmawiali, zastanawiając się, które z wypowiedzanych słów były prawdziwe, a które były kolejnymi kłamstwami. Pragnął oddzielić jedno od drugich, pragnął dowiedzieć się o niej jak najwięcej.

– Tam, skąd pochodzisz, nie jest wilgotno?

– Domyślam się, że nie. – Nie dała się łatwo złapać.

Był niemal zadowolony. Inteligentna bestia. Nie da się łatwo podejść. Oczywiście i tak robił, co mógł, by dociec prawdy. Przekazał detektywowi numer, pod który dzwoniła rankiem i wysłał go na poszukiwania do Atlanty. Chciał uzyskać jakieś informacje na temat osoby, z którą się kontaktowała. Ale równocześnie nie chciał, żeby cała farsa dobiegła końca zbyt szybko. Nie bawił się tak wspaniale od lat.

Nie, to nie była prawda.

Nigdy w życiu się tak dobrze nie bawił.

– Dlaczego tu się zjawiałaś? – zapytał. Zmuszał do bezpośredniej

odpowiedzi. Bezwzględny bękart, Devlin Fitzwilliam, chciał wszystko zakończyć tu i teraz. Tylko po to, by zacząć wszystko od nowa.

Czekał niepewnie na jej odpowiedź. Patrzył, jak jej oczy rozszerzają się w wyrazie zaskoczenia i chciał, żeby w jego głosie i gestach dostrzegła oparcie. Pragnął, by mu zaufała.

Zamiast tego przygryzła dolną wargę i odchrząknęła.

– Kupię ci nowsze wydanie, kiedy pojedziemy do miasta.

– Co? – Odchylił się do tyłu z cynicznym uśmiechem.

– W sensie...?

– Książkę. „Tajemniczy ogród”.

Zaśmiał się głośno i natarczywie.

– Zbliża się data otwarcia hotelu. Nie mam zupełnie czasu na czytanie czegokolwiek. – Na pewno nie miał czasu na czytanie sentymentalnych bzdur autorstwa pana Burnetta.

– Ja ci będę czytać.

Długie popołudnia spędzane w ogrodzie; oboje rozciągnięci w wygodnych hamakach, ona czyta na głos dziewczęce opowieści... Dlaczego miało to jakiś niewytłumaczalny urok?

Niestety miało.

Jego mała kłamczucha, wymyślała dla niego świat, którym wcześniej pogardzał, a który teraz wydawał mu się nad wyraz inspirujący. Pociągał go tak samo, jak ona.

Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że była więcej niż tylko wyzwaniem. Była bardzo niebezpieczna.

Wtem usłyszał, jak ciąg jego myśli rozrywa trzeci głos. Pełen radosnych iskier, czarujący i arystokratyczny.

– Jakże wzruszające. Słodka dziewczyna będzie czytać książki dla

dzieci pozbawionemu serca deweloperowi budowlanemu.

Devlin wyrwany ze świata marzeń uderzył głową o twardy bruk rzeczywistości. Ujrzał znajomą postać o blond włosach, nieskazitelnie ubraną, ze szklanką w dłoni i szerokim uśmiechem. Cholera, tylko nie on. Nie teraz.

– Czwarty. Mówiłem ci, żebyś poszedł do diabła i nigdy nie wracał.

– To prawda – odpowiedział, zwinnie przekładając nogę nad ławką i siadając koło Meadow.

– W takim razie co tu robisz?

– Mieszkam tu.

TWILR

TTLR

Rozdział 11

– A przynajmniej mieszkałem. – Uniósł dłoń Meadow do ust. – Jestem Bradley Benjamin Czwarty. Przystojny, szczodry, godny zaufania i uwodzicielski.

Meadow uśmiechnęła się szeroko na ten wyraz łobuzerskiego i bezgranicznego samouwielbienia.

– Widzę, widzę...

– Innymi słowy, zupełne przeciwieństwo siedzącego tam oto Devlina.

– No, nie jestem pewna. – Wciąż brzmiały w jej uszach słowa snutej przed chwilą opowieści. – Myślę, że Devlin jest niebywale czarujący.

Nie wyglądał czarująco w tym momencie. Siedział skulony z ramionami zaplecionymi na klatce piersiowej. Zęby miał zaciśnięte, usta przypominały cieniutką kreskę.

– Devlin, Devlin Fitzwilliam? – Mężczyzna patrzył na Devlina z niedowierzaniem. – No ale chyba nie ten Devlin Fitzwilliam, najbardziej zawzięty ze wszystkich, za przeproszeniem, sukinsynów, jacy przemierzali ulice Charleston?

– Dokładnie ten.

– Masz zabandażowaną głowę. – Bradley delikatnie dotknął opatrunku. – Przyznaj się, upadłaś i straciłaś wszystkie resztki zdrowego rozsądku?

Jego żartobliwy pomysł był niemal strzałem w dziesiątkę. W każdym razie na tyle celnym, że Meadow nie omieszkała rzucić Devlinowi poważnego, pytającego spojrzenia.

– Gdzie usłyszałeś tę historię? – zapytał wprost Devlin.

– Nigdzie. To po prostu jedyne wyjaśnienie, jakie mogę znaleźć dla jej

całkowicie błędnego osądu – odpowiedział, biorąc z talerzyka ciasteczko. – Nie pozwól, by zmyliły cię jego chwilowe zapędy, by stać się cywilizowanym obywatelem. Miłość bliźniego i zwykła ludzka życzliwość pozostaną pustymi pojęciami w świecie Devlina.

Patrzyła, jak Benjamin Czwarty szczerze smaruje bułeczkę masłem i dżemem, by następnie pochłonąć ją dwoma kęsami. Wydawał się stosunkowo szczery, ale...

– Devlin jest niezniszczalny.

Benjamin parsknął.

– Wszystko ukrywa. Myśli, uczucia... Aż tu nagle wali cię niespodziewanym sierpowym, że padasz bez czucia na deski.

– Sięgnął po następną bułeczkę. – Tyle że jego kucharz jest o wiele lepszy, niż kucharz mojego ojca.

– O tak. – Devlin nie marnował czasu na uprzejmości.

– A jego barek jest wypełniony najwyższej klasy trunkami.

– Czwarty uniósł w górę szklanekę, którą ze sobą przyniósł.

– Proszę, częstuj się – powiedział Devlin chłodno. Czwarty irytował go jak wrzód w miejscu, w którym plecy tracą swoją szlachetną nazwę.

Meadow mogła to zrozumieć. Devlin jawił się jej teraz zgoła inaczej. Przypominał człowieka gór o smagłej twarzy, który po zejściu z zimowych legowisk zgubił się i trafił do tego delikatnie pięknego ogrodu, gdzie śpiewały ptaki i promyki słońca migotały figlarnie przez zieloniutkie liście drzew.

Benjamin Czwarty różnił się od niego diametralnie. To jak wyglądał, kojarzyło jej się oglądanymi u babci czarno – białymi filmami z Fredem Astairem, był szczupły i sprawiał wrażenie lekko znudzonego codziennością, dobrze ubranego i bogatego gentlemana. Właściwie to

bardzo, bardzo bogatego. Nie był bardzo wysoki, mógł mieć około metra i siedemdziesięciu pięciu centymetrów, ale koszulka polo ciasno opinała muskularne ramiona a spodnie były idealnie dopasowane do wąskiej talii. Włosy ładnie przycięte, choć niezbyt gęste. Subtelna opalenizna. Pachniał mocnymi papierosami i drogą wodą kolońską a brzmiał przy tym, jak elokwentny i szlachetny mieszkaniec najstarszych południowych stanów. Przede wszystkim jednak sączyła się z niego silna nieuchwytna aura; zupełnie jakby zaginał wokół siebie rzeczywistość, jakby niósł ze sobą dekadencją atmosferę minionego świata.

Nie sądziła, by był podobny do swojego ojca.

Umoczył usta w szklance i odstawił ją na stół. Był to taka sama szklanka, z jakiej ona piła herbatę. Ciecz przypominała kolorem herbatę, ale w jego napoju pomiędzy kostkami lodu pływały zielone liście, a wokół unosiła się silna woń wybornego bourbona.

Dochodziła dopiero jedenasta rano.

– Mam na imię Meadow.

– Meadow². Piękne imię. Kojarzy mi się z łąką. Jesteś rześka niczym górską łąką. Ale nie usłyszałem twojego nazwiska. – W orzechowych oczach Benjamina tańczyło rozbawienie, zwłaszcza gdy widział rosnące zniecierpliwienie Devlina.

Devlin odezwał się pierwszy.

– Fitzwilliam.

– Romansujesz z kuzynką? – Próbował zgadnąć Czwarty.

– Czy to, jak na ciebie, nie jest nazbyt południowe?

– Nie jest moją kuzynką – odpowiedział Devlin.

Meadow przyglądała się swoim dłoniom zaciskającym się w pięści i

² meadow ~ (ang.) łąka; wyraz funkcjonuje również jako żeńskie imię [przyp. tłum].

marzyła o zakneblowaniu Devlina papierową serwetką.

Benjamin Czwarty przeniósł spojrzenie z twarzy Devlina na twarz Meadow i z powrotem. W doszedł do jedynej możliwej konkluzji.

– Nie jest chyba twoją... *Żoną*? – Zakrztusił się drinkiem. Rozkaszał się rozpaczliwie, aż jego oczy zaszyły łzami. Musiała kilka razy porządnie klepnąć go w plecy, żeby w końcu złapał powietrze. Zamachał żywiołowo rękoma i w końcu udało mu się wykrztusić:

– Jesteś żonaty? Z nią? Robisz sobie jaja. Od kiedy? Nie, nie mów, to się musiało wydarzyć na Majorce?

Musiał słyszeć przynajmniej część historii, którą wyczarował Devlin. Chyba nie zdążył jej rozgłosić? Poczuli się nieco urażona i zawiedziona. Myślała, że całą opowieść wymyślił specjalnie dla niej i nie chciała się nią dzielić. Najbardziej nie chciała, żeby Czwarty zaczął zadawać pytania na temat ceremonii ślubnej, która nigdy nie miała miejsca.

– Właściwie, to trochę się spieszymy, Benjaminie. – Przepraszający ton Devlina kontrastował z rozbawieniem wypisanym na jego twarzy. – Wybieram się właśnie z żoną do miasta, więc jeśli łaska, wyrusz na wędrowną w stronę przeciwną.

– Jedziemy do miasta? – Pomysł zaskoczył Meadow.

– Musimy kupić twoje lekarstwa – powiedział Devlin. Rzeczywiście bolała ją głowa, ale nie sądziła, żeby było to cokolwiek poważnego. Już chciała to powiedzieć, gdy napotkała ostrzegawcze spojrzenie Devlina.

Świetnie. W takim razie jechali do miasta.

– Kupię ci Tajemniczy ogród, jeśli znajdę jakąś księgarnię.

– Kolejny dobry powód, by odwiedzić Wybrzeże Amelii

– powiedział z niemal niewyczuwalnym rozdrażnieniem.

– Wspaniale! – zakrzyknął Czwarty. – Jadę z wami.

– Nie, nie jedziesz. – Ton Devlina był bardzo stanowczy.

– Bierzemy Jeepa, a mam w nim tylko dwa miejsca siedzące.

– Och Devlinie, ten sposób argumentacji nigdy na mnie nie działał!

Nie możesz rozpocząć wspaniałej historii, przerwać w najciekawszym momencie i pozbyć się mnie w międzyczasie. Muszę podtrzymywać swoją reputację gminnego plotkarza. Przyjechałem swoim samochodem i będę jechał za wami. – Benjamin Czwarty zachichotał wesoło i wziął kolejny łyk albo raczej haust bourbona. – Kiedy już będziemy na miejscu, możecie zarzucić mnie wszystkimi soczystymi szczegółami romansu stulecia.

– Nie czytasz między wierszami, prawda? – Meadow była pod wrażeniem tego, jak Benjamin zręcznie puszczal kolejne uwagi mimo uszu.

– Och, moja droga. Gdybym słuchał wszystkiego, co mówi Devlin, gotów bym pomyśleć, że mnie nie lubi. A przecież jestem jego najlepszym przyjacielem.

Devlin parsknął.

– A jeśli nie ja, to kto? – zapytał poważnie Czwarty.

– Moja żona.

– Och, jakie to romantyczne – odpowiedział prawie bez cienia kpiny Benjamin.

Meadow z pewnością nie czuła się przygotowana na wymyślanie na poczekaniu historii o spotkaniach na plaży i pocałunkach uprzedzających słowa. A już z pewnością nie zagłębiałyby się w ideę tajemniczego ogrodu z malowniczymi ruinami, miękkiej trawy, koca, oddawania się miłości... A przynajmniej nie zamierzała zgłębiać tego tematu teraz i wspólnie z parą mężczyzn, których prawie nie znała.

– Czy to prawda, że posiadłość Waldemar była w posiadaniu twojej rodziny? – zaczęła z innej beczki.

– Przez ponad sto lat. – Benjamin Czwarty dumnie wypiął pierś. – Stąd jest najbliżej do Wybrzeży Amelii a Wybrzeża Amelii to ostatnie i najważniejsze schronienie śmierdzących groszem tradycjonalistów z Charleston. Moja rodzina, najbardziej tradycyjna i najbardziej śmierdząca groszem utrzymała to miejsce przed ponad sto lat, nawet w okresie Wielkiego Kryzysu. Niestety ostatecznie musieliśmy ją sprzedać najślawniejszemu bękartowi błękitnej krwi. Czy powiedziałem bękartowi? Oczywiście miałem na myśli dziecię z nieprawego łoża.

– Nie była to do końca sprzedaż. – Devlin utkwiał wzrok w twarzy rozmówcy. – Bardziej rodowa porażka.

– O rany! – Meadow spojrzała na zaciśniętą szczękę Czwartego i ponury uśmieszek Devlina. Ich zawiść działała jak kwas niszczący łańcuch przyjemności tego ranka.

Działanie leżało jednak w jej naturze. Jeśli mężczyźni mieli ochotę skakać sobie do gardeł, chciała przynajmniej się dowiedzieć, dlaczego tak było.

– Szybko się denerwujecie, chłopaki – powiedziała. – Co się stało? Biliście się w podstawówce?

Czwarty odwrócił się ku niej zaskoczony, po czym roześmiał się, rozładowując atmosferę.

– Jestem starszy i zdecydowanie za mądry, by wdawać się w bitkę z Devlinem znanym z twardych pięści. Był przecież znany z upuszczania krwi swym przeciwnikom, choć mało kto chciał zaliczać się do tej grupy.

– Naprawdę? – Meadow potrafiła sobie to łatwo wyobrazić. Devlin nieokielznany. Devlin w żywole. Zawistny jak wściekły pies i przerażający jak trzęsienie ziemi.

– Rodzina Fitzwilliamów od dwustu bez mała lat stara się unicestwić

moją rodzinę i naszą rodową dumę. Jak na razie bez powodzenia.

– Problemem nie jest twoja duma. Problemem jest brak jakichkolwiek powodów do dumy. – W miarę jak w Benjaminie rósł gniew i pasja, głos Devlina stawał się coraz bardziej ponury i zimny. Meadow obserwowała ich z rosnącą fascynacją.

– Czy to jakaś zadawniona rodzinna kłótnia?

– Zakorzeniona w tradycji – powiedział Benjamin.

– Od wielu pokoleń – dodał Devlin.

– A co ją zaczęło, jeśli można wiedzieć? – zapytała.

Mężczyźni jak na komendę wzruszyli ramionami i starali się patrzeć w inną stronę. Było jasne, że wiedzieli. Nie chcieli tylko nic na ten temat powiedzieć. Drzazga rodowej zawiści musiała być stara i spróchniała, co nie znaczy, że mniej bolesna i dokuczliwa.

– Fałszywe oskarżenia? Napad? Morderstwo – próbowała Meadow. Próbowała wpaść na coś, co potrafiłoby tak łatwo doprowadzić tych mężczyzn do stanu, w jakim znajdowali się teraz. – Bezprawny lincz?

Benjamin umoczył usta w szklance.

– Zerwane zaręczyny – mruknął.

Meadow usiadła, spokojnie czekając na ciąg dalszy tej historii. Nikt jakoś nie miał ochoty spełnić jej oczekiwań.

– Tylko tyle? Wasze rodziny walczą od... Od...

– Dwustu pięćdziesięciu lat – dokończył Devlin.

Dwieście pięćdziesiąt lat z powodu zerwanych zaręczyn?

Mężczyźni pokiwali głowami.

Wybuchła niepowstrzymanym śmiechem.

– Jakie to niewinnie dziewczęce!

Nie wydawali się rozbawieni.

– Niegdyś w Ameryce zerwane zaręczyny były jak plama na honorze, jak obraźliwy policzek – wycedził poważnie Benjamin. – Kiedy John Benjamin, zacny plantator, uczynił swej pokojówce niezwykle zaszczyt, prosząc ją o rękę, ta najpierw przyjęła oświadczenia, by nieco później dojść do wniosku, że nie może go poślubić. Uciekła sprzed ołtarza.

– Pokazując w ten sposób, że Fitzwilliamom zawsze przyświecał na drodze życia zdrowy rozsądek – dodał Devlin.

– Musiała być zakochana w kimś innym – powiedziała, uśmiechając się Meadow. Patrzyła z niedowierzaniem na dwóch dorosłych mężczyzn śmiertelnie naburmuszonych z powodu starego romansu, o fatalnym zakończeniu. Naprawdę starego, należało dodać.

– Umarła jako stara panna – powiedział Benjamin.

– Najgorsza z możliwych obelga. – Obrażliwy uśmiech pojawił się na ustach Devlina. – Gdyby poślubiła kogoś innego, ród Benjaminów utrzymywałby, że z miłości straciła rozum. Zamiast tego wolą zajmować się domem swojego brata. Praca ze wszech miar niewdzięczna, ale lepsza niż sprzedawanie bawełny Brytyjczykom, na czym dorobił się pieniędzy jej niedoszły małżonek.

– Zdobył fortunę, zajmując się handlem – wysapał Benjamin.

– O tak. A jedyna różnica pomiędzy wami jest taka, że on miał pojęcie, o tym, co robi.

Benjamin zerwał się z miejsca, wywracając szklanę.

Kostki lodu wysypały się na stół. Brązowa ciecz pomknęła w stronę Devlina.

Devlin wstał szybko, ale nie uniknął ochlapania bourbonem.

Meadow była gotowa przysiąc, że za chwilę rzuci się z pięściami na Benjaminą Czwartego.

Czwarty roześmiał się głośno.

Ten dźwięk miał bardziej kojący wpływ na Devlina niż kostki lodu, którymi przed chwilą został zaatakowany. Policzki odzyskały naturalną barwę. Z twarzy zniknęła złość.

– Jaka z ciebie niezdara.

Nie mówił o rozlanym drinku.

– Dość tego – powiedziała Meadow, wstając.

Benjamin wprawnym okiem otaksował jej nogi.

– Wyśmienite – powiedział.

– Dziękuję. – Rozwścieczona sposobem, w jaki wyprowadził Devlina z równowagi, chciała wepchnąć mu całą dumę do gardła. – Cóż za przystający prawdziwemu gentlemanowi sposób wyrażania podziwu dla mej urody.

Zaczerwienił się.

– Punkt dla ciebie.

– Zapamiętaj to sobie.

Devlin objął ją w tali.

– Chodźmy się przebrać, kochanie. Zaraz wyruszamy.

– Oczywiście, kochanie. – Zatrzepotała rzesami. Nie wydawał się już tak zachwycony jej nieco przypadkowym strojem. Najwyraźniej inaczej niż Benjamin postrzegał cały powab jej figury i najwyraźniej nie miał ochoty tym powabem się dzielić. – Zaraz jak posprzątam.

– Zawołam obsługę – powiedział, wyciągając Walie – takie zza paska.

– Sami możemy to zrobić. – Meadów ustawiała szklanki na tacy.

Devlin zignorował ją i wydawał już polecenia pokojówkom. Kiedy skończył, wskazał mokrą plamę na spodniach.

– Chodźmy już – powiedział.

– Nie chcesz chyba, żebym pomogła zmienić ci spodnie.

Nie chciała trafić z nim do łazienki w momencie, w którym będzie pozbawiony dolnych części garderoby. Sharon zawsze powtarzała, że łatwiej unikać pokus, niż z nimi walczyć.

– Nie pozwoli, bym tu z tobą został. Może mi przyjść do głowy chęć wywarcia zemsty za starą rodową urazę poprzez uwiedzenie żony wroga. – Benjamin wsadził ręce do kieszeni i uśmiechnął się szeroko.

– Ależ z ciebie zadufany w sobie głuptas.

– A co ja takiego powiedziałem? – Benjamin patrzył pytająco na Delina. W jego spojrzeniu było szczere zdziwienie.

Twarz Delina promieniowała satysfakcją.

– Myślę, że moja żona właśnie próbuje ci dać do zrozumienia, że rozbuchane ego i śliczna buźka, to za mało, by ją uwieść.

– Czytasz w moich myślach. – Meadow uszczypnęła Devlina w policzek i uśmiechnęła się szeroko. – Nie da się mnie uwieść w zupełności.

Devlin pojął w mgnieniu oka. Rozumiał dogłębnie znaczenie słów, co nie znaczy, że przyjmował je do wiadomości. Nie ustąpił przed jej spojrzeniem i patrzył głęboko w jej oczy.

Żadne nie chciało ustąpić. Cisza zdawała się gęstnieć w powietrzu.

Przerwała ją dopiero grupa pracowników hotelu spieszących na wezwanie Devlina.

Benjamin dostrzegł czające się między parą napięcie. Uśmiechnął się i otworzył usta, by coś powiedzieć.

Meadow spojrzała na niego przeciągle. Tylko spojrzała.

Zamknął usta.

Skłoniła głowę z aprobatą, jakby doceniając jego umiejętność odczytywania jej znaków.

– Dobry chłopak – powiedziała cicho i odwróciła się w stronę Devlina. – Którą z kwiecistych sukienek, pragniesz, bym włożyła? – zapytała sarkastycznie.

– Włóż jeansy – zakomenderował Devlin.

– Jeansy, co za wspaniały pomysł – powiedziała szybko.

Wygrała! Udało się, pomyślała z dumą.

Tylko, czy naprawdę wygrała? Jeśli czekały na nią jeansy, oznaczało to, że zamówił je, gdy pozbywał się jej stroju włamywaczki a cała ich rozmowa na temat kwiecistych sukienek była jedynie próbą drażnienia się z nią.

Nie rozumiała w istocie, co kierowało Devlinem. Nie wiedziała, czego od niej chciał, dlaczego okłamywał Benjamina i jaki był cel całej tej coraz bardziej zagmatwanej szarady. Wiedziała tylko jedno – bez znaczenia, na jaki strój zdecyduje się w swojej sypialni, jedna rzecz pozostawała pewna – zamknie od środka drzwi.

Tak było po prostu bezpieczniej.

Rozdział 12

Wybrzeża Amelii były niewielką miejsciną, w której żyło niecałe cztery tysiące ludzi. Liczba ta ulegała potrojeniu w okresie turystycznym. Do lata było jednak jeszcze daleko, a wczesną wiosną miejsce promieniowało naturalną świeżością. Zawdzięczało to po części odmalowanym fasadom domów wypoczynkowych czekających na spragnionych południowego, lipcowego słońca turystów. Pracownicy barów szybkiej obsługi z zapalem szorowali okna, a właściciele restauracji przy portowych alejach rozwijali słomiane dachy nad wystawionymi na zewnątrz stolikami.

Ulicami przemykali się nieśmiało pierwsi turyści niczym forpoczta nadciągających hord.

Meadow szła teraz wolno chodnikiem, mając ocean po jednej a tętniącą gwarem ulicę po drugiej stronie. Benjamin Czwarty dotknął jej ramienia:

– Wszyscy przygotowują się na letni szal. Stali klienci tymczasem zawsze wybierają się na lunch do restauracji D’Anna. Z reguły zostają na deser, kawę i plotki.

– A kim są stali klienci? – Meadow przyglądała się na zmianę skalistym wybrzeżom i piaszczystej plaży. Nigdy nie była na Wschodnim Wybrzeżu, ale miała wrażenie, że wszystkie nadmorskie miasteczka mają więcej cech wspólnych niż różnic. Fale rozbijały się o brzeg, a miłośnicy opalania wycierali piasek z mokrych od wody i oliwek do opalania ciał.

Sklepy krzyczały kolorowymi reklamami jeszcze bardziej kolorowo – rażących bikini, które nie wiedzieć czemu, towarzyszyły na sklepowych wystawach barwnym latawcom. Turyści na deptakach, zaskoczeni grzejącym silnie słońcem starali się przykrywać opalone ramiona.

Zbuntowała się i nie założyła jeansów. Zamiast tego wskoczyła w kwiecistą, jedwabną sukienkę i żółte sandały z rzemyków. Delikatny wiatr bawił się rąbkiem sukni, a od czasu do czasu próbował zerwać z jej głowy słomiany kapelusz z szerokim rondem.

– Stali klienci to ci, którzy tu mieszkają i pracują – Czwarty machnął ręką w stronę sprzedawców.

– Stali klienci to stare pryki, którzy kiedyś posiadali to miasteczko na własność, a teraz muszą zadowolić się faktem, że mają w kieszeni całe lokalne władze. – Devlin szedł krok za nimi, a słowa wypowiedział tonem pozbawionym jakichkolwiek emocji, tak że Meadow odwróciła się zaskoczona i przeszła kawałek tyłem przyglądając się jego twarzy.

Miał na sobie wytarte jeansy i białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Wyglądał trochę jak pracownik budowlany i tylko oczy nie pasowały do tego obrazu. Wpatrywały się w Meadow czarną intensywnością, z której przebijały ironiczne błyski.

Czy jej sukienka prześwitywała? Miała nadzieję, że nie. Była zwiewna, nie przezroczysta a dolna krawędź sięgała do pół łydki. Być może nie podobało mu się, że nie poszła za jego radą w kwestii spodni, ale chyba podobała mu się linia ramion i pleców i smukła szyja?

– Chyba masz na pieńku ze starymi prykami? – Bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Chcą zatrzymać upływ czasu – odpowiedział.

– A ty reprezentujesz nieuchronnie nadciągającą przyszłość.

– Jest jak batalion żołnierzy idący przez kwiecisty ogród.

Nic nie zostanie po jego przejściu. – Usłyszała w głosie Czwartego nutę goryczy. – Zaraz się potkniesz i przewrócisz – dodał, łapiąc ją za ramię i obracając.

– Dlaczego sprzedałeś posiadłość Waldemar, skoro wcale tego nie chciałeś? – zapytała.

Czwarty potknął się o wysuniętą płytę chodnika i zamachał rękoma, by złapać równowagę. Kiedy w końcu ją odzyskał, zauważyła, że część jego na pozór naturalnego czaru zniknęła jak złocenie ze znoszonej srebrnej broszy.

– Czwarty nie sprzedał posiadłości. Zrobił to jego ojciec – wtrącił się Devlin.

– Pomimo mojego sprzeciwu. – Czwarty skierował wzrok ku restauracji na rogu dwóch ulic. Ubrane jednakowo kelnerki krzątały się przy ustawionych na zewnątrz stolikach z butelkami mineralnej wody. Olbrzymie, rzucające cień parasole trzepotały przy gwałtowniejszych podmuchach wiatru.

– Nie miał wyboru. Poczyliem propozycję, której nie mógł odrzucić. – Devlin nie wydawał się przejmować wyrazem twarzy młodego Benjamina.

– Jesteś Ojcem Chrzestnym mafii? – Meadow zaśmiała się głośno, by zamilknąć zaraz po tym, jak zdała sobie sprawę, że twarz Czwartego staje się niesamowicie czerwona a usta Devlina wyginają się w brzydkim uśmiechu. Znowu byli o krok od sprzeczki.

– Ma aspiracje, by zostać kimś tego pokroju – powiedział Czwarty powoli.

– Tylko że moje ambitne plany są w załączku niszczone. Przez pana, który rości sobie prawo do bycia Ojcem Chrzestnym na Wybrzeżach Amelii i zupełnie nie ma ochoty z roszczeń rezygnować. – Devlin wskazał ręką grupę mężczyzn siedzących na patio restauracji znajdującej się na parterze wysokiego budynku i zerkających od czasu do czasu w stronę ulicy. – Oto i ojciec naszego Benjamina.

Meadow zatrzymała się i spojrzała we wskazaną stronę. Mężczyźni

siedzieli zbyt daleko, by można było ich od siebie odróżnić, wszyscy po pięćdziesiątce, mieli na sobie drogie, ale ze smakiem dobrane letnie ubrania, popijali schłodzone drinki w wysokich szklankach zdobionych parasolkami.

– Który z nich?

Nie chciała, by w jej głosie za bardzo wybrzmiewała ciekawość i zdenerwowanie.

Nie sądziła jednak, że wypadło to naturalnie.

Czwarty zatrzymał się obok niej.

– Dobrze więc, od lewej: Wilfred Kistard, ten w tupeciku, żwawy starszy pan o czułym sercu. Następny to Penn Sample, łysy, grubawy, z włosami w uszach, łzawych oczach, za którymi kryje się raczej niebezpieczny umysł. To on właśnie jest autorem pomysłu, o odcięciu Devlina od lokalnych dostawców.

– Naprawdę? – Devlin nie wydawał się zaniepokojony.

Meadow знаła go jednak już na tyle dobrze, że wiedziała, że gdyby teraz znaleźliby się w sytuacji, w której Penn Sample tonąłby i rozpaczliwie błagał o pomoc, Devlin z uśmiechem na ustach zamiast koła ratunkowego rzuciłby mu kotwicę.

– Następny to H. Edwin Osgood. Kawaler. Samotnie mieszka w swojej posiadłości – zawsze zalega z wszelkimi możliwymi płatnościami. Poza tym uważa, że kobiety za nim szaleją. Farbuje siwe włosy. Prawdziwy galant. Zawsze w muszce i okularach w rogowej oprawie. Obrzydliwy sykofant mojego ojca – Czwarty wykrzywił twarz w grymasie. – Wystarczy o nim. Następny to Scrubby Gallagher. Jest moim prawdziwym ojcem chrzestnym. Jedyne z całej paczki, który kiedykolwiek mieszkał gdzieś poza Charleston i Wybrzeżami Amelii.

Meadow spędziła dzieciństwo razem z rodzicami, niedaleko

miasteczka Blythe w Górach Kaskadowych w stanie Waszyngton. Studiowała w Stanford w Kalifornii. Jeden semestr spędziła w Rzymie, uczęszczając na tamtejszy uniwersytet i mieszkając z włoską rodziną. Miała zaledwie dwadzieścia dwa lata i z niedowierzaniem patrzyła na starszków siedzących w cieniu werandy.

– A gdzie mieszkał?

– W Atlancie.

Meadow parsknęła śmiechem.

Czwarty zawtórował jej po chwili.

– Tak, cóż za zmiana miejsca i tempa życia! Jakie to poszerzenie spektrum, jakie nabranie perspektywy! – szydził Czwarty. – Cechy te uznawane tu są raczej za wadę charakteru, dlatego też pozostali nie liczą się z nim tak bardzo. – Czwarty zerknął na Devlina. – Przypuszczam, że dlatego jest jedynym, który postanowił zainwestować w hotel twojego męża.

Devlin przyglądał się twarzy Benjaminu z uwagą.

– Skąd o tym wiesz?

– Tylko podejrzewałem, ale teraz dzięki tobie mam pewność. – Czwarty uśmiechnął się tak przebiegle i nieprzyjemnie, że Meadow obawiała się, że za chwilę ten uśmiech zostanie zgaszony pięścią Devlina.

Benjamin Czwarty był błyskotliwy. Udało mu się dojść do tego, o czym Devlin Fitzwilliam i Scrubby Gallagher sądzili, że było pilnie strzeżoną tajemnicą. Równocześnie głupio postępował, prowokując Devlina.

Gentleman siedzący najbardziej z prawej, o najjaśniejszych włosach wstał i pomachał do nich ręką.

Pomachała w odpowiedzi.

Czwarty nie poszedł w jej ślady.

– Oto i on, mój ojciec. Popęłnił w życiu tylko dwie pomyłki.

Wszystkie kobiety, które poślubił i wszystkie dzieci, które spłodził.

– Naprawdę? – Meadow przyjrzała się Benjaminowi.

– A ile dokładnie żon i dzieci posiadał?

– Cztery żony, jedno dziecko – mnie. – Czwarty wyciągnął papierosa z kieszeni na piersi i zapalił zapałką, chroniąc płomień dłonią i całym ciałem przed podmuchami wiatru.

– Cztery żony. – Nie miała o tym pojęcia. – Czy wszystkie małżeństwa zakończyły się rozwodem?

– Wszystkie. – Benjamin pokiwał głową. – Trzy z nich, to jest żony numer dwa, trzy i cztery, za przyczynę podały jego psychiczne okrucieństwo. Mój ojciec to nieczuły, stary sukinsyn.

– A pierwsza żona? – zapytała.

– To on się z nią rozwiódł. Rzekoma niezgodność charakterów. – Czwarty zachichotał, ale po chwili zamilkł jakby zmieszany. – Po prawdzie to była to niewierność.

– Poważnie? – Przyglądała się z uwagą Czwartemu.

Devlin przyglądał się jej.

– Tak, tyle że to było na długo przed moim przyjściem na świat. Z tego, czego się dowiedziałem, wynika tylko, że Isabelle była piękną, jakich mało. Tyle że był to mezalians. Nie należała do naszej klasy.

– Szokujące – powiedziała Meadow.

– Szokujące było to dla mojego ojca. Musiał być na nią wściekły. Bawiła się w najlepsze ze swoim nauczycielem malarstwa, a kiedy ojciec zapytał ją o to, przyznała się do wszystkiego bez cienia wstydu. Wyrzucił ją na bruk, a dziecko razem z nią. – Czwarty pokręcił głową. – Jego serce jest z lodu. Dzieciak miał podobno tylko kilka miesięcy a Isabelle nie miała ani pieniędzy, ani miejsca, w którym mogłaby się zatrzymać.

– Miała dziecko? – Meadow czuła, że jej skóra pomimo palących promieni słońca robi się lodowato zimna.

– Prawie miałbym rodzeństwo. Mówię prawie, bo ojcem dziecka był jej kochanek. – Strzepnął popiół z papierosa.

– Wolałbym, żeby była moją siostrą. Być może zdjęłaby ze mnie część bagażu oczekiwań?

– Mało prawdopodobne – powiedział Devlin. – Twój ojciec nie oczekuje zbyt wiele od kobiet.

– Traktuje je jako formę dekoracji. – Czwarty obwiodł figurę Meadow spojrzeniem. Tym razem nie było to spojrzenie śliskie, było w nim raczej umiłowanie piękna. – Niewątpliwie mu się spodobaś, powiedział.

– Kamień spadł mi z serca – odpowiedziała chłodno.

– Spodoba mu się nawet nastrój, jaki wokół siebie stwarzasz. Nie znosi kobiet, które obnoszą się ze swoimi emocjami i uczuciami. Właściwie, to on chyba w ogóle nie znosi żadnych uczuć.

– Bo jedyny raz, kiedy się poddał emocjom, został straszliwie zraniony przez żonę. – Meadow spoglądała na dwie zdziwione twarze. – Hej, chłopaki, naprawdę nigdy nie myślicie o tym w ten sposób?

– A wy, dziewczęta, czy nigdy nie myślicie o czymkolwiek innym? – odparł drwiąco Devlin.

Meadow zacisnęła zirytowana pięści.

– Czasami. Ale my, dziewczęta, nad wszystko przedkładamy właśnie rodzinę i uczucia.

– Poza Isabelle, oczywiście. – Devlin uniósł rękę Meadow, by złożyć na niej pocałunek. – Isabelle jakoś nie bardzo przejmowała się rodziną i jej uczuciami, gdy zaczynała romans.

Meadow wyrwała dłoń.

– Pewnie masz rację.

Czwarty przyglądał się z zainteresowaniem tej sprzeczce i czuł, że coś było nie tak.

Nie miał prawa się mylić. Meadow i Devlin stanowili parę aktorów jakiegoś mrocznego przedstawienia. Grali, jakby nie znali tekstu, nie wiedzieli, co czyha na nich w kolejnej scenie. A za pozorem cywilizowanej kłótni i złośliwych uwag czaiła się jakaś o wiele gorsza awantura.

Meadow wiedziała, że balansuje na bardzo cienkiej linii i nie miała pojęcia, dokąd po niej zmierza. W jej żyłach wrzały zdenerwowanie i niepokój spowodowane nie tylko troską o powodzenie swojej misji. Miała też wrażenie, że ktoś na nią nastawał. Oczywiście wiedziała, że Devlin chce się z nią przespać, ale czy chodziło tylko o czysty seks?

Ze złością przyłapała się na tym, że choć miała się za kogoś bardzo wrażliwego i rozumiejącego motywy kierujące innymi ludźmi, nie potrafiła w ogóle przeniknąć zamiarów Devlina. Wiedziała tylko, że jest celem bacznej obserwacji, nawet w tym momencie. I wiedziała, że od tego płomiennego spojrzenia gotuje się w niej krew. I że chciałaby ten płomień ugasić, choćby zaraz, odejść z nim, znaleźć się z nim sam na sam, i całować go, i dotykać i...

– W albumie nie ma żadnych zdjęć Isabelli – powiedział zamyślony Benjamin. – Ojciec zniszczył wszystkie, co do jednego. Czy to możliwe, że właśnie dlatego? Dlatego, że oddał jej serce, a ona go zdradziła?

Meadow odwróciła oczy od kpiącej twarzy Devlina. Spojrzała na bezkres błękitnego oceanu.

– Pewnie tak...

– Skąd wiesz, że je zniszczył? – zapytał Devlin.

– Któregoś dnia przeglądałem albumy ze zdjęciami i zdałem sobie

sprawę, że nie ma w nich ani jednego jej zdjęcia. Byłem tym zdziwiony, więc zapytałem... – Czwarty zaciągnął się głęboko papierosem. – Prawie urwał mi wtedy głowę.

– Musi być niezwykle pogodnym jegomościem – mruknęła Meadow.

– Był jeszcze bardziej wściekły, gdy zdjęcia Isabelle pokazały się w gazetach. Widzisz, pierwsza żona, ta, która na wiek wieków uczyniła mojego ojca rogaczem w oczach jego pobratymców, została sławną artystką. – Czwarty obwieszczał to niemal z dumą.

– Naprawdę? – Otworzyła oczy, najszerzej jak potrafiła.

– To była *ta* Isabelle, ochrzczona przez media szaleńczą kochanką. Słyszałaś o niej?

– Ha, któż o niej nie słyszał? – Pytanie było niby retoryczne, ale Devlin zadając je, wpatrywał się w Meadow. Kpił z niej?

A dziewczyna cudem powstrzymała się przed wykrzywieniem twarzy w grymasie winy.

– Jej płótna wyceniane są od stu tysięcy w górę. A ich wartość wciąż rośnie – powiedział Benjamin.

– Twój ojciec pewnie nie mógł jej tego darować – miała właściwie nadzieję, że tak było.

– Najbardziej nie znosił wzmianek w prasie traktujących o jej nowych kochankach. Co chwila coś się pojawiało. Bywał wtedy naprawdę zły. – Uśmiech zniknął z twarzy Devlina. – Czy pamiętasz, jak publicznie zbeształ cię na forum szkoły?

– Powiedziałeś mu, żeby się zamknął, na co ten dupek zapytał cię, jakie nazwisko zamierzasz przekazać swoim dzieciom. Inne dzieciaki się śmiały.

– Wtedy po raz pierwszy zadał mi to pytanie.

– Wtedy po raz pierwszy spała z Kennedym. – Czwartą uśmiechnął się ironicznie.

Meadow popatrzyła na mężczyzn i po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego, jacy są podobni. Nic dziwnego, że byli przyjaciółmi. Przynajmniej na tyle, w jakim stopniu Devlin pozwalał się do siebie zbliżyć.

– Dlaczego powiedział coś tak głupiego?

– Ma w głowie piosenkę, którą podśpiewuje. Piosenkę, która przypomina mu i innym starym, lokalnie zamieszkałym przykom o świecie, który odszedł w zapomnienie wiele lat temu – odpowiedział Devlin.

– Odszedł w zapomnienie w większości stanów. Tylko nie tu. Nie w tym małym, zapyziałym miasteczku, gdzie starcy zabiliby każdego, kto chciałby naruszyć – za przeproszeniem – ich antyczny porządek świata i – za przeproszeniem – ich wielce zaszczytne miejsce w tym porządku. – Czwartą zaciągnął się głęboko, po czym rzucił niedopałek na ziemię i zgasił go podeszwą buta.

Meadow popatrzyła mu w oczy.

– Lepiej to podnieś, chłopcze.

Podniósł bez dyskusji.

– Świetnie. Teraz możemy iść poznać naszego kochanego staruszka. Benjamina Bradleya Trzeciego – powiedziała powoli choć nie czuła się wielce pokrzepiona tym, czego właśnie się dowiedziała.

Kiedy zbliżyli się do patio, starsi mężczyźni podnieśli się z krzeseł. Wyglądali kropka w kropkę tak, jak opisał ich Czwartą. A jego ojciec wyglądał zupełnie tak, jak Meadow go sobie wyobrażała.

Był najwyższy z nich. Jego postawa miała nieokreślony wojskowy rys, ramiona ściągnięte, pierś do przodu. Wielki, arystokratyczny nos niewątpliwie dodawał powagi starej, pomarszczonej twarzy. Gęsta fala

siwych włosów i równie siwiuteńkie brwi. Szare, chłodne oczy patrzyły niezwykle inteligentnie. Wyglądał, jak europejski arystokrata a Meadow z miejsca poczuła do niego awersję.

Ten mężczyzna wyrzucił jej babcię na ulicę. Wyrzucił ją z małym dzieckiem, bez pieniędzy i nie ofiarowując żadnej pomocy. Bez cienia litości. Pozwolił, by wyjechała z dzieckiem do Irlandii, a kiedy napisała do niego, że Bjorn Kelly chce adoptować Sharon, podpisał papiery bez chwili wahania.

A kiedy Bjorn zginął w wypadku, a Isabelle obwieściła światu śmierć dziecka, nie zadał sobie trudu, by wysłać kondolencje.

Isabelle utrzymywała, że nie był pozbawiony emocji. Mówiła, że były stłumione i ukryte za sprawą wychowania i rodziny, z której się wywodził.

Jeśli była to prawda, Meadow zastanawiała się, jakby zareagował na wieść, że oto stoi przed nim jego wnuczka.

Rozdział 13

– Ojciec. – Czwarty uściśnął kościstą dłoń starca. – Dobrze cię widzieć.

Bradley mruknął coś, ignorując prawie zupełnie obecność syna. Tak jak robił to od dnia jego narodzin. Jego wzrok powędrował ponad głowę syna ku Devlinowi.

– Fitzwilliam.

– Witam. – Devlin wyciągnął rękę.

Bradley ujął jego rękę, potrząsnął i bardzo szybko wypuścił, jak gdyby miał do czynienia z chorym na trąd. Jego wzrok zatrzymał się teraz na pięknej, młodej dziewczynie ubranej w suknię w kwiaty i rozpogodził się.

– A kim jest ta młoda dama?

– To Meadow Fitzwilliam – powiedział Devlin.

Uśmiechnęła się do Bradleya tym samym otwartym, szczęśliwym uśmiechem, który zdawał się istotną częścią jej osobowości, jak uważał Devlin, i którym tak rzadko zdecydowała się go obdarzać.

Miała swoje tajemnice, ale nie pozwalała, by za mocno zaprzętały jej uwagę.

– Miło cię poznać, Bradley. – Serdecznie uściśnęła jego dłoń.

Bradley Benjamin Trzeci zeszywniał.

Właśnie zaczęła tracić w jego oczach. To było Południe, Stare Dobre Południe Stanów Zjednoczonych i podlotki nie zwracały się do gentlemiana po imieniu. W czasach jego młodości nie podawały im też ręki.

Uśmiechnęła się ponownie, a jej wdzięk musiał chwilowo zniwelować to złe wrażenie.

Devlin po kolei przedstawił jej całe grono starych przyków.

Mrugali. Szczyrzyli zęby w uśmiechach. Penn Simple nawet nieco się

zaczerwienił i próbował wciągnąć brzuch, a H. Edwin Osgood przypatrywał jej się niezmiernie uważnie spod przymkniętych powiek. Zupełnie jak mężczyzna planujący miłosny podbój. Wszyscy wydawali się żywym potwierdzeniem porzekadła jej babci: *Od głupka, gorszy jest tylko stary głupek.*

Przekłęci mężczyźni.

W rękach Devlina była jak broń. Wykorzystywał ją do osiągnięcia własnych celów i w dogodnym dla siebie czasie. Jeśli nie przykładał jej do ramienia i nie pociągał za spust, to nie dlatego, że nie chciał, ale dlatego, że uniemożliwiała to jej anatomia.

Nieproszony odsunął krzesło i usadowił się wygodnie, tuż za dziewczyną, po prawej stronie. Stąd mógł naraz obserwować ulicę, drzwi do restauracji, całe grono starych przyków a zwłaszcza starego Bradleya.

– Meadow jest moją żoną.

Głośnie westchnięcie zebranych było w pełni satysfakcjonujące.

Nienawiść w oczach Benjamina przyprawiła Devlina o nieprzyjemny uśmiech. Niemal słyszał jego słowa oskarżenia: albo o to, że zrujnował młodej dziewczynie życie, albo o to, że przyprowadziwszy łowczynię dobrych partii i odpowiednio jej nie zaprezentował, tak żeby mogli należycie okazać jej lekceważenie, a nie – jak to się stało – ulec jej niewymownemu czarowi.

Benjamin w końcu przeniósł wzrok na syna.

– Devlin jest żonaty – powiedział prawie z wyrzutem.

– Też bym był, ojcze, ale Devlin pierwszy odkrył i dopadł Meadow. – Czwarty skłonił się wytwornie w stronę dziewczyny.

– Gratulacje, Devlin. Już widzę, że wcale na nią nie zasługujesz – powiedział Penn Simple.

– To prawda. – Devlin odrzekł lekko. – Żaden mężczyzna nie zasługuje na kogoś tak wspaniałego, jak Meadow. Tyle że ja ją posiadam i zamierzam ją zatrzymać.

Zerknęła na niego przez ramię, jej oczy rozszerzone i Devlin dopiero zdał sobie sprawę z tego, jak musiało zabrzmieć ostatnie zdanie, zwłaszcza że wypowiedział je nad wyraz szczerze.

– Gdzie i kiedy odbyły się wasze zaślubiny? – zapytał Benjamin.

– Byłem na wakacjach w moim domu na Majorce. Meadow tam właśnie mnie odnalazła – powiedział Devlin.

– Nie pytałem ciebie, młody człowieku – sapnął Benjamin. – Tylko twoją cudowną żonę.

Devlin nie chciał z pewnością, żeby Meadow powiedziała coś, co mogłoby zdradzić ich grę, ale nie powinien się martwić.

– Powiedzmy, że nasz związek miał i ma raczej burzliwy przebieg i nie wnikajmy w to głębiej, dobrze? – Zaśmiała się głośno Meadow. – Teraz, jeśli pozwolicie, cudowna żona Devlina zajmie miejsce przy stole i zamówi coś do picia.

Ze starymi prykami dała sobie radę lepiej niż wyśmienicie. Miała jedynie problemy z Devlinem, ale nie był to akurat problem pałacy.

Uniósł rękę, wzywając kelnera.

Pojawił się zaraz, nachylając się nad Meadow.

– Co mogę pani zaofiarować, madame?

Obdarowała go kolejnym, przemiłym uśmiechem. Prawdziwą falą słodczy, którą wcześniej oczarowała staruszków.

– Nie nazywaj mnie madame. Mam na imię Meadow. Chciałabym butelkę wody mineralnej i menu. Zaraz umrę z głodu!

– Oczywiście, madame. To znaczy Meadow. – Zaczerwieniony jak

burak kelner zaczął powoli cofać się w stronę kuchni.

– Chwileczkę, Dave. – W Czwartym ubaw całą sytuacją mieszał się z rozeźleniem. – Czy też mogę coś zamówić?

Kelner zatrzymał się od razu, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

– Oczywiście, proszę pana, czego pan sobie życzy?

– Miętowy julep, z najlepszym bourbonem, jaki macie dla mnie a dla Devlina...

– Też wezmę wodę mineralną – przerwał mu Devlin.

– Nie żałuj sobie, weź julep. Wszystko na rachunek ojca.

– Woda w zupełności wystarczy. Dla nas wszystkich.

Czwarty zaczął protestować, ale Devlin uspokoił go jednym spojrzeniem.

Przekląty Czwarty. Wymógł na Devlinie przyznanie się do faktu, że Scrubby współfinansował projekt hotelu. Co prawda może nie rozgłaszał tego wszem wobec, ale po wypiciu zbyt wielu drinków nie kontrolował języka i zachowywał się jak osioł.

Scrubby ryzykował wiele, mógł go spotkać społeczny ostracyzm za wiarę w projekt Devlina i z pewnością nie zasługiwał na niespodziewany cios w plecy.

– Jasne, woda to mój ulubiony napitek. – Czwarty usiadł i obrażony zapalił papierosa, nadając swej pozie wyraz buty i egzaltacji. Innymi słowy, zachowywał się zupełnie normalnie.

– Nie mogę umiejscowić pani akcentu, pani Fitzwilliam. Wiem tylko, że nie jest pani z Południowej Karoliny.

Stary Benjamin z pewnością zada wszystkie pytania, których tylko mógł obawiać się Devlin.

– A jak dowiedziałeś się, że nie jestem z Południowej Karoliny? –

zapytała Meadow ze wspaniałym południowym akcentem.

– Masz niezłe ucho. – Osgood seplenił nieco, a grube szkła okularów czyniły jego oczy nienaturalnie wielkimi. To oraz nieumiejętnie nałożona na włosy farba sprawiały, że wyglądał raczej jak aktor objazdowej trupy komediantów, niż członek uprzywilejowanej grupy mieszkańców pociągających za sznurki w nadmorskim miasteczku. – Zwyczajnie jest tak, że kiedy Jankesi próbują nas naśladować, przypomina to dźwięk łańcuchowej piły.

– Mam niezłe ucho – powiedziała Meadow z nienagannym londyńskim akcentem, by zaraz przerzucić się na akcent hiszpański. – Miałam zajęcia teatralne w koledżu, ale nie przebiłam się jako aktorka.

Miała w końcu akcent, czy nie? Devlin nagle stracił całą pewność. Czy może robiła z niego idiotę od samego początku? Od momentu, gdy rozbiła głową kamiennego lwa?

Chciał wiedzieć, jak ma na imię. Odkryć jej prawdziwą tożsamość. Chciał wiedzieć wszystko o tajemniczej Meadow... I przysiągł sobie, że dowie się tego, zanim jeszcze zakończy się ich nietypowy romans.

– Taka wspaniała młoda kobieta? Myślałem, że jesteś na prostej drodze do hollywoodzkiej sławy – powiedział Penn Sample. Chciał być czarujący i nie zdawał sobie pewnie sprawy, że jego komplementy nie brzmią zbyt wyszukanie.

– Płakałam, kiedy grałam rzeczy smutne i śmiałam się przy wesołych. – Zaśmiała się głośno. – Mój nauczyciel powiedział, że na tym nie polega granie. To współodczuwanie z publicznością.

Wilfred Kistard otarł czoło śnieżnobiałą chusteczką i rozprostował szyję.

– Straszliwie dziś gorąco.

Dave przyniósł zamówienia. Odkręcił butelkę i postawił ją przed Meadow, kładąc równocześnie na stole otworzone menu.

Zerknęła tylko na listę dań na pierwszej stronie.

– Sałatka domowa wygląda wyśmienicie. Wezmę sałatkę z żytnim makaronem i sosem z błękitnego sera w oddzielnym pojemniku. – Odwróciła się do Devlina. – Będiesz coś jadł?

– Szynekę zapiekaną z ryżem, odrobiną majonezu i dużą ilością musztardy, o ile pamiętam – wyrecytował kelner.

– Ale z niego miły chłopak – powiedziała Meadow, gdy Dave zniknął za drzwiami. Przechyliła butelkę i wypła całą wodę bez odrywania szyjki od ust. Mężczyźni wydawali się przyglądać jej gardłu, gdy przełykała. Odstawiła butelkę i westchnęła z rozkoszą:

– Uff, ale byłam odwodniona.

– Z tego również można wnioskować, że nie pochodzisz z naszych stron. Jesteś bardziej zuchwała niż dziewczyny z Południa. Bardziej zadufana. – Stary Benjamin wcale nie chciał, żeby to zabrzmiało jak komplement.

– Dziękuję, Bradley. To bardzo słodko z twojej strony.

– Devlin rozpoznał nutę przesadnej radości w jej głosie. Nikt poza nim nie zdawał sobie jednak sprawy, że oznacza ona rozdrażnienie.

Benjamin nie był przyzwyczajony, do takiego tonu rozmowy. Nie wiedział teraz, jak powiedzieć, że został źle zrozumiany.

Chwilę wahania wykorzystał Devlin.

– To jedna z przyczyn, dla których Meadow odnosi sukcesy na wielu polach. Tradycja i kindersztuba nie usztywniły na całe życie. Zupełnie odmiennie od większości dziewcząt z Południa.

Benjamin z radością przeniósł swą złość na Devlina.

– Wszyscy jesteśmy zaskoczeni, że w końcu znalazłeś sobie żonę, Devlinie.

– Trzydzieści dwa lata to jeszcze nie taki straszny wiek. Wydaje mi się, że byłeś w tym samym wieku, gdy po raz pierwszy się ożeniłeś. – Uwaga Devlina była czytelna. I celna.

Pozostali mężczyźni poruszyli się niespokojnie. Historia Isabelli i jej niewierności zawsze sprawiała, że nastrój rozmowy gęstniał. Przypominała o ich własnych miłosnych niepowodzeniach. Przypominała o tym, że choć pragnęli, by świat był urządzony inaczej, wiele kobiet nie znało i nie chciało grać wyznaczonych im ról.

– Tylko że jest duża różnica w tym, co skierowało nas ku małżeństwu. Devlin poślubił mnie, bo jestem dzieckiem wolnomyślicieli. Ja wzięłam go za męża wyłącznie dla pieniędzy.

Mężczyźni wybuchnęli gromkim śmiechem.

– No może, jeszcze dlatego, że jest taki przystojny. – Odwróciwszy się, uszczypnęła Devlina w policzek, posyłając mu równocześnie spojrzenie będące mieszaniną złości i figlarności.

Devlin westchnął z uśmiechem rezygnacji. Niewiele mógł zrobić i zastanawiał się, jak to się stało, że jego niezawodna broń potrafiła w zależności od swojego widzimisie zwrócić się przeciwko strzelcowi.

I dlaczego, do diaska, podobało mu się, że Meadow publicznie sobie z niego żartuje w gronie starych, stetryczalnych przyków. Jeśli nie będzie ostrożny, gotowa sprawić, że go polubią w tym przebrzydłym miasteczku.

– A jak zareagowałaś, młoda damo, kiedy dowiedziałaś się, że twój mąż jest bękartem? – Cel pytania był jasny, Benjamin miał nadzieję, że złapie Meadow w pułapkę, obwieszczając jej być może coś, czego jej mąż nie miał odwagi jej powiedzieć.

– Ojcie! – Czwarty był wyraźnie zażenowany.

– Celny strzał – powiedział Osgood sucho.

To nie brak odwagi nie pozwolił Devlinowi na przedstawienie Meadow swojej rodzinnej historii. Był to brak czasu. Poznali się dopiero wczoraj, a rzadko opowiadał o swoim dorastaniu bez ojca, a już zdecydowanie opowieść ta nie figurowała pod numerem pierwszym na liście opowieści przeznaczonych dla kobiet, których nie znał nawet dwadzieścia cztery godziny.

– Co? – Benjamin wydał lekceważąco wargi. – Devlin pewnie woli bym nazywał go nieślubnym dzieckiem, ale ja wierzę w szczere nazywanie rzeczy po imieniu.

Devlin czekał cierpliwie. Był tak samo ciekawy reakcji Meadow, jak reszta mężczyzn.

– Nic nie usprawiedliwia prostactwa języka, a przynajmniej wśród cywilizowanych ludzi. – Ton Meadow mógł zamrażać ptaki w locie. – Ale jeśli życzy pan sobie, zachowywać się jak cham, panie Benjamin, to proszę dalej zwracać się do mnie per „zadufana” a ja dalej będę puszczała te uwagi mimo uszu.

Oczy Benjamin otworzyły się niezwykle szeroko a wszyscy zamilkli zupełnie pod razami jej cierpkich i pogardliwych słów.

– Brawo, brawo. – Czwarty klasnął kilka razy, przyglądając się dziewczynie. W jego oczach błyszczał szczery podziw.

Twarz Devlina nie wyrażała żadnych emocji, ale był dogłębnie i pozytywnie zaskoczony reakcją Meadow. Zachwyciła go też jej umiejętność odczytywania słabości i wykorzystywania ich przeciwko atakującemu. Meadow zdawała sobie sprawę z tego, jaką dzierży broń i Devlin wołał o tym pamiętać.

– Odpowiadając zaś na pańskie pytanie, panie Benjamin, nie interesują mnie rodzice Devlina albo jeszcze lepiej: interesuje mnie tylko wpływ, jaki mieli na jego wychowanie. Bo to on sam mnie fascynuje, a nie jego pochodzenie. – Odwróciła się i obdarowała Devlina słodkim uśmiechem. – I nie znajduję żadnego uszczerbku w jego sposobie bycia, charyzmie, jaką roztacza i uprzejmości.

Albo była lepszą aktorką, niż się do tego przyznawała, albo naprawdę wierzyła, w to, co powiedziała. Devlin nie wiedział, która z tych opcji byłaby dla niego gorsza.

Benjamin wiedział, że przegrał i nie zamierzał udawać, że było inaczej. Ustąpił więc na tym polu walki, by zaatakować na innym.

– Dobrze więc, Devlinie. Powiedz, co uczyniłeś z moim domem?

– Za trzy tygodnie Tajemniczy Ogród stanie się pięciogwiazdkowym hotelem i przyjmie pierwszych gości – odpowiedział Devlin.

– Słyszałem, że masz problemy z kupnem towarów w lokalnych sklepach. – Wilfred Kistard rozparł się wygodnie na krześle, zaplatając ręce na wielkim, pękatym brzuchu.

– Lokalni sklepikarze tańczą, jak im zagrano. – Devlin odbył kilka poważnych rozmów z kilkoma przedstawicielami lokalnego businessu. Każdy starał mu się wytłumaczyć, że ich niemożność nawiązania współpracy z hotelem jest chwilowa, i że gdyby tylko raczył okazać nieco cierpliwości...

– Słyszałem, że przydarzyły ci się jakieś nieszczęśliwe wypadki. – Scrubby zaczął bębnić palcami po stole. – Radzisz sobie ze wszystkim?

– Wzmocniono ochronę. – Devlin skłonił głowę, nie odrywając od niego wzroku.

– Co się stanie, jeśli nie dostaniesz pięciu gwiazdek?

– Penn Sample oblizał wargi. – Mogłoby to spowodować poważne straty zysków, nieprawdaż?

– O tak, to prawda. – Osgood odwrócił głowę, jakby wypowiadając te słowa, szukał wsparcia w oczach Bradleya.

– Moje hotele nie tracą zysków. – Devlin po kolei przyglądał się każdemu z rozmówców. – Zaproszenia na uroczyste otwarcie zostaną wysłane w przyszłym tygodniu. Sprawdzajcie pocztę. To będzie wydarzenie tego sezonu.

– Czy naprawdę sądzisz, że ktoś się tam pojawi, by zobaczyć, jak profanujesz uświęcone długą tradycją Wybrzeża Amelii? – zapytał Benjamin.

– Każdy z was pojawi się na pewno. Wasza ciekawość nie pozwoli wam przyglądać się wszystkiemu z boku. – Devlin wyraźnie miał wprawę w prowokowaniu starego.

Ale tym razem Benjamin się nie rozgniewał. Rzeczywiście, miał zamiar tam się zjawić.

Czwarty zgasił papierosa, tylko po to, by zapalić kolejnego. Zaciągnął się głęboko, jakby w istocie potrzebował o wiele silniejszego narkotyku.

Bradley przyglądał mu się z pogardą.

– Jesteś za stary, by to palić. Papierosy są dla gołowąsów. Postaraj się i choć raz spróbuj być mężczyzną.

– Chcesz, żeby był mężczyzną w kwestiach palenia? – zapytała Meadow. – Jak zamierzasz to osiągnąć?

– Nie ma nic lepszego niż cygaro. – Bradley wyciągnął rękę, by powstrzymać ją od komentarzy. – Wiem, że niektóre panie nie przepadają za zapachem, ale nie ma nic jak gładki, ciepły dym dobrego cygara.

Czwartego musiały rozeźlić uwagi ojca, zwłaszcza poczynione w

obecności młodej dziewczyny. W jego głosie zabrzmiała gniewna nuta.

– Nie lubię cygar.

– Nie wiem, dlaczego przedkładasz papierosowego raka płuc nad raka ust. Oba kończą się serią straszliwych operacji, chemioterapią i śmiercią. – Meadow uśmiechała się, mówiąc te słowa o ile uśmiechem można nazwać delikatne uniesienie kącika ust. Był to najmniej szczery uśmiech, jak Devlin widział w życiu.

Kontrast pomiędzy tym grymasem a jej zwykłym radosnym uśmiechem sprawił, że wszystkie stare pryki, jak na komendę, zaniemówiły. W końcu Bradley przerwał to milczenie, choć bardziej warczał złośliwie, niż uprzejmie odpowiadał.

– Młoda damo, to niebezpieczny pogląd na jakże miłą rozrywkę. Hodujemy najlepszy tytoń w naszym stanie i nie wierzymy ani trochę w chwilową antytytoniową propagandę.

– Och, panie Benjamin, gdyby choć raz odwiedził pan wydział onkologiczny, uwierzyłby pan bez wątpienia. – Odwróciła się w stronę Czwartego, wyjęła mu papierosa z ust i zgasiła w popielniczce. – Nie przejmuj się cygarami – powiedziała. – Po prostu rzuć to.

Bradley otworzył usta.

Spojrzała na niego wymownie i uczyniła rzecz, która w opinii Devlina była niemożliwością – sprawiła, że się zamknął.

Starzec odwrócił wzrok i zagryzł wargi.

Devlin zobaczył, jak Scrubby uśmiecha się szeroko a Kistard i Osgood rozpierają się wygodnie na oparciach swoich krzeseł. Bradley był postacią powszechnie respektowaną, ale szacunek nie szedł w parze z uwielbieniem.

Młoda matka weszła na patio restauracji. Wyglądała jak typowa turystka. Klapki, strój kąpielowy i przeraźliwie kolorowy plażowy płaszcz.

Na plecach niosła nieporęczny fotelik samochodowy dla dziecka, a jej mały synek dreptał niechętnie obok, kwiląc co chwila i domagając się uwagi.

– Na rany Boga. – Benjamin jęknął ze zgrozą. – Czy ludzie nie widzą, że to jest restauracja o pewnym standardzie?

Nieszczęsna kobieta usłyszała go. Miała usłyszeć. Jej spalone słońcem policzki stały się jeszcze czerwiejsze a jej zszokowane oczy wypełniły się łzami.

Meadow natychmiast zerwała się na nogi i z rozłożonymi ramionami popędziła w jej stronę.

– Pozwoli pani, że odrobinę pomogę. Będzie pani mogła zająć się dzieckiem. Gdzie chciałaby pani usiąść? Najpewniej w cieniu, nieprawdaż?

Matka potrząsnęła głową, zerkając niepewnie w stronę stolika starych przyków.

– Proszę się nim nie przejmować. – Głos Meadow był jeszcze donioślejszy niż słowa Benjamin. – Zaatakowała go dziś podagra.

W kilka chwil usadowiła kobietę wygodnie przy stoliku, wysłała Dave'a po wodę przez cały czas zagadując ją miło o wakacje, zbieranie muszelek, wylegiwanie się na plaży i jedzenie marchewek z drobinami piasku.

Matka powoli doszła do siebie i zaczęła nawet odpowiadać zaskoczona nieco całym przebiegiem sytuacji.

Przez cały czas wszyscy starcy oraz Devlin i Czwarty nie mogli oderwać wzroku od błyszczących żywym ogniem, miedzianych włosów Meadow.

Dziewczyna wzięła bobasa na ręce i uniosła w górę.

Devlin kątem oka zerkał w stronę Benjamin. W końcu dostrzegł, jak zmienia się wyraz jego twarzy.

Jak gapi się na Meadow stropiony, marszcząc czoło w zupełnym zaskoczeniu.

Dziewczyna przytuliła dziecko do piersi i zanuciła jakąś piosenkę.

Benjamin westchnął gwałtownie. Jego twarz stała się upiornie blada. Wykrzywił się nienaturalnie i złapał za pierś.

Devlin rozparł się wygodnie na krześle z wyrazem zadowolenia na twarzy. Wszystko postępowało zgodnie z planem.

Bradley Benjamin rozpoznał wnuczkę Isabelli.

TTLR

Rozdział 14

– Czy mają państwo w sprzedaży *Tajemniczy Ogród*?

– Meadow nachyliła się nad niską ladą, by być lepiej słyszaną przez właścicielkę księgami.

Pani Cognomi była w średnim wieku, miała czarne włosy i śladowe wąsiki nad grubą wargą. Patrzyła teraz, jakby ktoś ją obraził.

– Oczywiście, że mamy. Popularna lektura dla dzieci. Nawet w czasie wakacji szkolnych. W miękkiej czy twardej oprawie?

– W twardej oprawie, dziękuję – powiedziała Meadow, po czym dodała głośniejszym głosem. – Kupuję ją dla Devlina. – Bez cienia wahania wskazała palcem stojącego z nią mężczyznę.

Klienci przechadzający się między półkami zatrzymali się na chwilę i odwrócili głowy, by zobaczyć, kogo też Meadow obdarowuje powieścią Francesa Burnetta. Jedna z kobiet uśmiechnęła się pobłaźliwie. Dwie inne spojrzały na siebie i zachichotały znacząco.

Jednym prostym zdaniem oznajmującym Meadow zrujnowała jego reputację najbardziej zawziętego sukinsyna na Wybrzeżach Amelii.

Pani Cognomi przyniosła wspaniałe wydanie o olbrzymich okładkach ozdobionych impresjonistycznym portretem młodej dziewczyny z okresu wiktoriańskiego. Meadow ujęła książkę w dłonie z nieskrywanym zachwytem.

Pani Cognomi wyprostowała się i poprawiła oprawki okularów i przyjrzała się Devlinowi tak krytycznie, że przypomniał sobie zaraz pierwszą nauczycielkę z podstawówki.

– Wie pan, panie Fitzwilliam, myślę, że dobrym pomysłem, byłoby umieszczenie w każdym pokoju jednej książki.

– O tak! – wykrzyknęła Meadow, odwracając się do Devlina. – To byłoby bardzo miły gest, nieprawdaż?

– Kto by się tym przejmował? – Devlin przyglądał się całej scenie obojętny, ramiona zaplecione na klatce piersiowej.

– Wszystkie kobiety, które czytały w dzieciństwie *Tajemniczy Ogród*.
– Meadow nachyliła się znowu nad ladą. – Mój mąż nigdy nie czytał tej książki.

Pani Cognomi syknęła z niedowierzaniem.

– Ależ to wspaniałą historią, prawdziwą lekcją życia dla nas wszystkich. Czy chciałby pan zamówić wydanie w twardej oprawie dla hotelu?

– Nie sądzę, że... – zaczął Devlin.

– Nie, ludzie kradną ręczniki. Proszę sobie tylko wyobrazić, jak szybko znikająby tak ślicznie wydane książki. – Meadow przesunęła tom po ladzie w stronę pani Cognomi. – Czy macie, państwo, jakąś tańszą edycję?

– O tak, cały wybór wydań w miękkiej oprawie. – Właścicielka księgami spojrzała przychylnie w stronę dziewczyny.

– Ilu tomów będziemy potrzebować?

– Zaczniemy od sześćdziesięciu – powiedziała Meadow.

– W hotelu jest czterdzieści pięć pokoi – wtrącił Devlin.

– Tak, ale zakładamy, że podczas wielkiego otwarcia będą straty – odpowiedziała spokojnie Meadow. – Tak więc, pani Cognomi, poprosimy o sześćdziesiąt kopii książki i damy pani znać, kiedy będziemy potrzebowali kolejnych.

– Świetnie. – Pani Cognomi wyciągnęła formularz zamówienia i zaczęła go szybko wypełniać drobnym maczkiem.

– Jak dokonacie, państwo, płatności?

– Devlinie, daj pani swoją kartę kredytową – poinstruowała Meadow.

Devlin przez moment sam nie wierzył, że oto pokrywa ze swoich pieniędzy tak absurdalny wydatek. Wydatek, na który zresztą pieniądze powinna wyłożyć firma. Ale znał dobrze swoją główną księgową. Sam ją wybrał i obsadził w tej roli. Uważnie kontrolowała nawet najmniejsze wydatki. I wiedział, że byłby bez szans, gdyby spróbował jej wytłumaczyć, dlaczego kupił sześćdziesiąt kopii tej samej, dziecięcej książki. Szperając w portfelu w poszukiwaniu karty kredytowej, podniósł wzrok na właścicielkę księgami.

– Nie obawia się pani reperkusji ze strony Bradleya Benjamina? Wie pani, za robienie interesów ze mną?

– Nie mam z nim żadnych powiązań o charakterze finansowym. Benjamin nie praw własności do tego budynku – odpowiedziała z uśmiechem satysfakcji. – Ja je mam.

W Devlinie narodziła się gwałtownie sympatia do pani Cognomi.

– Niech to będzie dziewięćdziesiąt książek.

– Z dużym upustem będzie to czterysta osiemdziesiąt dolarów. Przywiozą je w następny wtorek. Sama je dostarczę, chciałabym zobaczyć, jak urządził pan swój hotel. – Właścicielka księgami wybiła sumę na czytniku kart kredytowych.

– Bradley Benjamin jest człowiekiem, który pogardza beletrystyką, a czyta jedynie gazety i businessowe tygodniki.

– Nie rozumiem takiego poważnego i smętnego podejścia do życia – powiedziała Meadow. – Ale nie mówmy źle o panu Benjaminie. Właśnie zabrał go ambulans z podejrzeniem silnej dławicy piersiowej.

Pani Cognomi nie wyglądała na zbyt przejętą.

– Często bywa w szpitalu, ale zawsze wychodzi z tego bez szwanku.

Tylko szlachetnych śmierć zabiera młodo.

– Czasami wydaje mi się, że jest w tych słowach za wiele prawdy... – Przez krótką, ale wystarczająco długą dla Devlina chwilę, dolna warga dziewczyny zadrżała.

Devlin pokiwał głową, a w jego głowie zaczęła rodzić się jakaś nieokreślona do końca myśl.

Meadow już uniosła brodę do góry i uśmiechnęła się.

– Proszę pamiętać o dodaniu do rachunku tego wydania w twardej oprawie. Będę ją czytała mojemu mężowi na głos.

– Szczęściarz. – Pani Cognomi zlustrowała wzrokiem całą sylwetkę młodego mężczyzny, jej oczy powiększone karykaturalnie przez grube szkła okularów. – Byłaby wielka szkoda, gdyby pan Fitzwilliam zaczął traktować życie w sposób równie smętny i poważny, co pan Benjamin, nieprawdaż?

Na twarzy Devlina odmalowało się bezgraniczne zdumienie graniczące z rozdrażnieniem. Meadow zareagowała szybko.

– Pani Cognomi, czy mogę skorzystać z łazienki?

– Oczywiście, moja droga. Za drzwiami, korytarzem po lewej stronie.

– Czekam w jeepie – zawołał Devlin, odwracając się i ruszając w stronę wyjścia.

Biedactwo. Tak bardzo chciał opuścić tę księgarnię, pomyślała Meadow, wchodząc do łazienki i otwierając kłapkę telefonu. Wybrała szybko numer, ale zamiast głosu Judith usłyszała tylko standardową prośbę operatora o pozostawienie wiadomości. Zniżyła głos i powiedziała szybko.

– Jestem na Wybrzeżach Amelii, zaraz jadę z powrotem do Waldemar. Jak na razie wszystko idzie dobrze, może poza konfrontacją z mężem Isabelli, który niemal dostał zawału serca. Jak się miewa mama i gdzie jesteś? – Rozłączyła się i oparła plecami o zimną ścianę.

Pół godziny temu była wściekła na Bradleya. Nie przejmowała się jego zgryźliwościami pod jej adresem, ale gdy zaczął naigrawać się z jego pochodzenia, a potem jeszcze okazał zupełny brak uprzejmości tej młodej matce, nie mogła tego tolerować. Miała ochotę dać mu w pysk. Podbiegła do niej, by zająć czymś ręce, by nie rzucić się z pięściami na Bradleya, ale to właśnie wtedy dostał ataku.

Czwarty miał na szczęście przy sobie tabletki nitrogliceryny. Dave przyniósł wodę. Staruszkowie zaczęli biegać wokół, jak stado podekscytowanych kurczaków, z wyjątkiem Osgooda, który zachował tyle zimnej krwi, że zdołał zadzwonić po karetkę. A kiedy Devlin zaofiarował pomoc, Bradley wrzasnął, żeby się do niego nie zbliżał. Kiedy podjechał w końcu ambulans i pielęgniarze układali go na noszach, udawał, że jest nieprzytomny. Zaczął udawać, gdy odezwała się do niego jakimiś słowami pocieszenia. Widziała, jak mruży powieki i odwraca głowę, ale nic więcej nie mogła w takiej chwili powiedzieć.

Teraz czuła się winna tego, że była taka zادیorna i jeszcze bardziej tego, że niejako chciała się wszystkimi posłużyć do osiągnięcia swojego celu. Nic nie układało się zgodnie z planem, a na dodatek musiała jeszcze jechać z Devlinem do Waldemar. Z Devlinem, który patrzył na nią, jak kot na mysia dziurę.

Niestety, ser, którego używał jako wabika, wydawał się prawdziwie kuszący.

Pochlapała policzki wodą i żałowała, że nie ma przy sobie ostatnio zapisanych tabletek, bo pulsował jej w skroniach nieznośny po prostu ból.

Nie przyznawała się przed Devlinem, ale chyba przeceniała swoje siły a wypadki wczorajszej nocy, zwłaszcza omdlenie, poważnie ją osłabiły. Marzyła o tym, by przykryć się chłodną hotelową pościelą i uciąć sobie

drzemkę.

Wyszła przed księgarnię i ruszyła w stronę, gdzie Devlin zaparkował samochód. Dach był zdjęty, a Czwarty stał obok, opierając się niedbale o samochód.

– Jestem przemiłym gościem, a wasz kucharz potrzebuje praktyki, więc wpraszam się na obiad.

– Nic z tych rzeczy. – Devlin nie potrafił opanować zniecierpliwienia.

– Jasne, nie ma tylnego siedzenia. Już to przerabialiśmy. Będę jechał za wami.

– Nie. – Devlin uruchomił silnik i spojrzał w stronę księgarni. Meadow wydawało się, że jego wzrok stał się łagodniejszy zaraz po tym, gdy spoczął na niej.

Ale chyba dostrzegała rzeczy, które chciała dostrzegać, bo Devlin ze zniecierpliwieniem wskazał jej ruchem brody miejsce koło siebie.

Chyba sobie żartował.

Zatrzymała się. Powtórzyła jego ruch brodą, unosząc pytająco brwi.

Czwarty przyglądał się z uśmiechem rozgrywającej się przed nim pantomimie.

Devlin wyglądał, jakby za chwilę miał się zadławić ze złości, ale jego głos był ciepły i spokojny.

– Wskakuj, kochanie. Sam dzwonił, brygada usuwająca drzewo nie omieszkała przy okazji usunąć swoim dźwigiem dachu ogrodowej altany. Zanim jeszcze wyschła na niej farba.

Ruszyła powoli.

Czwarty pomógł jej wsiąść do jeepa, mrużąc jej niby do ucha, ale wystarczająco głośno, by Devlin słyszał.

– Oto i bestia przyzwyczajona chadzać własnymi ścieżkami. Na

szczęście ją trenujesz, a bestia uczy się szybko.

– Czego nie można powiedzieć o tobie – powiedział Devlin i wcisnął gaz. Odjechał tak szybko, że Czwarty musiał odskoczyć, by uniknąć potrącenia.

Meadow szukała w pośpiechu pasa.

– Devlinie, to nie było zbyt miłe.

– Nie martw się o Czwartego i jego zranione uczucia.

Zostały przytłumione dużą ilością bourbona z lodem. Mojego bourbona z moim lodem. – Devlin potrząsnął głową, ale w jego głosie Meadow słyszała cień sympatii dla Benjamina juniora. – Teraz na pewno podąży rażno w stronę swojego samochodu, by zaraz zjawić się w hotelu.

– Pewnie masz rację. Czwarty wygląda na niezmiernie odpornego, zwłaszcza jak na syna Bradleya Benjamina.

– Zdjęła kapelusz i upięła włosy gumką w kucyk.

– Kiedy byłem małym chłopcem, marzyłem o ojcu. Chciałem być jak reszta moich rówieśników. Poznałem wtedy starego Benjamina, zobaczyłem, jak upokarza Czwartego i dziękowałem, że los mi tego oszczędził.

Zawahała się rozdarta między setkę pytań, które chciała zadać.

– Bradley nie przepada też za tobą – rzekła w końcu.

– Słyszałaś go. Jestem bękartem i rezerwuje dla mnie najlepsze obelgi.

– Pewnie dlatego, że przypominasz mu o niewierności jego żony oraz dziecku, będącego owocem zakazanego związku.

– Nałożyła z powrotem kapelusz i owinęła go szalem, żeby przypadkiem nie zwał go pęd powietrza.

– To zupełnie nowa teoria.

Jakże mógł być taki nieczuły?

– Musi być jakaś przyczyna jego zgryźliwości. Na pewno kochał Isabelłę i nie wiedział tylko, jak otworzyć przed nią serce.

– Wywnioskowałaś to z tego, co powiedział Czwarty?

– Wiatr wył na zewnątrz, gdy Devlin przyśpieszał, mijając opłotki miasta i skręcał w szeroką drogę prowadzącą na południe, w stronę posiadłości.

Musiała być ostrożniejsza przy wyjawianiu swojej wiedzy.

– Kiedy gadałaś przez telefon z Samem, ja ucięłam sobie pogawędkę ze starym Scrubym.

Była to prawda. Rozmawiała ze staruszką. Tyle że nie o małżeństwie starego Benjamina.

– Czy zdążyłaś ze swoim nowym, nadzwyczaj prędko pozyskanym przyjacielem obgadać również mnie?

– Nie – warknęła. – Rozmawialiśmy tylko o osobach, które wydawały się nam interesujące.

– To dobrze.

Nie powiedział nic więcej, zwolnił tylko nieco w miejscu, gdzie asfalt przechodził w żwirową drogę. Kamyki sypnęły spod kół, które zaraz złapały przyczepność i Devlin mógł przyśpieszyć.

Żałowała, że dała się zirytować. Po prostu chciała poznać jego wnętrze. Zawsze sądziła, że ludzie byli jak zdobione szklane naczynia. Wystarczająco wytrzymałe, by unieść niezwykle ciężary a równocześnie delikatne i pękające na tysiące kawałków od wystarczająco mocnego uderzenia. Tyle że większość ludzi i szklanych naczyń była przynajmniej półprzezroczysta a o Devlinie nie dało się powiedzieć nic zupełnie. Jakby trzymał przed sobą lustro odbijające całe światło.

A należało przyznać, że była ciekawską dziewczynką. Uwielbiała ludzi. I uwielbiała zadawać im pytania o nich samych. Z radością słuchała historii i schlebiała sobie, że potrafi te historie dobrze zrozumieć i zinterpretować... A także okłamywała teraz samą siebie, upierając się, że interesuje się Devlinem, bo po prostu lubi interesować się ludźmi. Czuła nieprzewartą chęć dowiedzenia się o nim wszystkiego i nie stała za tym zwykła ciekawość.

– Denerwujesz się? – Zerknął na nią. – Prowadzę właściwie bardzo bezpiecznie.

– Co? – Rzeczywiście prowadził spokojnie. Na tyle spokojnie, że zrelaksowana spoglądała na rozciągający się po prawej ocean. – Nie, nie denerwuję. Dlaczego?

– Tupiesz stopą, jakbyś była zdenerwowana.

– Tylko przyzwyczajenie. Zdarza mi się, kiedy nad czymś myślę. Powiedz mi o swoim dzieciństwie – poprosiła nagle. Miała nadzieję, że nie nazbyt nagle.

Zaśmiał się głośno.

– Zastanawiałem się, ile czasu wytrzymasz bez zadawania pytań.

– Ile wytrzymałam?

– Jakąś minutę.

– Uplęnęło więcej czasu – powiedziała nadęsa.

– Masz rację. – Odczekał chwilę. – Pewnie z sześćdziesiąt pięć sekund.

– To już bliższe prawdy. Ale... Mówiliśmy o twoim dzieciństwie.

– Było raczej wygodne. Moi dziadkowie nie byli najszczęśliwsi z powodu przygody mojej matki, ale nie wypędzili nas na śnieg. Mieszkałem z nimi do piątego roku życia. Byłem wtedy wystarczająco silny, by sprać

moich kuzynów, gdy żartowali sobie ze mnie albo matki. Matka musiała się wyprowadzić, by podłogi w antycznej jadalni nie spływały krwią. Ale zdążyła też do tego czasu otworzyć sklep z materiałami do dekoracji wnętrz. No i miała powiązania w mediach. Chodziłem do prywatnej, ekskluzywnej szkoły i tam poznałem Czwartego. A zanim to nastąpiło, często musiałem pracować wielu chłopaków, z których istotną część stanowili moi kuzyni.

– Jezu Chryste, co się tutaj dzieje – wybuchła Meadow.

– To nie są lata pięćdziesiąte! Kobiety mogą mieć dzieci albo ich nie mieć i nie potrzebują do tego mężów. Każde dziecko to uśmiech Boga na ziemi.

– Jesteś bardzo niewinna. Ludzie zawsze uwielbiali plotkować, a dzieciaki są okrutne dla dzieci, które nieco różnią się od nich samych. To prawo odwieczne i prędko się nie zmienia.

– W jego głosie brzmiała pewność.

Jak to się stało, że z pierwszego do bitki chłopaka przemienił się w całkowicie zamkniętego w sobie mężczyznę?

– A nie dość tego, że ludzie są właśnie tacy, urodziłem się w Charleston. Charleston jest przywiązane do tradycji. Poza tym moja matka żyła w przekonaniu, że mój ojciec, Nathan Manly rozwiedzie się ze swoją żoną, by poślubić ją. Matka uwielbia współzawodnictwo, więc myślała, że i na tym polu zwycięży. Niestety, los chciał inaczej.

Meadow słyszała w jego głosie wiele ironii.

– Wrzuć to wszystko do jednego worka i masz przepis na towarzyską... – Zawahał się.

– Katastrofę? – podsunęła mu słowo uradowana, że się w końcu przed nią otwiera.

– W każdym razie towarzyskie trudności, na szczęście dla mojej

matki, talent i ambicje pozwoliły jej zatriumfować nad nieprzychylnymi ludźmi, choć nie w tradycyjny sposób. Nie dorobiła się bogatego męża i dwójki poprawnych dzieci wzbudzających zachwyty towarzystwa. Ale jeśli wyzwania kształtują charakter, to mój jest ukształtowany wystarczająco mocno, by nadrobić nawet braki charakteru Czwartego.

– Nie sędzę, żeby to działało w ten sposób. Myślę, że sam musi popracować nad swoim. A ty musisz rozwinąć w sobie... – Zamilkła w pół słowa. Przyłapała się na tym, że myśli na głos. A myślenie na głos nierzadko wpędzało ją w kłopoty.

– Co takiego muszę rozwinąć?

Cierpliwość. Uprzejmość. Wiare, choćby nawet nie wiem jak bardzo pozbawioną podstaw, że ludzie rodzą się z natury dobrzy.

– Jesteś perfekcyjny, taki, jaki jesteś – powiedziała w końcu.

– Piękna myśl. Ale wcale w nią nie wierzysz.

– Jesteś tym, kim powinieneś być w tym momencie swojego życia. – Wiedziała, jak mówić o tym w przekonujący sposób.

– Gdzie nauczyłaś się pleść takie brednie?

– To nie są brednie. – Szczerze wierzyła swoim słowom. Jej problemem było to, że naprawdę chciała ulepszać ludzi. Matka wytykała jej tę cechę i zapewniała, że jedyną osobą, którą Meadow może poprawić, jest ona sama. I że powinna z tego uczynić projekt życia. Aż do momentu wzniesienia się na szczyty nirwany.

Tyle że było o wiele łatwiej patrzeć na innych i dawać im dobre rady.

– Jasne.

Droga odbijała w lewo, pozostawiając za sobą ocean i wbijając się gwałtownie w las pełen upojnie pachnących cedrowych drzew i zmurszałych dębów o pniach krytych mchem. Devlin zjechał na pobocze drogi i

zatrzymał samochód. Otoczył ramieniem jej fotel i czekał, aż odwróci głowę w jego stronę.

– Zaufałem ci, prawda? Więc teraz ty, moja droga, cierpiąca na amnezję Meadow, powiesz mi, kiedy to byłaś na oddziale onkologicznym szpitala.

– Oddziale onkologicznym? – Nie od razu zrozumiała.

– A skąd niby przyszło ci to do głowy?

– Kiedy Bradley Benjamin Trzeci naśmiewał się ze swojego syna i instruował go w kwestii palenia cygar, wylałaś na niego złość, gniew i pasję godną seryjnego mordercy.

– Cień otaczał samochód i nadawał twarzy Devlina fałszywą łagodność.

Patrzyła się na niego bez słowa, przybita strachem i uchwycona w pułapkę między prawdą a kłamstwem. Czy powinna mu powiedzieć?

Moja matka ma raka i potrzebuje specjalistycznego leczenia. Niezwykle drogiego. Jeśli nie zdobędę na czas ćwierci miliona dolarów – najprawdopodobniej umrze.

Czy zrozumiałby to?

Być może. Ale nawet gdyby znalazła obraz, nie pozwoliłby jej przecież go zabrać. Był właścicielem domu wraz z całym inwentarzem. Obraz, jeśli znajdował się w środku, należał bez wątpienia do niego właśnie.

Jak wyraził to Czwarty? ***Miłość bliźniego i zwykła ludzka Życzliwość pozostaną pustymi pojęciami w świecie Devlina.***

Wierzyła w to. Słyszała, jak traktował Sama, jak niecierpliwił się w obecności Czwartego, jaki był usatysfakcjonowany, kiedy Bradley nagle dostał ataku. Nie mogła mu zaufać. Nie mogła ryzykować, jeśli stawką było życie jej matki.

Devlin siedział spokojnie, ale zaciśnięte wargi zdradzały, jak ciekawy jest odpowiedzi na swoje pytanie?

Odwróciła wzrok.

– Wiem pewne rzeczy. Znam swoje imię. Wiem, że nie lubię, kiedy wzywasz mnie, jakbym była jedną ze służących. Nie powinieneś zresztą nikogo traktować w ten sposób. Wiem, co myślę o życiu i znam swoje zdanie na temat palenia.

Odchylił się i oparł głowę na zagłówku. Oczy przykryła mgła rozczarowania.

– Pewnie nie wiesz tylko, jak doszłaś do tych wniosków.

– Nie wiem.

– Dobrze. – Ręce spoczęły ponownie na kierownicy. – Ale wiedz, że nie dam ci więcej szans.

Serce podeszło jej do gardła.

– W jakim sensie?

– Wiesz dobrze, w jakim. – Patrząc przed siebie, wrzucił bieg i przycisnął mocno pedał gazu.

Przyspieszał coraz bardziej, z piskiem opon wchodząc w liczne zakręty wijącej się drogi. Cisza owionęła ich chłodem i rozłożyła się ciężarem na targanym wyrzutami sumieniu dziewczyny.

A może powinna mu zaufać? Serce podpowiadało jej, że powinna obdarować go szansą. To tylko strach ją powstrzymywał.

– Devlinie, posłuchaj...

Nie wiedziała do końca, co chce mu powiedzieć.

Ale nie miało to znaczenia.

Wchodził ostro w zakręt, gdy poczuł, że kierownica się blokuje. Przeklął głośno i nacisnął hamulce. Czuł ostry ból w ramionach walczących

z zablokowaną kierownicą.

Myśl przyszła w mgnieniu oka.

Nie wyrobi się na zakręcie. Nie ma szans.

TTLR

Rozdział 15

Strach i adrenalina przeszły ciało Devlina po same czubki palców u stóp. Kierownica przestała się zupełnie obracać. Naciskał rozpaczliwie hamulec, starając się opanować choć po części poślizg, w jaki weszło auto na zwirowej drodze.

Przednie koła podskoczyły na dziurze w jezdni. Głębokiej i pełnej deszczu z poprzedniej nocy. Woda prysnęła na wszystkie strony. Gałęzie uderzały już w przednią szybę samochodu. Pnie cedrów pędziły im na spotkanie.

Uderzyli z całą mocą w jeden z nich.

Poduszka powietrzna wyrwała mu kierownicę z rąk.

Samochód odbił się i sunął przez chwilę bokiem, zanim zatrzymał się na kolejnym drzewie.

Poduszki opadły. Ciepły i kojący zapach cedrów, który nie niósł ani odrobiny ciepła, czy ukojenia, roztaczał się wokół intensywnymi falami.

W absolutnej ciszy, która nastąpiła nagle wydawało mu się, że słyszy, jak wali mu serce. A może to było serce dziewczyny?

Obejmowała rękoma głowę.

Do cholery! Wczorajszy upadek a teraz jeszcze to.

– Meadow, co z tobą?

Nie odpowiadała. Była przytomna, ale nic nie mówiła. A jeśli Meadow nic nie mówiła, coś musiało z pewnością być nie tak.

Odpiął jej pas.

– Złamałaś coś sobie? Czy możesz się poruszać?

Dwie minuty temu był na nią wściekły. Dwa razy dał jej dzisiaj szansę na wyznanie prawdy i dwukrotnie mu odmówiła. Innych mężczyzn

obdarzyła więcej niż dwoma uśmiechami.

I jeszcze to jak na niego spojrzała. Z mieszaniną przestachu i groźby. Jakby był niewdzięcznym nędznikiem jak Bradley Benjamin i jego przyboczni.

Być może był do nich bardziej podobny, niż sobie tego życzył, ukłuła go ta myśl jak ostra szpilka.

Zapomniał o tej obawie, gdy Meadow w końcu się odezwała.

– Wszystko ze mną w porządku. – Poruszała różnymi kończynami, by pokazać mu, że nic sobie nie złamała. Wciąż jednak trzymała się z głowę.

Uniósł jej podbródek, by spojrzeć jej w oczy. Były pełne łez. Łez bólu.

– Meadow, czy na pewno czujesz się dobrze? – Powoli wymawiał każde słowo.

– Tak, tak... – powtórzyła.

Oczywiście. Z pewnością czuła się wyśmienicie. Wyglądała tylko, jakby właśnie udało jej się uciec z piekieł. Wszystkie piegi stały się niezmiernie czerwone i uwidoczniły się wyraźnie na bladej cerze. Zamknęła oczy, jakby utrzymanie powiek w górze stanowiło zbyt duży wysiłek i oparła głowę na zagłówku.

Z pewnością cała wściekłość zdołała się gdzieś ulotnić.

– Cholera. Byli w połowie drogi pomiędzy Tajemniczym Ogrodem i Wybrzeżem Amelii. Wyciągnął telefon komórkowy, spojrzał na wyświetlacz i zaklął ponownie. Nie miał zasięgu. Byli sami i bez żadnej ochrony... Rozejrzał się bacznie na boki.

Nadjeżdżał samochód.

Sięgnął do schowka w jeepie, gdzie trzymał pistolet i odetchnął z ulgą, gdy zobaczył Czwartego wyłaniającego się zza zakrętu swoim mini cooperem.

– Co się stało? – Czwarty wysiadł i ruszył biegiem w ich stronę. – Nie zauważyłeś zakrętu?

– Tak. Nie zauważyłem. – Devlin wyskoczył zwinnie z samochodu i otworzył drzwi od strony Meadow. Otoczył ją ramieniem.

– Kochanie, pojedziesz z Czwartym do szpitala.

– Mogę chodzić – powiedziała słabo.

– Ale nie musisz – odpowiedział, niosąc ją w stronę samochodu Czwartego.

Czwarty zerknął na Meadow i niemal przysiadł z wrażenia. Wyglądała jak sto najgorszych nieszczęść.

– Czy aby na pewno dobrze się czuje?

– Nie gadaj. Zabierz ją do szpitala.

Czwarty otworzył drzwi od strony pasażera.

– Czuję się dobrze. Jestem tylko trochę zmęczona – sylabizowała Meadow, nie otwierając oczu.

Wczoraj była żywa i prawie wesoła pomimo feralnego uderzenia w głowę. Dzisiaj wyglądała na totalnie wyczerpaną i Devlin zaczął bardzo żałować, że zdecydował się zabrać ją do miasteczka. Nie powinien jej słuchać tylko zaufać poradzie lekarza. Meadow chyba nigdy się nie uskarżała. Nigdy, dopóki pulsowało w niej życie.

Posadził ją miękko na siedzeniu.

– Chcę, żeby zbadala ją doktor Apps. Dopilnuj, żeby przypadkiem się nie wykręciła. – Położył rękę na ramieniu Czwartego. – Nie pozwól, by jej się cokolwiek stało i nie zostawiaj jej samej ani na chwilę, bo cię zabije. Zrozumiałeś?

– Wiem, wiem. Nawet nie mam ci tego za złe. Sam bym tak zrobił – wyrzucił z siebie Czwarty jednym tchem.

Jego bladość mogła brać się z troski o dziewczynę albo... Z poczucia winy.

Czy Czwarty mógł maczać w tym palce?

Nie, raczej nie. Mógł być na niego wściekły, ale na pewno nie był zawistny. Zawiści nie dopatrzył się w nim Devlin nigdy.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał Czwarty.

– Zadzwoń do Franka Petersona – odpowiedział przez zaciśnięte zęby.

Czwarty znał Franka, mechanika i złotą rączkę.

– Nie sądzę, żeby z tym samochodem dało się jeszcze coś zrobić.

– Też tak nie uważam.

Devlin nie chciał naprawiać samochodu. Chciał odpowiedzi na kilka pytań. Bo wiedział, że ten wypadek, wcale nie był wypadkiem, na jaki wyglądał.

* * *

Louise Woodward, nastoletnia wolontariuszka przy Szpitalu Okręgowym na Wybrzeżu Amelii wybiegła z poczekalni, jakby przynajmniej wybuchł w niej gwałtowny i szybko rozprzestrzeniający się pożar. Zatrzymała się przy stanowisku pielęgniarek.

– Pani Peterson, pani Peterson – wysapała do pielęgniarki.

– Czy widziała pani Devlina Fitzwilliama? Tego, którego dziewczyna miała przed chwilą skan głowy? Zapytałam, czy nie chce filiżanki herbaty i uśmiechnęłam się do niego, a on zareagował, jakby chciał mnie na miejscu udusić.

– Nic dziwnego. Jest w niej śmiertelnie zakochany. Nie słyszałaś? – Jazzmin Peterson, siostra przełożona całego wydziału uśmiechnęła się szeroko do nastolatki. Zwłaszcza na myśl, że ma okazję ją znowu oświecić

w jakiejś materii. – To przecież jego żona.

– Żona! Niemożliwe. Nie jest żonaty. Nie może być żonaty. Kto ci to powiedział? Kiedy się ożenił?

Jazmin oparła się na biurku i przeciągając powoli sylaby, powiedziała głosem, który w jej opinii miał brzmieć tajemniczo.

– To bardzo romantyczna historia. Słyszałam ją od mojego Franka, który pracuje w hotelu. Pomaga w różnych sprawach, zwłaszcza że w hotelu co chwila jest coś do zrobienia i cały czas coś trzeba naprawiać. Tak jakby komuś zależało, żeby coś się cały czas psuło. Wiesz chyba, o czym mówię?

– Słyszałam, że stary Bradley przysiągł, że uśmierci pana Fitzwilliama.

– Też tak słyszałam. Tyle że pan Benjamin ostatnio do nas wpadł i wierz mi, że nie wyglądał, jakby był w bardzo bojowym nastroju. – Jazmin poważnie pokiwała głową. – Zobaczymy, co wykażą skany klatki piersiowej. Mam nadzieję, że nic co by nakazywało przygotowania do dłuższej wędrówki.

– Zostawmy go! – Louise złapała Jazmin za rękaw i potrząsnęła mocno. – Powiedz mi lepiej, kiedy pan Fitzwilliam się ożenił? I jak to zrobił, że nikt się o tym nie dowiedział?

– Poznali się i pobrali wiele lat temu na Hawajach. Tyle że później bardzo się posprzeczali i ona go opuściła. To dlatego pan Fitzwilliam był dla wszystkich taki obcesowy.

– Umierał z niespełnionej miłości i pożądania – powiedziała mądrym tonem Louise.

– Tak, dokładnie tak. Aż do wczorajszego wieczoru, kiedy to wróciła do domu. Spędzili razem noc pełną miłości, a dziś dziewczyna prawie zginęła w wypadku samochodowym. Biedny facet. Wyrzuty sumienia nie

dają mu żyć.

– Och, to takie romantyczne. – Louise przycisnęła ręce do piersi.

– A wszystko to najprawdziwsza prawda. – Frank co prawda powiedział, że mówili jeszcze, że pani Fitzwilliam włamała się do domu, ale to już musiałyby być niesprawdzone ploty. A Jazzmin nie zajmowała się rozsiewaniem plotek tej natury.

Louise, która była przykładową córą Wybrzeża Amelii zapytała zaraz:

– Z jakiej wywodzi się rodziny?

– Nikt tego nie wie. Ale dziewczyna to Jankeska z dalekiej północy. Jedno wiem na pewno: nie jest bogata, sama widziałam, ma odciski na palcach. Odciski, rozumiesz? Na pewno od pracy! – Te odciski sprawiły zresztą, że Jazzmin od razu zapalała sympatią do Meadow.

– A co tu robi młody pan Benjamin?

– Nie chcę zgadywać, ale po mojemu, to też jest w niej na śmierć zakochany – powiedziała jakby ciszej Jazzmin. – To właśnie on ją przywiózł. Dobry Boże, powinnaś to zobaczyć. Był blady jak trup i cały się trząsał.

– To nie fair! – krzyknęła Louise. – Nie może zagarnąć sobie obu.

– A właśnie, że może. – Jazzmine wykonała gest ręką w kierunku końca korytarza. – Patrz, właśnie idą.

Patrzyły na jadący powoli wózek, w którym siedziała blada jak ściana Meadow. Devlin Fitzwilliam szedł koło wózka, trzymając żonę za rękę.

Czwarty szedł za nimi, stawiając chwiejne kroki.

– Czy on, aby nie zaczął ostatnio znowu popijać? – zapytała Louise. – Zawsze go widzę z manierką w kieszeni koszuli.

– A tę manierkę napełnia w posiadłości pana Fitzwilliama. Przynajmniej tak mówi mój Frank. Cały czas tam się błąka jak jakaś

niespokojna dusza. Plotka głosi, że to z jego przyczyny sprzedano Waldemar Fitzwilliamowi.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Młody pan Benjamin zupełnie nie ma głowy do interesów.

Doktor Apps wyszła na próg gabinetu i patrzyła znikającą za drzwiami trójkę ludzi.

Jazzmin jeszcze bardziej obniżyła głos.

– Dr. Apps musiała się zgodzić, na wysłanie jej do domu. Nie chciała, ale pani Fitzwilliam srodze się o to kłóciła. W końcu pan Fitzwilliam powiedział, że dopilnuje, żeby jego żona została w łóżku. Choćby sam miał z nią tam cały czas leżeć. Tak właśnie powiedział. Doktor Apps wyglądała, jakby ją właśnie spoliczkowano.

– Doktor Apps przejawia pewne aspiracje...

– Nie ona jedna. – Jazzmin znacząco popatrzyła na Louise.

– A co? Dlaczego nie? – Louise chwyciła w dłonie i uniosła lekko swoje obfite piersi. – Ładna ze mnie dziewczyna a na Wybrzeżu Amelii nie ma zbyt wielu przystojnych milionerów.

Nie na darmo nazywano ją Niemoralną Louise.

– Devlin Fitzwilliam nie jest przystojnym milionerem, dziecino – zachichotała Jazzmin. – Jest przystojnym miliarderm. I mówię ci, kotku, nie masz co u niego szukać szczęścia.

Rozdział 16

Jordan wpadł do kuchni niczym burza, a Mia znowu podskoczyła ze strachu. Nie mogła się przyzwyczaić do jego sposobu wchodzenia. Zresztą kuliła się ze strachu, gdy tylko był w okolicy. Był przecież taki wymagający. Ryczał zupełnie jak niedźwiedź. A teraz, gdy powiedział, że awansuje ją na pozycję *sauciera*, musiała naprawdę uważać, żeby czegoś nie schrzanić. Jeśli zawiedzie, na pewno znajdzie się na bruku, nie miała co do tego złudzeń. Potrzebowała tej pracy, bo po rozwodzie zostały jej jedynie długi i dwójka nastoletnich dzieci na głowie, które nie wiedzieć czemu na nią wylewały żale po tym, jak ojciec beztróska je porzucił.

– Chodź szybko – zakrzyknął szef kuchni, klaszcząc w dłonie. – Wyjdziemy na ganek i tam poczekamy na panią Fitzwilliam.

– Nie zostaje w szpitalu? – zapytał Christian.

– Tak, zostaje, ale wypuszczą ją z rana, więc przestoimy w oczekiwaniu całą noc! – Jordan przewrócił oczyma. – Nie, nie zostaje w szpitalu, a teraz *pronto*, bo już chyba są.

Mia i Christian szybko zdjęli fartuchy i podążyli za swoim szefem.

Światło słoneczne sprawiło, że Mia musiała zmrużyć oczy. Po chwili musiała na dodatek przetrzeć je ze zdumienia na widok zebranego tłumu. Pracowała przecież w kuchni, nie wiedziała, ilu dokładnie pracowników przebywa w Tajemniczym Ogrodzie.

– Tu musi być z pięćdziesiąt osób – wyszeptała do Christiana.

– Ostatnio słyszałem, że sześćdziesiąt pięć. A sekretarz pana Fitzwilliam przyjmował dzisiaj nowe osoby do pracy.

– Mieszkałam tu przez całe życie, a nie znam połowy twarzy. – Odsunęła się do tyłu, pozwalając przejść Jordanowi, który dalej już torował

sobie drogę, za pomocą wielkiego brzucha. Nienawidziła tłumu i poznawania nowych ludzi. Ale lubiła młodą panią Fitzwilliam i cieszyła się, że Jordan zorganizował takie gorące powitanie.

– Wielu z nich przybyło z mniejszych miasteczek na wieść o pracy. Pan Fitzwilliam przywiózł też ze sobą kilku ludzi z Atlanty. No i na pewno zjawilo się kilka osób tylko na sezon letni. Z tych, co to lubią spać na plaży i cieszyć się słońcem.

– Christian nie pochodził z Wybrzeża Amelii. Jego akcent wskazywałby raczej na okolice Austin. Mieszkał tu jednak wystarczająco długo, by mieć się za eksperta. – To pewnie któryś z nich przeciął przewód płynu do wspomaganie kierownicy.

– O nie! Celowo? – Zaplotła ramiona na piersi.

Christian pokiwał głową.

– Frank powiedział Williamsowi, który powiedział pani Burke, która powiedziała mi, że to się stało, gdy państwo Fitzwilliam z panem Czwartym udali się do Wybrzeża Amelii.

– Pan Czwarty chyba tego nie zrobił, prawda?

Christian zaśmiał się.

– O tak, niezły z niego łobuz, prawda? Słyszałem, że to za jego sprawką stary Benjamin musiał sprzedać to miejsce. Słyszałem, że Czwarty zadłużył się potwornie u Fitzwilliam, a to miejsce było jedyną formą płatności, jaką Fitzwilliam zgodził się zaakceptować.

– Skąd to wiesz?

– Chodzę na lunche z innymi pracownikami. Wiesz, do wspólnej jadalni na przykład. Może powinnaś kiedyś spróbować?

Mia zignorowała ostatnie słowa.

– Są już, są! Przyjechali! – powiedziała, gdy długa limuzyna

podjeżdżała do schodów.

Samochód Czwartego sprawiał wrażenie większej, kolorowej puszki przyczepionej do zderzaka dużego samochodu i ciągnącej się za nim.

– Pani Fitzwilliam to wspaniała kobieta. A jest jego żoną.

– Christian westchnął, wzruszając ramionami. – To dowodzi tylko tego, że facet może zdobyć każdą kobietę, jeśli tylko ma pieniądze. Boję się pana Fitzwilliamia jak ognia.

Mia też czuła przed nim lęk. Był typem człowieka, przed którym czuje się lęk. Ale był dla niej miły, miłszy niż ktokolwiek na Wybrzeżu Amelii. Dał jej pracę, praktycznie bez referencji, bo mogła tylko powiedzieć mu, że pracowała kiedyś jako kucharz w restauracji, którą zamknięto wieki temu. Przedstawił ją nawet Jordanowi, jako stałego pracownika. Kolana może jej się trzęsły, kiedy z nim rozmawiała, ale i tak była mu wdzięczna.

– Nie sądzę, żeby był taki zły.

– Tak? A co powiesz na to, że prawie zwolnił Cecylię, kiedy odrobinę opóźniała się ze sprzątaniami wyznaczonych pokoi?

Mia uśmiechnęła się delikatnie. Mimo wszystko docierały do niej plotki i czasami wiedziała więcej, niż chciała się do tego przyznać.

– Co na to powiem? Ano to, że Cecylia nie powiedziała ci wszystkiego. Złapał ją, gdy ucinała sobie drzemkę, w pokoju, który miała posprzątać. A pozwolił jej zostać tylko dlatego, że samotnie opiekuje się dzieckiem. No i może dlatego, że naprawdę potrzebuje personelu w przeddzień rozpoczęcia sezonu, a stary pan Benjamin ze wszystkich sił rzuca mu kłody pod nogi.

Patrzyli, jak Devlin uniósł Meadow z tylnego siedzenia samochodu.

– O rany! Popatrz. Podnosi ją tak ostrożnie, jakby była ze szkła. – Serce dziewczyny zadrżało jak w dniu, w którym poznała swojego męża,

który niestety miał się wkrótce okazać niezłą szumowiną. – A my nawet nie wiedzieliśmy, że byli małżeństwem.

– Tylko dlatego, że sami trzymali to w tajemnicy. Jej rodzice są bardzo bogaci i...

– Myślałam, że są biedni – odpowiedziała. Pani Fitzwilliam nie zadzierała przecież nosa i była niezwykle miłą osobą. Zupełnie inaczej niż bogacze.

– Ja słyszałem, że są bardzo bogaci.

– A kto to tak naprawdę wie? – Mia miała wrażenie, jakby rozmawiała ze swoimi dziećmi.

– Mówię ci, to zupełnie jasne. Jej rodzina nie chciała, żeby taka śliczna dziewczyna brała sobie za męża takiego bezwzględnego dorobkiewicza i przybłędę.

Czasami Mia miała wrażenie, że Christian gada od rzeczy.

I wcale tego nie lubiła.

– Pan Fitzwilliam nie jest przybłędą. Jest z Charleston.

– Jasne. Tyle że kupuje wszystko, na czym może położyć paluchy. I zaraz zamienia to w zysk. Co innego robią dorobkiewicze?

Chciała się sprzeciwić, ale Christian nie pozwolił sobie przerwać.

– Poza tym, pan Fitzwilliam jest bękartem a jego biologiczny ojciec, to było dopiero ziółko. Był podobno gorszym sukinsynem niż jego potomek.

– Też to słyszałam. – Tłum zafalował lekko, gdy przez jego środek kroczył pan Fitzwilliam z żoną na rękach.

Czwarty postępował za nimi krok w krok. Zerkał niepewnie wokół siebie i co chwila wycierał ręce o spodnie.

Mia nie chciała o tym myśleć, ale wyglądał, jakby trapiły go wyrzuty sumienia. Miała nadzieję, że to nic poważnego. Być może nie był on

człowiekiem zwyczajnie dobrym, ale na pewno nosił w sobie pewne piękno.

– Nie możesz winić jej rodziców za to, że nie chcieli jej oddać takiemu zawziętemu sukinsynowi – powiedział Christian i przykucnął nagle, gdy po jego ostatnich słowach Meadow posłała spojrzenie w tę stronę.

Mia odmawiała cichą modlitwę za zdrowie pani Fitzwilliam i patrzyła na to, jak pan Fitzwilliam przyciska ją do piersi. Sposób, w jaki na nią patrzył, był niezwykły, zupełnie jakby nie dostrzegał wielkiego siniaka na policzku oraz tego, że miała brudne, posklejane włosy a cała nosiła ślady talku z poduszki powietrznej.

Był nią zupełnie oczarowany.

– Kto wie, z czym musi się biedna dziewczyna borykać... – zaczął Christian.

– Przez... Całą... Noc...

– Co? – Christian nie za bardzo zrozumiał.

– Ten facet wygląda jak ktoś... Jak ktoś, kto może bez wytchnienia przez całą noc – powiedziała powolutku Mia.

– Możesz mi wierzyć.

Christian wyglądał, jakby właśnie ugryzł go jego własny, dawno wykastrowany i na co dzień nadzwyczaj spokojny spaniel.

Głupiutki chłopak, pomyślała Mia. Był przekonany, że skoro jestem dwadzieścia lat starsza i nie mówię zbyt wiele, to seks jest dla mnie nieznanym pojęciem. Mia może i była bezpretensjonalna, być może była rozwiedziona a przed rozwodem doświadczała wszystkiego co najgorsze, ale z pewnością potrafiła poznać mężczyznę, który był świadomy swoich możliwości w sypialni.

– Z rana sprawiał takie wrażenie, jakby zupełnie dał się owinać pani Fitzwilliam wokół palca.

– Nie on jeden – odpowiedział Christian i wskazał ręką szefa kuchni.

– Moja mała, chudziutka kruszynka. – Kiedy para mijala Jordana, ten złożył dłonie pod brodą, a w jego oczach zabłyśły łzy. – Zrobię ci pyszny warzywny rosół, który wyleczy cię ze wszystkich chorób i wróci czerwień tym ślicznym policzkom.

– Dziękuję Jordan. – Meadow chciała dodać coś jeszcze, ale Devlin szybko szedł w stronę otwartych drzwi.

– Musi teraz iść do łóżka – powiedział. – I nie wstawać przez najbliższe czterdzieści osiem godzin.

– Ale ja chcę wszystkim podziękować, że okazali tyle serdeczności i czekali tu, żeby mnie przywitać – powiedziała słabo Meadow.

– Możesz wszystkim podziękować za dwa dni. Teraz idziesz do łóżka – odpowiedział, przekraczając próg.

– Widzisz? – wyszeptał Christian. – Mówiłem ci, że jest straszny.

Mia zaśmiała się w duchu z jego naiwności. A w śmiechu była też sympatia granicząca z uwielbieniem dla pani Fitzwilliam.

Może nie dziś w nocy. Może nie jutro. Ale którejś nocy pani Fitzwilliam będzie bardzo szczęśliwą kobietą.

Przez... Całą... Noc.

* * *

Sam wszedł pierwszy i odchylił kołdrę.

Devlin delikatnie ułożył dziewczynę na łóżku i przykrył.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. – Na jej czole wykwitła pionowa zmarszczka.

– Kłamstwo nie zaprowadzi cię daleko. Będzie bolało jeszcze bardziej. – Patrzył na nią uważnie. – Spowoduje więcej kłopotów.

Podskoczyła, jakby wstrząsnął ją elektryczny impuls.

– Nie kłamie!

– Nie musisz robić ze mnie głupka. – Odsunął delikatnie jej włosy znad czoła. – Możesz mi zaufać. Będę się przecież tobą opiekował.

– Dasz mi czterdzieści milionów dolarów? – zapytała drapieźnie.

Jego dłoń zatrzymała się w powietrzu.

– A po cóż ci czterdzieści milionów?

– Gdybyś mi ufał, nie pytałbyś.

– To prawda. – Była rozłoszczona i zachowywała się jak nieznośne dziecko. Doktor Apps powiedziała, że może to tak się objawiać. Meadow nie odniosła żadnych obrażeń, ale była solidnie wyczerpana i zestresowana.

– Musi cię potwornie boleć głowa.

– Pewnie tak – powiedziała niechętnie.

– Masz też zbity nadgarstek i potwornego siniaka na policzku. – Jego kciuk obrysował ciemniejącą na policzku plamę.

– To od poduszki powietrznej, którą dostałaś prosto w twarz.

– Pewnie tak – powiedziała znowu.

Więc możesz się przyznać do tego, że czujesz się słabo.

– Nie czuję się słabo. – Zawahała się przez moment, jakby była na granicy krzywoprzysięstwa, po czym brnęła dalej, z nadzwyczajną stanowczością. – Chcę wziąć prysznic.

– Nie teraz. Sam, przynieś trochę wody. – Devlin wyjął z kieszeni butelkę pigulek i wysypał jedną na otwartą dłoń.

Sam ruszył do łazienki.

– Jestem brudna. Mam na sobie ten talk z poduszki powietrznej. – Potarła przedramionami, a biały proszek zaczął unosić się w powietrzu.

– Jutro możesz wziąć kąpiel.

– Nie *chcę* kąpieli. Chcę wziąć *prysznic* i chcę go wziąć teraz.

– Jak tylko tabletki zaczną działać, możesz wstać i wziąć prysznic.
– Czy masz mnie za idiotkę? Myślisz, że nie wiem, jak działa ta tabletki?

– A wiesz jak?

– Ma mnie uśpić!

– Więc mamy problem, nieprawdaż? – Devlin wyjął szklanke z rąk Sama i podał jej pigułkę. – Przynajmniej, kiedy zaśniesz, nie będziesz myślała o tym, że jesteś cała brudna.

Odwróciła głowę, marszcząc nos.

– Nienawidzę lekarstw.

– Musisz zasnąć.

– Napiję się rumianku.

Devlin oddał Samowi szklanke i pigułkę. Przysunął się do niej, starając się przycisnąć swoje biodro do jej biodra. Przełożył lewą rękę nad jej ciałem i pochylił się tak nisko, że ich nosy prawie się dotykały.

– Kochanie, za czterdzieści osiem godzin możesz wstać, by oczarować mój personel, zmiażdżyć pewność siebie starych przyków z Wybrzeży przy użyciu swych ciętych ripost i ogólnie powrócić do bycia Meadow. Ale teraz, będziesz robiła dokładnie to, czego od ciebie chcę.

– A jak zamierzasz to wyegzekwować? – W jej błękitnych oczach paliły się żywe iskielki.

– Na początek, niech wystarczy to, że jeśli nie weźmiesz pigułki, wejde do łóżka i tak długo będę się z tobą kochał, aż zaśniesz w moich ramionach.

– Devlin! – Oczy Meadow były szeroko otwarte i przerażone. – Nie w obecności Sama!

– W takim razie, weź lepiej pigułkę. – Devlin wziął z rąk swojego

stoickiego sekretarza szklanę i tabletkę. Pomógł jej podnieść się trochę na łóżku i patrzył, jak połyka pigułkę.

– Teraz zaśnij. Będę tutaj, gdybyś mnie potrzebowała.

Odwróciła się do niego plecami.

– Nie będę cię potrzebowała.

– I tak tu będę. – Przyklepał kołdrę i odwrócił się do Sama.

– Popracujemy w salonie.

– Tak jest. – Sam ruszył w stronę drzwi.

– To tyle, jeśli chodzi o bycie tutaj – wymruczała.

Devlin wyszedł do łazienki, namoczył tam mały ręcznik i wrócił do łóżka.

– Odwróć się – poprosił.

Odwróciła się, a Devlin prawie się zaśmiał, ujrawszy nadąsaną, pełną niemego wyrzutu twarz umorusaną talkiem.

– Proszę. – Delikatnie przesunął mokrą szmatką po jej policzkach, czole i brodzie.

Jej oczy zamknęły się do połowy w słodkim uczuciu ulgi i szczęścia.

– I jak? Czyż nie jest przyjemniej? – zapytał.

– O tak. Dziękuję. – Wierzchem dłoni potarła nos. – Przepraszam. Byłam strasznie niewdzięczna.

– Nie powiedziałbym niewdzięczna. Byłaś jak rozwydrzony dzieciak. Delikatnie przetaił jej usta, a następnie ją pocałował. Jej usta były aksamitne i nieruchome, ale gdy poczuła dotknięcie jego ust, odpowiedziała. Niechętnie być może i ledwie odrobinę, ale wydawało się, że nie potrafiła mu się przeciwstawić.

– Spróbuj zasnąć.

Pokiwała głową, jej powieki zamknęły się zupełnie.

Ostatni raz pogłaskał ją po włosach, wrzucił ręcznik do łazienki, po czym wyszedł do salonu.

Sam siedział przy stole, laptop był włączony.

Devlin znalazł Sama osiem miesięcy temu przez ogłoszenie o pracy tymczasowej dla sekretarza. Sam potrafił się zaprezentować jak ktoś specjalnie przez naturę predestynowany do funkcji asystenta administracyjnego i spraw organizacyjnych. Udowodnił, że potrafi być niezastąpiony i nigdy, ale to przenigdy nie wyjawiał Devlinowi czegokolwiek dotyczącego jego życia osobistego.

Devlinowi w pełni to odpowiadało.

Teraz Sam patrzył na niego bez uśmiechu.

– Przewód z pewnością był przecięty. Spowodowanie wycieku płynu z układu kierowniczego, to jednak nie do końca próba morderstwa.

– Tak, ale pewne prawdopodobieństwo powstaje. – Devlin zajął miejsce przy biurku. – Ktokolwiek to był, prawdopodobnie stara się mnie pozbyć. Być może chciał przeciąć przewód hamulcowy i dokonać morderstwa?

Sam pokiwał głową.

– To prawda.

– Któż miałby motyw, by szukać mojej zguby?

– Lista byłaby krótsza, gdybyśmy zapytali o tych, którym brak motywów. – Sam nie żartował. Po prawdzie, to jak bardzo mógł ocenić to Devlin, Sam był zupełnie pozbawiony wszelkiego poczucia humoru.

– Nie przesadzaj, Sam. Trzymajmy się faktów.

– Jak pasuje ci w tej roli Bradley Benjamin Czwarty. Albo jeszcze lepiej Bradley Benjamin Trzeci? Albo ktokolwiek na Wybrzeżu Amelii, komu hotel nie przypadł do gustu. Albo ktoś, kogo rozzłościłeś, z tej, czy

innej przyczyny. Imię jego jest legion. Albo przedstawiciele konkurującej z twoją hotelowej sieci, albo...

– Dobrze, już dobrze. Rozumiem wynikłe trudności. Nie wierzę tylko w przypadki i nie daje mi spokoju fakt, że Czwarty zjawił się w miejscu wypadku po pięciu minutach. – Nie dawał mu też spokoju fakt, że ktoś zranił Meadow, choć to on był celem.

Ten fakt właściwie wzniecił w nim nieopisany gniew.

– Skontaktowałem się z Gabrielem Prescottem. Wyśle dziesięciu najlepszych ludzi. Tajemniczy Ogród będzie pod dwudziestoczterogodzinnym, ścisłym nadzorem.

– Dobrze. – Ufał Samowi w kwestiach organizacyjnych i zadowolął się przyjmowaniem raportów. – Co z werandą?

Słuchał wyjaśnień sekretarza na temat zniszczeń i przedsięwziętych środków, ale słowa zaraz ulatywały jego uwagi. Cały czas myślał o tym, jak w tę niebezpieczną grę wciągnął Meadow. Miał nadzieję, że dziewczyna będzie pomocna i użyteczna w jego planach, no i oczywiście, że nie poniesie żadnego szwanku, może poza zawiedzionymi uczuciami.

Tyle że prawie udało mu się ją zabić.

Nie była jego żoną, ale na pewno był za nią odpowiedzialny. Był przy tym mężczyzną, który bardzo poważnie traktował swoje zobowiązania.

I kiedy tylko znajdzie sukinsyna, który zranił Meadow... Zabije go.

Tu nie przewidywał żadnych komplikacji.

Rozdział 17

Telefon Czwartego rozbrzmiał przeraźliwym dzwonkiem, wyrывая swojego właściciela ze snu i powodując stek przekleństw wypowiedzianych niewyraźnie i bez otwierania oczu.

– Czego chcesz człowieku ode mnie o tej straszliwej godzinie? – Czwarty z najwyższym wysiłkiem zerknął na ścienny zegar wskazujący dziewiątą rano.

– Panie Benjamin, jakże miło znów pana słyszeć.

Ciepły, głęboki ton Południowca sprawił, że Czwartemu szybko przeszła ochota na sen.

– Pan Hopkins. Jak zdobył pan...

– Numer do pana? Mam swoje sposoby. Myślałem, że zdążył pan to pojąć.

– Tak, proszę pana. Zdążyłem. – Światło słoneczne oślepiło Czwartego. Głowa pulsowała wieloma odcieniami bólu. Nie mógł jednak wyciągnąć się rozluźniony w łóżku, gdy słyszał w słuchawce głos tego sukinsyna.

Właściwie to nigdy nawet nie widział jego twarzy. Na moment przed tym, jak ktoś go ogłuszył, dostrzegł błysk siwych włosów i coś na kształt poświaty, jaką zostawiały za sobą głęboko niebieskie oczy. Kołatało się w nim jeszcze wspomnienie opadającego podbródka i zgarbionych ramion.

Ale zawsze rozpoznawał głos. Bo to był głos samego jądra zła.

– Jak idzie polowanie? – zapytał Hopkins.

– Nie miałem jeszcze okazji wszystkiego sprawdzić, ale...

– Nie interesują mnie usprawiedliwienia. Chcę tego, co zostało mi obiecane.

– Wiem, wiem... Tylko... Jest pan pewien, że on tam jest? Że w ogóle istnieje?

– Czy chce pan unieważnić naszą umowę? – Ton się nie zmienił. Głos pana Hopkinsa brzmiał szczerze i wyrażał zaledwie uprzejme zainteresowanie.

Ale Czwarty już raz nie docenił możliwości tego człowieka. I nie zapomniał nauczki.

– Nie, nie! Tyle że, mieszkałem tam przez wiele lat i po prostu nie pamiętam obrazu, który wyglądałby tak, jak pan go opisał.

– Nie jest pan od myślenia. Ma pan po prostu szukać. Proszę pamiętać o tym, co się stało, gdy ostatnio próbował pan obejść naszą umowę.

Czwarty przebiegł palcami po bliźnie na uchu.

– Pamiętam – powiedział słabo.

– Mógłbym teraz trzymać resztę pana ucha w dłoni. Albo na przykład palec. Albo mógłbym przypadkiem zranić kogoś, na kim panu zależy.

Czwarty otarł pot z czoła i zdał sobie sprawę, że stoi przy łóżku, choć w ogóle nie zanotował momentu, w którym z niego wstawał.

– Co to ma znaczyć?

– Kiedy człowiek jest taki niezwykle przyjacielski – a przy okazji bezużyteczny – jak to jest w pana przypadku, ma w swym głupim zwyczaju troszczyć się o przyjaciół, prawda? Na dodatek ktoś taki, jak pan, ma wielu przyjaciół, a to, powiedzmy, poszerza moje spektrum...

Czwarty usłyszał, że ostatnie zdanie było wypowiedziane z uśmiechem i szybko połączył fakty.

– Przeciąłeś przewód w samochodzie. Przeciąłeś go. – Niemal krzyczał.

– Proszę nie zaprzestawać poszukiwań, panie Benjamin. Proszę nie

zaprzestawać a nikomu nie stanie się krzywda.

Czwarty usłyszał ciche kliknięcie, kiedy jego rozmówca odłożył słuchawkę. Gapił się przez moment na rękę zaciskającą się na telefonie. Gdyby coś stało się Devlinowi... Devlin traktował go z góry, ale tak, jak traktuje się młodszego brata, przy lada okazji wytykając mu wszystkie wady. Wczoraj na Wybrzeżu Amelii położył mu rękę na ramieniu. Po raz pierwszy od dnia, w którym za sprawą Czwartego tyle legło w gruzach Devlin przypomniał mu o wydarzeniach, które tak silnie ich ze sobą związały.

A Meadow? Była przecież najcudowniejszą kobietą, jaką zdarzyło mu się poznać. Oczywiście nawet nie patrzyła za bardzo w jego stronę. Kobiety, którymi zainteresowany był Devlin, nigdy tego nie robiły. Ale lubił ją. Naprawdę zupełnie szczerze i bezinteresownie ją lubił.

I Hopkins zdołał się o tym dowiedzieć.

Ktoś musiał ich blisko obserwować i meldować o wszystkim panu Hopkinsowi.

Musiał znaleźć obraz jak najszybciej, zanim Devlin, Meadow albo on sam padną ofiarą mordu.

* * *

– Najbardziej podoba mi się Josh i Reva. – Meadow podsunęła pod głowę jeszcze jedną poduszkę, żeby lepiej śledzić losy bohaterów serialu na pięćdziesięciocalowym, wiszącym na ścianie ekranie.

– Są strasznie starzy. – Katie miała szesnaście lat i była najmłodszą z siedmiu pokojówek zebranych w pokoju Meadow, oglądających telewizję i zajadających się przysmakami przygotowanymi przez Jordana.

– Siedź cicho. Nie są wcale starzy. Są klasyczni.

Rashida, czarnoskóra wysoka pokojówka otworzyła torbę na lunch i

wyciągnęła z niej kanapkę. Torbę położyła sobie na kolanach, żeby łatwiej zebrać okruszki.

– Weź lepiej moją tacę – powiedziała Meadow, unosząc ją z łóżka. – Będzie ci łatwiej.

– Dziękuję pani, pani Fitzwilliam. – Rashida trąciła łokciem Buzzy siedzącą obok niej na sofie. – Widzisz? Mówiłam ci, że mnie lubi najbardziej.

Buzzy odpowiedziała kuksańcem i zaśmiała się głośno.

– Stara głupiutka baba! Nie masz o niczym pojęcia. Lubi cię tylko dlatego, że mnie jeszcze nie zna.

Kobiety różniły się wiekiem i kolorem skóry, ale były najlepszymi przyjaciółkami o długiej historii przyjaźni.

Meadow patrzyła na nie z zazdrością. Jej najlepsza przyjaciółka była w tym momencie setki mil stąd w dalekim Waszyngtonie. Córka rosyjskich imigrantów uwielbiała spędzać z nią czas. Problemem było tylko to, że Meadow ostatnio nie potrafiła znaleźć jednej wolnej chwili, by pobyć trochę z Tris. Kiedy lekarze powiedzą, że Sharon jest już zdrowa...

Kiedy Sharon wyzdrowieje, Meadow odwiedzi mały domek Hunterów. Będzie uważała na Konstantyna – przykładnego rosyjskiego patriarchę – wielkiego, silnego i wzbudzającego mieszanię szacunku i lęku. Pobawi się z braćmi Tris. Zorana przygotuje im jedzenie w koszyku, a one wybiorą się na piknik do lasu i Meadow opowie Tris wszystko o Devlinie...

– Najbardziej podobają mi się Gus i Harley. Też są klasyczni. – Katie usiadła na perskim dywanie, balansując miską z popcornem.

– To było wspaniałe, jak została niesłusznie oskarżona o morderstwo i musiała cierpieć.

– Czy to Harley? – Meadow wskazywała telewizor, garścią nabierając

popcornu.

– To jest Tammy – powiedziała Buzzy. – Pani Fitzwilliam, czy mogę użyć telefonu, żeby zadzwonić do mamy? Jest sama w domu i dzwonię do niej podczas przerwy na lunch – dodała pośpiesznie. – Już pytałam pana Fitzwilliama i wyraził zgodę na używanie linii hotelowej.

– Oczywiście, nie ma nic przeciwko temu. – Meadow podała jej słuchawkę i patrzyła, jak dziewczyna wybiera numer.

– Mama też ogląda *Guiding Light*, więc zawsze robimy podsumowanie podczas przerwy na reklamy. – Odwróciła wzrok i dalej mówiła już do słuchawki. – Hej mammo! Widziałaś, co się stało?

– Jej matka ma stwardnienie rozsiane – powiedziała cicho Rashida. – Buzzy się nią opiekuje. Nie jest to łatwe, ale są ze sobą bardzo blisko.

Meadow pokiwała głową. W pełni rozumiała. Choroba Sharon była niezłą próbą dla całej rodziny a obawa i ból tylko ich zmieniły. Wszyscy zdawali się żyć bardziej uważnie, celebrować wszystkie istotne i mniej istotne momenty, smakować dane emocje, okazywać wdzięczność życiu.

Patrzyła ciepło na Buzzy rozmawiającą z matką, słuchającą cierpliwie odpowiedzi, gestami podkreślającą zaangażowanie.

– O rety! Reklamy już się kończą. Zadzwonię do ciebie na następnej przerwie, mammo, dobrze? Też cię kocham. – Buzzy rozłączyła się i oddała słuchawkę Meadow. – Dziękuję pani, pani Fitzwilliam.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała Meadow.

– Niektóre dni są lepsze, inne gorsze. – Buzzy mówiła w taki sposób, że Meadow wiedziała od razu, że jej mama musi cierpieć.

Meadow przełknęła. Od kiedy lekarze postawili diagnozę, nie rozstawała się właściwie z matką. Wiedziała, że sama jej obecność nie może pomóc, że tydzień poza domem z pewnością nie pogorszy jej stanu zdrowia,

ale niepokój czał się na dnie jej duszy. Czał się i rósł z każdą godziną. Chciała do niej zadzwonić, ale obawiała się, że Devlin sprawdzał listę telefonów wykonywanych z tego pokoju. Sharon co prawda powtarzała zawsze, że jeśli jest chęć znajdzie się i sposób, ale...

Gdyby tylko mogła znaleźć jakiś sposób.

Nagle spłynęło olśnienie. Gdyby wszystkie pokojówki dzwoniły z jej telefonu, skomplikowałyby to niezłe sprawę komuś, kto wczytywał się w billingi. Usiadła prosto i oznajmiła:

– Wszystkie możecie używać telefonu w tym pokoju. Kiedy tylko chcecie. Nawet do rozmów zamiejscowych.

– Możemy używać go do rozmów zamiejscowych? – Rozpromieniła się Katie. – Bo mój chłopak mieszka w Wisconsin i moi rodzice wściekają się strasznie, kiedy przychodzi do płacenia rachunków.

– Pani Fitzwilliam chyba nie ma na myśli... – zaczęła Rashida.

– Naprawdę. Nie żartuję. – Meadow obdarzyła wszystkich w pokoju szerokim, szczerym uśmiechem pod tytułem *wszyscy jesteśmy rodziną*. – Będę szczęśliwa, jeśli dasz mi znać czy wszystko w porządku z twoim chłopakiem. To się tyczy wszystkich. Nie zapominajcie o rodzinach.

Katie wyciągnęła rękę.

– Mogę zadzwonić już teraz?

– Ja będę następna powiedziała Shelby.

Meadow oparła się wygodnie o poduszkę i miała nadzieję, że jej plan się powiedzie. Zanim skończył się kolejny spot reklamowy, Shelby podała telefon Rashidzie, która zadzwoniła do brata w Kaliforni.

Kiedy kolejna część show rozpoczęła się na ekranie, Teresa, serialowy ekspert wskazała ekran i powiedziała do Meadow.

– Kiedy Tammy była mała mieszkała w sierocińcu, ale jej mama

wyszła za mąż, więc zamieszkała z nią i przybranym ojcem, ale on umarł, więc jej mama poślubiła księcia, ale wtedy jej prawdziwy ojciec ją porwał i...

Meadow odkryła już, że pobieżna charakterystyka każdej z serialowych postaci może zająć ponad godzinę, więc przerwała szybko.

– Więc ona jest właściwie dobra, tak?

Loki Teresy zafalowały, gdy pokiwała energicznie głową.

– Tak, ale jakie z niej biedactwo.

– Myślę, że jest głupia – powiedziała Katie. – Wszyscy widzieli, że Jonathan to podrywacz a ona się z nim przespała i nawet podkładali ogień...

W pokoju rozpętała się nieprzewidziana przez Meadow burza.

– Ale ona jest taka słodka.

– To on był zły.

– Teraz ma lepiej!

– Dobrze jej tak, a nie żadne: ma lepiej!

Powietrze iskrzyło błyskawicami emocji, których wyładowania przecięło wejście Devlina. Przecięło oczywiście szybko i bardzo skutecznie.

Chłodnym wzrokiem omiół rozgrywającą się przed nim scenę.

– Co się tutaj dzieje?

Meadow uniosła brodę.

– Grupa druga je ze mną lunch.

Wymuszał na niej zalecony odpoczynek. Stał obok, gdy brała prysznic, zabierał ubrania i dawał świeżą piżamę i szlafrok. Donosił jej posiłki na tacy, zaciągał zasłony, kiedy uważał, że dziewczyna potrzebuje więcej snu. Co gorsza, zawsze miał racę. W jakiś niewytłumaczalny sposób rozpoznawał u niej ból głowy. Wychwytywał oznaki zmęczenia.

Obserwował ją.

Meadow paliła się do akcji. Chciała przeszukać hotel jak najszybciej i uciec z tego miejsca, zanim... Zanim Devlin zdecyduje się dotrzymać swojej obietnicy i zechce spędzić z nią noc. Jedno wiedziała na pewno, tym razem nie uda jej się z tego wybronić. Devlin nie angażował się w przelotne romanse. Wszystko w nich musiało być pełne pasji, namiętności i desperacji posuniętej do granic. A Meadow nie miała czasu. Musiała znaleźć obraz szybko i wynosić się stąd do diabła. Była potrzebna matce. Była potrzebna całej rodzinie.

Dlaczego więc myślała o całym przedsięwzięciu bardziej niż o ucieczce? Czy zapominała o misji?

– Powinnaś odpoczywać – zerknął na telewizor i zmarszczył brwi.

Lepiej, żeby nie próbował przegonić pokojówek. Lepiej dla niego.

– Odpoczywam przecież – wycodziła wrogo. – Odpoczywałam przez ostatnie czterdzieści godzin. Widzisz? Leżę w łóżku, mam poduszki i środki przeciwbólowe, dzięki którym czuję się *wyśmienicie*. – Zmrużyła oczy, patrząc Devlinowi prosto w twarz. – *Wyśmienicie*.

– Jak twoja głowa?

– *Wyśmienicie*.

– To chyba ten lek, przeciwbólowy, Vicodin – wyszeptała Rashida.

– Widzę, widzę. – Buzzy z trudem powstrzymywała śmiech.

– Kiedy druga grupa pokojowych skończy lunch, będziesz odpoczywała – powiedział Devlin.

– Oczywiście, że będę. Tak jak to właśnie robię. Bo musisz wiedzieć, że przychodzi do mnie zaraz trzecia grupa pokojowych. Będą oglądały Oprah Winfrey Show, a Oprah ma dziś w studiu Hugh Jackmana, który będzie opowiadał o najnowszym filmie. Może nawet zaśpiewa piosenkę... – zaczynała mówić wolniej, gdy jej uwaga dryfowała w stronę ekranu, na

którym piękny, wspaniale zbudowany mężczyzna klęczał w gęstwinie krzaków, ściskając w ręku łom.

– Czekaj, kto to podgląda Tammy?

– O mój Boże! – Teresa wstała gwałtownie i wyciągnęła przed siebie palec. – Uwierzycie w to? On wrócił!

– Nie wierzę! – krzyknęła Katie.

– Mówiłam wam! Dokładnie tak mówiłam! – Buzzy westchnęła głośno, nie odrywając wzroku od ekranu.

Devlin stał wśród rozkrzyczanych kobiet. Samotny samiec w morzu estrogenu.

– Kto? – Meadow podniosła się na łokciach i pozostała w półleżącej pozycji na łóżku. – Kto? Kim on jest?

Devlin zwinnie znalazł się przy niej, złapał ją za ramiona i ułożył ją płasko na plecach. Trzymał ją tak długo, aż przestała się wyrywać. Ani na moment nie przestawał jej patrzeć w oczy. Powiedział w końcu:

– Postępuj według zaleceń lekarza. Nie pozwolę, żebyś rozchorowała się poważnie tylko z powodu swojej krnąbrności. Możesz oglądać ten serial. Możesz obejrzeć Oprah. Ale tylko, jeśli obiecasz, że później odpoczniesz.

Był tak dominujący, taki macho, taki... Seksowny.

Sprawił, że chciała zapleść wokół niego nogi, pociągnąć na siebie i pokazać mu dokładnie jak pełna energii się czuła.

Jakie to upokarzające, odkryć, że zachowanie przystające jaskiniowcowi, tak mocno ją podniecało. Była gotowa oddać mu się tu i teraz.

Była jednak w pełni świadoma całej, skupionej uwagi pokojówek z grupy drugiej. Poza tym była pewna, że nie wytrzymałaby stosunku z Devlinem. Nie dlatego, że była krucha i delikatna. O nie! Po prostu

wszystkie jego cechy, sposób, w jaki się nad nią nachylał, uścisk dłoni na ramionach, zapach sandałowego drzewa i cytryny oraz ta aura seksualnej dominacji, sprawiły, że była pewna, że zemdlałaby z nagromadzenia rozkosznych wrażeń.

Była za młoda, by umierać.

– Dobrze – powiedziała cicho. – Później odpocznę.

Skinął głową tylko raz, nie miał wątpliwości, że zrobi tak, jak jej kazano.

Meadow uniosła się na łokciach, jej policzki były mocno zaróżowione, oddech przyśpieszony.

– Do widzenia paniom. – Skłonił się uprzejmie i wyszedł.

Każdy jego krok śledziło osiem par oczu.

– O rany! – wyszeptała Katie, kiedy wyszedł.

– Sama nie powiedziałabym tego lepiej. – Oczy Rashidy były szerokie ze zdziwienia.

Wszystkie patrzyły na Meadow z tym rodzajem dobrotliwej zazdrości. Nikt nie zwracał uwagi na wjeżdżające na ekran końcowe napisy serialu

Guiding Light.

O tak, Meadow musiała stąd zwiewać. Szybko.

Postanowiła zaryzykować, choć obiecywała sobie, że tego nie zrobi.

Odchrząknęła cicho.

– Zastanawiałam się nad... To znaczy... Chciałabym powiesić tu jakiś inny obraz. – Wskazała palcem reprodukcję „Lilii wodnych” Moneta.

Doprawdy, co za nudny obraz. W istocie przydałoby się zastąpić go innym.

– Kiedy zwiedzałam hotel, jeden obraz rzucił mi się w oczy. Nie pamiętam tylko gdzie. Wyglądał jak olejny obraz flamandzkich mistrzów z

siedemnastego wieku. Scena domowa z gotującą kobietą i mężczyzną uczącym czegoś dzieci. Czy może któraś z was go widziała?

Wszystkie pokręciły głowami.

– Silne efekty świetlne, ciepłe kolory, duch spokoju i zamyślenia. – Próbowała nazwać po imieniu elementy, które czyniły obraz niezapomnianym.

Tylko pytające spojrzenia. Żadnego odzewu.

Miała nadzieję, że ktoś z obsługi widział obraz i naprowadzi ją na trop. Zamiast tego ryzykowała, że któraś z pań wspomni o tej rozmowie Devlinowi. Stanie się czujny. Prawdopodobnie sam poszuka obrazu, a później dowie się, dlaczego jest on dla niej tak ważny. Z pewnością dysponował narzędziami, by tak uczynić. Rozczarowanie było gorzkie.

– Jeśli wpadnie wam w oko, czy dacie mi znać?

– Oczywiście, pani Fitzwilliam. – Rashida wstała z sofy.

– Chodźcie dziewczęta, czas wracać do pracy.

Buzzy też się podniosła.

– Pani Fitzwilliam, jeśli pani chce, możemy powiedzieć dziewczynom z grupy trzeciej, żeby zjadły lunch gdzie indziej. Przecież musi pani odpoczywać, żeby... No wie, pani... Później... – Brodą wskazała drzwi, za którymi zniknął Devlin.

Wszystkie zachichotały jak na komendę.

– Nie, nie trzeba. Czuję się dobrze. Pan Fitzwilliam po prostu robi z igły widły. – Meadow zaczerwieniła się po czubki uszu.

– Ach, to tak się teraz nazywa. – Teresa podniosła swoje pudełko na lunch. – Ile jeszcze dni będzie pani leżała w łóżku?

– Mogę wstać dziś wieczorem.

– Na pani miejscu akurat dziś wieczorem wcale nie miałabym ochoty

wstawać – powiedziała Buzzy.

Kobiety wychodziły, śmiejąc się głośno.

– Święte słowa! Święte słowa! – Dobiegło ją jeszcze z korytarza.

TTLR

Rozdział 18

Kiedy Meadow weszła do biura, Sam już czekał, wpatrując się w drzwi.

– Pani Fitzwilliam. W czym mogę służyć?

– Przyszłam, żeby zobaczyć się z mężem. Chcę mu pokazać, że zupełnie odzyskałam zdrowie – w rzeczywistości przyszła, żeby zobaczyć, jakimi obrazami udekorował swoje biuro. Chciała przecież jak najszybciej opuścić posiadłość i liczyła się każda minuta. Musiała wydostać się stąd, zanim przyjdzie jej spędzić kolejną noc w ramionach bardzo ciepłego, aktywnego i przepelnionego pożądaniem Devlina.

– Twój powrót do zdrowia to dla nas wszystkich prawdziwa ulga. – Głos Sama pozbawiony był choćby cienia emocji.

Była przekonana, że któregoś dnia, złapie natchnienie i uda jej się wywołać na tej twarzy radosny uśmiech.

– Pan Fitzwilliam jest chwilowo zajęty. Zaczekasz chwilę? – zapytał.

– Jasne. – Drobnymi leniwymi krokami obchodziła biuro.

– Miejsce jest genialnie wybrane i urządzone – dodała.

Pokój był przestronny i umeblowany z niebywałym smakiem. Wielkie okna wyglądały na ocean, szafki na dokumenty wykonane z wysokiej klasy dębu, nowoczesna wielofunkcyjna kopiarka i zupełnie pozbawione istotnej wartości obrazy na ścianach.

Cholera.

Podeszła do jednej z szafek.

– Co robiłeś przed rozpoczęciem pracy dla pana Fitzwilliama?

– Sam uniósł wzrok i zasepił się.

– Nie, żebym ulegała stereotypom, patrząc na mężczyznę pracującego

na stanowisku sekretarki.

– Asystenta wykonawczego.

– Aha. Właśnie. Asystenta wykonawczego. To miałam na myśli. Ale chyba... – Przypatrzyła mu się uważnie, z *tym paskudnym wyrazem twarzy, umiejętnością podporządkowania się i z tymi cholernie spostrzegawczymi* oczami, myślała.

– Wyglądasz raczej na generała – powiedziała w końcu na głos albo *seryjnego mordercę*, znów dodała w myślach. – W każdym razie sprawiasz wrażenie, kogoś, kogo codziennym Chlebem jest zarządzanie.

– Zarządzanie jest moim codziennym chlebem. Zarządzam czasem pana Fitzwilliama i znaczną częścią jego organizacji.

– Sam powrócił do tasowania papierów.

– Jestem pewna, że pan Fitzwilliam jest niebywale rad, mogąc korzystać z twoich usług. – Jakoś powoli traciła ochotę na zadawanie prywatnych pytań. Może rzeczywiście był *seryjnym mordercą*? – Gdzie znajdę jakiś plan tego hotelu? Cały czas się gubię.

– Leżą na sekretarzyku przy wejściu. Cała góra planów.

Wzięła jeden, złożyła i wsunęła do kieszeni.

– A przestałaby się pani gubić, gdyby pozostała pani w swoim pokoju.

To, że jej nie lubił, stało się całkiem oczywiste. Wiedział przecież, że włamała się do domu i podejrzewał, że w rzeczywistości nie była żoną Devlina. To oczywiście mogło tłumaczyć jego negatywne nastawienie do Meadow, ale dziewczyna nie chciała się tak łatwo poddać.

Nudzę się. Rozumiesz, Sam? Ty, jak widzę, uprzyjemniasz sobie czas sportem, jesteś bardzo wysportowany. Grasz w football, jak Devlin?

– Ćwiczę hantlami i biegam. To najskuteczniejsze metody utrzymania kondycji i spalania kalorii.

– A co robisz dla zabawy?

– Zabawy? – Zmarszczenie brwi świadczyło o głębokim niezrozumieniu pytania.

Jasne. Przepytując Sama w ten sposób, mogła natykać się tylko na kolejne nieprzekraczalne bariery. Zerknęła na otwarte drzwi prowadzące do biura Devlina i przemknęła na paluszkach w tę stronę.

– Nie usiądzie pani choć na chwilę? – To był sposób, niezbyt subtelny zresztą, w jaki Sam zachęcał ją do tego, by wreszcie usiadła i się zamknęła.

– Dobrze – powiedziała, zajmując miejsce na krześle vis – h – vis nieprzystępnego asystenta wykonawczego i obdarzyła go szerokim uśmiechem. Usta Sama nawet nie drgnęły.

– Pewnie pan Fitzwilliam obarcza cię dużą ilością pracy? Zawsze pracujesz do późna? – Zerknęła na zegarek wiszący na ścianie. – Już jest po piątej.

– Tak, obarcza. Tak, zostaję po godzinach i tak, już jest po piątej.

Och, nasz Sam nie jest mistrzem podtrzymywania uprzejmej konwersacji.

– W takim razie, o której z reguły kończysz?

– Czasami bardzo późno. Akurat zamykam autoryzowanie listy zakupów na następny tydzień. I muszę szybko się z tym uporać. – Przeniósł wzrok na monitor i zaczął coś pisać na klawiaturze.

– Niezły macie tu telefon. – Obracała na biurku i przyglądała się ze wszystkich stron skomplikowanemu urządzeniu. – Ma cztery niezależne linie. Wszystkie odbierasz?

– Tak, wszystkie.

– Czy to wszystkie linie hotelowe?

– Nie, ale mogę monitorować użycie telefonów hotelowych na tej

tablicy rozdzielczej. – Wskazał ręką elektroniczny panel wiszący na ścianie.
– Na przykład zauważyłem, że aparat telefoniczny w pani pokoju jest nieustannie w użyciu od godziny jedenastej. – Na jego czole pojawiła się zmarszczka.

– Fajnie, prawda? – zapytała radośnie. – Czy teraz też go ktoś używa?

– Tak, jedna z pokojówek, jak przypuszczam.

– Też tak przypuszczam. Możemy posłuchać.

– Podśluchiwanie rozmów w hotelu jest łamaniem prawa. Nie możemy tego zrobić.

– Ojej. – Z radości prawie zatarła ręce.

– Czy masz jeszcze jakieś pytania? – Zanim Meadow zdążyła coś powiedzieć, uniósł dłoń i dodał szybko. – Bo ostatnio nie spałem zbyt wiele, a nie będę mógł zasnąć, dopóki nie skończę tej pracy i jeszcze jednej, którą muszę dziś wykonać.

Obrażalski. Nie zna się na żartach.

– Nie chcę zawracać ci głowy. – Patrzyła na jego zwinne palce mknące po klawiaturze komputera.

Nie wiedziała, czy tak bardzo poświęcał się pracy, czy może był odporny na jej urok i czar. W każdym razie nie poświęcał jej ani odrobiny uwagi.

Wstała i podeszła do kopiarki.

– Pewnie jest często w użyciu, prawda? – zaczęła od nowa.

– Tak.

Gdyby tylko mogła zerknąć do biura Devlina tak, żeby właściwie jej nie zauważył. Niby mimochodem znalazła się przy samych, na szczęście lekko uchylonych drzwiach.

Słyszała głosy. Wyraźny, południowy akcent Devlina i cienki,

przestraszony, kobiecy głosik.

– Bardzo mi przykro, proszę pana. Ale obiecuję, że to się nie powtórzy. Przynajmniej... Postaram się, żeby się nie powtórzyło.

– Nie rozumiem, Mia. Zupełnie nie rozumiem. Jeszcze trzy dni temu byłaś przykładną pracownicą a teraz taki zawód. Co się właściwie stało?

– To... To przez mojego syna. – Kucharka brzmiała jak ktoś przybity i straszliwie zakłopotany. – Wyleciał ze szkoły. Pakuje się w kłopoty. Próbuję trzymać go w ryzach, ale ma siedemnaście lat. Panie Fitzwilliam, powiedziałam mu, że będziemy głodować, jeśli zwolnią mnie z pracy, ale on... On powiedział, że ma sposoby, żeby się o nas zatroszczyć i...

– Głos kobiety zadrżał niebezpiecznie. – Boję się, boję się...

– Usiądź, weź chusteczki. I przestań łkać, na rany Boga.

– Głos Devlina brzmiał jak siarczasty policzek wymierzony w twarz biednej kucharki.

Co za tupet! Czy nie widział, że Mia wymagała teraz specjalnego i delikatnego podejścia?

– Tak... Oczywiście, proszę pana – wyłkała Mia.

Meadow podeszła na tyle blisko, żeby zerknąć do wnętrza gabinetu. Sam nie odrywał wzroku od monitora.

Mia siedziała na krześle, naprzeciw Devlina, zaciskając dłonie na chusteczce.

– Mia, czy my się mamy ku sobie? – zapytał Devlin gwałtownie.

Uniosła przerażony wzrok.

– Nie, proszę pana.

– Więc wydmuchaj nos, do cholery. Nie przejmuj się moją obecnością. – mówiąc to, Devlin musiał zaciskać zęby. – Po prostu chcę, żebyś w końcu przestała chlipać.

Mia głośno wydmuchała nos.

Co za palant. Był obrzydliwy, zupełnie jak głośiła plotka. Meadow czuła, że powinna tam wejść i powiedzieć mu...

– Dobra. Teraz patrz na mnie i słuchaj. – Devlin pochylił się i spojrzał kucharce prosto w oczy. – Twój siedemnastoletni syn wyleciał ze szkoły, twój mąż cię opuścił, masz trzynastoletnią córkę i boisz się, że syn ma do czynienia z narkotykami. Czy o czymś zapomniałem?

– Syn zrealizował ostatni czek. Nie wiem, co zrobił z pieniędzmi. – Mia rozplakała się zupełnie i podniosła się z krzesła. – Przepraszam, panie Fitzwilliam. Wiem, że to nie pana zmartwienia. Czy chciałby pan, żebym już poszła?

– Nie, zanim nie znajdziemy rozwiązania tej sytuacji. Siadaj.

Usiadła.

– Teraz patrz na mnie.

Spojrzała niepewnie.

– Rozpoczynam nowy projekt na wyspie Elmite.

– Gdzie jest Elmite?

– To jedna z Wysp Karaibskich. Kupiłem ją.

– Całą wyspę?

– Była niezamieszкана. Bez wody. Zrobiliśmy odwierty. Pod ziemią jest dużo słodkiej wody. Buduję tam całe centrum wypoczynkowe.

– Rozumiem. – Mia pokiwała głową.

– Skoro twój syn nie uczęszcza już do szkoły, być może doceni moją inicjatywę, która zachęci go do pojednania się z systemem edukacji.

Mia patrzyła, a na jej twarzy zaczęły pojawiać się pierwsze oznaki nadziei.

Może Meadow niesprawiedliwie oceniła Devlina.

– Jeśli zostanie porwany... – Devlin przerwał na chwilę, jakby oczekiwał protestu. – I wysłany na budowę, do ciężkiej pracy na bezludnej wyspie, na całe lato...?

– Kiedy może wyjechać? – Głos kucharki zmienił się. Był teraz zdecydowany, pewny siebie i wyrażał chęć działania.

– Pani Fitzwilliam – wyszeptał Sam za plecami Meadow.

– Pani podsłuchuje! – Próbował odsunąć ją od drzwi.

– Cśśś. – Meadow położyła palec na ustach i odepchnęła go biodrami.

– Muszę to usłyszeć.

Devlin zerknął na drzwi, dostrzegł ich i ponownie przeniósł wzrok na kobietę siedzącą przed nim na krześle.

– Pojedzie dziś w nocy.

Nie była niezdecydowana.

– Bierzcie go.

– Wychodząc, przekaz wszystkie informacje na jego temat mojemu sekretarzowi. Żeby mogli łatwo go znaleźć. A później wracaj do pracy. Jordan jest dziś w wisielczym humorze.

– Wiem, proszę pana. Bardzo dziękuję. – Mia wstała. Kiedy mijala Meadow, skłoniła się uprzejmie, a Meadow pomyślała, że po raz pierwszy, od kiedy ją poznała, dziewczyna wygląda na szczęśliwą.

Sam próbował przesunąć Meadow na bok.

– Zapowiem cię.

– Nie kłopotz się. – Wtargnęła do biura Devlina i zamknęła drzwi przed osłupiałym Samem.

Devlin nie wyglądał na zachwyconego jej nieoczekiwanym pojawieniem się.

O tak. To dlatego, że wielki, zły i bezwzględny miliarder został

przyłapany w chwili dobrotliwej słabości.

Okrążyła biurko.

Wstał z miejsca.

– Powinnaś być w łóżku.

– Minęło już czterdzieści osiem godzin. – Popchnęła go z powrotem na fotel, poczekała, aż usiądzie, po czym sama usiadła mu okrakiem na kolanach. – Jesteś taki miłutki.

– Mia jest dobry kucharzem.

– Najmilszy facet na całym świecie. – Przycisnęła swoje wargi do jego ust i pocałowała mocno.

Kiedy znów spojrzała mu w oczy, powiedział:

– Gdybym ją zwolnił, Jordan wściekłby się nie na żarty.

– Najmilszy facet na całym świecie – powtórzyła, pocałowała ponownie i posunęła do przodu biodra.

Zanim oderwał język od jej języka, gotów był, zgodzić się ze wszystkim, co mówi.

– Tak, jestem najmilszym facetem na świecie. – Patrzył jej w oczy, półuśmiech na twarzy, ręce trzymające jej biodra.

– Zamknęłaś drzwi?

– Nie. Po co? Przecież najmilszy facet na świecie nie będzie chciał pieprzyć się z kobietą na fotelu w biurze.

– Z kobietą – nie, z żoną – tak.

– Ty złośliwy diable. – Już bliżej nie mogła się do niego przysunąć. Mocno oplatała go ramionami, ich piersi niemal się stykały, ich zmieszane zapachy dało się prawie smakować...

Mój Boże, uśmiechała się do niego. Nie do Czwartego. Nie do starych pryków. Nie do pokojówek czy pani Cognomi. Uśmiechała się do niego

właśnie.

Ale wciąż odczuwał potrzebę mówienia:

– Doprawdy, nie chciałem stracić jednej z tych kilku osób z Wybrzeża Amelii, która zdecydowała się przeciwstawić ogólnemu trendowi w miasteczku i pracować dla mnie – co było z nim nie tak? Czy nie podobało mu się, że myślała o nim dobrze? To nie to. Po prostu chciał, żeby dalej się do niego uśmiechała.

Ale nie chciał, żeby śmiała się do niego w nagrodę za coś. Nie był dobroczyнным skautem. Pragnął, żeby jej uśmiech wypływał z samej natury rzeczy. Żeby uśmiech podkreślał to, że lubi z nim przebywać, że go pragnie.

Do licha. Wciąż mu czegoś brakowało. Nie wiedział nawet, że w ogóle może wymyślić coś tak naiwnego, jak nieodpowiednie podłoże dla uśmiechu.

Wymagało to od niego nadludzkiego wysiłku, na który nie wiedział, czy go stać, ale w końcu ujął ją za ramiona i odsunął od siebie delikatnie choć zarazem stanowczo.

– Pomyśl tylko, chłopak odpracuje wszystkie koszty, na jakie mnie narazi cała ta operacja.

– Jesteś prawdziwym twardzielem. Rozumiem. Ale bez twojej pomocy, Mia nie miałyby szans. – Meadow pocałowała go raz jeszcze i sama zeskoczyła zwinnie na ziemię.

Też chciał wstać, ale męskość uwierała go mocno i nie mógł się poruszyć bez wydawania jęku.

– Ojej! Ile monitorów. – Patrzyła na przesyłane na bieżąco obrazy z kamer. Jej głos wyrażał pewne zaniepokojenie, gdy rozglądała się wokół.

Wzrok Meadow spoczął na chwilę na ścianie znajdującej się za plecami Devlina, lub raczej na obrazach znajdujących się na tej ścianie.

Do licha. Przypomniało je się, że nie przyszła tu przecież, żeby się do niego uśmiechać. Przyszła, by uśmiechnąć się do wiszących dzieł sztuki.

* * *

Meadow kroczyła korytarzem w stronę swojego pokoju. Zawahała się na moment, ale w końcu wyciągnęła mapę z kieszeni, po czym jeszcze bardziej przyśpieszyła kroku. Rozłożyła ją, przyjrzała się uważnie zaznaczonym miejscom. Każdy korytarz był oznaczony. Każdy pokój wyraźnie wskazany. Dokładnie tego szukała.

Rozejrzała się wokół siebie. Dziwne uczucie, wiedzieć, że przez cały czas ktoś – najpewniej Devlin – nie odrywa od niej wzroku. Wiedziała o kamerach już wcześniej, ale dopiero widok monitorów wszystko jej w pełni unaoczniał. Świadomość bycia obserwowaną była tak silna, że niemal czuła, jak na szyi podnoszą się jej malutkie włoski. Cieszyła się, że znalazła się w końcu w zaciszu salonu, gdzie mogła z długopisem w rękę pochylić się jeszcze raz nad mapą.

Nie rozumiała Devlina. W jednej sekundzie był górami namiętności i patrzył na nią, jakby była darem Stwórcy dla Południowej Karoliny a w następnym momencie wyrzucał ją za drzwi, mówiąc oględnie. Bo kiedy rozglądała się wokół, złapał ją za ramię i wyprowadził ją stanowczo i kazał, by za – dzwoniła po obsługę hotelową i coś zjadła.

A Sam nie pozwolił jej otworzyć drzwi i wtargnąć na powrót do gabinetu Devlina. Posunął się do tego, że własnym ciałem zasłonił klamkę.

Chciała mu tylko powiedzieć, że nie powinien się obawiać, że Meadow rozgłosi, jaki był wyrozumiały i dobry dla kucharki. Nie chciała przecież zniszczyć jego obrazu bezwzględnej przedsiębiorcy, skoro taki mu właśnie odpowiadał.

Zerknęła na telefon. Chciała wszystko opowiedzieć matce, ale Judith

przestrzegła ją przed dzwonieniem.

Czy wszystko było dobrze z Sharon?

Meadow wzięła słuchawkę do ręki i zamówiła obiad do pokoju. Nie czekała długo na pyszny, wspaniale przyrządzony wegetariański posiłek. Reputacja hotelu nie była zagrożona w tym zakresie. Zjadła, zamieniła kilka słów z pokojówką, która przysłała po tacę, wzięła prysznic, założyła szlafrok i zajęła miejsce przed telewizorem, by zerkać między reklamami na kiepskiej jakości reality – show w telewizji zatytułowany „Trening współmałżonka”. Przez cały czas zamartwiała się o Sharon.

Brakowało jej rozmowy z matką. Brakowało jej matczynych, serdecznych zapewnień i bardzo, ale to bardzo martwiła się stanem jej zdrowia. Gdyby przynajmniej mogła napomknąć jej o Devlinie. Nie o tym gdzie i co sama robi. Tylko parę słów o nim. To mogło ją zainteresować. To mogłoby ją oderwać od codziennej udręki.

A dlaczego by do niej nie zadzwonić?

Meadow gapiła się na telefon.

Właśnie, czemu nie?

Mogła wymyślić jakąś historię, o tym, jak udało jej się wymknąć na chwilę, w połowie ważnego seminarium. Jakieś małe kłamstwo, bo matka miała dar błyskawicznego rozpoznawania kłamstw.

A jeśli Sam cały czas jest w biurze, być może zobaczy, że dzwoni, ale przecież nie może podsłuchiwać.

Meadow patrzyła, jak za oknem szybko zapada zmierzch, by w końcu podjąć decyzję dla spokoju duszy i umysłu. Szybko wybrała numer rodziców i za całych sił ścisnęła słuchawkę, czekając, aż ktoś odbierze.

Kiedy w końcu usłyszała ten ukochany głos, uspokoiła się. Ucisk zelżał.

– Mamo, muszę wracać na zajęcia, więc nie mogę mówić zbyt długo, ale... Co u was słyszać?

* * *

Sharon odłożyła słuchawkę i położyła się na łóżku. Po jej twarzy spływały krople potu, a jej twarz miała kolor, który sprawiał, że Riverowi chciało się płakać.

Ale jej uśmiech był szczery.

– To była Meadow, wspaniale się bawi.

– Jak seminaria?

– Nie chciała o tym rozmawiać. Chciała pogadać o tym młodym człowieku, którego poznała.

– Poznał kogoś?

– Powiedziała, że jest inny – cichy i zamknięty w sobie. Ale fascynuje ją.

– Nie brzmi jak ktoś, w naszym typie.

– Nie musi być w naszym typie. Musi być w jej typie.

– Pewnie tak. – River nie był jednak do końca pewien, kiedy w grę wchodził mężczyźni, którzy mieli umawiać się z jego małą dziewczynką. Nauczyli jednak Meadow, by ufała swoim instynktom i teraz sam musiał również im ufać. Podał Sharon szklanekę wody i garść tabletek. – Kiedy przyjedzie?

– Zapytała, czy mam coś przeciwko temu, by została tam przez jeszcze dwa tygodnie.

– Dwa tygodnie? – niedowierzanie mieszało się na twarzy Rivera ze szczerym zainteresowaniem. – Musi naprawdę jej się podobać.

– Bardzo się cieszę. Ma tylko dwadzieścia dwa lata, a ostatnio życie nie przyniosło jej zbyt wielu pogodnych chwil. To przerwa, której na pewno

potrzebuje.

– Tak, ale... – Patrzył, jak Sharon usiłuje wstać i zwalczył chęć wsparcia jej. Nienawidziła tego. Nienawidziła, kiedy traktowano ją, jak niepełnosprawną.

– Nie cieszysz się, że możemy spędzić parę chwil sami?

– Sharon ułożyła pigułki na języku jedna po drugiej i z dużym trudem przełknęła. Uśmiechając się, uszczypnęła go w policzek, po czym osunęła się na poduszki.

– Oczywiście, że cieszę. – Patrzył bezsilnie, jak ręka jego żony samoistnie wędruje do brzucha – oznaka nieuchronnych nudności, które wydawało się, że nigdy nie ustąpią.

– Powiedziałaś jej, że wszystko z tobą w porządku? – Zabrzmiało to bardziej, jak oskarżenie, niż pytanie, choć wcale tego nie zamierzał.

– Kiedy poznamy fakty, podzielę się nimi i z nią. Obiecuję. Nie ma co się śpieszyć. Niech będzie szczęśliwa przez te kilka dni.

Nie chciał się z nią kłócić. Zawsze poddawał się w takich momentach. Miała silną wolę i jeszcze silniejsze poczucie tego, co dobre a co złe. Tym razem jednak, wcale nie był pewien, czy jego żona podejmuje najważniejszą decyzję.

Rozdział 19

Devlin patrzył na ekrany w swoim biurze.

Była już prawie północ. Księżyc w pełni. Czwarty wdrapywał się po schodach pijany jak bela. Więcej już nie mógł wypić, bo miał problemy z utrzymaniem szklanki w ręku.

Czy powinien się go pozbyć? Kiedy Devlin zagubił się trochę, z powodu wypadku, Czwarty wykorzystywał sytuację. Cały czas myszkował po posiadłości i nie stroił przy tym od pokoju dziewczyny. Lubiła go i to lubiła go bardziej niż Devlina.

Nie wiedzieć czemu strasznie go to denerwowało.

Jak to się działo, że facet taki jak on, który miał widoczne problemy z wyprowadzeniem na prostą swojego życia, nie mówiąc już o prowadzeniu firmy, zdobywał serca wszystkich kobiet, które los postawił mu na drodze? Czyżby krył w sobie jakąś niewidzialną, wielowymiarową głębię?

Nie. Devlin znał go od dwudziestu pięciu lat. Jeśli Czwarty miał jakąś głębię, była ona skryta naprawdę głęboko pod warstwami próżności, tchórzostwa i alkoholu, niekoniecznie w tej kolejności.

A teraz Devlin patrzył, jak Czwarty zatacza się powoli od ściany do ściany. Znowu się zgubił, choć było to nie do pomyślenia! Mieszkał tu przez całe niemal życie a mimo to, miał problemy ze znalezieniem własnej sypialni. Twierdził, że to z powodu zmian, które wprowadził Devlin ale ten ostatni winą obarczał nieustanne pijaństwo i wrodzony brak przestrzennej wyobraźni. Czwarty był słaby, cynicznie wyzuty z wartości a na dodatek był żalonym businessmanem. Prawdziwie godny następcy Bradleya Trzeciego.

Wierzył, że ma rację co do Czwartego. Wierzył, że nie myli się co Meadow. A przede wszystkim wierzył w prawdziwość swoich ocen.

Uniósł do ust walkie – talkie, i nacisnął przycisk.

– Pan Benjamin jest na poziomie pierwszym w korytarzu T – 3. Niech ktoś go odprowadzi do łóżka.

– Tak, panie Fitzwilliam.

Zaskoczony zmarszczył brwi.

Gabriel mówił mu o zamiarze zatrudnienia kobiety, ale Devlin jeszcze jej nie wiedział. Co prawda to chyba ona poruszała się w rogu jednego z ekranów, ale obraz był zbyt niewyraźny, by stwierdzić o niej coś pewnego. Głos świadczył o pewności siebie, kompetencjach. Zgadywał, że należy do kobiety o wschodnioeuropejskich korzeniach, najprawdopodobniej w średnim wieku. Gabriel zapewniał go o jej doświadczeniu, więc Devlin rozłączył się.

– Sam!

Sam pojawił się przy wejściu. Wyglądał na zmęczonego

– obaj pracowali od piątej nad ranem, starając się ustalić przyczynę spadku ciśnienia wody w hotelowych rurach.

Oczywiście obaj wiedzieli, kto był sprawcą sabotażu, ale to nie czyniło zadania łatwiejszym.

– Na razie bez powodzenia, proszę pana. Kierownik wodociągów twierdzi, że nie będzie w stanie znaleźć nikogo aż do, połowy przyszłego tygodnia – Sam w zdenerwowaniu zaczesywał włosy palcami.

– Wiesz, gdzie mieszka? Wyślij tam kogoś, żeby zapukał.

– Teraz? – Na ustach sekretarza pojawił się uśmiezek.

– Dokładnie teraz. A później idź do łóżka. – W głosi

Devlina pobrzmiwała gorycz. – Dopóki nie znajdziemy sposobu na ściśnięcie Bradleya za jaja, będziemy doświadczać kolejnych kłopotów. A brak snu nie pomoże nam w ich rozwiązaniu.

Devlin przeniósł wzrok na ekrany i przetarł oczy ze zdumienia. Też powinien iść spać, bo chyba właśnie zaczął doznawać halucynacji.

Oto na jednym z ekranów Meadow ubrana w szlafrok biegła ciemnym korytarzem.

– O cholera! – Usiadł i przez chwilę regulował położenie kamery joystickiem.

Sam zajął miejsce obok.

– Dobrze wiedzieć, że pani Fitzwilliam czuje się już dobrze

– powiedział zupełnie neutralnym głosem.

Meadow pędziła korytarzem na złamanie karku, nie przejmując się brakiem oświetlenia i licznymi zakrętami choć kolejne uderzenie w głowę mogło naprawdę zaowocować utratą pamięci albo nawet czymś stokrotnie gorszym.

Przynajmniej nie przyglądała się obrazom.

– Przy okazji, detektyw przesłał nam e – mail. Sprawdza wszystkie połączenia wychodzące z pokoju pani Fitzwilliam, ule jak dotąd wyeliminował jedynie dwa numery. Większości ludzi nie było w domu. Jedna osoba nie chciała z nim rozmawiać, a druga zagroziła policją, jeśli telefony od niego będą się powtarzały. Trzy telefony przełączają na automatyczną sekretarkę. Mówił, że identyfikacja rozmówcy, to zaporą dla detektywa. Jeśli osoba nie zna numeru, po prostu nie odbiera telefonu. Poza tym zadawane pytania wzbudzają podejrzenia.

– Sam spojrzał na Devlina, a w jego oczach pojawiło się mnóstwo niezadanych pytań.

Sam nie towarzyszył Devlinowi podczas wizyty na Majorce. Nie mógł stwierdzić ze stuprocentową pewnością, że Meadow nie była jego żoną. Ale widział reakcję Devlina w momencie, gdy ten ujrzał ją po raz pierwszy.

Wiedział, że Devlin poszukuje jej korzeni. Po prostu nie wierzył ani odrobinię, że byli małżeństwem.

Tyle tylko, że motywacje Devlina nie powinny znajdować się w sferze jego zainteresowań. Tak jak Devlin nie interesował się życiem osobistym Sama, a ściślej mówiąc jego kompletnym brakiem.

Sam nie miał krewnych, którzy wysyłaliby mu kartki z wakacji, dziewczyny ani chłopaka, którzy by do niego wydzwaniali, psa, na którego by się uskarżał. Okazywał zapał do prowadzenia businessu, ale sam najwyraźniej nie myślał zaczynać żadnego przedsięwzięcia. Czasami Devlin zastanawiał się, czy nie powinien nieco bardziej kontrolować swojej prawej ręki, bo – doprawdy – jak człowiek tak utalentowany, może być pozbawiony wszelkich wad?

Devlin zatrudnił go jednak z powodu wyśmienitych referencji i aż do dnia, w którym Sam obwieści, że chce szukać szczęścia gdzie indziej, Devlin zamierzał wykorzystywać wszystkie jego umiejętności, opłacać go hojnie i ufać mu, a przynajmniej ufać mu w stopniu takim, jak ufał innym.

– Dokąd zarejestrowano połączenia?

– Większość to połączenia lokalne. Było jednak kilka telefonów do Atlanty, Kalifornii, Wisconsin, Teksasu, Waszyngtonu i na Florydę. Aha, i do Nowego Jorku.

Devlin nie spuszczał Meadow z oczu.

– Mądra dziewczynka.

– O tak, proszę pana – powiedział Sam beznamiętnym tonem.

Devlin wyciągnął z szuflady ozdobny srebrny klucz i schował go do kieszeni.

Meadow zmierzała w stronę tylnych, wyjściowych drzwi. Chciała wydostać się hotelu.

– Idę na spacer, żeby odświeżyć głowę – powiedział i wybiegł z biura.

Sądził, że złapie ją, zanim jeszcze opuści hotel, ale znalazł się przy drzwiach, w momencie, gdy zamykały się właśnie za dziewczyną. Złapał je, wysunął się cicho na ganek.

Po tym biegu przez ciemne korytarze światło księżyca niemal go oślepiło. Spojrzał w górę, by zobaczyć, że skąpana w jasnym blasku posiadłość sprawiała wrażenie wyciętej ze starego, czarno – białego linorytu. Cienie pod drzewami tworzyły fantastyczne splecione pajęczyny ruszające się przy każdym podmuchu wiatru, a kiedy skierował wzrok ku niebu, ujrzał pełen dysk księżyca żeglujący przez usiane gwiazdami morze.

Po drugiej stronie trawnika biegła Meadow. Jej rude włosy stanowiły jedyny kolorowy impuls w monochromatycznym ś wicie. Tyle że ona nie biegła. Już bardziej... Podskakiwała niczym podłotek ze szkoły podstawowej, ramiona w górze, jakby chciała objąć noc.

Do licha. Za dużo lekarstw. Musiała zwariować od lekarstw!

Z drugiej strony, ludziom nie odbija aż tak strasznie. Musiała już wcześniej być po prostu... szalona.

Uniósł walkie – talkie do ust.

– Pani Fitzwilliam i ja będziemy w ogrodzonej części ogrodu. Chcielibyśmy, by nikt nam nie przeszkadzał. Proszę odpowiednio poinstruować ochronę.

– Tak jest. – To była znowu ta sama kobieta. Wydawało mu się, że słyszy jej głos nie tylko w walkie – talkie, ale gdzieś dobiegający zza pleców. Nieważne zresztą gdzie był, nieważne gdzie byli oni wszyscy. Chodziło tylko o to, by doprowadzić Meadow do tej części ogrodu ogrodzonej wysoką, murowaną ścianą.

Wyłączył urządzenie.

Meadow znikąca za wzniesieniem.

Pobiegł za nią. Wbiegł na wzniesienie, by ujrzeć jak Meadow zbiega właśnie wąską ścieżką pomiędzy wydmami w stronę ciemnej toni oceanu.

– Meadow! – zawołał. Bryza wcisnęła krzyk w usta, więc osłonił je dłońmi. – Meadow!

Usłyszała i odwróciła się. Myślał, że zdenerwuje się na niego albo zmarszczy się tym swoim grymasem, jak wtedy, kiedy przerwał imprezę z pokojówkami i operą mydlaną. Albo że przynajmniej osłoni się szczelnie połamami podomki w swojej niemal dziewiczej skromności, którą przejawiała na jego pierwsze oznaki seksualności.

Ale nie. Nie tym razem. Tym razem uśmiechnęła się szeroko.

– Też wyszedłeś się pobawić?

– Wyszędłem się pobawić? – Ostatni raz usłyszał pytanie około piątej klasy szkoły podstawowej.

– Czyż nie jest pięknie? – Machnęła ręką, jakby chciała tym gestem pokazać mu wszystko. – Ogród za nimi, wydmy i ciemne niebo. – Musisz uwielbiać mieszkanie w tym miejscu. Musisz uwielbiać dźwięk fal rozbijających się o brzeg, zapach sosen mieszający się z zapachem oceanu – była półprzytomna z podekscytowania.

– Znowu uderzyłaś się w głowę? – zapytał ostrożnie.

Zaśmiała się, nie obawiając się o to, że ktoś może usłyszeć.

– Jest pełnia, chodź do mnie. – Złapała jego dłoń. – Zatańczmy.

Pociągnęła go za sobą, podtrzymując jedno ramię w powietrzu i przestawiając stopy w dziwnej wersji jakiegoś plemiennego tańca.

– Czy to nie przezabawne?

Czuł się głupio, zupełnie jak trzeźwy obserwator na imprezie, gdzie wszyscy ślaniają się pod wpływem wypitych trunków. Na dodatek ochrona

objęła monitoringiem podejście do hotelu od strony oceanu i poważnie by się zdenerwował, gdyby teraz ochroniarze zobaczyli, jak podskakuje wesoło na piasku, niczym marynarz, który zeskokczył na chwilę na ląd. Zatrzymał się i przyciągnął ją do siebie.

Przestała tańczyć. Po prawdzie to nie miała innego wyjścia i patrzyła na niego teraz z mieszaniną złości i zdumienia.

– Mam dla ciebie niespodziankę – powiedział.

– Nie, nie masz – odpowiedziała szybko, ale w oczach zaślnęły ogniki ciekawości. – Jaką?

– Chodź, pokażę ci. – Poprowadził ją ścieżką w górę, ale zamiast kierować się prosto do hotelu, skręcił nieco w lewo.

– Co to? – zapytała, wskazując ręką wysoki, porośnięty bluszczem mur.

– Tam właśnie idziemy – odrzekł. Doprowadził ją w końcu do masywnej, wysokiej furtki. Wyciągnął klucz z kieszeni i pokazał go Meadow.

Poczuł, jak drgnęła, jak wstrzymała oddech.

A więc rozpoznała go. Prawdopodobnie był podobny do tego, którego użyła, by się włamać.

Włożył klucz do zamka i przekręcił. Doznawał dziwnego uczucia, mieszaniny oczekiwania i niecierpliwości, która sprawia, że oddech staje się płytki i przyspieszony. Nie wiedział, dlaczego tak jest aż do tej właśnie chwili. Zrozumiał, że po prostu czeka na reakcję dziewczyny na widok, który zaraz ukaże się jej oczom.

Popchnął furtkę i uprzejmię usunął się na bok.

Wyraz radosnego zaskoczenia malujący się na jej twarzy był wszystkim, na co oczekiwał.

– Proszę bardzo. Oto i *Tajemniczy Ogród*.

Wpadła do środka nie bacząc na rozwiane poły szlafroka.

Biegła jakby entuzjazm unosił ją w powietrzu. Na dodatek zaraźliwy entuzjazm. Ruszył za nią, żeby nie stracić jej z oczu.

– Zwolnisz choć na chwilę? – krzyczał.

– Nie namawiaj mnie do głupot! – odkrzyknęła. – Jakże mam zwolnić, skoro księżyc jest w pełni, a ja jestem dziwnym zrzędzeniem losu w tajemniczym ogrodzie? Zaśmiała się tym głośnym perlistym śmiechem, dobywanym pełną piersią, który sprawiał, że poziom testosteronu w jego organizmie niebezpiecznie się podnosił.

– Och!

Wybiegł z za rogu ścieżki, niemal na nią wpadając.

Stała nieruchomo przed połącią dzikiej zieleni, która stanowiła serce ogrodu. Gęstwina ogrodowych iglaków i rododendronów kryła jeden z rogów. Olbrzymi dąb wyciągał gałęzie nad marmurową ławką. Sztuczny wodospad rozbijał się o prawdziwe skały i przechodził w potok wpadający do odbijającego gwiazdy stawu, w którym żaby kumkały swoje miłosne pieśni.

A w samym środku szerokiego pasa zieleni znajdowała się pergola, po której pięły się dumnie łodygi chińskiej glicynii.

Było dokładnie tak, jak to zaplanował od samego początku. W ogrodzie dostrzegał świetną inwestycję na przyszłość. Nadzorował jego czyszczenie, sadzenie nowych roślin i instalację wodospadu. Przekształcanie zachwaszczonej gęstwiny w romantyczne miejsce odosobnienia było jego oczkiem w głowie i było uzasadnione finansowo – wartość hotelu będzie wzrastała z każdą szczęśliwą parą, która będzie wynajmowała hotel na czas wesela i miodowego miesiąca.

Ale nie myślał o finansowych korzyściach. Teraz gdy patrzył na jej zachwyconą twarz.

– To jest takie... Piękne – wyszeptała Meadow przez łyzy.

Ogród wydawał się świecić srebrzystym blaskiem księżycowego światła, tajemniczy i pełen chwały.

Tak jak i Meadow. Poświata księżycy odbijała się na jej twarzy, która sama też wydawała się promieniować, światłem czystej radości.

– Dziękuję ci, że mnie tu przyprowadziłeś. Dziękuję, że zechciałeś mi to wszystko pokazać. Nie dbam o to, co mówią o tobie ludzie. Dla mnie jesteś wspaniały!

Devlin kompletnie zaniemówił, a Meadow wykorzystała moment i odbiegła w tanecznych podskokach.

Zakręciła się jak fryga, śmiejąc się słodko, po czym uczyniła coś, co sprawiło, że Devlin wstrzymał oddech.

Zsunęła z ramion podomkę.

Promienie księżycowego światła przenikały cieniutki materiał jej nocnej koszuli. Kiedy ponownie zakręciła się w miejscu, dostrzegł wszystko. Jej nogi, biodra, talię i piersi wszystko wyraźnie zarysowane pod delikatnym materiałem.

Była cudownie boska. Biała świeca migocząca rudym płomieniem włosów.

A wtedy... Meadow wykonała szybki ruch ramionami i zdjęła przez głowę nocną koszulę.

Oczywiście sam widok nagiej kobiety nie zrobiłby na nim takiego wrażenia. Odwiedzał Śródziemnomorskie plaże, gdzie opalanie się topless było normą. Ale nigdy nie widział czegoś tak odważnego i niewinnie seksualnego jak akt dziewczyny czczącej księżyc. Nie, żeby była to

modlitwa dosłowna, nie. Ale musiała odczuwać jakiś wewnętrzny rytm, który wprawiał jej bose stopy w ruch, poruszał silnymi udami, kazał tańczyć małym piersiom.

Gdyby wierzył w czarownice, na pewno uwierzyłby w Meadow. Sprawiała, że chciało mu się tańczyć w księżycowym blasku. Sprawiała, że chciał krzyczeć, śpiewać i kochać w wyuzdany sposób.

Chciało mu się żyć. Nie ważne jak głupia była ta myśl w świetle faktu, że właściwie żył.

Tyle tylko, że gdy teraz na nią patrzył, rozumiał, jak bardzo się niegdyś okłamywał. W rzeczywistości nie żył od lat. Być może nigdy nie był żywy.

Wyraz szczęścia na jej twarzy malował się wyraźnymi barwami. Zupełnie jakby mrok stał się jej kochankiem a ona jedyną kobietą na świecie zdolną go zaspokoić.

Tyle że to Devlin chciał zająć miejsce mroku w miłosnych splotach.

Zsunął buty.

Niemądre posunięcie, ale przynajmniej miał na sobie spodnie. Tak, spodnie były barierą, która mogła powstrzymać ich od czegoś bezrozumnie namiętnego, od wszelkich szaleństw.

Szedł w jej stronę, nie widząc niczego poza nią.

Kiedy obróciła się do niego, na jej twarzy pojawił się tajemniczy uśmiech.

– Pozwól, że pokażę ci jak można wykorzystać księżycowe światło. – Otoczył ją ramieniem w taki sposób, że jego dłoń spoczywała na jej nagich plecach.

Po raz pierwszy przydało się na coś jego wychowanie gentlemana w duchu południowych stanów. Niespiesznie pokazywał jej kroki walca,

uczyła się szybko, a kiedy zaczęła czuć się pewnie, prowadził ją po coraz szerszych okręgach, przyspieszając i niosąc ją ze sobą.

Wydawała mu się teraz bardzo drobna w jego ramionach. Przy każdym ruchu ich ciała stykały się na krótką chwilę, drażniąc go niemiłosiernie. Coraz mocniej odczuwał jej zapach i delectował się nim pełną piersią do tego stopnia, że wiedział, że gdyby teraz wrzucono go z zawiązanymi oczami w tłum kobiet, bez trudu by ją rozpoznał. Wiatr rozbrzmiewał pieśnią w jego uszach, drzewa, kwiaty i sama pergola wirowały magicznie przed oczyma, a ona śmiała się do niego jakby ją właśnie z czarował.

I była naga w jego ramionach.

Później nie pamiętał, by cokolwiek z tego, co się wydarzyło, planował. A był przecież człowiekiem, który nieustannie coś planował. Posunięcia businessowe, zemstę, niemal każdy aspekt życia. Tym razem jednak cicha melodia, upojny taniec. I zapatrzona w niego z radością twarz sprawiały, że jego dusza wleciała ku miejscom, gdzie byli sami, tylko we dwoje.

Zataczanie koła stawały się szersze i wolniejsze.

Jej uśmiech powoli ustępował. Jej szerokie oczy skupiły się nu nim i tylko na nim. Zatoczyli się ciasno przytuleni, łapiąc równowagę.

Zatrzymali się i spojrzeli sobie w oczy.

Oderwała się od niego stanowczo.

Wzięła go za rękę.

I poprowadziła ku pergoli.

Rozdział 20

Zapach glicynii ciężko unosił się w powietrzu. Księżyc dodawał blasku marmurowej ławce, wyłożonym kamieniami ścieżkom i twarzy Meadow.

Szybkimi, gwałtownymi ruchami starała się rozpiąć spodnie Devlina.

Nie pomagał jej. Dlaczego miałby jej pomagać? Czuł, jak drobne walczące z rozporkiem dłonie raz za razem przypadkowo dotykały go w tych miejscach, w których chciał, by dotykała go jak najczęściej.

Bo jakże nie miałyby natknąć się na jego męskość? Męskość, prawdziwie gigantycznych rozmiarów.

Uśmiechnął się do siebie i do swoich powodowanych testosteronem marzeń. Tyle że miał wrażenie, że jego członek naprawdę osiągnął gigantyczne rozmiary. Męskość przesycona czystą mocą. On sam przesycony czystą mocą...

Udało jej się w końcu. Ściągnęła z niego spodnie, a zaraz za, nimi bokserki. Przebiegła palcami od nasady do samego czubka penisa.

Żadne dotknięcie nie wywarło na nim nigdy większego wrażenia. Jęknął jak podekscytowany nastolatek.

– Czy chcesz teraz zatańczyć? – wyszeptała, a w jej niskim głosie czaił się śmiech.

– Nieładnie się drażnić w takich momentach. – Rozciągał na ławce jej szlafrok. Jednym pewnym gestem uniósł ją w górę i położył na plecach.

Po raz pierwszy ujrzała, że wyraz ciągłej, inteligentnej czujności znikł z jego twarzy. Światło księżyca wydobyło samą głębię jego duszy. Jej jasny rdzeń, na co dzień zawoalowany i ukryty głęboko z powodu wszystkich nieszczęśliwych wydarzeń, które nastąpiły w jego życiu, a które sprawiły, że zapomniał jak czerpać z tego życia przyjemność. Tego wieczoru wszystkie

odeszły w zapomnienie. Tego wieczoru był po prostu mężczyzną.

Albo jeszcze lepiej, był facetem, który z lubością poddawał się dyktatowi swoich jąder.

A kimże była ona? Kobieta, która zignorowała przestrogi matki o fatalnych skutkach łączenia księżycowego światła i mężczyzn?

Była wobec nich bezsilna.

Wyciągnęła ramiona, by objąć go z całych sił.

Jego ciemne oczy błyszczały w blaskach księżycowego światła, a zęby zaśniły jasno, gdy się uśmiechnął. Pochylił się nad nią i delikatnie popchnął w dół.

Jego ręce zaczęły błądzić... By zatrzymać się na jej piersiach. Obejmując je i ucząc się ich kształtu, ich czułości.

Zamknęła oczy, gdy poczuła umiejętnie palce na małych kółeczkach sutków. Miał pełną świadomość swoich gestów. Dotykał jej w taki sposób, że mogła skupić się tylko na gorącej, rozlewającej się po ciele fali pożądania.

Nie wiedziała co zrobić z nogami. Objąć go nimi? Czy tylko rozłożyć? Czy nie było na to za wcześnie? Kiedy zgięła nogę i oparła piętą o oparcie ławki, najwyraźniej musiało mu się to spodobać.

– Moje kochanie – wymruczał, całując wewnętrzną stronę jej ud.

Czuła jak bardzo oboje pragnęli miłości. Cieleśnej, wspaniałej miłości w prawdziwie tajemniczym ogrodzie osłonięci mrokiem cudownej nocy... i być może to właśnie podświadomie sobie planowała? Jej duszą targwały rozkoszne doznania, jakże inne od wszystkiego, co było jej dane doświadczyć. Czuła się jak odkrywczym, docierająca do miejsca, które wcześniej jedynie sobie wyobrażała.

Kiedy przesunął rękę w górę i zanurzył w kępce rudych loków,

przeszywający prąd pragnienia wygiął ją w łuk.

– Devlin – wyszeptała.

– Podoba ci się? – odpowiedział szeptem. – A to? – Jego palec wolno wsunął się do środka, niebiańsko gwałcąc niepisaną granicę.

Otworzyła szeroko oczy, a kiedy na niego spojrzała, dostrzegła jedynie piękną męską twarz, zachwyconą żarem, który ją w tym momencie rozpałał. Czowała jego napięte mięśnie, silne i twarde, wyćwiczone w nieustannych walkach, jakie prowadził. Walkach o sukces, honor i tożsamość.

Była wilgotna, nabrzmiała i gorąca. Jej ciało zdradzało każdym ciałem palące pożądanie.

Chciała, by pozbył się koszuli. Chciała, by zrobił to natychmiast.

– Zdejmij to – powiedziała i nie była to prośba.

Uśmiechnął się. Powoli wyprowadził z niej palec i wyprostował się. Niespiesznie rozpinał jeden guzik po drugim. Zupełnie, jakby chciał sprawić wrażenie, że panuje nad pożądaniem i pasją.

Kiedy koszula opadła, ujrzała jego wyrzeźbioną wspaniale klatkę piersiową, płaski brzuch i... Wymierzone w nią, nabrzmiące podniecenie.

Stał pomiędzy jej nogami. Jedno kolano na siedzeniu ławki. Dominujący i samczy. Musiał jej niewymownie pragnąć. Nie wiedziała, czy zdawał sobie sprawę z tego, że wyglądał, jakby właściwie powinno się go ucywilizować... Może nawet nie ucywilizować.

Uczłowieczyć.

Pochylił się, by zaznać smaku jej piersi. Zamknął usta na sutkach. Czowała, jak na jej ciele pojawia się gęsia skórka. Przeszył ją kolejny cudowny dreszcz, który nakazał jej ciału unieść biodra w jego stronę.

Zaśmiał się znowu. Mężczyzna władzy. Zdobywca, bohater.

Nie mogła na to pozwolić.

Uniosła się na łokciu. Polizała palec i wilgotną opuszką przejechała wokół główki członka.

Niemal ryknął. Spontaniczny, wibrujący dźwięk, który wywołał w niej radosny śmiech.

Znowu naśliniła palec, ale gdy wyciągnęła rękę, złapał ją za przegub i zatrzymał.

Nie było to bolesne, ale w pewien sposób wiedziała... Księżyc, zapachy i pożądanie złamały jego silną wolę.

Bez słowa patrzyli sobie intensywnie w oczy.

Wtedy ponownie ją uniósł, a sam usiadł na ławce. Przyciągnął ją do siebie.

Nacisk jego męskości wydarł z niej jęk żądy. Chciała... Żądała... Potrzebowała...

Przysunęła się jeszcze bliżej, podświadomie starając się na niego nadziać.

Nie pozwolił na to. Nie dał jej nawet namiastki kontroli. Otarł się o nią, przeciągły ruch, który odczuła samą łechtaczką, i który sprawił, że całe jej ciało spięło się w oczekiwaniu. Znalazł wejście i powoli ale pewnie wsunął się w nią.

Ruszyła mocno biodrami, choć wypełnienie niosło pewien ból. Nie dbała o to. Nie szukała wygodnej pozycji, tylko satysfakcji a pragnienia uczyniły ją niezmiernie wrażliwą.

Jego zapach zmieszany z zapachem kwitnących kwiatów, zielonej trawy, oceanu i sosen.

Nad sobą widziała zwieszające się kwiaty glicynii a w prześwitach pomiędzy liśćmi cudownie gwieździste niebo i księżyc. Cały wypełniony srebrzystą magią. Słyszała jego szybki oddech, gdy zanurzał się w niej cały,

by po chwili niechętnie się z niej wynurzać. Chciała przytrzymać go w sobie. Sprawić, by został w niej na zawsze.

Devlin sprawiał wrażenie greckiego bóstwa, które nie spuszczało z niej wzroku. Mocno trzymał ją za biodra i sam kierował jej ruchami tak, że niemal chciała krzyczeć z niespełnienia.

Ale mogła tylko jęczeć i próbować się uwolnić z żelaznego uścisku, bo wszystko, co robił, było tak przyjemne... Niesamowicie przyjemne.

Zaciskała pięści, a żar oblewał jej ciało. Unosił ją i opuszczał, a dziewczyna odczuwała jak z każdym ruchem, jej skóra staje się coraz wrażliwsza. Już dotknięcia wiatru były jak pieszczota, już sam oddech stawał się bolesny, bolesny był jego ruch bioder do przodu i bolesne było powolne wysuwanie.

– Proszę... Błagam... Błagam...

Nie dbała o to, co pomyśli o jej prośbach i czy odznaczy je na tablicy sukcesów budujących jego ego. Chciała tylko, by zrobił coś z tą olbrzymią i z każdą chwilą rosnącą chęcią, która przywodziła ją do szaleństwa, bo jeśli nie... To straci pamięć i zmysły i będzie zgubiona w tym cudownym ogrodzie.

– Proszę. – Ucałowała palce i położyła je na jego ustach.

Odwzajemnił pocałunek, a na jego twarzy pojawiło się napięcie. Otwartymi wargami zaczerpnął powietrza. Wyprężył się i nadał im ciałom szybki, odwieczny rytm.

Wygięła się w łuku. Oplotła z całych sił jego biodra, przyjmując go, biorąc go w posiadanie, tak jak on brał ją i w chwilę później owładnął nią wspaniałymi orgazmami.

Dzięki Bogu.

Devlin przetrzymał ją zbyt długo i szczytowanie było niemal bolesne

w swej intensywności. Krzyczała. Wyrzuciła w górę ręce i usłyszała, jak wypowiada jedno słowo.

– Meadow!

Dźwięk jej wypowiedzanego imienia dodał mocy doznaniom, które właśnie szarpały jej ciałem i orgazm potężny w swej mocy rozmazał przed jej oczami cały świat... Z wyjątkiem Devlina. Devlina była świadoma, całą sobą.

A on był świadomy jej. Nawet kiedy wstrząsał nim wspaniały dreszcz, nie zamknął oczu i nie przestał jej obserwować. Jej uniesionych piersi, zaciśniętych pięści, napiętego brzucha i cudownej rozkoszy spełnienia malującej się na jej twarzy. Była najpiękniejszym zjawiskiem, jakiego doświadczył. Chciał dokonać reszty życia w niej i tylko w niej. Chciał zachłannie całować jej usta, brzuch i piersi. Chciał pieścić ją tak, żeby uwierzyła w każde słowo historii, którą jej opowiedział, żeby nie pamiętała niczego poza nim samym.

Chciał, by chwila trwała wiecznie... Ale nie mógł powstrzymać w sobie tego, co nieuniknione. Krzyknął jeszcze i z całej siły przyciągnął ją do siebie w wyrazie ostatecznego spełnienia.

I minęła jeszcze długa chwila, gdy oddychał ciężko, czując równocześnie, jak w oddechu unosi się jej pierś, zanim w końcu spłynęła na niego ta myśl.

Nie zabezpieczył się.

Po raz pierwszy w życiu kochał się bez prezerwatywy.

Rozdział 21

Judith ubrana w nieskazitelny, czarno – biały uniform strażnika posiadłości stała pod wielkim dębem i przyglądał się Devlinowi i Meadow raźnie zmierzającym w stronę domu.

Właśnie oddawali się miłości. Wspaniałej miłości.

Cudownie z ich strony, nie ma co. Judith doznawała upojenia seksem tylko wtedy, gdy była sama i miała duży zapas baterii R20. Mężczyźni nie wydawali się nazbyt zainteresowani kobietą z szerokim podbródkiem, wąskimi wargami, nogami jak słupy i talii szerokiej jak tyłek. To nie było do końca fair, ale Judith przyzwyczała się już do faktu, że życie nie było fair.

Tym bardziej wyjątkowo zabrzmiała oferta pana Hopkinsa. Pana Hopkinsa, który znalazł jej wyśmienitą pracę we właściwym czasie. Została pracownikiem ochrony w domu, który skrywał obraz Isabelli. Będzie tylko uważnie obserwowała poczynania Meadow i Czwartego, a gdy któreś z nich przypadkiem napatoczy się na obraz... Ona dowie się o tym pierwsza.

Nie była na tyle naiwna, by wierzyć, że zatrzyma obraz, Weszła w układ z samym diabłem, a lepiej niż ktokolwiek inny rozumiała naturę zła – ojciec ją tego nauczył – respektowała jego moc.

Poza tym dostanie, czego chciała. Pan Hopkins obiecał, że ona właśnie zbierze owacje za znalezienie tego obrazu.

– Dlaczego przemykamy się cichaczem do domu? – zapytała scenicznym szeptem Meadow.

– Ponieważ wszyscy pracownicy ochrony patrzą i... – Devlin przerwał w pół słowa. Dlaczego, do cholery, przemykali cichaczem do domu?

Nie mógł przecież przeprowadzić Meadow przez środek placu do

frontowych drzwi i dalej korytarzami do ich sypialni tak, by nikt ich nie zobaczył. Było to fizycznie niemożliwe. Każdy strażnik, który miał właśnie nocną zmianę, a i kilku, którzy mieli akurat wolne, zobaczy ich na ekranach. I wiedział dobrze, o czym pomyślał, zwłaszcza że Meadow przecież uchodziła za jego żonę. No i pewnie dlatego, że wciąż podskakiwała radośnie i tanecznie. Przynajmniej miała na sobie nocną koszulę i podomkę, ale tylko dlatego, że nalegał, by je założyła.

Uśmiechała się. Była taka szczęśliwa.

Niedobrze. Niedobrze. Niedobrze.

Jasna cholera!

Cały czas nie mógł sobie wybaczyć, że zachował się tak beztrosko.

Nie mógł uwierzyć, że pozwolił wziąć się za dłoń i machać wesoło całym ramieniem w przód i w tył z inicjatywy rażno maszerującej i świergoczącej wesoło Meadow. Powinien chyba wyjaśnić, dlaczego nie powinni się tak zachowywać.

– Moja matka zawsze mówiła, że gatunek ludzki wcale nie wstawił pierwotnych instynktów daleko w tyle – mówiła Meadow. – Twierdziła, że potrafimy wsłuchać się w wewnętrzny głos natury i reagujemy tak jak nasi przodkowie na światło księżyca i wiosnę.

Myślał przez moment o zapędzeniu jej w kozi róg. Chciał zapytać, jak może o tym pamiętać, skoro ma amnezję, ale dziewczyna uśmiechnęła się do niego w taki sposób, że od razu porzucił tę myśl.

Sprawił, że dziewczyna zaczęła iskrzyć. Dał jej spełnienie. Z jakiejś niewytłumaczalnej przyczyna dziś w nocy w pełni mu ufała. A cała jej radość i pogodna akceptacja ich związku sprawiły, że on sam czuł się jak Scrooge z powieści Dickensa, skryty za niewidzialną barierą, odbijającą wszystko, co dobre i miłe. Czuł się nawet trochę stary a przy tym...

Podniecony.

Przede wszystkim podniecony.

Było to nieco kłopotliwe. Czuł się jak napalony samiec podążający bezmyślnie za swoją wybranką w czas rui.

Była taka drobna, mała i... Wąska. Przez krótki moment obawiał się nawet, że ma do czynienia z dziewicą.

Okazało się, że było inaczej. A on, który zamierzał w akcie zjednoczenia odebrać od niej należną mu daninę przyjemności, skończył, oddając się sam, składając jej w ofierze całe swoje serce i duszę.

Bez zabezpieczenia.

Mogła już być w ciąży.

– Uważaj na stopień. – Wprowadził ją na rozległą werandę i otworzył drzwi.

Światło księżyca wpadało przez okna i znaczyło podłogę srebrzystymi kwadratami i nagle Devlin postanowił je przesądnie omijać. Co bowiem, jeśli matka dziewczyny ma rację? Co, jeśli to właśnie księżyc zdecydował o jego szaleństwie? Trudno było mu znaleźć inne, lepsze wytłumaczenie.

Meadow nie wydawała się przejmować.

Brykała wesoło obok, miłość napełniła ją entuzjazmem i energią.

Miłość głęboka, namiętna, wspaniale cielesna i lubieżnie gwałtowna.

– Bądź ostrożna – krzyknął. – Nie wpadnij na coś.

– Nie wpadnę.

Jeśli będzie codziennie hasała przy świetle księżyca, będzie musiał wszędzie zamontować reflektory i jasno oświetlać teren. Albo spróbować zatrzymać ją w łóżku, wszelkimi dostępnymi metodami.

Potrząsnął głową. Musi przestać myśleć o seksie, bo zaraz straci tę wazę ze stolika i posadzi ją tam i...

Czyż stracił resztki rozsądku i rozeznania tego, co wypada, u czego nie wypada? Czyż był jak ojciec? Pracował przecież tak ciężko, żeby rozwinąć w sobie moralność, której niewątpliwie brakowało jego przodkowi. Tyle że właśnie złamał zasadę dotyczącą kobiet, ba! Zasadę życia w ogóle. Mógł właśnie zostać ojcem, a pamiętał przecież niezwykle wyraźnie, jak to jest być dzieckiem nieznanym ojca.

Myśl przywiodła go znowu do starego Bradleya Benjamina. Co z planem użycia Meadow do zemsty na staruszkach? Oczywiście ostatni atak Bradleya wcale go nie przejął.

Tyle że właśnie minęła cudowna godzina jego życia, godzina radości cudownym ciałem Meadow. Radości graniczącej niebezpiecznie z szaleństwem. Spał z kłamczuchą pochodzącą na dodatek ze znienawidzonego klanu Benjaminów.

Co gorsza, chciał się z nią przespać ponownie.

Meadow wyprzedziła go w końcu. Słyszał stukanie jej drobnych stopek na schodach i niczym poważny i wiekowy dziadek łapiący dwuletnią wnuczkę pobiegł za nią:

– Nie upadnij – zawołał poważnie.

Odwróciła się u szczytu schodów.

– Nie upadnę – zaświergotała wesoło. Zupełnie, jakby chciała się z nim podrażnić.

Cholera. Co teraz? Zanim wbiegnie na schody, jego Meadow już zniknie.

– Tędy. Chodź do mnie! – Usłyszał wabiący głos.

Cholera. Biegł korytarzem ku ich sypialni. Drzwi były lekko uchylone i przez szparę dostrzegł zapalone światło.

Otworzył je na całą szerokość, nie oczekując, że ujrzy kogoś w salonie.

Salon był pusty zgodnie z oczekiwaniami, na ziemi leżała jednak jej biała podomka.

Czy ta kobieta w ogóle robiła jakiś użytek z ubrań?

Ale to nie irytacja, sprawiła, że zagotowała się w nim krew.

Meadow była znowu naga.

Zatrzasnął drzwi za sobą i przekreślił klucz w zamku. Wszedł do sypialni, drzwi do łazienki były otwarte a ze środka dolatywał dźwięk odkręconego prysznica.

Na długą chwilę zamknął oczy. Woda... Spływająca drobnymi kroplami po jej ciele. Jej włosy koloru miedzi, nabierające pod wpływem wody odcienia ciemnej czerwieni. Jej dłonie... pieszczące piersi, ramiona, brzuch, podbrzusze i pozostawiające pachnące, kolorowe mydłanymi bąbelkami ślady.

Zobaczył, że stoi w drzwiach, przyglądając się szklanej kabinie prysznica.

Widok był lepszy, niż sobie wyobrażał. Stała z głową zadartą do góry i zaciśniętymi powiekami. Powoli spłukiwała szampon z włosów. Gęsty płat piany zsuwał się z jej ramion, po piersiach i odrobina zatrzymała się na wzgórzu sutka. Jasna cera kontrastowała wybornie z płytkami w kolorze wina. Czuł, jak jego oczy zachodzą mgłą, najpewniej dlatego, że cała krew odpływała z głowy, by zebrać się w zgoła innym miejscu.

Zupełnie jakby wyczuła jego spojrzenie. Otworzyła oczy i krzyknęła ze śmiechem:

– O Boże, myślałam, że już się nie doczekam!

Rozdział 22

– A ja obawiałem się, że będę narzucać się ze swoją obecnością.

Niewinny uśmiech Meadow rozwiął się nagle. W jednej chwili przestała być rozkoszną nimfą a stała się kobietą, którą paliło pożądanie.

Otworzyła drzwi od kabiny i gestem zaprosiła go do środka.

– Sprawdźmy, co my tu mamy.

Zerknął na szufladę przy zlewie. Trzymał tam prezerwatywy. Były też przy nocnym stoliku. Na wszelki wypadek powinien chyba je umieścić również w salonie. Nigdy nic nie wiadomo. Nagle stwierdził, że nie ma na sobie ubrań. Chwile ulatywały niczym we śnie.

Wielogłowicowy prysznic oblewał ich z góry i z boków. Strumienie lały się na plecy i pośladki.

Powtarzał sobie, że tym razem musi zachować się racjonalnie i odpowiedzialnie. Wycisnął nieco żelu i roztarł na dłoniach.

– Musimy porozmawiać. Nasze zachowanie w ogrodzie było bardzo bez troskie.

Wtarł jej żel w plecy a w zwykłym geście, chciał tego, czy nie, zaraz pojawił się nieskrępowany erotyzm.

– Nie możemy pozwolić, żeby pragnienia zwały nas z nóg za każdym razem, kiedy w zasięgu wzroku dostępna jest jakaś płaska i w miarę pozioma powierzchnia.

– Dlaczego?

– Złapią nas. – Jego ręce przesunęły się na jej ramiona. Jego palce splotły się z jej palcami, przesunął kciukiem po wnętrzu jej dłoni.

Oparła się o ścianę.

– Kto?

– Pracownicy ochrony. Pokojówki. Nie wiem... – Przyglądał się, jak dziewczyna oddychała szybko i płytko. – Może twój lekarz, który oznajmi ci, że jesteś w ciąży.

Roztarł kolejną porcję żelu i zaczął myć jej piersi.

– Zły moment na poczęcie w tym miesiącu, dni niepłodne – jęknęła słodko, poddając się pieścizocie.

– Gdybym dostawał centa za każde dziecko poczęte podczas tak zwanych dni niepłodnych, zostałbym miliarderem już dawno. – Czy próbował przekonać siebie, czy ją?

Rozsunęła stopy i znowu wygodnie oparła się o ścianę. Założyła ręce na piersi, przerywając jego higieniczne zabiegi

– O co chodzi? – zapytał. Uwielbiał kształt i delikatność jej piersi. Miękką, jędrną skórę, ostre sutki odpowiadające n jego pieścizocie.

– Czy masz zamiar umyć jeszcze coś poza moimi piersiami?

– Och, nie masz pojęcia, jak dokładnie należy je myć – odpowiedział z uśmiechem. Pomyślał, że zachowuje się jakby miał obsesję na punkcie piersi, podczas gdy był raczej fanem pośladków. Zwłaszcza jej pośladków. Co oczywiście nie zmieniało faktu, że piersi Meadow zasługiwały przynajmniej na sonet. Albo nawet na cały zbiorek wierszy.

Otoczył ją ramionami i masował jej plecy, by zaraz przysunąć się blisko i zacząć nacierać ją swoim tarsem. Objęła g mocno i odpowiedziała całym ciałem na wspaniałą pieścizotę Na długą chwilę zamknęli się w cudownym, namiętym i po wolnym tańcu.

Piana powoli spływała z potokami lejącej się na nich wody.

Ustami podążał za kolorowymi bąbelkami. Całował jej ramiona, piersi, by zaraz przesunąć się na brzuch i biodra. Jęknęła, gdy przycisnął wargi do małej kępki włosów na jej łonie. Klęczał przed nią, a zapach mydła

połączony z zapachem kobiety rozbudzał niewymownie jego apetyt.

Palcami delikatnie rozsunął jej wargi i posmakował jej długim, rozkosznym przeciągnięciem języka.

Jęknęła głośniej, a kiedy spojrzął w górę, zobaczył, że odrzuciła głowę do tyłu i przygryza ustami pięść.

Wszystko dlatego, że chciała stłumić okrzyk nadchodzącego orgazmu. Teraz już wiedział.

Powodzenia. Zamierzał ponownie wydobyć z jej gardła ten krzyk.

Chwycił ją mocno za pośladki i ponownie zagłębił się w nią językiem. Wspaniały smak przeniknął jego zmysły. Wiedział już, że nawet jeśli będzie się starał, nigdy nie zapomni tej nocy. Wargami odnalazł jej łechtaczkę i poddał ją z namysłem cudownej torturze.

– Devlin – sapnęła, spinając mięśnie, jakby poraził ją prąd.

Ssał ją powoli, sprawiając, że przenikała wszelkie niewidzialne bariery, by ponownie stanąć na samym szczycie cielesnego doznania. Minęło tylko kilka chwil, a Meadow znowu wyprężyła się jak struna, zaciskając uda i krzyknęła jeszcze raz. Napelniał się jej rozkoszą. Współodczuwał jej doznania. Słyszał, jak krzyk zamiera w jej ustach, by zamienić się w delikatne jęknięcia. Czuł, jak jej ciało ogarnia błogość, a uda ponownie się rozsuwają.

Odsunął się od niej bez pośpiechu. Miał zamiar wziąć ją w ramiona i zanieść do łóżka. Zamiast tego poczuł jednak, jak naciska na jego ramiona. Jak kładzie go na wyłożonej terakotą podłodze prysznicza. Usiadła okrakiem na jego piersi.

Strumienie wody wciąż oblewały ich ciała. Podłoga zdawała się piekielnie twarda. Tyle że jedno spojrzenie na jej twarz wystarczyło, by stwierdzić, że oto ma przed sobą kobietę zdeterminowaną, by wziąć od

niego dokładnie to, co tylko wziąć zapragnie.

– Zaczekaj – naprawdę chciał wziąć prezerwatywę.

Ujęła jego sztywny do granic sztywności członek w rękę i powoli poruszyła nim w górę i w dół.

– Mój Boże – wyjąkał. Miał wrażenie, że wszystkie synapsy w jego mózgu właśnie eksplodowały z jasnym blaskiem.

Pochyliła się i ujęła go w usta.

Poddał się. Zawiodły go mięśnie. Bezwolnie osunął się na podłogę.

Jej pieszczota była piekielnie rozkoszna.

Zadrzał gwałtownie. Był tak blisko orgazmu, że był w stanie obiecać wszystko, wyjawić każdy sekret. Za jeszcze jeden ruch.

Ale ona miała inny pomysł.

– O nie, jeszcze nie! – Usiadła okrakiem na jego złączonych udach. Nie wypuszczając z ręki członka, zbliżyła go do siebie, ale nie wprowadziła od razu, tylko drażniła się z nim, pocierała, zbliżała i oddalała. Nieświadomie spełniała jego najskrytsze marzenia.

Nigdy nie spotkał kobiety, która marzyła podobnie do niego. Aż do tego wieczoru.

Nigdy nie spotkał kobiety, której pozwoliliby przejąć kontrolę. Aż do tego wieczoru.

Nigdy nie spotkał kobiety takiej jak Meadow.

Powoli zaczęła na niego wchodzić. Cał po calu. Unosiła się i opadała, jakby niosła ją fala ich połączonych oddechów. Obejmowała go sobą. Zaciskała się na nim słodyczą i ciepłem a każdy ruch łamał jego wolę.

– Proszę Meadow, proszę. – Nie dbał o to, że brzmiał jak chłopiec, że stracił kontrolę, ba, że najprawdopodobniej postradał zmysły. Nie dbał o to tak długo, jak doświadczał przyjemności, która była w stanie naraz

uśmiercać i wskrzeszać.

Oparła dłonie na jego ramionach i ujeżdżała go miękko, choć z każdą chwilą przyspieszając. Jej twarz nie wyrażała nic poza niezmiernym pożądaniem. Wargi otwarte, woda ciekąca po policzkach.

Strumienie łały się na nich nieprzerwanie, dusiły go, wpychały jej pieniające się włosy do oczu. Jej pożądanie paliło skórę, paliło serce. Ta chęć, tak niezmierna moc zadawała ból... A może była to rozkosz? Zatracił się w labiryncie czasu. Zaparł się stopami o ścianę i z całych sił wyrzucał do góry ciało. Wychodził jej naprzeciw. Chciał dotrzeć do samego rdzenia jej kobiecości, jej jestestwa jakby miało to sprawić, że stanie się ono jego udziałem.

I sprawiło.

Albo raczej, ona to sprawiła. To do niej należała inicjatywa, dzięki dziewczyny pochłoniętej pragnieniem cielesnego spełnienia. I w którymś momencie ich gorące pożądanie stopiło się w jeden byt. Doszedł tak gwałtownie, że uniósł ją do góry siłą wyrzuconych bioder, a równocześnie czuł, jak jej orgazm wysysa z niego cały owoc spełnienia.

Był właśnie taki. Spełniony, kompletny. W końcu spłynęło na niego pierwotne ukojenie.

Widząc, jak osuwa się na niego, doświadczył dzikiej radości, że oto jest tak samo wyczerpana, jak on.

Otoczył ją ramionami i trzymał w tej pozycji. Po prostu trzymał. Otworzył usta i pozwolił cienkim strumyczkom wody, by do nich wpływały. Czuł się, jakby już gotował się do następnego razu, który – coś mu podpowiadało – nastąpi bardzo szybko.

Przepelniało go przecudowne uczucie wyczerpania, czuł się, jakby miał spłynąć razem ze ściekającą wodą. W końcu udało mu się unieść.

Odzyskiwał władzę nad sobą. Chciał powrócić do dobrze znanej formy męczyzny, jakim był jeszcze kilka godzin temu.

Czuł, jak jej piersi falują miarowo w głębokim oddechu. Powoli, cał po cału podnosiła się i Meadow. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Delikatnie i czule. Inaczej niż miała w zwyczaju uśmiechać się na co dzień. Usiadła na podłodze, kolana zgięte, ramiona luźno na nich ułożone.

– To było cudowne – wyszeptała.

– O tak. – Wiedział, że powinien powiedzieć coś romantycznego, a zarazem znaczącego. Coś, co oddałoby niesamowitość tej przewspaniałej nocy. Tylko jakoś nic nie przychodziło mu do głowy.

Od momentu, w którym się poznali, rozgrywali grę, której reguły ani cel nie były ustalone. Nie wiedział, jak powiedzieć jej prawdę ani nawet czym była ta prawda. Dziś w nocy, prawda, jaką znał uległa przeobrażeniu.

Sam już nie wiedział, czego chciał.

Ale wiedział, że znowu uprawiali seks bez zabezpieczenia.

– Cholera. – Devlin zerwał się na nogi.

Meadow popatrzyła na niego zaskoczona.

– Co się stało?

– Znów to zrobiliśmy.

– Zauważyłam. – Jej głos był miękki, aksamitny i wyczerpany. –

Chcesz złożyć oficjalną skargę?

– Bez zabezpieczenia.

– Nie jestem na nic chora. Przysięgam.

Jego umysł, niegdyś tak szybki, dopiero szybował ku sferze, o której mówiła Meadow.

– Nie jesteś nosicielką.

– Mogłeś sprawić, by zabrzmiało to jak pytanie.

Przez jego umysł przebiegało tysiąc myśli naraz.

– Jak możesz przysięgać, skoro nie pamiętasz swojej przeszłości? – wypalił.

– Cierpisz z powodu jakichś chorób?

Dobry kontratak. Podobał mu się jej spryt.

– Nie, ale jestem płodny. A tym razem beztroski nie mogę zwalić na światło księżyca. Jaką wymówkę mogę mieć pod prysznicem? Że zrobiłem to z powodu mydła?

Opuściła głowę i przygryzła wargę, by powstrzymać wypływający na wargi uśmiech.

A uśmiech uwolnił całą lawinę skojarzeń w jego umyśle. Pamiętał jej dotyk, jej ciało w swych dłoniach, wilgotną, śliską skórę... Pokusa roztoczyła nad nim swój czar, który zaatakował jego umysł z siłą uderzenia obuchem. Nie pokusa, by ją osiąść ponownie, choć pożądanie go nie opuszczało. Po prostu chciał przyznać przed nią, że wie, iż amnezja jest jedynie wymysłem. Chciał błagać, żeby wyznała mu prawdziwe imię, błagać o... właściwie o co?

Kopnął w drzwi i wyszedł na zewnątrz obszernej kabiny.

Był tak blisko wykrzyczenia: ***Nie jesteś moją żoną!!!***

Ale niech to licho, nie przyzna tego.

To nie on powinien wystąpić z inicjatywą. Niech ona wyzna prawdę. Niech Meadow się przed nim otworzy, a wtedy zobaczy, czy warto było się w to angażować.

* * *

Meadow obudziła się i nie otwierając oczu, zaczerpnęła głęboko powietrza.

Devlin pachniał tak cudownie. Jak przedziwna kompozycja siły,

męskiego uporu z domieszką kobiecego mydełka z lawendą. A może to na sobie po prostu czuła jego zapach.

Spała bardzo głęboko wyczerpana nocnymi przygodami, ale przez cały czas była świadoma jego bliskości. Spała przytulona plecami do jego piersi, pośladki w kołysce jego bioder.

Devlin.

Nie sądziła, że mężczyzna może być tym wszystkim, czym on był dla niej. Wyzwaniem. Kochankiem. Wrogiem.

To pragnienie było chyba najgłupszą rzeczą, jakiej dopuściła się w życiu. Chęć wzięcia go. Chęć posiadania. Ale kiedy tylko wspomniała całą namiętność, jaka między nimi wybuchła, na jej twarz wpływał uśmiech i miała ochotę podskakiwać z radości.

Po omacku odszukała dłonią jego bok. Był wysoki a każda część jego ciała, wydawała się wielka i muskularna. Ostatniej nocy posiadał ją ze wszystkich sił, a ona oddawała mu się w pełni.

Czuła się nieco obolała. Wcześniej uprawiała seks z jednym tylko mężczyzną, ale daleko było tamtym zbliżeniom do ostatnich doświadczeń. Być może tamten był po prostu za mały? Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że potęga ciała Devlina znajdowała odbicie w rozmiarach jego penisa. Ale przyjemność miała swoją cenę. Chyba nieprędko będzie znowu mogła się nim cieszyć.

Ale świadomość bólu jakoś nie rozwiązała pragnień i pożądania.

Gdyby miała wybór pomiędzy oszczędzeniem sobie bólu a przeżyciem tej nocy od nowa... Nie zastanawiałaby się ani chwili.

Oddychał powoli i równo, delikatnie przesunęła jego ramię.

Oczy zamknięte, twarz jakby odlana z wosku. Wyglądał jak człowiek przywieziony do skrajnego wyczerpania przez brak snu... i deszcz

nieoczekiwanych przyjemności.

Widziała, że nic nie dzieje się bez powodu i wierzyła, że Devlin nie pojawił się w jej życiu przypadkowo. Mógł być tylko promykiem czystego dobra, uśmiechem niebios, bo czymże jeszcze?

Nieważne, że nie mogła przez niego spać. Że czuła się rozbita i niespokojna. Jakby naraz stała się kimś innym, innym człowiekiem. Nieważne. Coś nieokreślonego magicznie ją przyciągało, a najbardziej upodobało sobie tę część duszy, która odpowiedzialna była za żądę.

Delikatnie masowała jego pierś, a w końcu popchnęła go lekko, by ułożył się na plecach. Przejechała palcami po brzuchu, niżej, jeszcze niżej. W końcu zacisnęła palce na jego członku.

Wydawało jej się, że Devlinowi o kilka stopni skoczyła temperatura.

Uśmiechnęła się. Spał czy nie spał? Tak czy inaczej, znowu udało się jej wzniecić w nim pożądanie.

A tak się obawiał dzikiego, otwartego seksu. Seksu bez zabezpieczeń, jak go określał. Chciał tej gumowej bariery dzielącej ich ciała podczas najpełniejszego z międzyludzkich zbliżeń. Niechętnie przyznała przed sobą, że po części miał rację. Co oczywiście nie zmieniało faktu, że lubiła, kiedy jego nagie ciało znajdowało się bezpośrednio w niej samej.

Pewnie trochę bardziej by się niepokoiła, gdyby istniało niebezpieczeństwo poważniejszych następstw, ale wydawało jej się, że wszystko było w porządku.

Czas miesiąca z pewnością się zgadzał. Znała swój organizm.

Pochyliła się nad nim i ucałowała jego szyję, później ramiona, sutki, brzuch...

Teraz już na pewno nie spał.

Całowała jego biodra, po czym zręcznie wsunęła się pod prześcieradło.

Światło słoneczne ledwo prześwitywało przez pościel, a wokół pulsował ich zmieszany zapach. Drażniła go delikatnymi pocałunkami wzdłuż uda. Zatoczyła krąg, by wylądować na drugim udzie. Pozwoliła, by jej włosy oblały miedzianą falą jego członka i zaśmiała się cicho, gdy nagle cały zeszywniał.

Nagle złapał ją za głowę i przytrzymał w tej pozycji.

Niemal równocześnie z rogu pokoju doleciał ją miękki, kobiecy głos:

– Kochany chłopcze, jak to się stało, że wszyscy mówią coś o twoim małżeństwie?

Kobieta była w ich sypialni? Pogwałciła najświętszą sferę ich prywatności? Pytała o ich małżeństwo? Któż dał jej do tego prawo?

A on śmiał dawać jej znaki, by się nie ujawniała?

Zatopiała zęby w jego udzie.

Drgnął mocno, a jego uścisk nasilił się. Sekundę później usłyszała, jak odezwał się głośno, przesadnie akcentując wyrazy:

– Wspaniale cię widzieć, mamo.

Rozdział 23

Dzwonek telefonu wyrwał Czwartego ze snu niczym kubek zimnej wody. Z trudem otworzył oczy i spojrzął na zegarek.

Była dziewiąta rano, znowu.

Czy to był on?

Oczywiście, że on. Któż inny mógłby to być?

Czwarty nie miał ochoty odbierać. Wypita wczoraj whiskey też nie nastrajała pozytywnie. Kac mieszał się ze strachem. A telefon dzwonił i dzwonił. Zupełnie, jakby dzwoniący zdawał sobie sprawę z tego, że Czwarty i tak w końcu odbierze.

Powoli wyciągnął rękę i wcisnął przycisk opcji głośnego mówienia.

– Halo?

– Czwarty? Jestem tobą niezmiernie rozczarowany. – Znajomy, łagodny, a zarazem demoniczny głos sprawił, że prawie zwymiotował. – Miałeś szukać, a tymczasem upijasz się do nieprzytomności.

– Nie piłem.

– Kłamstwo nie wyciągnie cię kłopotów, nie tym razem.

– Nie kłamię! – warknął i zaraz zreflektował się. Spokojnie, nie powinienem krzyczeć na pana Hopkinsa. Mogę go wkurzyć. – Piję odrobinę, a następnie udaję, że jestem pijany. Nie mogłem wymyślić lepszego usprawiedliwienia, dlatego że ciągle się gubię albo wtaczam do przypadkowych pokojów.

Nastąpiła krótka cisza, podczas której na czoło Czwartego zdążyły wystąpić kropelki potu.

– Proszę, proszę. Jakie to przebiegłe. Zasluguję na uznanie, za umiejętność wykorzystania twoich wad do czegoś pożytecznego.

Nawet jego komplementy były wypowiedzane w taki sposób, jakby żądał za nie zapłaty. A Czwarty nie miał już prawie nic, czym mógłby płacić.

– Tyle że zupełnie mnie zawiodłeś. Zawiodłeś mnie po tym, jak kupiłem udziały w twojej firmie – powiedział Hopkins. – Pamiętasz tę firmę? Firmę, w której dokonałeś poważnej defraudacji?

Czwarty usiadł na brzegu łóżka, chowając twarz w dłoniach.

– Pamiętam.

– A czy pamiętasz może o tym, że nie wniosłem przeciwko tobie oskarżenia, gdy przekręt wyszedł na jaw?

Devlin też tego nie zrobił.

Wszystkiemu był winien Czwarty. Wiedział o tym. Był jak piąte koło u wozu. Jak najczarniejsza z owiec. Ale gdy fałszował księgi w kompanii, nie miał pojęcia, że ojciec wkurzy się tak bardzo. Co prawda sam przekonał Devlina, żeby kupił akcje, ale czymże było dla takiego gościa jak Devlin, te parę milionów dolarów?

Kiedy powiedział to Devlinowi, ten spojrzał na niego tak, że Czwarty przezornie postąpił pięć kroków do tyłu. Nawet teraz trzął się na wspomnienie gorzkich głębin oczu Fitzwilliama. Devlin potraktował defraudację Czwartego jak plamę na swoim honorze. A nikt nie plamił honoru Devlina bez ponoszenia konsekwencji.

Dlatego też Bradley Benjamin Trzeci został postawiony przed dylematem – sprzedać Waldemar bękartowi Fitzwilliamów albo pozwolić na to, by syn poszedł do więzienia.

Wizja tego ostatniego stawała się całkiem realna, ale w końcu skończyło się na tym, że Devlin rozpoczął prace nad swoim nowym hotelem, a Benjamin Trzeci osiągnął szczyty rozczarowania swoim

pierworodnym.

– Czwarty, kiedy z tobą rozmawiam, wolę, kiedy odpowiadasz. – Hopkins był jak dobrze wytresowany pies. Kiedy zatopił już kły w ciele, za nic w świecie nie otworzyłby szczęki.

– Pamiętam wszystko – powiedział Czwarty.

Po tym, jak sprzedano Waldemar, myślał, że już najgorsze ma już za sobą.

Ale tak się nie stało. A przyczyną tego był nieznany człowiek, który też kupił pewną ilość akcji jego firmy. Okazało się przy tym, że nie ma w sobie nic z delikatności i wyrozumiałości Devlina.

Zaschło mu w ustach, gdy przypomniał sobie blaszany magazyn, do którego wzięli go ludzie Hopkinsa. Najpierw nie wierzył w ich groźby. Obcinanie nosa czy palców groźnie wyglądało na filmach, ale taka rzecz nigdy nie powinna się przydarzyć dziedzicowi poważanej południowej rodziny. Tyle że ci faceci najwyraźniej o tym nie wiedzieli, a wyglądali na doświadczonych w swoim fachu. Krzyczał ze strachu, a pan Hopkins spokojnie mówił, mówił, mówił...

Szybko okazało się, że Czwarty został wystrychnięty na dudka. Hopkins wiedział, że z akcji nie będzie miał żadnego pożytku, poza faktem, że Czwarty stanie się jego dłużnikiem. Miał nadzieję wysłać go do domu, w którym niegdyś mieszkał, by odnalazł dla niego obraz.

– Jaką część domu musisz jeszcze przeszukać?

– Przeszukałem wszystkie pokoje na pierwszym, drugim piętrze i w piwnicy. Byłem we wszystkich schowkach. Na razie bez rezultatu... – Czwarty zawahał się na chwilę, ale co miał do stracenia, mówiąc prawdę? – Zastanawiałem się i opis tego obrazu jakoś nie pasuje, do tego, co miała w zwyczaju malować Isabelle.

– Bardzo proszę. Nie zastanawiaj się w przyszłości. – Głos Hopkinsa stał się naraz ostry.

Przez krótką chwilę Czwarty miał wrażenie, że usłyszał coś. Akcent, sposób mówienia, coś, co budziło skojarzenia, brzmiało niemal... Znajomo.

Ale następne słowa Hopkinsa sprawiły, że zaraz zaczął zastanawiać się nad czymś innym.

– Pamiętasz, jak w tym magazynie moi ludzie trzymali nóż przy twojej... – jak brzmi anatomiczna nazwa? – A, tak – mosznie?

Czwarty przełknął ślinę.

– Jedno moje słowo i znowu ujrysz nóż w tych okolicach. A kolejne słowo, może sprawić, że utracisz tę jakże istotną część ciała.

Czwarty odchrząknął gwałtownie, próbując powstrzymać opanowującego go mdłości.

– To bardzo nieprzyjemna operacja. Dużo krwi. Ofiara zwykle wrzeszczy. A kiedy w końcu dochodzi do zdrowia, co zresztą wcale nie jest takie pewne, żałuje, że nie umarła. Proszę, zachowaj ten ciepły obraz we wspomnieniach, kiedy: będziesz szukał obrazu, który opisałem. Cichy trzask odkładanej słuchawki oznaczał koniec konwersacji.

Czwarty wybiegł do łazienki, pochylił się nad sedesem i wymiotował tak długo, że aż oczy zaszczyły mu łzami.

Cholernego obrazu tam nie było. Jak mógł odnaleźć coś czego nie było?

Ile jeszcze czasu minie, zanim pan Hopkins weźmie sprawy w swoje ręce i pośle swoje psy gończe, by wszystkich po prostu zabiły?

Ile jeszcze czasu?

Ile?

– Myślisz, że wiedziała, że byłam pod prześcieradłem?

– Meadow zapinała guziki obcisłych jeansów.

– Nałożyłbym na twoim miejscu letnią sukienkę. – Devlin zapiał zamek beżowych lnianych spodni.

– Letnią sukienkę? Na oficjalne zapoznanie się z twoją matką? – zapytała. Zaraz, zaraz, pomyślała równocześnie. Odwracał jej uwagę. – Więc, jak w końcu myślisz. Wiedziała, czy nie?

– Nawet jeśli tak było, nigdy się do tego nie przyzna.

– Krótkie rękawki jego koszulki polo, opinały wspaniałe bicepsy w niemal zmysłowy sposób, a niebieskie oczy wydawały się nawet nie tyle błyszczeć, ile jasno świecić, gdy patrzył na nią, rozebraną od pasa w górę. – A tak, poza tym, jeśli chodzi o ubrania, moja matka to prawdziwa dyktatorka mody.

– Ale może mnie poznać taką, jaką jestem naprawdę. – Meadow chwyciła różowy T – shirt i naciągnęła szybko przez głowę.

Podszedł do niej i bez słowa go ściągnął.

– To nie czas na to – powiedziała z uśmiechem. Był nienasycony, podobało jej się to.

Podał jej biustonosz.

– Przez lata obcowania z moją matką, ustaliłem jedno, im mniej wie, tym lepiej. Jest jak drogowy walec, kiedy rusza, nic nie jest w stanie go powstrzymać. Rozgniecie cię, jeśli nie zejdziesz jej z drogi.

Meadow spojrzała na stanik, wzruszyła ramionami i powoli go zapieła.

– Mówisz o niej w taki sposób, że zaczynam sobie wyobrażać, że jest straszna.

– Nie jest straszna. Jest kobietą mocy. Bardzo wpływową.

Sprawia, że rzeczy dzieją się tak, jak ona tego chce. – Naciągnął jej koszulkę przez głowę, po czym sięgnął i podał jej parę sandałów.

– Brzmi złowieszczo. – Nałożyła sandały.

– Złowieszczo. Może to i trafne sformułowanie. – Ujął ją za rękę i poprowadził do eleganckiego pokoju, tego samego, w którym pośród poduszek szezlongu ukryła klucz do wejścia. Patrząc teraz w tę stronę, zastanawiała się, czy klucz cały czas tam był.

Pokój, w którym powinien wisieć nad kominkiem upragniony obraz. Tyle że nie wisiał.

Zerknęła z żalem na dumnego, starego gentlemana, który zajmował miejsce obrazu Isabelli.

Pokój, w którym pierwszy raz ujrzała Devlina Fitzwilliama.

No dobrze, więc może i miejsce nie było takie złe.

Wyprostowała się mimowolnie, gdy wyjątkowo elegancka kobieta podniosła się zza wyjątkowo eleganckiego biurka stojącego w rogu pomieszczenia.

Matka Devlina była zbudowana proporcjonalnie niczym grecka rzeźba, blond włosy nosiły ślady delikatnego rozjaśniania. Miała na sobie lekki, różowy kostium z cieniutkiej wełny a jej skóra zdawała się mieć fakturę i blask porcelany. Na dodatek wydawała się na wskroś kobietą Południa. Roztaczała wokół siebie aurę powagi, dokładnie taką, jaką emanował jej syn.

Kiedy postąpiła do przodu, by go ucałować, dało się wyczuć w jej ruchach pewną sztywność.

Zbliżył policzek do jej policzka.

– Mamo, co za miła niespodzianka. Cóż przywodzi cię d Tajemniczego Ogrodu?

– Możesz sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy w Atlancie spotkałam Scrubby’ego Gallaghera a ten opowiadał mi o tym, jak miał przyjemność poznać moją synową. – Jej oczy były zimne i błyszczące, gdy

obserwowała Meadow, zatrzymując wzrok najpierw na palcach stóp, które nie pamiętały już pedicure, a później przenosząc go na jeansy i różową koszulkę. Jej spojrzenie na włosy dziewczyny było pełne krytycyzmu, a Meadow od razu zdała sobie sprawę z tego, że była widziana wówczas pod prześcieradłem. I że jej czyny niekoniecznie spotkały się z uznaniem.

Wiedziała już, że mamie Devlina nie podoba się podejmowanie szaleńczych decyzji i działania pod wpływem emocji. Nie podobało jej się też ubranie Meadow i jej uczesanie. Na pewno nie akceptowała faktu, że jej syn zdecydował się poślubić dziewczynę – chuligana. No i była cholernie wkurzona, że o małżeństwie syna dowiaduje się ostatnia.

A za wszystko oczywiście odpowiedzialna była Meadow.

Dlatego też postanowiła działać najlepiej, jak potrafiła. Szeroko otworzyła ramiona i rzuciła się w jej stronę.

– Grace, najdroższa!

Nie dała jej czasu na reakcję, wyściskała ją z całych sił, gniotąc przy tym nieskazitelny kostium i burząc misternie ułożone loki. Kątem oka dostrzegła rozbawioną i zaskoczoną twarz Devlina.

– Mamo, to jest Meadow. Meadow, proszę, poznaj moją mamę, Grace Fitzwilliam.

– Tak się cieszę, że cię poznałam, Grace. Mogę ci w końcu podziękować za opiekę i wychowanie mojego wspaniałego męża. – Meadow uśmiechała się szeroko. – Wiedziałam, że wspaniale będziemy się rozumiały.

Grace mrugała zaskoczona. Stanowczo wyzwoiliła się z objęć.

– No tak. Rozumiem. Wspaniale. Jestem bardzo szczęśliwa. Ale żeby mi nie powiedzieć?

– To bardzo długa historia, mamo. – Zanim Meadow zdążyła objąć ją

ponownie, Devlin chwycił ją za ramię i odciągnął na bok. Jego chwyt był tak mocny, że nie mogła nawet myśleć o wyrwaniu się.

– Wnoszę, że twoi rodzice o wszystkim wiedzą, Meadow?

– Grace poprawiła na sobie kostium.

– Niezupełnie... – Meadow niezręcznie przestąpiła z nogi na nogę i mogła jedynie mieć nadzieję, że Grace nie pójdzie dalej drogą trudnych pytań.

Ze sposobu, w jaki Meadow się ubrała – para jeansów i T – shirt – Grace musiała wywnioskować, że żona jej syna musi być jakąś niezmierną pomyłką. Kolejną fanaberią. A kiedy, a właściwie, jeśli usłyszy historię o amnezji, zacznie ją na dodatek uważać za pomyłkę.

– Jeśli próbujecie utrzymać wasz związek w tajemnicy, to chyba nie obraliście najlepszej drogi – mówiła Grace. – Paradując na wybrzeżu Amelii, prawie przyprawiliście starego Benjamina o zawał serca!

– To nie był zawał serca. Załedwie duszności – powiedział chłodno Devlin. – Słyszałem, że nic mu nie jest. Ma się wyśmienicie.

– Chociaż, gdyby on naprawdę miał serce, nie wątpię, że chciałoby ono wyrwać się na wolność – dorzuciła Meadow.

– Bradley jest jednym najbardziej prominentnych obywateli naszej społeczności.

Meadow nie mogła uwierzyć, że Grace staje w jego obronie.

– Był złośliwy w stosunku do Devlina.

– Jest starszy i słabego już zdrowia. Dlatego wybaczymy mu chwilowe słabości. – Głos Grace był cichy i przepełniony spokojem.

Tak właśnie mówił Devlin, kiedy był rozgniewany.

Fascynujące.

Grace ponownie zajęła miejsce za biurkiem. Przerzuciła kilka

papierów, by unieść ten, którego szukała.

– Oto lista gości. Będę potrzebowała lisy Meadow, zanim zdecyduję się wysłać zaproszenia.

Devlin zerknął na kartkę i wzruszył ramionami.

– Zaproś, kogo tylko masz ochotę zaprosić, mamo.

Meadow miała wrażenie, jakby umknęła jej część rozmowy.

– Zaraz, zaraz. O jaką listę chodzi?

Devlin rozmawiał z matką, jakby Meadow tam nie było.

– Być może połączymy przyjęcie z ceremonią otwarcia Tajemniczego Ogrodu?

– Jakie przyjęcie? – indagowała dalej Meadow.

Grace podała jej listę.

– Może wtedy stracić osobisty charakter – odezwała się do syna.

– W żadnym razie. Obawiam się raczej, że dwa przyjęcia z rzędu mogą sprawić, że żadne nie zostanie w pełni docenione. Wiesz, rozmyją się w natłoku atrakcji.

– Hmm. No tak. Właściwie masz rację. – Grace rozpromieniła się wyraźnie. Będę wtedy dysponowała też większym budżetem niż na każde z przyjęć oddzielnie.

– Jakie przyjęcie? – Meadow powiedziała to wyraźnie i o wiele głośniejszym głosem niż ostatnio.

– O mój Boże, Meadow. – Grace zamrugła z niedowierzaniem i nieco oburzona tonem dziewczyny. – Przyjęcie, na którym oficjalnie ogłosicie, że jesteście małżeństwem, oczywiście.

Niedobrze. Bardzo niedobrze. Niewinny flirt z Devlinem był całkiem przyjemny, niewątpliwie. Drażnienie go, skłanianie ku temu, by normalnie rozkoszował się życiem. Jej mały romans.

Ale przyjęcie? Na którym ujrzy nie tylko Czwartego, ale wszystkich jego przyjaciół i partnerów w interesach. Nie. To byłoby po prostu... Niemądre. Jak to się działo, że im dłużej szukała obrazu, tym bardziej brnęła pod górę, ścieżką wąską i błotnistą?

– Myślę, że czas byśmy wyjawili naszą słodką tajemnicę, kochanie. Chcę, żeby wszyscy się dowiedzieli. – Devlin patrzył jej prosto w oczy.

Dostrzegła w nich kpinę i nie przyszło jej na myśl nic innego, jak z całej siły nadepnąć Devlinowi na stopę.

– Myślę, że powinnam lepiej poznać dom, w którym przyjdzie mi mieszkać, przed oficjalnym ogłoszeniem naszych zaślubin.

Ból zniósł ze stoickim spokojem.

– Myślenie i planowanie pozostaw mnie. Nie powinnaś przepełniać tej małej ślicznej główki troskami życia codziennego.

Uśmiechnęła się, najszerzej jak potrafiła.

– Nie potrafię zapomnieć o zmartwieniach, kochanie. Wiem przecież, ile dla ciebie znaczy, całe to wielkie otwarcie Tajemniczego Ogrodu.

– Ile znaczy dla nas. Dla naszej przyszłości. – Jakże on uwielbiał to robić. Testować ją! Czy złamie się i przyzna się do wszystkiego, czy też raczej będzie wołała znieść wszystkie niedogodności płynące z bycia gospodynią weselnego przyjęcia?

Grace słuchała przez moment tej wymiany zdań, po czym zdecydowała się wtrącić.

– Ponieważ nie zgadzacie się do końca, zrobmy wszystko według mojego planu. – Podeszła do stołu i otworzyła znajdujące się na nim pudełko, by wyciągnąć z niego rolkę papieru do pakowania.

– Przywiozłam kilka rzeczy, które mogą dodać nieco smaku wnętrzom. Tylko kilka. Wiem, że nienawidzisz mojego gustu.

– Wcale nie nienawidzę twojego gustu. Po prostu zatrudniam swoich dekoratorów.

– Zresztą całkiem niezłych. – Grace zatoczyła ręką krag.

– To pomieszczenie naprawdę ma styl.

– Ma styl, czy go nie ma, nie stać mnie na współpracę z tobą, mamo.

Wszystko, co kupujesz, jest drogie a przy tym, potrzebuję, żeby wszystko było zrobione na czas i wtedy, kiedy tego potrzebuję, a nie wtedy, gdy możesz mnie wpisać do harmonogramu – westchnął Devlin. Dyskutowali na ten temat już wcześniej i zaczynało go to męczyć.

– Wiem o tym. Nie nalegam i nie ganię cię. – Grace nie zamierzała prowadzić dalej tej dyskusji. – Proszę, znalazłam to i myślę, że będzie wspaniale wyglądało w przeszklonym kredensie – powiedziała, wyciągając naczynie z chińskiej porcelany.

– Och. – Meadow nie udało się powstrzymać westchnięcia. – To jest przepiękne. Dziewiętnastowieczne cloisonne z Chin, prawda?

– Tak, chińska misa na podstawce. – Grace popatrzyła na Meadow tak, jakby dziewczyna oznajmiła jej właśnie, że do twarzy by jej było z parą jelenich rogów.

– Wspaniała. Co tam jeszcze chowasz? – Ostrożnie wyciągnęła kolejny pakunek i wprawnie zdejmowała warstwy papieru.

– Och, waza na zupę. Portmeirion. Angielskie Ogrody Botaniczne?

– To prawda – powiedziała wolno Grace.

– Niezłe na małe przyjęcia. Drogie, ale niebyt wartościowe.

Devlin przygryzł wargi w uśmiechu, widząc, jak jego matka wydeła usta.

– No, nie przeczę, że jest całkiem ładna. – Meadow nie zdawała sobie sprawy, jak wielkie faux pas popełnia, określając wybrane pieczołowicie

przedmioty mianem „ładnych”. Grace nienawidziła tego słowa. – Z drugiej strony nie chcesz drzeć podczas przyjęcia, że ktoś stłucze coś prawdziwie antycznego, prawda?

Devlin rozparł się wygodnie na kanapie i z niesłabnącą uwagą przyglądał się tej wymianie zdań.

– Matka uwielbia to wewnętrzne rozdarcie pomiędzy strachem a triumfem zaimponowania czymś wspaniałym.

Grace spiorunowała syna wzrokiem.

– Po prostu nie sędzę, że te angielskie wazy są „zwyczajne”.

– Nie powiedziałam „zwyczajne” – zaprotestowała Meadow. – Powiedziałam przecież, że jest całkiem ładna.

Właśnie skazała wazę Portmeirion na zapomnienie.

Sięgnęła ręką głębiej i wyciągnęła kolejny pakunek.

– Ostrożnie – syknęła Grace.

Ale Meadow wprawnie odsłoniła już kolejną wysoką wazę.

– Warsztat Steuben. Uwielbiam ich prace. Spójrzcie, jak się mieni. – Uniosła naczynie ku światłu i pozwoliła, by jaśniało przez chwilę przenikającymi się barwami purpury, błękitu i złota. Przebiegła po nim wprawnie palcami. – Jest w niezłym stanie. Bez obtłuczeń, tylko kilka pomniejszych zadrapań.

Interakcja pomiędzy jego matką a jego kochanką wydawała mu się fascynująca. Ale jeszcze bardziej zajmowała go wiedza dziewczyny. A sposób, w jaki obchodziła się z naczyniami, przypomniał mu ich pierwsze spotkanie, kiedy godnie odmówiła wymiotowania do bezcennego, antycznego naczynia.

Grace najwyraźniej nie było w smak, że jej wybory są krytycznie oceniane przez młodziutką dziewczynę. Z ekscytacją sama odpakowała

kolejną misę – również szklaną, mieniającą się rozmytymi kolorami pomarańczy, czerwieni i różu.

– Tej nie rozpoznasz na pewno – powiedziała i zanim Meadow otworzyła usta, szybko dokończyła – To River Szarvas.

– River Szarvas? Doprawdy? – Meadow uniosła wysoko brwi.

Grace wykrzywiła śmiesznie nos.

– Według certyfikatu to Natalie Szarvas. Ale sprzedawca sam w to nie wierzył i ja również nie daję temu wiary. Natalie to córka Rivera, więc zakładam, że ojciec chce jej pomóc, zawczasu dbając o jej sławę. Tyle że dwudziestolatka nie byłaby w stanie stworzyć czegoś tak wspaniałego.

– Oczywiście, że nie. – Meadow ostrożnie ujęła naczynie.

– To jakby trzymać zamknięte w szkłe słoneczne promienie.

– Nawet lepiej – odpowiedziała Meadow.

Każdego dnia, odkąd tylko przekroczyła próg jego domu, Devlin ją obserwował. Nie potrafił oczywiście odczytać jej myśli, ale przynajmniej próbował. Tym bardziej że było warto, bo głowa Meadow wypełniona była myślami co najmniej interesującymi.

– Ten River założył chyba coś na kształt artystycznej dynastii? – zapytał.

– Prowadzi komunę artystyczną w górach w stanie Waszyngton – odpowiedziała Grace. – Dużą, szanowaną i nieco... Awangardową.

Meadow uśmiechnęła się szeroko.

– Awangardową? – Jego podejrzenia nagle zaczęły zyskiwać miano pewników.

– Myślę, że twoja mama ma na myśli dużą grupę starych hippisów – powiedziała Meadow.

– O tak, tak właśnie słyszałam. – Grace wykrzywiła twarz w

grymasie. – Ich dom w górach stał się mekką artystów, zwłaszcza tych zajmujących się szkłem oraz, niestety, wszelkiego sortu ekologów.

– Boże broń! – W uszach Devlina słowa Meadow nie zabrzmiały zbyt wiarygodnie.

– Mój sprzedawca sztuki mówił, że ich dom cały czas jest pełen gości. Że ludzie śpią na... Podłodze. Wyobrażacie sobie? Podłodze!

– To jest chyba właśnie alternatywne – powiedziała Meadow.

Devlin niemal dostrzegł jej rozbawienie.

– Ale są artystami. – Grace rozłożyła wyrozumiałe ręce.

– Czego można się spodziewać po artystach?

– Dokładnie. – Meadow oddała jej misę. – Wspaniałe znalezisko.

– Jeśli panie mi wybaczą, muszę dopatrzeć kilku niezmiernie istotnych rzeczy. Kwestie dekoracji pozostawiam wam – powiedział Devlin i ruszył w stronę wyjścia. Słyszał jeszcze tylko, jak Grace zalewa Meadow potokiem słów o rodzinie, szkole, do której chodziła i pracy, którą na co dzień się zajmowała. Kątem oka dostrzegł nawet zaskoczony wyraz twarzy dziewczyny i szczerze zaśmiał się w duchu. Zupełnie, jakby udało mu się splątać wyśmienity żart.

Kiedy wszedł do biura, zaskoczyła go nieco nieobecność Sama. Biedak. Przez ostatnie kilka dni nie narzekał na brak zajęć. Być może zmogło go w końcu zmęczenie?

Devlin podszedł do biurka. Nie usiadł nawet, tylko od razu wpisał Natallie Szarvas w Google. Wyszukiwarka poprawiła błąd w imieniu pisanym przez jedno, a nie dwa „l” i po krótkiej chwili patrzył na zdjęcia Meadow, włosy związane z tyłu twarz spocona od ciężkiej pracy przy wydmuchiwaniu szkła.

Natalie Meadow Szarvas.

Wiedział już, kim jest. Pozostawały inne pytania. Co tutaj robiła? Jak długi jeszcze uda się ją zatrzymać?

TTLR

TLLR

Rozdział 24

Meadow wyszła z biblioteki krokiem spokojnym, a przynajmniej takim, który nie niósł znamion pośpiechu. Ale gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, ruszyła biegiem w górę schodów.

Miała ochotę zabić Devlina, za to, że pozostawił ją ze swoją matką.

Płytką, przekonana o własnej nieomyślności, dominująca – wszystkie sformułowania świetnie opisywały panią Grace Fitzwilliam. Nie wspominając już nawet tego, jaka była ciekawska. Jak wiele pytań zadawała Meadow na temat jej rodziny, pochodzenia, uzdolnień a zwłaszcza płodności. Grace była niebywale zaborcza, kiedy w grę wchodził jej syn. W rzeczywistości to zapatrzenie w Devlina może i nawet by się Meadow podobało, gdyby nie było również skierowane przeciwko niej.

Wyhamowała z poślizgiem na drewnianej podłodze i niemal równocześnie wpadła na śpieszącego dokądś Sama.

Postąpił krok do tyłu a refleks i giętkość ciała uchroniły go przed upadkiem.

– Pani Fitzwilliam. Co słyszeć? – Jak zwykle sprawiał wrażenie, jakby odpowiedź na to pytanie wcale go nie interesowała. W jego ustach było to jedynie uprzejme pozdrowienie.

– Nie wszystko. To znaczy tak, wszystko. Machnęła ręką w stronę schodów. – Zostawiłam Grace Fitzwilliam w bibliotece.

– Aha – Pokiwał głową, jakby wszystko stało się naraz jasne.

– Czy zawsze taka jest? Jest chyba jedyną osobą, której nawet Devlin się obawia. Mam rację, prawda? – Meadow uśmiechnęła się. Wolą, żeby to zabrzmiało jak żart.

Sam nie odpowiedział uśmiechem.

– Wiemy, po kim pan Fitzwilliam dziedziczy siłę charakteru.
– Bardzo korzystne podejście do problemu – odrzekła Meadow szybko. – Zapamiętam te słowa. Czy Devlin jest w biurze?
– Tak sędzę. Po wyjściu z biblioteki poszedł w tamtą stronę.
– Skąd wiesz?
– Być może dlatego, że patrzę czasem na monitory.
– Myślałam, że monitory są właśnie w jego biurze.
– Monitory są na każdym poziomie. Jeśli ktoś wie gdzie ich szukać. Hotel jest pod uważnym nadzorem. – Ostatnie słowa zabrzmiały jak ostrzeżenie.

– Cały hotel, z wyjątkiem pokoi.
– Z wyjątkiem pokoi – zgodził się uprzejmie. – Idzie pani teraz do biura? – zapytał.

– Nie, myślę, że trochę pochodzę sobie dla uspokojenia po hotelu. Budynek to prawdziwe dzieło sztuki przecież, nieprawdaż? – zapytała z czytelną ironią w głosie.

– Jest cudowny, w istocie. – Sam patrzył przez chwilę za oddalającą się dziewczyną, po czym wykrzyknął. – Pani Fitzwilliam, niech pani będzie ostrożna. Hotel nie jest tak bezpieczny, jakby mogło się to wydawać.

Odwróciła się gwałtownie i spojrzała mu w oczy.

Były czarne, bezduszne, prawie martwe.

– Straszysz mnie?

– Ostrzegam. Tylko ostrzegam. – Odwrócił głowę i ruszył w stronę schodów.

Rozejrzała się wokół. Co on tu właściwie robił? Przecież to była część hotelu, w której znajdowały się prywatne apartamenty jej i Devlina.

Drzwi były otwarte. Był w środku?! Szukał czegoś? Czego?

Weszła do salonu. Wyglądał zwyczajnie. Nic nie odbiegało od normy, wszystko na miejscu.

Sam był dziwnym człowiekiem. Nie wydawał się mieć wielu przyjaciół. Nie mówił o przeszłości i pochodzeniu. A teraz zdawał się jej grozić. Może był płatnym mordercą? Może powinna porozmawiać z Devlinem?

Tylko co by mu powiedziała? *Wiesz co, ten twój sekretarz, ten, któremu ufasz, mówi nieprzyjemne rzeczy. I jeszcze patrzy na mnie, jakby mnie wcale nie lubił.* Zupełna dziecinada.

Weszła do sypialni. W niej też panował zupełny porządek. Spodnie, koszule i jeansy Devlina wisiały w szafie tuż obok jej kwiecistej sukienki. Ich bielizna w jednej szufladzie. Kupił jej tyle ubrań, że miałyby się w co wystroić na każdą okazję przez co najmniej miesiąc.

Może powinna przestać przejmować się Samem i skoncentrować się na Devlinie? Kupować jej tyle ubrań? Po cóż miałyby ją tu trzymać tak długo? A jeszcze ta cała historia z celebracją ich zaślubin? Po cóż to robił? Jaki cel mu przyświecał? Jeśli podejrzewał, że mówiła nieprawdę i miał nadzieję, że jej kłamstwa wyjdą na jaw, to dlaczego wszystkich gorąco przekonywał, że są małżeństwem? Czy nie martwił się o to, co się stanie, kiedy cała ta farsa się skończy? Jak wyjaśni to, co działo się między nimi przez ostatnie tygodnie?

Sama nie wiedziała, jak to wyjaśnić.

Kolejne pytania nie dawały jej spokoju.

W jaką grę grał Devlin? Być może powinna być nieco bardziej ostrożna?

Poruszyła ramionami, starając się pozbyć nieco nerwowego napięcia.

Nie bała się o Devlina. To, jak się kochali, było tak spontaniczne, tak chętne i czyste, że nie budziło żadnych wątpliwości. Czuła jedynie radość.

Musiała znaleźć ten obraz, by powiedzieć mu prawdę. Tylko co on wtedy zrobi? Odda jej malowidło ze wzruszeniem ramion? Nie był szalony. Obraz był wart fortunę i zgodnie z prawem należał do niego. Kiedy zaczynała poszukiwania, myślała sobie, że obraz powinien być raczej własnością jej babci. Być może nie było to zgodne z literą prawa, ale uspokajało jej sumienie. Przecież dziedziczyła po babci. Zabranie go Bradleyowi Benjaminowi było w porządku. Odebranie obrazu Devlinowi, było już czymś zupełnie innym.

Meadow przycisnęła dłonie do czoła. Coś, co miało być jedynie krótką przygodą, stało się nagle skomplikowaną historią. I chociaż uwielbiała uścisk ramiona Devlina, uwielbiała jego bliskość i pamiętała wzruszającą historię z Mią, to równocześnie nie zapomniała to tym, jak zaborczo wypowiadał się o posiadłości Waldemar. Nie zapomniała o jego gniewie.

Czyjeś kroki. W łazience.

Kto się tam ukrywał?

Ze wzrokiem utkwionym w drzwiach zaczęła się powoli wycofywać.

Pokojówka otworzyła drzwi, dźwigając w ręku wiadro z mopem.

Meadow oparła się o ścianę.

Cała ta maskarada zaczęła poważnie działać jej na nerwy. Niebawem zacznie lękać się swojego cienia.

– Pani Fitzwilliam. – Pokojówka rozpromieniła się na jej widok. Miała na oko jakieś sześćdziesiąt lat, była niska i korpulentna. Kręcone włosy i słodko zaokrąglona twarz nadawały jej wygląd dobrodusznej babci snującej opowieści przy kominku w długie zimowe wieczory.

Meadow nie pamiętała jej imienia. Właściwie w ogóle jej nie pamiętała, choć z reguły z pamięcią do twarzy nie miewała kłopotów.

Czy powinna się przyznać do niewiedzy, czy też może umiejętnie ją

ukryć.

Zastanawiała się przez moment, ale pokojówka odezwała się pierwsza.

– Chyba znalazłam pani obraz – szepnęła.

Meadow wstrzymała oddech.

– Naprawdę? Gdzie?

– W jednym z pokojów. Proszę za mną, pokażę pani.

– Ruszyła dziarskim krokiem, którego nikt nie spodziewałby się po sześćdziesięciolatce. Przebierała nóżkami tak szybko, że Meadow ledwie dotrzymywała jej kroku.

Zatrzymała się gwałtownie przy masywnych drzwiach. Tak gwałtownie, że Meadow prawie na nią wpadła. Przeciągnęła kartę magnetyczną przez czytnik, nacisnęła klamkę i zapaliła światło wewnątrz pomieszczenia.

– Obraz jest tutaj.

Meadow zajrzała do wnętrza wąskiego składziku. Zobaczyła wózek na pościel i kilka wiader. Na długich półkach piętrzyły się stosy śnieżnobiałej pościeli.

– Mówiłaś chyba, że znalazłaś obraz w pokoju?

– Zdjęłam go i schowałam tutaj. Stoi tam, przy ścianie.

– Tak? – Meadow postąpiła krok do przodu, by przesunąć wózek na pościel. – Nie widzę tu nic co...

Odwróciła się w momencie, w którym zatrzaskiwały się za nią drzwi.

– Hej! Co to ma znaczyć? – Naparła całym ciałem na drzwi. Były zamknięte.

Uderzyła jeszcze raz, by przekonać się jak były ciężkie i solidne.

Sięgnęła ręką w stronę klamki.

Klamki oczywiście brakowało.

Jej wzrok padł na czytnik magnetycznych kart.

– Hej! – wrzasnęła, tłukąc ręką w drzwi, które nawet nie chciały drgnąć. – Hej! Wypuście mnie!

Ciężkie, izolowane drzwi tłumiły dźwięki i nawet nie miały zamiaru drgnąć.

Nie rozumiała. Po co ktoś chciałby zamykać ją w składziku na pościel?

Przeszukała kieszenie. Oczywiście nie miała przy sobie magnetycznej karty. Ubrała się rano tak szybko, że nawet nie miała czasu umyć zębów. O wszystkim zapomniała.

Ponownie zaczęła walić w drzwi i rozpaczliwie krzyczeć. Bez rezultatu. W końcu przestała i głęboko zaczerpnęła powietrza.

Nie miała klaustrofobii, więc składzik sam w sobie nie wydawał się przerażający.

Przerażający był cały akt uwięzienia jej tutaj. Czy kiedykolwiek uczyniła coś złego tej kobiecie?

Rozejrzała się wokół. Pomieszczenie było wąskie, ale stosunkowo duże. Tyle że z powodu półek z pościelą bardzo ciasne. Doszła do jego przeciwległej ściany, rozglądając się bacznie na lewo i prawo. Ani śladu obrazu.

Przynajmniej na tym polu nie było niespodzianki.

Ukucnęła i patrzyła na drzwi.

Dlaczego ta pokojówka to zrobiła? Czy ona w ogóle była pokojówką?

Musiała być. Wiedziała o malowidle, a Meadow mówiła o nim tylko pokojówkom... Z drugiej strony, wystarczyło, że jedna z nich była nadmiernie gadatliwa. Ktoś inny również mógł szukać obrazu. Ktoś, kto znał jego wartość i pragnął go dla siebie.

A miała taką dobrotliwą twarz.

Meadow zaplotła ramiona.

Matka powiedziała jej, że oto ma, na co sama zasłużyła.

Że kradzież obrazu, choćby z najszlachetniejszych pobudek byłaby niemoralna i że dzieło sztuki tak wartościowe musi wyzwać w ludziach negatywne emocje a może nawet formy przemocy.

Ale Meadow zaszła już tak daleko. Nie mogła teraz po prostu przestać. A babcia mówiła, że obraz był jej swoistym ubezpieczeniem.

Chwila na pewno była ku temu odpowiednia.

Choć słyszała radość w głosie matki, znała bardzo dobrze wahania nastroju towarzyszące rakowi. I widziała zbyt wielu pacjentów opuszczających oddział onkologiczny w plastikowych torbach.

Niełatwo było jej się przyznać do faktu, że podobało jej się w Tajemniczym Ogrodzie. Tu zapominała o rzeczywistości, otaczała się baśniowym przepychem świata, który pchał ją w ramiona Devlina Fitzwilliamia. I zakochując się coraz bardziej, coraz mniej pamiętała o kłopotach domku położonego wysoko w górach w stanie Waszyngton.

Rozdział 25

Czy pomyślała „zakochując się”? O nie, tylko nie to. Natalie Meadow Szarvas, niedoszły złodziej dzieł sztuki zakochiwała się w Devlinie Fitzwilliamie.

Jak mogła być tak głupia? Przecież jej wybraniec nawet nie wiedział, z kim tak naprawdę ma do czynienia. A i ona wiedziała, że jej kochanek okłamuje ją na każdym kroku.

Zresztą robił to wspaniale. Za każdym razem, gdy opowiadał historię ich miłości na Majorce, oczarowywał Meadow tym mocniej.

Nie sądziła, że trzymał ją tutaj dla konkretnych celów. Nic zresztą nie przychodziło jej do głowy.

Ale jej serce wrywało się z piersi, kiedy go widziała. Chciała być u jego boku, chciała przyjąć rolę, którą jej narzucił, rolę jego żony. Jakże to wszystko było niemądre!

W tym momencie nie miało jednak znaczenia.

A może miało?

Postępowała przecież właściwie.

A może nie do końca?

Światła zgasły nagle, jakby chcąc udzielić zakamuflowanej odpowiedzi na jej pytania.

Meadow westchnęła i zajęło dobrą chwilę, zanim zdała sobie sprawę, że światło w składziku wyłączało się czasowo. Ich zgaśnięcie nie było omenem. Tyle że zrobiło się tu nagle bardzo ciemno.

Ruszyła na czworaka w stronę wyjścia, kierując się na jaśniejącą smugę światła pod drzwiami. Uderzyła brodą o wózek. Zaczepiła nogą o mopa. Po omacku starała znaleźć się włącznik.

I nagle drzwi otworzyły się na oścież.

– Co tu robisz? – W oczach Devlina czaił się gniew. Stopy miał rozstawione szeroko. Emanował powagą.

– Devlin. Dzięki Bogu. Pokojówka mnie tu zamknęła.

– Meadow rzuciła mu się w ramiona, zakłopotana własnym zachowaniem, czując się winna kłamstw i zawstydzona odkrytą właśnie miłością do niego.

Nie objął jej. Powtórzył tylko.

– Pokojówka cię zamknęła. – W jego głosie nie było przekonania.

Nie dbała o to. Zamknąwszy oczy, wdychała jego zapach.

O tak. Była zakochana. Pachniał jak ambrozja. Sam jego dotyk sprawił, że poczuła ogarniający ją dreszcz. Roztopiała się w jego ramionach. A w głębi duszy dojrzywało poczucie pewności, że Devlin będzie zawsze obok, by ją uratować.

– Devlin... – wyszeptała. – Wiedziałam, że mnie znajdziesz.

– Jesteś taka... – Przez moment zadrżał, jakby walczył z ogarniającymi go instynktami. Ale zaraz po chwili jego ramiona objęły ją namiętne. Popchnął ją z powrotem za drzwi, które z trzaskiem zamknęły się za nim. Kiedy uniosła głowę, by zapytać, co właściwie robi, pocałował ją tak, jakby całowanie było niemal tak ważne, jak oddychanie.

Ciemność ogarnęła ich zasłoną intymności. Zapach czystej pościeli na półkach mieszał się z zapachem ich namiętnej seksualności.

Kochała go i potrzebowała. Potrzebowała go... Teraz.

A on pragnął jej.

Przytrzymał jej głowę, a każde dotknięcie jego języka wyzwalało w niej tak pierwotne części osobowości, że bała się przyznać, do ich istnienia. Napawał się jej oddechem i obdarowywał ją swoim. Gorące pożądanie i

nieprzebrane ciemności stopiły ich ciało w jedno. Czują pobudzenie, najpierw swoje – gorące i wilgotne, zaraz po chwili jego – naprężone i twarde jak marmurowe filary otaczające Tajemniczy Ogród.

Odepchnęła go po omacku od siebie, usłyszała dźwięk rozdieranej koszuli.

To otrzeźwiło ją na chwilę, ale tylko na tyle, by zdała sobie sprawę, że nie dba nawet o to, czy Devlin będzie nagi. Po prostu chciała go bardzo i chciała go teraz.

Sięgnęła do jego paska.

Odpiął spodnie.

Błyskawicznie i bezładnie pozbawiali się kolejnych części garderoby.

Szybko pozbyła się sandałów, jeansów i bielizny. Sięgnęła w stronę jego członka. Tak gorącego... Tak twardego...

Podał jej prezerwatywę.

Otworzyła ją szybko i wprawnie naciągnęła.

Sięgnął nad nią. Zepchnął pościel na bok, uniósł ją i posadził na twardej półce.

Deska nie była najprzyjemniejszym siedziskiem, ale Meadow nawet tego nie zauważyła. Przysunął jej biodra do siebie, równocześnie naciskając ramiona, tak, że oparły się o ścianę. Wtedy sięgnął niżej i rozwarł jej nogi. Otworzył ją na siebie. Zimne powietrze mieszało się z żarem emanującym z jego ciała. Stanął pomiędzy jej udami i pewnym gestem umieścił palec na jej lechtacze. Poruszyła biodrami, dochodząc od razu nad samą granicę szczytowania.

– Nie – wyszeptał gardłowym głosem, cofając dłoń. – Jeszcze nie.

Jęknęła, wyginając plecy w perfekcyjny łuk.

Czekał chwilę, choć czuła targające jego ciałem pożądanie.

W końcu wszedł w nią, odkrywając czekający na niego niebiańsko miękki żar.

– Wspaniale – powiedział.

Pochylił się nad nią delikatnie i przycisnął mocniej. Jego członek wydawał się jeszcze większy niż zazwyczaj. Myślała, że ją rozerwie, ale on tylko małymi delikatnymi ruchami wchodził w nią głębiej i głębiej.

Kolejne jęknięcie wydarło się z jej ust. Brała go całego i całą sobą. Wypełniał ją tak znakomicie, że nie wyobrażała sobie momentu, kiedy go w niej nie było. Wpiła paznokcie w jego plecy, a ból jedynie wydawał się spotęgować wrażenia.

Nie mógł znajdować się bliżej. Czują go w najgłębszych częściach siebie a równocześnie otaczał ją na zewnątrz. Nie widziała go, ciemności były nieprzeniknione, ale czuła się doskonale otoczona. Otoczona jego zapachem, pasją, pieszczotami i oddechem.

Kiedy wycofał się na chwilę, pragnęła jedynie tego, by z całą siłą do niej powrócił. To było jak najśłodsza tortura. Z całej siły nacisnęła piętami na jego pośladki.

Zwarli się tym silniej, oboje półprzytomni w poszukiwaniu spełnienia.

Ciemność intensyfikowała wszystkie doznania. Nic nie mogło jej powstrzymać. Jej oddech naraz stał się przerywany. Ciemność zablęśla kolorowymi światłami. Meadow sapnęła rozkosznie, oto chciała otrzymać wszystko, co on miał do zaoferowania a równocześnie w pełni obdarzać sobą. Potrzebowała...

– Dojdź teraz. – Jego ton był czytelny. Nie prosił. Rozkazywał. – Dojdź teraz. – Wyrzucił mocno biodra do przodu.

Krzyknęła. Ścisnęła uda. Odrzuciła mocno głowę do tyłu.

Wydawał się zbliżyć do niej jeszcze bardziej, choć nie było to

możliwe. Brał ją całą, ich biodra zderzały się, wyrzucane z pierwotną siłą, a ruch wznosił ją na wyżyny kolejnego orgazmu i jeszcze jednego, aż w końcu nie wiedziała, czy jeszcze zachodzą pomiędzy nimi przerwy.

Poczuła, jak wyprężył się pomiędzy jej udami. Jak napięte stały się nagle mięśnie. Jak mocno doszedł. Tak, że aż skóra pokryła się naraz kropelkami potu, a ona poczuła, jak jej dłonie ześlizgują się z jego mokrej teraz piersi.

Skończyli tak gwałtownie, jak zaczęli. Otwartymi ustami ciężko łąpała powietrze. Trzęsła się z wysiłku i nie mogła do końca zrozumieć, co się właściwie stało.

W jednej chwili otwierał drzwi. W następnej rzucali się już na siebie ogarnięci ogniem pożądania. Nigdy nie wyobrażała sobie seksu w takim wydaniu. Bez czułości i gry wstępnej. Czysta żądza zmieszana z pasją.

Wtedy dłonią odnalazł jej twarz i odgarnął jej włosy z czoła.

– Dobrze się czujesz?

– Tak... – Targały nią ostatnie doznania, przepełniała ją tęsknota, była w nim beznadziejnie zakochana... ale czuła się dobrze.

– Jesteś pewna? Nie zraniłem cię?

– Nie, z pewnością mnie nie zraniłeś.

Przez resztę dnia zapewne będzie słała się na nogach, ale nie zrobił jej nic, czego by sama nie chciała.

Wycofał się z niej powoli.

Zagryzła wargę w podświadomym proteście. Ich związek był tak prosty i przejrzysty w tych ciemnościach. Żadnych kłamstw, maskarady... Tylko dwa ciała połączone cudownym rytmem w poszukiwaniu wspólnego celu.

Gdyby tylko miłość była tak prosta.

Pomógł jej zsunąć się z półki i stanąć powoli na podłodze. Szybko podciągnął spodnie, zapiął rozporek, poprawił pasek.

– Gotowa? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, zapalił światła.

Skuliła się, mrużąc oczy. W jej spojrzeniu wina mieszała się z zakłopotaniem.

Co się z nim właściwie działo? Kiedy wyzbył się narzuconych przez cywilizację ograniczeń i tabu dotyczących uprawiania miłości? Kiedy zaczął zachowywać się jak marynarz podczas krótkiej wizyty na lądzie po wielomiesięcznym rejsie?

To nie było fair i nie było do końca tak proste. Nie zabierał się za każdą kobietę, na której spoczęłoby jego spojrzenie. Nie dla każdej zerwałby ubranie, by pograć się w odmętach cielesnego, pożądliwego uniesienia.

Tak działała na niego jedynie Meadow.

Tylko ona.

– Nie mogę znaleźć majtek. – Stała przed nim z jeansami w dłoni, naga od pasa w dół przyglądając się bezładnie zrzuconej na ziemię pościeli.

Ukląkł, by pomóc jej znaleźć bieliznę, choć nie mógł skoncentrować się na niczym poza niebiańską długością jej nóg. Chciał je ponownie rozłożyć, by od początku napawać się jej smakiem, zmusić do tego by z jej ust wyrwał się kolejny szloch rozkoszy.

Wypełniała jego umysł. Wszystkie zmysły. Nie miało znaczenia, ile razy doznawał zaspokożenia. Chwilę później chciał się z nią jeszcze raz kochać i to jak najszybciej. Tym razem użył prezerwatywy, ale chwilę, w której ją zakładała, wykorzystał na zrobienie miejsca na półce. Gdyby nie była tak szybka w nakładaniu zabezpieczenia, nie zważałby na nic i ponownie zaryzykowałby zostanie ojcem.

Nie był przecież jak jego ojciec. Nie chciał taki być.

A przynajmniej nie był taki nigdy wcześniej.

– Proszę. – Podał jej zwinięte stringi i próbował nie patrzeć na nią, gdy je zakładała.

Cholera. Cóż on miał z nią uczynić? Z tą małą kłamczuchą, która żyła pod jego dachem.

Przecież znowu go okłamała.

Gdzieś po drodze zapomniał o tym, że chciał jej użyć do zemsty na Bradleyu Benjaminie. Zamiast tego, starał się sprawić, by mu zaufała. Dał jej już tyle szans na wyjawienie tego, kim jest i co właściwie robiła.

Tyle że ona nie wykorzystwała żadnej, a teraz znowu wciskała mu coś o pokojówce, która zamknęła ją w składziku, podczas gdy zatrzasnęła się w nim sama podczas swoich poszukiwań obrazu.

Wiedział, bo Sam go o tym bezzwłocznie poinformował. Jego sekretarz miał baczenie na monitory kamer bezpieczeństwa. Sam nie kłamał zaś nigdy i nigdy nie popełniał błędów.

Rozdział 26

Devlin odprowadził Meadow do ich sypialni i zatrzymał się przy drzwiach.

– Jesteś pewna, że czujesz się dobrze?

Pytanie zabrzmiało bardzo grzecznie, ale Meadow nie do końca spodobał się jego ton. Ona była zakochana a on... wydawał się obojętny.

– Tak, wszystko w porządku. A ty?

– Jakże mogłoby być inaczej. – Przejechał kciukiem po jej policzku. – Tyle że jestem bardzo zajęty.

– Czy chcesz, żebym opisała kobietę, która zamknęła mnie w składziku?

Jego ręka zatrzymała się w powietrzu.

– Oczywiście. Powiedz mi, jak wyglądała.

Szybko opisała słodko wyglądającą babcię w stroju pokojówki.

– Nie przypominam sobie nikogo, kto by tak wyglądał i tu pracował. – Jego głos był bardzo spokojny i pozbawiony emocji.

– Nie poznałam jej również.

– Rozeznam się w tej sprawie. – Nie wydawał się zmartwiony.

Nie był przecież typem mężczyzny, który okazuje swoje zmartwienia.

– Jak sądzisz, dlaczego to zrobiła? – To było najpoważniejsze zmartwienie dziewczyny.

– Nie wiem? Co ty myślisz na ten temat?

– Może uraziłam ją wcześniej. A może cierpi na jakieś zaburzenia psychiczne i wkrada się do hoteli, by... Zamykać ludzi w składzikach na pościel? – Nawet Meadow wiedziała, jak głupio brzmią jej słowa, ale „być może to ktoś, kto jak ja, szuka bezcennego obrazu” nie chciało jej przejść

przez gardło.

Gdyby był nieco mniej wyniosły... Gdyby choć trochę bardziej mu ufała.

– Tak jak mówiłem, postaram się zdobyć więcej informacji na ten temat. Wybaczysz, jeśli cię teraz opuszczę?

– Jasne, ale... – wyjąkała szybko, ale w myślach zadawała mu inne pytania: Czy nie czujesz zakłopotania z powodu tego, co przed chwilą się wydarzyło? Co mam zrobić, byś został?

Czy też mnie kochasz? To pytanie ledwie kielkowało w umyśle. Nie było mowy o wypowiedzeniu go.

– Co się stało? Wyglądasz, jakbyś była przestraszona.

– Nie, nie jestem przestraszona – odpowiedziała. Była zakłopotana, zmartwiona i niepewna, ale nie przestraszona.

– Muszę wziąć prysznic. Widzimy się później?

Zdawała sobie sprawę, że jej twarz wyraża chęć widzenia go przez cały czas.

– Oczywiście. – Na jego usta wpłynęło szczere rozbawienie. – Kiedy odwiedza mnie matka, jadamy wszyscy razem i z królewskim przepychem.

– O nie! – Meadow oparła się o framugę i spojrzała na niego rozpaczliwie. – Będzie mnie znowu przesłuchiwać?

– Ona nazywa to chyba konwersacją – jego głos brzmiał niemal zupełnie normalnie.

Zdenerwowanie powoli mijało. Czowała się nieco bardziej jak Meadow – wesoła dziewczyna, niż jak ktoś, kto ma właśnie stawić czoła straszliwemu wyzwaniu.

– Powinieneś jej posłuchać w bibliotece. To, co nastąpiło po twoim odejściu, z pewnością nie było konwersacją.

Jego uśmiech rozwiął się raptownie.

– Matka nie rozumie co we mnie wstąpiło. Gwałtowny i zupełnie niespodziewany ślub.

Powróciło napięcie. Było prawie namacalne.

Meadow zeszywniała nagle.

– Nie jesteśmy przecież małżeństwem.

Postąpił krok do przodu i nachylił się nad nią tak blisko, że czuła jego oddech na uchu. Czuła nawet promieniujące gorąco jego ciała.

– Pobraliśmy się na Majorce. Chyba że coś ci się przypomniało?

Kochała go. Powinna być w stanie powiedzieć mu prawdę. Wyglądał, jakby tego właśnie od niej oczekiwał. Więc powie. Dlaczego nie?

– Ja... To... Powinnam. To znaczy nie... Wydaje mi się, że nie jesteśmy małżeństwem...

Powiedz mu prawdę, Meadow. Prawdę.

Dlaczego jego twarz przejął taki chłód? To opanowanie, ten spokój. Jakby wszystkie opowieści o jego bezduszości były prawdziwe. Zawahała się. Może ją przecież wyrzucić. Okłamywała go, ale jaki pozostawał jej wybór. Nie dotrzymać słowa danego babci? Zostawić matkę w chorobie?

Uśmiechnął się do niej jednym z tych uśmiechów, w których brak było jakiegokolwiek rozbawienia.

– Zanim nie zmienisz zdania, pobraliśmy się na Majorce. Będę ci o tym przypominał przy lada okazji.

To była groźba i każda rozsądnie myśląca kobieta skuliłaby się w sobie.

Tylko nie Meadow. Jej ciało brak było rozsądku i domagało się pieszczot. Odchyliła głowę do tyłu, jakby chciała, by obsypał jej smukłą szyję pocałunkami.

Odszedł krok do tyłu. Krótko i delikatnie przejechał wierzchem dłoni po jej policzku.

– Postaraj się nie wpadać w kłopoty.

Patrzyła, jak odchodzi. Jak jego długie nogi zwinnie pokonują przestrzeń, jak kołyszą się jego smukłe biodra, jakby zapowiadały przyjemności, których mogą łatwo dostarczyć.

Musiał przenieść swój żar na nią, bo policzki zaczęły palić nieznośnie. Weszła do apartamentu, zamknęła drzwi i padła na sofę w salonie. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że w kategoriach miłosnych będzie rozmyślała o Devlinie Fitzwilliamie.

Był businessmanem. Developerem. Budował hotele i zwabiał do nich bogatych klientów, by ci mogli marnotrawić swe fortuny w najdzikszych i najpiękniejszych miejscach na ziemi.

Trzeba było przyznać, że równocześnie ocalał stare budynki od zapomnienia. Restaurował, a nie burzył.

Z pewnością nie pojmował też życia w kategoriach przyjemnego doświadczenia. W szkole średniej mówiono o niej, że nosi niemiłosiernie różowe okulary. On wydawał się jej całkowitym przeciwieństwem.

Gdy pomyślała jednak o tym, co ich połączyło, doszło do niej, że chciałyby, by łączyło ich to jak najczęściej. Zamknawszy oczy, powoli sunęła ręką po wewnętrznej stronie uda, by zatrzymać ją w miejscu, w którym najbardziej lubiła się dotykać. Tak przyjemnie było wyobrażać sobie, że...

Dzwonek telefonu zerwał ją z sofy, przecinając ciąg słodkich marzeń. Toczyła wokół szeroko otwartymi oczami.

Wszystkie te głupie kamery systemów bezpieczeństwa przyprawiały ją o paranoję. Miała wrażenie, jakby ktoś ją przyłapał.

Przez kogo? Kto jeszcze mógł tu wydzwaniać?

Devlin. Tylko on.

Podniosła słuchawkę.

– Halo – powiedziała, a w prostym słowie udało jej się zawrzeć całą tęsknotę za nim i najczulsze pragnienia.

– Meadow? Czy to ty? – Nosowy, ostry głos Judith.

– Judith! – Myśli Meadow momentalnie poszybowały ku najgorszemu. – Czy chodzi o mamę?

– Nie. Z mamą wszystko dobrze. Po prostu dobrze.

– W takim razie, dlaczego do mnie dzwonisz? – Meadow obniżyła głos, jakby ktoś mógł ją podsłuchać. Co prawda wydawało się to niemożliwe, drzwi były dźwiękoszczelne, ale nie dałaby sobie uciąć ręki, że jej pokoju nie naszpikowano mikrofonami.

– Musiałam zaryzykować. Bardzo się o ciebie martwiłam.

– Jak udało ci się do mnie dodzwonić? – Meadow wyobraziła sobie, jak Judith prosi o połączenie z Meadow. Ktokolwiek odebrałby ten telefon w recepcji hotelu, chwilę później biegłby już do Devlina.

– Połączyłam się z pokojówką. Podała mi numer pokoju, więc później mogłam wykręcać już bezpośrednio. – Judith też wydawała się mówić cicho.

– Udało ci się coś znaleźć?

Chodzi o obraz.

– Niestety, zupełna klapa.

– Szukasz cały czas? Bez wytchnienia?

– Nie. Szukam, kiedy mogę, ale muszę zachowywać się normalnie. – Meadow podeszła do okna i spojrzała na ogród. Wydawał się promieniować spokojem. Zupełne przeciwieństwo burzy rozgrywającej się w niej samej.

– Czy Fitzwilliam sprawia kłopoty? – W głosie Judith była irytacja.

– Niezupełnie. Zachowuje się, jakby chciał, bym tu została. Zupełnie nie wiem dlaczego.

– Wiesz dlaczego – odpowiedziała Judith.

Meadow nie spodobał się jej ton.

– Nie wiem. Dlaczego?

– Chce się z tobą przespać.

Żadna odpowiedź nie przychodziła dziewczynie do głowy.

Jej wahanie musiało być głośniejsze niż jakiegokolwiek słowa.

– Już się z nim przespałaś? – zapytała Judith.

– No wiesz! – Meadow miała nadzieję, że brzmi to wystarczająco przekonywająco.

– Poczytałam o nim trochę w Internecie. Widziałam zdjęcia. Pan Fitzwilliam bywa na salonach i bawi młode damy.

– Wypowiedziała to, jakby było to najgorszym grzechem. Nie wiadomo zresztą, co dla Judith mogło być najgorszym grzechem. Meadow była pewna, że Judith nigdy nie okazywała zainteresowania mężczyznami. Albo kobietami dla ścisłości. Sztuka – oto była prawdziwa obsesja Judith.

– Naprawdę? – Meadow była szczerze zaskoczona. Podeszła do stojącego na biurku komputera i wpisała imię Devlina w oknie wyszukiwarki internetowej. – Myślałam, że jest nazbyt wyrachowany, by oddawać się miłostkom.

– Niektóre kobiety uwielbiają sportowców, a on jest na dodatek przystojny.

Na ekranie komputera wyskoczyły natychmiast zdjęcia Devlina. Na jednym był bardzo młody i miał na sobie swój strój futbolisty. Na innym miał na dodatek kask.

– Nie jest przystojny. Nie w normalnym znaczeniu tego słowa. Jest

raczej urzekającym połączeniem cudowności i szorstkości – Meadow żałowała, że nie potrafiłaby go namalować. Ten talent posiadały akurat Isabelle i Sharon, nie ona. Dotknęła zdjęcia na ekranie i obwiodła twardego zarys szczęki.

– Rozumiem, dlaczego kobiety go uwielbiają. Nie chodzi tu jedynie o jego wygląd.

– Co masz na myśli? Co takiego w nim jest? – zapytała ostro Judith.

– Kiedy mówi do mnie... On... Skupia się na mnie.

Meadow przymknęła powieki, starając się sobie przypomnieć dokładnie.

– Kiedy mówi do mnie, nic innego poza mną nie istnieje. To oczarowujące.

Judith głośno zaczerpnęła powietrza.

– Flirtujesz sobie w najlepsze, a masz przecież pracę do wykonania. Obraz sam się znajdzie. Pamiętaj, że twoja matka umiera.

W Meadow jakby diabeł wstąpił. Zerwała się na nogi.

– Nie waż się wypowiadać takich słów. Nie waż mi się! Moja matka nie umiera. Ona powoli wraca do zdrowia.

– Tak, oczywiście. Bardzo cię przepraszam. – Judith na szczęście miała na tyle rozumu, żeby od razu starać się załagodzić efekt swych słów. – Po prostu bardzo, ale to bardzo się martwię.

– Dobrze, już dobrze. – Meadow nie bez wysiłku hamowała gniew. – Po prostu nigdy więcej tego nie mów. Nawet o tym nie myśl. I pozdrów mamę. Będę już niebawem w domu.

– Z dobrymi wieściami.

– Oczywiście. Z najlepszymi.

– Nie przestawaj szukać. Sporządź sobie plan i trzymaj się go.

Wszystko zależy od ciebie, Meadow. Pamiętaj. Wszystko zależy od ciebie.

Meadow odłożyła słuchawkę. Gniew powoli ustępował i na jej twarzy powracał normalny kolor.

Judith zawsze chciała być dobrą przyjaciółką Sharon, ale niewyparzony język stawał temu na przeszkodzie.

Judith mawiała, że wierzy w to, w co wierzy Sharon. Najczęściej była wesoła i nie brakowało jej dowcipu. Ale nigdy nie mówiła o swojej przeszłości i Sharon powiedziała kiedyś Meadow:

– Obawiam się, że Judith skrywa jakieś straszne tajemnice. Robi to, by stworzyć pozytywny obraz siebie. Pozytywny, ale nieprawdziwy. Musi uwierzyć we wszystko z serca i bardzo chciałabym temu biedactwu w tym pomóc.

Tyle że Judith w jednym miała rację. Meadow musiała wymyślić kolejny ruch. Mieszkała w hotelu a jej pozycja była bardzo wysoka. Przecież była żoną Devlina a poza tym – nie sądziła nawet, że przesadza – był zupełnie zauroczony jej ciałem. Prawdopodobnie równie mocno, jak ona była zauroczona jego ciałem. Nie tylko ciałem zresztą. Była przecież urzeczona równie mocno, jeśli nie mocniej, jego fascynującym, inteligentnym i przenikliwym umysłem. Patrzył na życie jak na szachową rozgrywkę. Białe i czarne. Seria konkretnych posunięć, które doprowadzały do rozstrzygnięcia: wygranej bądź porażki.

Ale ona nie chciała grać w żadną grę.

Ostatnia noc i dzisiejszy dzień były szczodre dla nich obojga.

Jaki więc będzie koniec tego wszystkiego?

Mężczyzna, o którym Judith nie miała najlepszej opinii, wziął za dobrą monetę jej historię o amnezji i na dodatek stwierdził, że jest jego żoną.

Kimże była Meadow na tej szachownicy?

Pionkiem czy królową?

Białą czy czarną figurą?

Wygrywała czy przegrywała?

TTLR

TLLR

Rozdział 27

Tego wieczoru, zanim jeszcze weszli do jadalni, Meadow chwyciła Devlina za ramię i zatrzymała na chwilę.

– Obiecuj mi, że już nigdy nie zostawisz mnie sam na sam z *nią* kobietą.

– Czwartą tam będzie. Będzie stawał w twojej obronie.

– Devlin nie był w nastroju do czynienia obietnic. Nie po tym, jak kłamała o zamknięciu przez pokojówkę i nie przestawała kłamać o swojej rzekomej amnezji.

– Czwartą to miły człowiek. Nie dorówna twojej matce.

– Myślałem, że wszystkie kobiety go ubóstwiają. – Sam naciskał dziś na Devlina, by ten odesłał Meadow. Devlin nie zgodził się, ale w końcu będzie przecież musiał znaleźć wyjście z patowej sytuacji.

– Ubóstwiam jedynie ciebie.

Była dobra w pochlebstwach. Ale za kilka tygodni będzie otwierał hotel. Wiedział z doświadczenia, że wielkie otwarcia zupełnie go pochłaniały. Nie miał czasu na to, by wydobywać Meadow ze schowka, za każdym razem, gdy nieopatrznie się w nim zamknie. Nie miał czasu by się zaraz po chwili do tego schowka ładować, zrywać ubranie, albo by ścigać ją po zalanym światłem księżycą ogrodzie, albo zakochiwać się...

Zabiegła mu drogę i spojrzała prosto w twarz.

– Obiecuj, że nie zostawisz mnie sam na sam ze swoją matką.

Zakochiwać się? W Meadow? To było niemożliwe. Była przecież niezmiernie daleka od jego ideału kobiety. Była kłamczuchą, być może również złodziejem. Dzikie dziecko bez pojęcia o dobrych manierach, niezachowujące odpowiedniego dystansu do służby. Jeśli się z nią zwiąże,

jeśli naprawdę się z nią zwiąże, zanim się obejrzy, będzie ratował bezdomne psy i jadł tofu.

Nie chciał tego. To by nie było satysfakcjonujące. On był bękartem, owszem, ale jego żona powinna być nieskazitelna. Jak żona Cezara – powinna być poza wszelkim podejrzeniem.

Wszystko to było prawdą. Wiedział o tym. Dlaczego więc, w tym momencie nawet, myślał o nocy, którą razem spędzili? Dlaczego myślał o tym, jak daje się porywać tej pasji i radości wydobywającym się z dziewczyny promieniami, w których z taką radością się kąpał.

– Devlin! – Meadow nie rezygnowała. Cholera, jedno jej słowo i na nic cały emocjonalny, budowany pieczołowicie mur.

– Dobra. Nie odstąpię cię na krok.

– W porządku. – Wyprostowała plecy. – W takim razie jestem gotowa.

Miała na sobie prostą, zapinaną na guziki koszulkę o różnych odcieniach brązu i miękką spódniczkę w kwiaty. Jej błyszczące miedzią pukle rozlewały się świetlistą falą wokół szyi, rękę zdobiła domowej roboty bransoletka z nici przygotowana przez jedną z pokojówek. Na nogach Meadow miała sandały. Na obcasach co prawda, niemniej jednak sandały.

Z pewnością nie była gotowa na to, by stawić czoła jego matce, choć o tym nie wiedziała.

Grace Fitzwilliam przyda się jakieś szokujące wydarzenie w rodzaju napotkania na swej drodze Meadow.

Podał Meadow ramię i razem weszli do olbrzymiej jadalni.

Jadalnia na co dzień pełniła właściwie funkcję pokoju konferencyjnego dla podwykonawców i firm związanych z hotelem. Przy długim stole pomieścić się mogło i dwadzieścia osób. Devlin ustawił również mniejszy,

okrągły stolik w alkowie. Na szerokich, długich biurkach przy ścianach stały monitory komputerów. Pokój miał wiele zastosowań, a mimo to pozostawał elegancki.

Grace opierała się o marmurową fasadę kominka. Ustawiała na niej właśnie szklaną misę wykonaną przez Natalie Medow Szarvas.

Czwarty stał przy stoliku z trunkami. W rękę trzymał dwie koktajlowe szklanki.

– Nie chcesz za bardzo wysforować się do przodu w ilości wypitych drinków?

Czwarty wykrzywił się w uśmiechu, podszedł do Grace i wręczył jej szklankę.

Meadow zauważyła, że nie wyglądał dobrze. Był blady, beżowe spodnie były pogniecione a czarne pantofle wyraźnie znoszone. Devlin nie wydawał się nazbyt przejęty – Czwarty był w końcu kłamcą, który też go oszukał, a później myślał, że skoro są przyjaciółmi, to kłamstwo ujdzie mu na sucho. Trudno o bardziej jaskrawą pomyłkę.

Nic nigdy nie było w porządku. Nie był w porządku ojciec Devlina, pozostawiając Grace w ciąży, a później zjawiając się sporadycznie, by poznać chłopca a w rzeczywistości, by przysporzyć mu tylko kłopotów. Nie było w porządku to, że zrujnował swoją firmę i uciekł z pieniędzmi w nieznaną bez odwracania głowy. Devlin miał zdecydowanie dość ludzi, którzy z założenia powinni okazywać innym troskę a do tego nie dorośli.

Niestety, dawno, dawno temu, gdy byli jeszcze dziećmi rozwinął w sobie nawyk troszczenia się o Czwartego, którego nie sposób było nie lubić. I mimo podejmowanych wysiłków nie był w stanie przerwać tej tradycji.

Poprowadził Meadow w stronę przyjaciela i nachylił się nad jego uchem.

– Czwarto, proszę, miej pieczę na przebiegiem konwersacji. Obawiam się, że moja matka najchętniej zjadłaby na obiad Meadow.

Czwarty rozpromienił się. Rad był podejmować się zadań, z których mógł łatwo się wywiązać.

– Nie ma sprawy. Możesz zdać się na mnie. – Odwrócił się do Meadow. – Czego się napijesz?

Devlin podszedł do matki i ucałował jej zimny policzek.

– Wyglądasz wspaniale, mammo.

– Dziękuję ci skarbie. Ty też. – Miała na sobie długą do kolan czarną sukienkę i czerwony, jedwabny szal ozdobiony perskimi motywami. W uszach świeciły kolczyki zdobione okazałej wielkości diamentami. Włosy miała zebrane kunsztownie z tyłu głowy. Devlin niemal czuł, jak wola jego matki odciska się na rzeczywistości wokół.

– Czy usiądziemy do stołu? – zapytała.

– O tak, jedzmy. Zaraz umrę z głodu – wykrzyknęła entuzjastycznie Meadow. Patrzyła przez chwilę z niechęcią na długi stół zajmujący środek pokoju. – Mam nadzieję, że nie będziemy jedli przy tym stole?

– Usiądziemy przy okrągłym stoliku – oznajmiła Grace.

Zaskoczyło to nieco Devlina. Był przekonany, że okazała długość dębowego mebla będzie po myśli Grace – będzie tym bardziej onieśmielała Meadow. Jeśli użyją okrągłego stołu, będzie to oznaczało, że nikt nie zajmie honorowego miejsca. Co zamierzała osiągnąć Grace, podejmując takie demokratyzujące kroki?

Służba szybko uwinęła się z nakryciem do stołu i podaniu pierwszego dania. Grace nie zamierzała niczego owijać w bawełnę:

– Zdecydowałam, że powinniście odnowić wasze małżeńskie śluby w... Nieco bardziej cywilizowanych okolicznościach. – Jej ton jasno dawał

do zrozumienia, że ślub na Majorce miała za szczyt emocjonalnej i umysłowej niedojrzałości. – Jeśli wszystko dobrze uda się zaplanować, możemy zorganizować uroczyste zaślubiny we wrześniu.

Ku zaskoczeniu Devlina, Meadow uśmiechnęła się tylko.

– Jasne. Świetny pomysł.

Spojrzał na nią uważnie. Nie przejmowała się zbytnio faktem, że jej matka planuje małżeństwo.

Dlaczego?

Bo nie sądziła, że cały czas tu będzie.

Bo będzie już wydmuchiwała szkło w Górach Kaskadowych albo, jeśli uda jej się ukraść ten obraz, będzie robiła coś podobnego, ale w zakładzie penitencjarnym.

– Świetny pomysł, mamo. Uważam jednak, że dysponujemy lepszymi zdolnościami planowania i jesteśmy w stanie przygotować wszystko do czerwca. Czerwiec to wspaniały miesiąc na ślub.

– Poganiaj, poganiaj... – wymruczała Meadow, maczając usta w drinku.

– Nigdy nie sądziłem, że dwa razy z rzędu będziesz chciał się ożenić w skandalicznym pośpiechu. – Czwarty rozprawiał na chlebie cieniutką warstewkę masła.

– Co masz na myśli, mówiąc „w skandalicznym pośpiechu”? – zapytała Meadow.

– Devlin słynie z tego, że przejmuje się pozorami i konwencjami – odpowiedział Czwarty. – A ślub w czerwcu będzie wyglądał, jakby musiał cię poślubić. I to nie raz a dwa razy.

– Jakoś nie jestem rozbawiony – odpowiedział Devlin. Nie był rozbawiony, bo wiedział, że jeśli bóstwa płodności postanowiły złośliwie im

sprzyjać, Czwarty ma zupełną rację.

– Macie na myśli moje ewentualne zajście w ciążę? – Zaśmiała się Meadow. – Chyba już nikt nie żeni się tylko i wyłącznie z tego powodu.

Devlin popatrzył na nią poważnie.

– Ja ożeniłbym się z tego właśnie powodu.

– To przepis na zupełną porażkę. Ludzie powinni się żenić, dlatego, że mają wiele wspólnego, dlatego, że się kochają, a nie dlatego, że przypadkiem. – Meadow uczyniła w powietrzu znak cudzysłów. – Uda im się „zrobić dziecko”.

– Niełatwo być nieślubnym dzieckiem – przerwała im Grace.

Intensywność jej głosu zaskoczyła nawet Devlina. Nie sądził, żeby jego matka potrafiła na to zwrócić uwagę.

Meadow patrzyła na nich, jakby wszyscy mówili w obcym języku.

– Sądziecie, że łatwiejsze jest dla dziecka żyć z rodzicami, którzy się nie kochają? Nie troszczą się o siebie? Którzy się w końcu rozwodzą? Nie sądzę.

– Jeśli weźmie się pod uwagę podejście mojego syna, to twój pomysł, jest przynajmniej dyskusyjny – powiedziała Grace z grzecznym, perfekcyjnie wyuczonym uśmiechem.

– Nie jesteście parą hippisów biegających po lesie jak para kurczaków z hodowli wolnowybiegowej. Nie uprawiacie chyba seksu bez zabezpieczeń.

Meadow parsknęła w chusteczkę.

– Boże broń! Pod żadnym pozorem nie zachowywalibyśmy się jak para kurczaków!

Devlin zmiął serwetkę leżącą na kolanach.

Żeby tylko Meadow nie została matką przez ich nieostrożność...

Zanim Meadow zaczęła opowiadać o zbawiennym wpływie, światła

księżycą na kochanków, Devlin odwrócił się do matki.

– Być może, mamo, powinniśmy zapytać Meadow, jak też wyobraża sobie dzień odnowienia naszych ślubów.

TTLR

Rozdział 28

– Zważywszy na obojętność, jaką Meadow okazuje szczegółom, jestem pewna, że pozostawi je mnie. – Grace z powątpiewaniem patrzyła na jej spódnicę i bluzkę.

Meadow jeszcze nie zdawała sobie sprawy, że stała się gwiazdą prywatnego programu Grace o modzie. Miała odegrać rolę kopciuszka wychodzącego za mąż za wspaniałego księcia – w tej roli obsadzony był Devlin – oraz udowodnić, że warta jest swej roli.

Żałowała, że nie może całego tematu potraktować przynajmniej w połowie tak poważnie, jak traktowała go Grace Fitzwilliam.

Kurczaki z hodowli wybiegowej. W istocie.

Zastanawiała się przez moment jak wyrazić najlepiej aprobatę dla jej pomysłu.

– Kiedy są ze mną przyjaciele i rodzina – szczegóły stają się bardzo mało istotne.

– A widzisz? – Grace z triumfem spojrzała na syna.

Meadow postanowiła sprawiać wrażenie, jakby dała się porwać organizacji wesela.

– Nie możemy jednak nic przedsięwziąć, zanim Edzio nie wróci z Europy.

– Czy Edzio to twój wujek? – zapytała Grace.

– Nie. – Meadow pokręciła głową. – Nic z tych rzeczy. Edzio będzie moją druhną. – Dziewczyna wyszczerzyła się do Grace w szerokim uśmiechu.

– Czy Edzio, to wariacja jakiegoś żeńskiego imienia? Czy to nie powinna być Edzia? – Choć na ustach Grace kwitł uśmiech, to wyrażał on

jedynie przestkach.

– Myślę, że to wersja imienia Edmund. Ale Edzio bardzo by się zdenerwował, gdy tak go nazywać. Dlatego też każdy nazywa go Edziem.

Czwarty spojrział najpierw na Meadow, później na Grace, w końcu uniósł w górę szklanekę i opróżnił ją z nadzwyczajnym zapalem.

Devlin wstał od stołu i podszedł do okna. Wyjrzał przez nie, mocno zaciskając zęby.

Nie mógł jednak powstrzymać trzęsących się ramion. Meadow zawsze chciała zobaczyć, jak się śmieje. Teraz dołożyła wszelkich starań, żeby w końcu nacieszyć się jego radością..

– Znam Edzia od szkoły średniej. Obiecaliśmy sobie, że będziemy swoimi druhami na ślubie.

– Obiecałaś... – Głos Grace brzmiał słabo.

– Wyobrażaliśmy sobie, jak będą wyglądały nasze śluby – rzekła spokojnie Meadow, a przestkach w oczach Grace zaczął konkurować o lepsze z całkowitą rezygnacją. – Zawsze wiedziałam, że będzie piękniejszą panną młodą niż ja. On jest po prostu niebywale piękny, ale obiecał, że postara się mnie nie przyćmić w dniu ślubu.

Grace wachlowała się otwartą dłonią.

– Uderzenia gorąca do głowy? To mogą być objawy menopauzy – powiedziała Meadow pogodnie.

Devlin zachichotał i zaraz rozkaszał się gwałtownie.

Czwarty po prostu zatkał uszy.

– Nie miewam żadnych, wulgarnych uderzeń gorąca, a nawet gdybym je miała, nieładnie byłoby o tym wspominać.

– W uprzejmym głosie Grace narastała irytacja. Oparła się na krześle.

– Zaraz zemdleję – zakomunikowała.

– Znam wspaniały sposób na omdlenia – krzyknęła Meadow, wstając i odciągając od stołu krzesło Grace. Po chwili chwyciła ją za szyję i nacisnęła mocno do przodu, tak że głowa matki Devlina znalazła się niemal między jej kolanami.

Grace zaczęła głośno piszczeć.

Devlin odwrócił się od okna i patrzył szeroko otwartymi oczami.

– Wybacz, stary. – Czwarty rzucił swoją serwetkę na stół.

– Dłużej nie wytrzymam – wykrztusił, opuszczając pomieszczenie z takim pędem, że niemal zostawił za sobą świetlistą poszlakę.

– To najlepszy sposób na omdlenia. – Meadow uśmiechnęła się szeroko, a Devlin zakrył oczy rękoma. – Nie ma powodów do obaw – krzyczała. – Za chwilę poczujesz się lepiej.

– Już! Już czuję się lepiej. – Głos Grace był stłumiony.

– Nie powinnaś się wyprostowywać zbyt szybko – odpowiedziała rezolutnie Meadow.

Grace napinała mięśnie pleców, ale dziewczyna nie zwalniała uchwytu na szyi. Mogłaby się uwolnić, gdyby chciała, ale przecież była nazbyt dystygowana, by dać się ponieść emocjom i zacząć walczyć.

A przynajmniej była nazbyt dystygowana do czasu... Udało jej się w końcu odepchnąć Meadow i wyprostowała się na krześle, desperacko poprawiając fryzurę.

– Dość! Wrócimy do planów ślubnych, gdy zaczniecie się oboje zachowywać w nieco bardziej cywilizowany sposób

– powiedziała, wstając z krzesła.

– Pamiętaj, że musimy przedyskutować też samo wesele – odrzekła Meadow.

Grace przymknęła oczy i znowu przybrała minę, jakby zrobiło jej się

słabo, ale już po chwili musiała coś sobie przypomnieć, bo kolor naraz wrócił do jej policzków. Spojrzała z przerażeniem na dziewczynę, odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi. Jej wyjście byłoby nawet bardziej dystyngowane, gdyby spod podciągniętej w zapasach spódnicy nie migłała jedwabna, różowa bielizna.

Devlin wytrzymał do momentu, w którym jej kroki ucichły, zanim wybuchnął srogim rechotem. Śmiał się tak mocno, że w końcu opadł na krzesło i wziął się pod boki.

Meadow patrzyła na niego za satysfakcją.

Śmiech.

Szła o zakład, że pewnie nie pamiętał, kiedy ostatni raz tak serdecznie się śmiał. Całą duszą i ciałem.

A rozbawienie sprawiało, że wyglądał nieco... może nie łagodniej, ale fantazyjniej. Zupełnie, jak ktoś, kto rozumiał, na czym polega pełnia życia i nie troszczy się nadmiernie o jutrzejszy dzień. Kiedy w końcu przestał i tak nie przestawał się uśmiechać.

– Naprawdę masz kolegę – transwestytę o imieniu Edzio?

– Oczywiście. Edzio to wspaniały człowiek. Pamiętam jak... – Urwała w pół zdania. Przecież cierpiała na amnezję.

– A co jeszcze pamiętasz? – Devlin patrzył na nią wzrokiem kota, który właśnie trzymał wijącą się mysz za ogon.

Znowu złapał ją na kłamstwie. Znowu sprawiał wrażenie... Odległego. Sprawiał, że czuła się nieswojo.

– Dziwne są rzeczy, które pamiętam i te, o których zapominam. Pewnie nigdy nie wspominałam ci o Edziu wcześniej? – wstrzymała oddech licząc na to, że znowu pozwoli jej się wykpić tanim kosztem.

– Nie, nigdy go nie wspominałaś.

Wypuściła powietrze. Z jakiejś przyczyny wciąż pragnął, by tu z nim została. Znowu się udało.

– Chyba stresuję twoją matkę.

– Jakby cię to naprawdę martwiło. – Wydał usta, ale nie przestawał się uśmiechać.

– Martwię się, bo nie wiem, dlaczego jest taka... Taka...

– Szybka w wydawaniu ocen? Arogancka? Dlaczego tak dba o pozory? – Trzymał ręce na biodrach i zmierzył dziewczynę spojrzeniem od stóp do głów. Rzeczywiście, mogła nie podobać się Grace, ale on sam uwielbiał każdy cal jej ciała.

– Nie jest przyzwyczajona do dziewcząt, które nie wyrażają należytego wobec niej podziwu.

– Podziwu? – Meadow postąpiła leniwie parę kroków, pozwalając odprężyć się nogom i kołysząc lekko biodrami.

– Dlaczego podziwu?

– Ponieważ jest tak wspaniała we wszystkim, co robi. Co ty, nie oglądasz telewizji? – Przysunął się do niej blisko. Bardzo blisko.

– Niewiele. – Nie pamiętała już, o czym rozmawiali. Wiedziała tylko, że oto trzymał ją w ramionach, a promieniujące z nich ciepło wystarczyłoby do ogrzania stanu w środku zimy. Odpięła jego koszulę i wsunęła pod nią rękę. Napawała się ciepłem i dotykiem jego skóry. Stanęła na palcach i pocałowała go najpierw w jeden policzek a potem drugi.

Stał bez ruchu i oddawał się jej we władanie.

Zbliżyła wargi do jego warg i...

– Kochani, mam świetny pomysł na przyjęcie... O Boże, znowu to robicie? – Grace stała w drzwiach zasłaniając oczy dłońmi.

Meadow wypuściła ze złością powietrze.

Devlin zapiął koszulę.

– Powinnaś pukać przed wejściem.

– Jest dopiero wieczór. To jadalnia a drzwi są otwarte. W każdym momencie mógł wejść jakiś kelner! – Grace spojrzała przez palce, a widok musiał ją uspokoić, bo rażno wmaszerowała do środka. – Posłuchajcie przez moment, a zaraz możecie wracać do... – Machnęła ręką w nieokreślonym geście. – Cokolwiek to było, czym się zajmowaliście.

– Pewnie przez moment patrzyła – mruknęła Meadow.

Devlin znowu się roześmiał.

Grace popatrzyła najpierw na jedno, potem na drugie z pytającym wyrazem twarzy.

W końcu jej wzrok spoczął na Devlinie, ale nie koncentrowała się na nim. Oczy Grace patrzyły przez niego na wylot i wyrażały zamyślenie. Meadow zastanawiała się, co też może dziać się w jej głowie.

Devlin również był nieco zaskoczony.

– Mamo?

– Dobrze, oto mój pomysł. Sami powiedzcie. – Grace rozłożyła szeroko ramiona. – Całe przyjęcie odbędzie się na dworze. Zamienimy hotel w miejsce karnawałowej zabawy. Zorganizujemy gry, żadnej elektroniki, same porządne balowe gry! Jak... Jak...

– Jak rzucanie lotkami do balonów – pomogła Meadow.

– O właśnie. – Grace pokiwała głową. – Wiedziałam, że akurat ty, na pewno będziesz wiedziała, w jakie gry grywa się na karnawałowych balach.

– Nieźle potrafi się odgryźć – wysyczała Meadow.

– Najlepiej – odparł Devlin.

– Słyszę was! – Grace aż tupnęła.

– Wiem mamo, a może lepiej by było dla ciebie, gdybyś nie słuchała –

powiedział. – Jeśli urządzimy przyjęcie na zewnątrz, ryzykujemy, bo jesteśmy uzależnieni od pogody.

– Nie rozpada się – odpowiedziała Grace. – Żywioty nie odważą się kolidować z moimi planami.

– O rety! – powiedziała Meadow. – Mogłabyś wyklądać pozytywne myślenie.

– Rozumiem, że zaprosimy cyrkowców, żeby zabawiali karnawałowy tłum, jak w Wenecji?

– Oczywiście. Będą naszymi gośćmi.

Meadow zastanowiła się przez chwilę. Nie wiedziała do końca, czy Grace sobie nie kpi.

– Będzie też wata cukrowa, a kelnerzy przebiorą się za cyrkowych heroldów naganiających tłum.

Devlin uniósł brwi.

– Mamo, to nie wygląda na przyjęcie, pod którym byś się podpisała.

– Kochanie, przyjęcie ma być tematycznie dopasowane do osób, na których cześć jest urządzone. A w tym przypadku mówimy o... – Grace wymownie wyciągnęła dłoń, wskazując Meadow.

Meadow właśnie zastanawiała się nad przyczepieniem sobie wielkiego czerwonego nosa i wymalowaniu paru piegów na policzkach.

– Kelnerzy będą cały czas roznosili szampana i przystawki – kontynuowała Grace. – Będą mieli też tokeny do gier.

– Szampan i przystawki, przynajmniej ta część brzmi znajomo – zaczął niepewnie Devlin.

– Na cześć Meadow dekoracje powinny być naturalne. Kwiaty. Dużo kwiatów. A w samym środku. – Grace uniosła w górę ręce. – Gwóźdź programu, diabelski młyn.

W tym momencie Meadow wybaczyła jej zgryźliwość i wejścia w nieodpowiednim momencie.

– To po prostu super pomysł!

– Ależ tak. Super pomysł. Tych słów właśnie mi zabrakło.

Devlin machnął ręką.

– Nie chodzi o słowa...

– Pełnowymiarowy diabelski młyn? – Wołała upewnić się Meadow.

– Oczywiście. W takim dniu nie zastosujemy półśrodków.

– Diabelski młyn to nie do końca... – spróbował Devlin ponownie.

– Ze światłami i muzyką! O tak! A co powiecie na roller coaster? Na prawdziwą kolejkę? – Meadow skoczyła na sofę i rozparła się wygodnie.

– Och nie. To by było ciut za dużo. Pamiętaj, zamierzamy zaprosić wszystkie szanowane osoby z Południowej Karoliny oraz dziennikarzy. Przecież to będzie wydarzenie, a nie chcemy, żeby ktoś miał nas za osoby proste.

– Albo za kurczaki – mruknęła Meadow. – Być może uda mi się pozyskać akrobatów. Byłoby wspaniale – dodała nieco głośniejszym głosem. – I żonglerów!

– Bardzo dobrze. Kilka pokazów na pewno wprowadzi gości w karnawałowy nastrój.

Devlin nie mógł już ukrywać zniecierpliwienia.

– Mamo, doceniam twoje wysiłki, ale...

– Posłuchaj Meadow. – Oczy Grace zabłyśły. – Diabelski młyn będzie zajmował centralną przestrzeń a ty i Devlin będziecie mogli ogłosić wasz ślub z samej góry.

– To czadowe.

– Czadowe? – Grace postąpiła krok do tyłu, a jej wargi rozchyliły się

w zdumieniu.

– Czadowe. No wiesz, niesamowity pomysł.

– Aha, niesamowity – Grace uspokoiła się.

– Drogie panie! – Musiał krzyknąć, żeby zwróciły na niego uwagę. –

Nie będzie żadnej cukrowej waty! Nie będzie naganiaczy, zonglerów i akrobatów. Aha i zapomnijcie o diabelskim młynie jak najszybciej. – Zamachał w powietrzu rękoma.

– Po prostu się na to nie zgadzam.

TTLRR

Rozdział 29

Devlin nie mógł uwierzyć, że w jego ogrodzie kręci się wielki diabelski młyn, rozsypujący przy każdym obrocie chmurę pachnących płatków kwiatów wypełniających powietrze wirującymi, cudownie kolorowymi obłokami. Nie wierzył, że oto przechadzają się przed nim akrobaci i clowni. Nie wierzył, że muzyka dobywa się z zabytkowej, pomalowanej w jaskrawe kolory maszynerii zwanej „caliope” a będącej rodzajem parowych organów.

Tak naprawdę z największym niedowierzaniem patrzył na ludzi, swoich dystyngowanych gości cieszących się jak dzieci z atrakcji, które im zgotowano i szczególnie głośno drących się ze szczytu diabelskiego młyna.

Wielkie otwarcie było pomysłem jego matki, ale winę za jego kształt ponosiła Meadow. Bez wpływu w dziewczyny Grace nie pokusiłaby się o coś tak ekstrawaganckiego.

Oczywiście obie miały rację. Dojrzał w tłumie trzy różne ekipy telewizyjne, a poza tym rozpoznał przynajmniej pięciu dziennikarzy piszących do czasopism podróżniczych i zajmujących się między innymi recenzowaniem hoteli. A co bardziej istotne, widział, jak uśmiechali się szeroko. Otwarcie było wielkim sukcesem, ale prędzej weźmie go cholera, niż przyzna tym kobietom rację.

Z rękoma na biodrach stał na szerokiej werandzie budynku i przyglądał się rozgrywającym się poniżej scenom.

Kelnerzy uwijali się w tłumie. Gregory Madison, sędzia federalny siedział przy jednym z przykrytych wybornym czerwonymi obrusami stołów i objadał się cukrową watą. Pan Volchock, właściciel konia, który wygrał zeszłoroczne Derby z zapalem rzucał piłki baseballowe w wypchanych

clownów a pani Volchock przyciskała do serca misia, którego zdobył celnym rzutem jej mąż. Szefowa Grace, Jessica Stillman właścicielka dwustu kablowych stacji telewizyjnych i bywał czyni wszelkiego rodzaju balów stała cierpliwie w kolejce do diabelskiego młyna poprawiając tylko czasem nadmuchiwany, gumowy kapelusz zsuwający się jej na oczy.

Czwarty opierał się o pień wielkiego dębu, w ręku dźwiży drinka i palił papierosa, uprzejmie konwersując ze ślicznym dziewczęciem. Devlin nie pamiętał jej imienia, pamiętał tylko, że widział ją w szpitalu.

Miłe dziewczę miało na sobie koszulkę, która w główne mierze składała się z dekoltu. Oczywiście o jej atrakcyjności nie decydował tylko krój ubrań, ale kombinacja naturalnych cech i odważnych wycięć wyśmienicie spełniała swoją funkcję. Czwarty jeszcze ani razu nie spojrzał na jej twarz.

Skończył papierosa i zdeptał niedopałek. Przyjrzał mu się po czym z westchnięciem podniósł i wrzucił do kosza. Meadow wyleczyła go z brzydkiego zwyczaju śmiecenia wokół niedopałkami papierosów. Kiedy zakończy swoją kurację pewnie nie będzie już w ogóle palił.

Oczywiście, jeśli dziewczyna tu zostanie, żeby dopilnować swojego kuracjusza.

Jej śmiech zabrzmiał naraz jak dźwięk syreny. Devlin skierował wzrok w tamtą stronę. Zobaczył ją natychmiast. Trudno było nie zauważyć wielkiego słomianego kapelusza przybranego kwiatami. Grace powiedziała, że kapelusz był tak wul gamy, że nie powinna od niego właściwie odrywać ceny. Stroju dopełniały niebieska koszulka z długimi rękawami i króciutkie szorty odsłaniające wspaniałe nogi, w które Meadow wtarła bardzo dużo ochronnych kremów. *To cena, jaką płacę za moją alabastrową cerę* powiedziała mu przed przyjęciem.

Jasna cholera. Byłby podniecony, nawet gdyby założyła pokutny worek.

Były tu ponętniej wyglądające kobiety – dwie gwiazdy rocka, które wybiły się dzięki ciałom, a nie głosom, trzy przepiękne modelki i przynajmniej tuzin łowczyń trofeów – przepięknych mężatek, które w swych partnerach najbardziej doceniały grubość portfela. Nie miało to znaczenia. Wszyscy i tak gapili się na Meadow. Miała w sobie pewną świetlistość, sprawiała, że świat wokół niej rozpogadzał się, stawał się weselszy i wszyscy mężczyźni sprawiali wrażenie, jakby chcieli, by roznieciła również w nich swój ogień.

Niedoczekanie zbereźnicy! Meadow mogła rozpalać tylko jego żar.

Ostatnie dwa tygodnie były wspaniałe i straszne zarazem. Wspaniałe, bo cały czas byli ze sobą, dzień i noc. Wspaniałe, ho patrzyła na niego, jakby był księżycem pośród morza gwiazd.

Straszne, bo pracował jak oszalały, a kiedy pochłonięty był pracą, ona wytrwale przeszukiwała posiadłość – pokój po pokoju. Próbowwała to ukryć. Udawała, że odwiedza pokojówki, że ogląda dekoracje, że dogląda przygotowań. Na nic to się nie zdało. Sam uważnie obserwował jej poczynania i był pewien, że nie odwiedziła dwa razy tego samego pokoju. A Devlin przyłapał ją raz, jak z uwagą studiowała swoją mapę.

Było mu przykro z jej powodu i kilka razy chciał nawet przed nią zdradzić, to czego tak gorączkowo próbowała się dowiedzieć, ale skoro sama nie chciała na ten temat mówić i w najlepsze udawała amnezję...

Obiecał sobie przecież, że nie zrobi z siebie idioty przed kobietą. Nie miał zamiaru być lekceważony, pogardzany i zdradzony jak Bradley Benjamin.

Devlin nie zaufałby nikomu i denerwowało go, że tego od niego

pragnęła.

Po jego lewej stronie przysiadło na werandzie Przedstawicielstwo Starych Pryków z Wybrzeży Amelii i przyglądało się przyjęciu z mieszanymi, najwyraźniej, uczuciami.

Scrubby Gallagher siedział z nogami założonymi na poręczy i wyglądał na niesamowicie zadowolonego.

Perm Sample bujał się w fotelu nieco za szybko, żeby ukryć swoje rozdrażnienie.

Begum, jedna z czołowych modelek leniwym krokiem przepłynęła koło werandy. Wilfred Kistard szybko poprawił tupecik, rozpiął jeden guzik koszuli i ruszył w jej stronę. Powodzenia, stary głupcze.

H. Edwin Osgood miał swoją stylową muszkę i grube okulary. Przyjęcie nie robiło na nim wrażenia i wydawało się, że każdy radosny śmiech sprawiał, że garbił się jeszcze bardziej. Pewnie fiesta sprawiła, że poczuł się staro.

Bradley Benjamin siedział sztywno na wysokim krześle za Osgoodem. Miał na sobie letnią marynarkę z cieniutkiej wełny, białą koszulę i słomkowy kapelusz. Do obrazu południowego dziewiętnastowiecznego plantatora brakowało tylko młodego niewolnika z wachlarzem. Postawą i spojrzeniem wyrażał jedną wielką pogardę dla całego przyjęcia w Tajemniczym Ogrodzie.

Jego ponury wzrok bawił Devlina tak bardzo, że prawie zapomniał o kosztach wynajmu parowych organów.

Podszedł do siedzących staruszków.

– Jak wam się podoba, panowie?

– Afiszowanie się z brakiem smaku? – Bradley zatoczył ręką koło. –

To hańba dla szacownej posiadłości.

– Och, z pewnością nie spodziewałeś się niczego lepszego po takim pospolitym bękarcie, jak ja – Devlin z radością wypowiedział, to czego nie zdążył powiedzieć Bradley.

– Nie okazujesz panu Benjaminowi szacunku należnego dla jego wieku i pozycji – warknął Osgood, marszcząc niemiłosiernie policzki.

– Och, zamknij się Osgood – warknął Bradley. Nie lubił, kiedy wspomniano jego wiek.

Oczy Penna Sample błyszczały tym rodzajem uprzejmości, którą Devlin umiał rozpoznać, i o której wiedział, że nie wróży nic dobrego.

– Byłaby wielka szkoda, gdyby coś ci się przytrafiło, przed samym otwarciem hotelu.

– Jak na przykład?

– Widzieliśmy, że wzniosłeś maszt telefoniczny. – Bradley nigdy nie starał się ukryć w głosie wrogości, ale dziś przechodził samego siebie.

– O tak. Trudno go nie zauważyć, prawda? – Devlin ugiął kolana i spojrzał Benjaminowi prosto w oczy. – Widzisz tych ludzi ze słuchawkami? Tych wmieszanych w tłum? To moja ochrona. Są w stanie najwyższej gotowości.

– Miałeś ochronę i wcześniej. – Bradley ukrył pod płaszczem powiek nienawistne spojrzenie.

– Mam tu nawet Gabriela Prescottta, dyrektora firmy. Nie będzie dziś żadnych wypadków. Nie życzę ich sobie. – Devlin wyprostował się powoli.

– Niniejszym uważam hotel za otwarty.

Benjamin spojrzał na niego w bezsilnej wściekłości.

Devlin przeniósł wzrok na twarze pozostałych.

– Uwierzcie mi panowie, nim minie dekada, będą tu stały przynajmniej trzy dodatkowe hotele. Tyle tylko, że tego właśnie najbardziej

się obawiacie, nieprawdaż?

O tak. To właśnie było to. Niemal fizycznie czuł, jak trzęsą się ze złości.

– Hej. Proszę pana. – Młody piekarz, Christian trzymał w ręku piłkę do futbolu amerykańskiego. – Proszę zobaczyć, co wygrałem!

– Nieźle! – Devlin klasnął w dłonie.

Christian rzucił piłkę w jego stronę. Niestety niecelnie i Devlin musiał skoczyć w lewo, by ją złapać i uchronić przed obrażeniami stary i wiecznie zadarty nos starego Bradleya.

– Przepraszam pana, panie Benjamin. – Christian zamachał przepaszająco ręką.

Devlin wzruszył ramionami.

– Leć!

Christian ruszył biegiem, a Devlin przymierzył się i cisnął piłkę w jego stronę.

Przyglądający się zebrani zaczęli bić brawo. Południowcy kochali football i naprawdę cieszyli się z zabawy na przyjęciu u zawodnika okrytego nieśmiertelną sławą. Był przekonany, że to sławie zawdzięcza fakt, że nie odłączono mu złośliwie prądu. Pewnie dyrektor elektrowni musiał być jego fanem.

Devlin zamachał wesoło, po czym otrzepał dłonie.

Grace wbiegła po schodach, ręce opuszczone po bokach, na twarzy wyraz urażonej godności. Pośpieszył w jej kierunku.

– Wszystko w porządku, mamó?

Wskazała ręką klapę białej marynarki.

– Frank Peterson machał swoją kanapką jak oszalały. Pobrudził mnie majonezem. To jakiś chuligan. Nie mam pojęcia, dlaczego go zaprosiłeś.

– Nie zapraszałem go!

– Więc co tu robi? Wszedł niezaproszony?

Meadow podeszła do nich z zapalem konsumując wielgachną porcję włoskich lodów.

– O kim mówicie?

– O Franku Petersonie – warknęła Grace.

– Och, ja go zaprosiłam. – Meadow nie przestawała zajadać się wafelkiem. – Chyba nie chcieliście, żeby został w domu, skoro jego żona się tu bawi?

Grace czekała, aż Devlin coś powie, ale on był zajęty przyglądaniem się, jak Meadow łapie ustami kremową kroplę, zanim ta spadnie jej na rękę. Grace westchnęła zrezygnowana.

– Jego żona? A kimże jest u licha jego żona?

– To Jazmin. Pracuje w szpitalu.

– A zaprosiłaś ją, ponieważ...? – Grace uniosła wspaniale wyskubaną brew.

– Była dla mnie bardzo miła po wypadku. – Policzki Meadow czerwieniły się od pozytywnych emocji, gdy patrzyła na karnawałowe sceny.

– Zakładam, że zaprosiłaś również pannę Mam – Ładny – Biust i Wiem – Jak – Go – Używać. – Devlin wskazał na rozanielonego Czwartego i jego towarzyszkę.

– To Weezy – powiedziała spokojnie Meadow.

– Niech cię Bóg błogosławi za twą dobroć – mruknęła Grace z irytacją.

– Nie mogłam jej nie zaprosić, skoro zaprosiłam Jazmin, jej najlepszą koleżankę. Zraniłabym jej uczucia. A poza tym wydaje mi się, że wspaniale

rozumie Czwartego.

Devlin zauważył, że język Meadow stał się różowy od zjedzonych dziś słodczy. Czuł, jak pocał mu się rękę.

Weezy ujęła Czwartego pod ramię. Kiedy odchodzili, towarzyszyły im mieszane spojrzenia, od zupełnej dezaprobaty w oczach Grace po wyraz zazdrości w szeroko otwartych oczach Penna Sample.

– Czwarty oprowadzi mnie po posiadłości. Ma kurs przewodnika! – krzyknęła Weezy przez ramię.

– Jasne – odkrzyknął Devlin.

Meadow uśmiechnęła się i ujęła go pod ramię.

– Powoli chłopcze. Jesteś żonaty, możesz biegać i szczekać, ale wszystko to na smyczy!

Z kierunku, gdzie siedzieli starsi mężczyźni, doleciały i parsknięcia i sapnięcia.

Meadow odwróciła głowę.

– Witam panów, panie Gallagher, panie Sample, panie Osgood, panie Benjamin. Rozumiem, że aparaty słuchowe działają dobrze?

Scrubby Gallagher zaśmiał się głośno.

– Cieszę, że pani jest na drugim końcu smyczy. Proszę jej nie wypuszczać, uda się go pani wytrenować.

Meadow uniosła kciuk w górę i odpowiedziała uśmiechem, by zaraz powrócić do wafelka swojego loda.

Kiedy Bradley Benjamin przypatrywał się córce Isabelli, w jego szarych oczach błyszczała irytacja i coś jeszcze, coś, czego Devlin nigdy wcześniej tam nie dostrzegał.

Może świadomość pustki przeżytego życia?

O Boże, Devlin miał nadzieję, że to właśnie to. Nadawało to całej jego

farsie jakąś wartość.

To i przyjemność namiętnych uścisków z dziewczyną, których każdej nocy doznawał.

– Czy mam rozumieć, że zaprosiłaś wszystkich pracowników szpitala, żeby przypadkiem kogoś nie urazić?

Meadow spojrzała na stopy i niezręcznie przestąpiła z nogi na nogę. Jej kapelusz przysłaniał twarz, ale wszyscy i tak wiedzieli, że jej policzki pokryły się purpurą.

– O mój Boże. – Grace wierzchem dłoni dotknęła czoła w dramatycznie przesadzonym geście.

– Powiedziałaś, że mogę zaprosić moich przyjaciół. – Meadow przesunęła językiem lód głębiej do wafelka.

Devlin zastanawiał się, czy za chwilę nie będzie musiał pożyczyć od dziewczyny kapelusza, żeby ukryć swoją erekcję.

– Twoich przyjaciół, a nie ludzi, którzy świadczą ci usługi – powiedziała zimno Grace.

Devlin objął dziewczynę w pasie.

– Meadow sprawia, że każdy jest jej przyjacielem.

Uniosła rondo kapelusza i spojrzała mu w oczy. W jej spojrzeniu świeciły łobuzerskie iskierki.

– Pewnie nie powinnam więc mówić, że zaprosiłam też pracowników hotelu?

Wyraz twarzy Grace był wart przynajmniej ceny całego diabelskiego młyna.

– Ty... Ty... zaprosiłaś pokojówki? – wyjąkała z niedowierzaniem. – Pokojówki Tajemniczego Ogrodu?

– Jasne, powiedziałam im, żeby wpadły, jeśli mają wolne. Spójrzcie

tylko, jak wspaniale się bawią. – Meadow machnęła wokół ramieniem. – Resztką lodu wyleciała z wafelka i rozprysła się na barierce werandy.

Grace odskoczyła, próbując uchronić spodnie jeszcze niedawno śnieżnobiałego kostiumu.

– Byłoby miło – doleciał ich opryskliwy głos Benjamina.

– Gdyby zachowała pani na tyle trzeźwości, by nie rozrzucić wokół siebie jedzenia!

– Nie piłam. Po prostu tak mam. – Uśmiechnęła się do niego, ale chłodno. Ten chłód był zarezerwowany dla niego właśnie. – My artyści już tacy jesteśmy. Ekscentryczni.

Szare oczy Bradleya wydawały się mrozić bourbona w szklance. Jego usta poruszyły się bezgłośnie, ale nie przeklinał. Devlin to zobaczył. Starzec powiedział.

– Isabelle.

Meadow też to dostrzegła. Zdjęła powoli kapelusz i ukłoniła się lekko.

Wszystkie podejrzenia Devlina stały się pewnikami. Meadow wiedziała, cały czas wiedziała o Bradleyu Benjaminie i roli, jaką odegrał w życiu jej babki. Co więcej, Meadow, która lubiła wszystkich, nie lubiła Bradleya Benjamina.

– My artyści? – zapytała Grace. – Nie wiedziałam, że jesteś artystką.

– O rety – powiedziała Meadow cicho, ale zaraz dodała już głośniejszym głosem. – Ojej, Grace. Chyba ubrudziłaś drugą klapę marynarki.

Grace wypuściła przerażona powietrze.

– Gdzie? Gdzie? Skoro nawet Meadow to zauważyła, muszę iść i się przebrać. Ale wróć. Do mojego powrotu nic nie ogłaszajcie.

– Nawet by się nam to nie śniło. – Meadow patrzyła za nią, jak odchodzi. Na jej twarzy malowała się czytelna wina.

Czekała na kolejne pytania od Devlina, tym razem o jej sztukę, ale dziś najwyraźniej nie miał ochoty na podle zachowania.

Od tego mieli Bradleya Benjamina.

Devlin uniósł jej brodę i ucałował kącik ust.

– Lody – powiedział cicho.

Scrubby przyglądał mu się z zazdrością.

Devlin nie przejmował się spojrzeniami. Interesowało go tylko adorujące spojrzenie dziewczyny.

Głośna muzyka organów parowych, gwar tłumu, zapach jedzenia i promienie słońca wydawały się odpływać. Do jego świadomości docierał jedynie słodki uśmiech dziewczyny, jej ciepło, gdy się o niego opierała i zapach limonkowego szamponu.

– Panie Fitzwilliam, czy mogę z panem porozmawiać w pańskim biurze?

Głos Sama wyrwał go brutalnie z sennego rozmarzenia.

Spojrzał na sekretarza.

– To ważne – dodał Sam.

– Oczywiście. – Devlin niechętnie pozwolił, by Meadow wysunęła się z jego objęć.

Odeszła dwa kroki do tyłu i spojrzała na Sama bardzo...

Dziwnie. Zupełnie, jakby wiedziała, że wtedy, gdy zamknęła się w składziku, Sam ją obserwował, a teraz miała mu za złe, że powiedział Devlinowi prawdę.

– Nie siedź za długo. – Nałożyła na powrót kapelusz i zeskoczyła z werandy.

Devlin zerknął na starców. Wszyscy patrzyli za Meadow, jak odchodzi, zupełnie, jakby chcieli utrwalić w sobie obraz jej cudownej

lekkości i energii.

Wszyscy z wyjątkiem Bradleya. Ten wyglądał na wkurzonego i bardzo, bardzo starego.

Głupiec. Czy jego duma dotrzymuje mu towarzystwa, gdy samotni siedzi przy stole każdej nocy?

A może zrozumiał, że gdyby zatrzymał przy sobie Isabelle, Meadow mogłaby być jego wnuczką?

TTLRR

Rozdział 30

Sam wskazał rząd monitorów i powiedział.

– Z reguły, gdy pan Czwarty błąka się po hotelu, ledwo trzymając się na nogach. Ale dziś...

Czwarty przemierzał dziarsko korytarz trzeciego piętra z Weezy uczepioną jego ramienia.

– Szuka pewnie ustronnego miejsca – powiedział Devlin, a przed oczami stanął mu składzik na pościel.

– Nie szukałbym pana, gdyby tak było w istocie – powiedział Sam. – Proszę tylko spojrzeć.

Czwarty zatrzymał się przy jednym z obrazów. Teraz dopiero było widać, że jego ruchy były nad wyraz nerwowe. Płótno przedstawiało krajobraz, a Czwarty z uwagą studiował podpis w dolnym rogu. Weezy sprawiała wrażenie dogłębnie znudzonej, a kiedy pociągnęła go za ramię, czwarty odwrócił się gwałtownie. Jasne było, że musiał w zdenerwowaniu powiedzieć coś niemiłego, bo dziewczyna aż podskoczyła.

– Też szuka obrazu? – Z niedowierzaniem zapytał Devlin. To już była przesada. Wszystko jednak na to wskazywało. Zachowywał się zupełnie tak samo, jak Meadow, więc to nie mógł być prosty zbieg okoliczności. – Czego oni wszyscy, do cholery, spodziewają się po tym obrazie?

– Proszę pana, czy...

– Nic, nic. – Devlin machnął ręką. – To było pytanie retoryczne.

– Czy nie sądzi pan, że byłoby dobrym pomysłem odesłanie pani Fitzwilliam i pana Czwartego, dopóki nie upewnimy się, że obrazu nigdzie tu nie ma?

– Ale ten obraz tu jest!

Sam postąpił krok do tyłu, a na jego twarzy odmalował się wyraz zdumienia.

– Czy mógłby to pan wytłumaczyć?

Devlin zastanawiał się przez chwilę jak to powiedzieć i ile dokładnie powiedzieć.

– Obraz nie jest taki, jak tego wszyscy oczekują. To nie jest zaginione arcydzieło, ledwie wczesna, na dodatek pośpieszna praca początkującej malarki. Lubię ten obraz i mam ku temu swoje powody – rzekł powoli Devlin, zastanawiając się, dlaczego Sam stał się nagle tak dociekliwy.

– Kiedy pani Fitzwilliam rozpoczęła swoje poszukiwania, pozwoliłem sobie na przejrzanie dokumentacji wszystkich dzieł sztuki znajdujących się w hotelu. – Sam zdjął z półki gruby plik dokumentów. – Nie ma tu nic, co mogłoby przyciągnąć koneserów takich, jak Czwarty.

– Właśnie. – Devlin chciał zapytać o powody zainteresowania Sama, ale zanim zdążył to zrobić, pisnęło jego walkie – talkie. – Zerknął na jeden z ekranów i ujrzał na nim swoją matkę.

– Jestem gotowa – mówiła do małego urządzenia. – A i ty powinienes się pośpieszyć, bo jeśli tego nie zrobisz, to znudzona Meadow gotowa zacząć skakać po tym wielkim nadmuchiwany młynie. – Grace uniosła ramiona w przerażeniu.

– Będę tam za minutę. – Devlin wyłączył urządzenie i odwrócił się do Sama. – Czy jest jeszcze coś, zanim tam pójde?

– Przyszedł raport detektywów w sprawie pani Fitzwilliam.

– W samą porę, cholera. – Nic innego nie zatrzymałoby Devlina w takiej chwili. Na raport musiał jednak choćby zerknąć.

– Zajęło im trochę odsianie różnych informacji. – Sam wręczył mu gruby katalog wypełniony papierami i zdjęciami. Jego ciemne zimne oczy

napotkały oczy Devlina. – Pani Fitzwilliam nigdy nie odwiedziła Majorki.

– To akurat utrzymajmy w tajemnicy.

Sam przestąpił z nogi na nogę, wyraźnie rozdarty pomiędzy tym, co powinien powiedzieć, a tym, co może powiedzieć. W końcu udało mu się podjąć niebywale ciężką decyzję i zapytał niskim głosem:

– Nie przyszło panu do głowy, że mieszka tu i sypia z panem, tylko po to, by móc spokojnie szukać obrazu?

Od kiedy Sam zaczął się tym zamartwiać? Od kiedy zaczął gadać, jak ktoś do kogo należało podejmowanie decyzji?

– Jasne, że przyszło. Ale nawet jeśli to prawda, było to warte każdej chwili. Jakoś się pozbieram i przecierpię tragiczne rozstanie.

– Oczywiście, proszę pana. Czy chce pan, bym zrobił coś w sprawie pana Czwartego?

– Nie. Niech sobie szuka. W niczym nam nie przeszkadza, a przynajmniej nie pije tyle bourbona.

– Rozumiem. – Sam odwrócił się, by odejść do biura.

Devlin zaraz zapomniał o tej rozmowie. Całą jego uwagę pochłonęła teczka opatrzona naklejką, na której Sam wypisał swoim starannym charakterem pisma „Natalie Meadow Szavras”. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że powinien wracać na przyjęcie. Ciężyły na nim obowiązki gospodarza. Meadow kryła jednak zbyt wiele tajemnic, a on nie miał czasu, na powolne ich odkrywanie. Chciał wiedzieć o niej wszystko. Chciał wiedzieć wszystko o jej rodzinie, jej sztuce i dotychczasowym życiu. Odpowiedzi na wszystkie pytania znajdowały się w tej teczce i Devlin nie zamierzał przegapić takiej okazji.

Usiadł przy biurku, otworzył skoroszyt i zaczął czytać,

Kiedy skończył, szybko wstał.

Wszystko się zmieniło.

Dosłownie wszystko.

Musiał szybko znaleźć Meadow. Tym razem znajdzie wyjście z tej kołomyi. Sprawí, że wszystko się ułoży.

Tyle że pierwszą spotkaną osobą była jego matka.

– Choć szybko, Devlinie. Diabelski młyn jest pusty, najwyższy już czas, żebyście obwieścili światu, że jesteście sobie poślubieni.

* * *

To był długi i wyczerpujący dzień.

Devlin i Meadow wjechali na samą górę diabelskiego młyna i ogłosili, że są mężem i żoną ku uciechu zgromadzonego na dole tłumu. Nikt nie opuścił przyjęcia przed dziesiątą, a nawet wtedy odjechali jedynie ci mieszkający najbliżej. Reszta zgromadziła się przy hotelowym barze. Było dobrze po drugiej w nocy, kiedy w końcu ostatni z gości zdecydował się na udanie się do hotelowego pokoju. Służba hotelowa uwijała się w popłochu, dostarczając dodatkowe ręczniki, lekarstwa na żołądek i butelki wody mineralnej.

Zanim Devlin przyszedł do łóżka, Meadow zdążyła już zasnąć.

Kładąc się obok niej, doszedł do wniosku, że rozmowę najlepiej przełożyć na rano następnego dnia.

Ale w momencie, w którym Meadow wstała z łóżka, Devlin otworzył oczy. Leżał przez chwilę, nie mówiąc słowa i zastanawiając się, czy włączy światła w sypialni.

Nie włączyła. Okryła się jedynie szlafrokiem i wyszła z pokoju.

Być może był głupcem, ale przynajmniej był przekonany, że nie udaje się z wizytą do innego mężczyzny. Był również pewien, że nie idzie tańczyć nago w ogrodzie, przecież księżyc był w nowiu.

Chodziło o jej matkę. Jedno zdanie w raporcie detektywów uczyniło wszystko jasnym.

Meadow chciała obrazu, by opłacić leczenie.

Och, jakże było mu przykro, że nie chciała mu o tym powiedzieć. Że nie poprosiła go o pomoc w rozwiązaniu kłopotów, że nie powiedziała mu prawdy. Stworzył jej przecież ku temu tyle okazji. I choć ufała mu wystarczająco mocno, by zacząć z nim sypiać, najwyraźniej nie chciała zwierzyć się ze wszystkich swoich sekretów.

Błyskawicznie naciągnął jeansy i T – shirt. Na półce znalazł adidasy.

No dobrze, być może niektóre rzeczy, które robił, i inne, które mówił i pozwalał, by o nim mówiono, tworzyły obraz cokolwiek bezdusznego egoisty pozbawionego emocji.

Tylko, dlaczego ona postrzegała go w ten sam sposób? Czy nie sięgała głębiej?

Z nią, wszystko było inne. On sam był inny. Czuł się... Młody. Wierzył w możliwości. Wierzył w ogrodowe duszki i wiosenne deszcze, tęsknił za umajonymi i ukwieconymi łąkami. Zaczynał wierzyć w cuda.

Pomysł Devlina Fitzwilliama ogarniętego romantyczną miłością wydawał się koszmarne absurdalny. Tyle że Devlin Fitzwilliam był mimo to śmiertelnie zakochany, w Meadow.

Zawiązał buty.

Dobrze, dziś w nocy, nauczy ją zaufania. Zrobi coś, czego poprzysiągł nie robić, wyzna prawdę. Wyzna całą cholerną prawdę. Meadow zrozumie błędy, jakie popełniła i zdecyduje się z nim zostać.

Wyszedł z sypialni i skierował kroki do pokoju, gdzie mógł sprawdzić monitory i zobaczyć, dokąd poszła.

Ale kiedy wszedł do pokoju kontrolnego, cały rząd monitorów był

czarny.

Przyglądał się im z szeroko otwartymi oczyma.

Czy Meadow przyszło do głowy wyłączenie całego systemu, by móc spokojnie poszukać obrazu?

Bo jeśli tak, to było to straszliwie nierozważne. Prawdopodobieństwo sabotażu w hotelu pełnym gości – na dodatek z samym Ojcem Chrzestnym Wybrzeży Amelii, Bradleyem Benjaminem – właśnie wzrastało bardzo znacząco.

Devlin ruszył biegiem w stronę swojego biura. Długimi susami przemierzył korytarz, a każde schody pokonywał, biorąc po kilka stopni naraz.

Ktoś biegł przed nim w tę samą stronę.

Krzyknął.

– Sprawdzam to! – To głos Gabriela.

Kiedy zbliżył się do schodów prowadzących na pierwsze piętro, pomyślał przez chwilę, że ktoś musiał upuścić w tym miejscu kilka ręczników.

Ale kiedy podbiegł bliżej, zobaczył, że to nie ręczniki a czyjeś ubrania. A spod ubrań przebijała się w mroku burza rudych włosów. Dostrzegł rozrzucone na boki szczupłe ramiona. Ktoś tu leżał, najprawdopodobniej nieprzytomny.

Meadow.

O Boże! O mój słodki Boże!

Ukląkł przy niej. Ręce trzęsły mu się niemiłosiernie, gdy dotykał jej twarzy. Przycisnął tętnicę na szyi. Wyczuł puls.

– Meadow?

Odpowiedziała mu cisza.

Spadła ze schodów.

Ze skaleczenia na głowie ciekła wąska strużka krwi.

Nie odważył się jej poruszyć. Przecież mogła skrócić sobie kark...

Mogła być naprawdę ciężko ranna.

Pochylił się nad nią.

– Meadow, Meadow. Na miłość boską, nie umieraj. Błagam cię, nie umieraj. Kocham cię, Meadow.

Został przy niej, aż do przyjazdu ambulansu.

Do tego czasu nawet nie drgnęła. I nie odpowiedziała na żadne wołanie.

TWILIGHT

Rozdział 31

Rozbłysły pierwsze światła poranka, gdy Devlin cicho wysunął się przed frontowe drzwi Tajemniczego Ogrodu.

– Jak się czuje? – Grace wyszła właśnie z biblioteki, ręce skrywała w szerokich rękawach ciepłej podomki. Jej oczy były podkrążone i zmartwione.

– Ma wielkiego guza na tyle głowy i mnóstwo siniaków na ramionach i nogach. Mówią, że nie jest z nią źle, ale zatrzymają ją na obserwacji. Doktor Apps mówi, że Meadow zdecydowanie zbyt wiele razy została w tym miesiącu uderzona w głowę. – Uśmiechnął się blado. – Jakoś mnie to nie

– Wiedziałam, że wszystko będzie dobrze. Ta dziewczyna mogłaby wypaść z samolotu i nic by się jej nie stało.

Ścisnęło go serce na myśl o tym, jak blado wygląda jego Meadow i jak jest skonfundowana tym, tym, co wokół niej się dzieje.

– O tak. Jest prawdziwie niepokromiona.

– Zupełnie jak ja.

Był bardzo zmęczony i zajęło mu chwilę, zanim treść jej zdania w pełni do niego dotarła. Grace właśnie wypowiedziała pod adresem Meadow najwspanialszy komplement.

– O mój Boże, mamó! Naprawdę ją polubiłaś.

– Wcale jej nie polubiłam. Kłamie. Ubiera się strasznie. Jest niegrzeczna. Nie ma nawet podstaw dobrego wychowania. Żadne z was nie powiedziało mi, czym zajmują się jej rodzice, z czego wnioskuję, że są przynajmniej seryjnymi mordercami. A poza tym jest Jankeską! – Grace wznosiła głos w miarę wyliczania cech dziewczyny. Ale po chwili

uśmiechnęła się blado. – Najważniejsze, że sprawia, iż jesteś szczęśliwy i dlatego... Mogę chyba zaakceptować tę niepoprawną córkę przybłędów z północy.

– Och dziękuję, mamó. To bardzo z twojej strony... – Przez moment chciał powiedzieć „słodkie”, ale spojrzenie matki wybiło mu to z głowy. – Yyy... Wspaniałomyślne. – Zaśmiał się nawet i zatarł ręce. Kiedy wstawał z łóżka i wybiegał za Meadow, był zły jak wszyscy diabli, że nie okazała mu zaufania, ale równocześnie gotów zapłacić za leczenie jej matki.

Jakże on sam był wspaniałomyślny!

Nawet Meadow musiała myśleć podobnie, a okazało się, że dzieliła tę opinię z jego matką.

– Meadow powiedziała ci, że jest artystką – odezwał się.

– Myślę, że o niej słyszałaś. Zrobiła tę szklaną misę, którą ustawiłaś w jadalni.

– Nie, nie zrobiła. Ta misa jest dziełem Rivera Szav...

– Grace przerwała nagle. Zamrugwała kilkakrotnie i ruszyła w stronę jadalni. Odwróciła głowę w jego stronę.

– Meadow to Natalie Szarvas?

– Natalie Meadow Szarvas.

– Powiedziała mi, że jest artystką, ale myślałam... No tak. To wszystko tłumaczy. Nic dziwnego, że jest tak ekscentryczna. O wiele łatwiej będę mogła to wytłumaczyć przyjaciołom.

– W oczach Grace błyszczała satysfakcja przemieszana z ulgą.

– Wszyscy wiemy, że przyjaciele to niebagatelna sprawa – odrzekł z ironią, która miała kryć jego radość.

– Moi przyjaciele to bardzo ważni i szanowani ludzie.

– Są ważni i szanowani, bo są twoimi przyjaciółmi.

– Tak jak Meadow, jest dla ciebie ważna, bo jest twoją żoną. – Podeszła do niego i objęła go niezgrabnie. Widać było, że nie nawykła do tego typu wylewności. – Już późno a ty jesteś zmęczony. Powinieneś się przespać. Przeżyłeś szok.

– O tak – mruknął. Pamiętał dobrze poczynione niedawno miłosne wyznania. Szkoda tylko, że nikt ich nie usłyszał i pozostały bez odpowiedzi.

Co gorsza, czuł z tego powodu ulgę. Wiedział, że w tej kwestii okazywał się tchórzem. Nie chciał, żeby przypadkiem ktokolwiek odrzucił jego wyznanie tego jakże świeżego uczucia, w którym dopiero zaczął się rozsmakowywać.

Nie był mężczyzną, który przypuszczałby, że Meadow nigdy nie tańczyła nago w świetle księżyca. Obawiał się jednak, że jej otwarta miłość mogła obejmować całą ludzkość. Oczywiście. – W tym momencie był jej jedynym kochankiem, tyle że nie tylko o cielesny wymiar uczucia mu chodziło.

Grace podeszła z nim do schodów.

– Czy Meadow pamięta, co się stało?

– Mówi, że nie pamięta. – Wykrzywił się w grymasie. Dodatkowy przejaw amnezji. Tym razem, choć nie chciał naprawdę jej wierzyć.

Po lekarskich oględzinach, doktor Apps zawołała go do swojego biura.

– Widzę tego typu obrażenia o wiele częściej, niż chciała bym je oglądać. Rana na głowie zadana tępym obiektem.

Patrzył bez słowa na lekarzkę potwierdzającą jego najgorsze obawy.

– Mówisz, że ktoś uderzył Meadow w głowę i zepchnął ją ze schodów?

– Prawdę mówiąc, panie Fitzwilliam, w przypadkach takich jak ten, tym kimś jest najczęściej mąż. – Doktor Apps raczej nie flirtowała z

żonatymi mężczyznami, najprawdopodobniej nie z tymi, którzy bili żony. W tym momencie w jej tonie też nie było niczego zalotnego. Ręce skrzyżowane na piersi, zimna wrogość w oczach.

– W tym przypadku, tym kimś nie jest mąż. Ale mąż dowie się, kto to był – powiedział i wyszedł cicho, zamykając za sobą drzwi i obawiając się, że doktor Apps wierzy w jego niewinność tak mocno, jak on wierzył w niewinność OJ. Simpsona.

Pozostawał problem. Ktoś naprawdę uderzył Meadow i zepchnął ją ze schodów, a on zamierzał dowiedzieć się, kto to był i sprawić, by osoba ta cierpiała. Bardzo cierpiała.

Sam miał dość cierpień.

Miał dość obaw i niejasności. Ryzykownej gry w kotka i myszkę.

W przeciągu kilku godzin udowodniono mu, że był tchórzem i niedołągą.

Jak to się mogło stać?

Matka patrzyła na niego jednak tak jak zwykle, to znaczy, tak, jakby nie miała pojęcia co z nim zrobić. Wiedział więc, że w żaden sposób nie okazywał słabości. Na szczycie schodów dotknął jej ramienia.

– Już późno. Powinnaś iść spać.

– Ależ nie, czuję się dobrze. Przełożyłam pierwszy dzień filmowy. Nie zaczniemy nagrywać, zanim nie zobaczę Meadow na własne oczy i nie upewnię się, że wszystko z nią w porządku.

Grace zatrzymała się, jakby czekała na... no właśnie, na co?

– To pięknie z twojej strony – powiedział szybko, kiedy dotarła do niego treść jej słów. – Wiem, jak ludzie czekają na twój show telewizyjny.

– Zrobię wszystko dla syna i jego żony – odpowiedziała, nadstawiając policzek.

Ucałował ją i patrzył, jak oddala się w stronę sypialni.

Po czym szybko ruszył w stronę swojego biura.

Sam i Gabriel przeglądali taśmy z kamer systemu bezpieczeństwa.

Usiadł za biurkiem.

– Słucham – zaczął Gabriel.

– System bezpieczeństwa był wyłączony przez pięć minut, zanim nie poinformował mnie o tym dodatkowy alarm.

– Dlaczego aż pięć minut?

– Bo system został wyłączony zdalnie i przez kogoś, kto doskonale go znał. Nie obszedł mojego dodatkowego alarmu tylko dlatego, że założyłem go przed samym przyjęciem. Nowa technologia. Nie robiłbym tego, gdyby nie włamanie trzy tygodnie temu. Jasna cholera. Takie rzeczy sprawiają, że robię się nerwowy – Gabriel właściwie nie wyglądał, jak ktoś nerwowy. Wyglądał, jakby był niewymownie wściekły.

Devlin spojrzał na Sama.

– Przejrzałem taśmy na chwilę przed tym, jak kamery przestały działać i zaraz po tym, jak je na powrót włączono. Jedynymi ludźmi na korytarzu w tym momencie byli pracownicy ochrony, Mia z kuchni, która skończyła sprzątanie i szła do domu, panna Weezy Woodward, która wychodziła z pokoju sędziego Madisona, zaraz przy schodach... Oraz pan Bradley Benjamin Czwarty.

Devlin zerwał się na równe nogi.

– Czwarty? Ten sukinsyn?

– Proszę pana, Czwarty nie potrafiłby wyłączyć zdalnie systemu bezpieczeństwa – powiedział Sam.

– A któż inny mógłby to zrobić. Masz innych podejrzanych?

– Być może ktoś z ochrony – zasugerował Gabriel spokojnym głosem.

Wszyscy mają dobre referencje. Niektórzy pracowali ze mną od lat. Płacę im dobrze, ale ochroniarze zawsze są celem numer jeden, jeśli chodzi o korupcję.

Devlin wyszedł zza biurka.

– Czy którykolwiek z nich weszły po moim hotelu w poszukiwaniu obrazu?

Sam pokręcił głową.

– Nie, proszę pana. Ale Czwarty nie uciekłby się do przemocy. Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Dowiedzmy się. – Devlin żwawo ruszył w stronę wyjścia. Sam i Gabriel niemal deptali mu po piętach. Devlin wbiegł po schodach i ruszył korytarzem w stronę pokoju Czwartego. Spokojnie włożył swój klucz magnetyczny do zamka, a następnie z całej siły kopnął w drzwi tak, że otwierając się, trzasnęły o ścianę.

– Cholera – mruknął Gabriel.

Devlin zapalił światło.

Czwarty wyskoczył z łóżka niczym wyrzucony z katapulty.

– Czwarty, ty sukinsynu. Jest może coś, co chciałbyś mi powiedzieć?
– Devlin grał zawodowo w amerykański football. Wiedział, jak sprawiać wrażenie kogoś bardzo, bardzo groźnego.

Właśnie to robił.

Zadziało, bo Czwarty zakał i trzęsącymi rękami szukał wokół prześcieradła, którym mógłby się okryć.

– Błagam, Devlin, błagam. Nie zabijaj mnie!

Winny. Devlin zasapał z wściekłości. To małe łkające nic było winne!

Postąpił krok. Jeden krok. Wiedział, że musi się uspokoić, bo niewiele go dzieliło od skręcenia Czwartemu karku.

- A dlaczego miałbym cię nie zabijać, hę?
- To nie moja wina. Kazali mi to zrobić. Pan Hopkins.
- Pan... Hopkins – upewnił się Gabriel.

Błagalny wzrok Czwartego przeniósł się na Gabriela.

– Właśnie on. Siwowłosy o niskim głosie. Takim... Pozornie łagodnym. Dzwoni do mnie i mówi... – Głos Czwartego łamał się, a drżące nogi sprawiały, że jedwab pizamy niemal falował. – Że mnie wykastruje. Albo gorzej.

– Widziałeś go? – zapytał Sam.

– Tak. Ale niezbyt dobrze. Siedział w cieniu, ale to on jest wszystkimu winny!

Gabriel odwrócił się do Devlina.

– Pamiętasz? Mówiłem ci o panu Hopkinsie. Jeśli maczał w tym palce, tkwimy w niezłym bagnie.

– O tak. Tkwimy z pewnością – skamlał Czwarty.

– Zatrudniłem kilku jego ludzi. Na mojej ochronie nie można polegać.

– Gabriel spojrzał na Sama. – Możesz to sprawdzić?

Sam kiwnął głową.

Gabriel ruszył w dół korytarza.

Czwarty przyglądał się wszystkiemu z otwartymi ustami.

– On wie wszystko. Wszystko, rozumiecie? Obserwuje mnie. Obserwuje dom. Rozumiesz to, Devlinie, prawda?

– Rozumiem. Pracujesz dla niego. – Devlin chciał, żeby Czwarty zaprzeczył.

Ale nic takiego się nie stało. Zamiast tego usłyszał kolejne potwierdzenia tchórzostwa.

– Musiałem. Nie miałem wyjścia. On mnie zabije!

A więc Czwarty zepchnął Meadow ze schodów. Próbował rozwalić jej głowę, by ocalić swoją własną. Mała, kłamliwa żmija.

– Nie martw się o pana Hopkinsa. Ja cię ukatrupię.

– O Boże, człowieku, przestań. Pomożesz mi, prawda?

– Zraniłeś moją żonę. – Przed oczami miał Meadow leżącą u podnóża schodów. Miał ochotę zacząć łkać, ale zamiast tego wycedził tylko.

– Więc teraz ja zabiję ciebie.

Ruszył w stronę Czwartego.

Czwarty skoczył do tyłu. Zaczepił się i wylądował na łóżku. Sam złapał Devlina z ręką i stopą próbował zablokować mu nogi.

– Zabić twoją żonę? Zabić Meadow? Kiedy? O czym ty mówisz? Nigdy jej nie skrzywdziłem! Nigdy nikogo nie skrzywdziłem! – Blond włosy Czwartego dosłownie stanęły nastroszone na jego głowie.

Devlin na nic nie zważał.

– Co za kupa gnoju z ciebie. Oczarowałeś ją. Sprawileś, że cię polubiła. A kiedy połapałeś się, że szuka tego samego obrazu, postanowiłeś ją zabić.

– Nie zrobiłem tego, przysięgam. On to zrobił. On!

– I kiedy szła po schodach, przywaliłeś jej w głowę!

– Nigdy nawet jej nie dotknąłem. Devlinie, przysięgam. Przysięgam na Boga! – Czwarty wyciągnął prawą rękę w górę w dziecinnie rozpaczliwym geście. – Raczej bym próbował zabić Hopkinsa, niż próbować skrzywdzić Meadow.

– Zejdź mi z oczu. – Gniew niemal uniemożliwia Devlinowi mówienie. – Zejdź mi z oczu... natychmiast!

Czwarty posłuchał. Podbiegł do szafy i wyciągnął z niej wszystkie swoje ubrania, po czym rzucił je na łóżko. Nie przestając trajkotać.

– Posłuchaj mnie, proszę. Nie zraniłem Meadow. Jeśli ktoś uderzył ją w głowę, to strzeż jej lepiej, bo to oznacza, że pan Hopkins wie, że ona szuka tego obrazu. Będzie chciał ją zabić. Nie żartuję, Devlinie. Wiem, że Hopkins spróbuje teraz zabić mnie, za to, że mi się nie powiodło. – Czwarty przestał na chwilę mocować się z zamkiem walizki.

Patrzył Devlinowi w oczy i Devlin mógłby w tym momencie przysiąc, że Czwarty nie kłamał.

– Devlinie, mówię prawdę. Hopkins dołoży starań, by zabić twoją Meadow.

TTLR

Rozdział 32

Szary poranek i pełne ciemnych chmur niebo było odbiciem nastroju Devlina wkraczającego do swojego biura. Trząsł się ze złości na myśl o Gabrielu, który dokonywał zwolnień wśród swojego personelu i próbował znaleźć jednego pracownika, którego brakowało. Trząsł się na myśl o tym, że Czwarty go zdradził a jeszcze bardziej na myśl o tym, że jego pobłażliwe traktowanie starego przyjaciela doprowadziło do zupełnej katastrofy.

Co gorsza, zaczął wszędzie wokół dostrzegać zdrajców. Kiedy zerkał na Sama, przypominało mu się jego niezwykle zainteresowanie obrazem. Coś, nie wiedział do końca co, było w tym niepokojącego.

– Mam nadzieję, że pani Fitzwilliam czuję się dziś lepiej, proszę pana.
– Sam wyglądał jak zwykle. Z jego pięknej, dumnej twarzy, w której mieszały się cechy rodziców z Indii i Ameryki Południowej promieniował spokój i profesjonalizm.

Ale po powrocie ze szpitala i położeniu Meadow do łóżka Devlin zaplanował małe badania dotyczące nieskazitelnej rzekomo przeszłości jego sekretarza.

– Rozmawiałem z personelem medycznym. Powiedzieli mi, że wszystko będzie dobrze. Poza siniakami i wstrząsem nie odniosła żadnych poważnych obrażeń.

– Dobre wieści, proszę pana. – Sam wstał zza swojego biurka. – Panie Fitzwilliam, nie chciałem pana wcześniej budzić, ale ma pan gościa. Nie chciał, żeby zobaczył go ktokolwiek z gości opuszczających rezydencję, więc zostawiłem go w małej jadalni.

Devlin nie miał nastroju do szarad.

– Powiedz po prostu, kto to jest.

– Nazywa się Carrick Manly.

– Carrick Manly. O proszę. Jedyne ślubne dziecko mojego ojca, nic dziwnego, że Sam zadbał o odpowiednie wprowadzenie. Nie wiedział, jaka będzie reakcja Devlina.

Do jasnej cholery, nawet Devlin nie wiedział, jaka powinna być jego reakcja.

Nathan Manly poślubił tylko jedną kobietę. Uczynił też ją matką jedyne, ślubne dziecka – dziedzica swojej wspaniałej fortuny. To znaczy, uczyniłby go tym dziedzicem, gdyby nie fakt, że w którymś momencie przyszło mu do głowy zdefraudowanie środków finansowych, obrócenie firmy w ruinę i ucieczka hen, gdzieś daleko. Pozostawił na lodzie wszystkich swoich potomków, sprawiedliwie nie czyniąc wyjątków dla tych, z którymi związany był formalnie.

Przez wszystkie te lata Devlin nie miał żadnych wieści od jakiegokolwiek rodziny ze strony ojca.

Właściwie to sam też nie przejawiał chęci odnalezienia żadnych krewnych po mieczu. Czego można było się spodziewać po potomstwie Nathana Manly? Devlin miał wystarczająco wiele problemów z przyjaciółmi pokroju Czwartego.

Czwarty. Devlin wyrzucił go z domu, ale później prawie kogoś za nim posłał. Bo co, jeśli się okaże, że Czwarty mówił prawdę?

Ale Sam odwiódł go od tego pomysłu.

– Jeśli pan Hopkins naprawdę szuka obrazu, to może lepiej będzie dla pana Czwartego, jeśli na chwilę zniknie z pola widzenia?

Bardziej podejrzane było to, że próbował wydobyć od niego więcej informacji na temat obrazu.

O tak, Samowi należało przyjrzeć się bliżej.

– Czy Carrick powiedział, czego ode mnie chce?

– Nie chciał wdawać się w szczegóły – odrzekł Sam. – Ale pomyślałem, że będzie pan chciał go zobaczyć.

– Miałeś rację.

– Pomyślałem również, że będzie pan chciał się czegoś o nim dowiedzieć, zanim zacznie pan rozmowę. Dlatego pozwoliłem sobie na przygotowanie tej oto małej teczki na jego temat – powiedział Sam, wręczając mu plik wydruków z Internetu na temat syna Nathana Manly’ego. Było tam wszystko, począwszy od krótkich wzmianek na temat cudownego dzieciństwa w Maine spędzonego w otoczeniu amerykańskich arystokratów, oraz dłuższe artykuły dotyczące zniknięcia Nathana w okresie, kiedy jego syn kończył studia. Ostatnie zdjęcia nie były wyraźne, najwyraźniej Carrick posiadał umiejętność unikania fotografów.

W końcu były tam najświeższe informacje ze stycznia, informujące o tym, że amerykański rząd wytoczył sprawę Melindzie Manly i oskarżył ją o współudział w kradzieży i defraudacji środków przedsiębiorstwa jej męża.

Sprawa odbiła się szerokim echem i Devlin o niej słyszał. Nigdy jednak nie zainteresował się nią poważnie.

– Dlaczego rząd czekał aż tyle lat? – zapytał, nie oczekując odpowiedzi.

– No cóż, rząd to rząd – mruknął Sam, jakby wiedział, że pytanie nie było skierowane do niego.

Devlin oddał mu teczkę.

– Zostawiłeś go w jadalni? Dobry wybór. Może tam zabić czas przy komputerach albo książkach. Albo kradnąc antyki, jeśli wdał się w ojca.

Devlin podniósł się zza biurka i bez dalszej zwłoki ruszył na spotkanie nieoczekiwanego gościa.

Otworzył szeroko podwójne drzwi, mając po trochu nadzieję, że przyłapie Carricka na pakowaniu do kieszeni rodowych sreber. Oczywiście nic takiego nie miało miejsca. Gość siedział w fotelu przy oknie pogrążony w lekturze książki, którą najwyraźniej sam przyniósł. Na widok Devlina odłożył ją i podniósł się z fotela.

– Nazywam się Carrick Manly. Jestem twoim przyrodnim bratem i wierz mi, ostatnio wypowiadam to zdanie o wiele częściej, niż sądziłem, że będę je wypowiadał.

Ostatnie zdjęcia nie oddawały prawdy. Był wysoki i całkiem szeroki w barach. Na oko miał jakieś dwadzieścia cztery lata. Stało się jasne, po kim dziedziczyli kolor włosów i inteligentne spojrzenie.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni – powiedział Devlin, ściskając wyciągniętą dłoń.

– Właśnie to chciałem powiedzieć. – Carrick przypatrywał mu się równie uważnie co on Carrickowi. – Chociaż wyglądasz zupełnie inaczej niż ostatni brat, którego miałem okazję poznać.

Carrick z pewnością odebrał najlepsze wykształcenie w tej części Stanów Zjednoczonych. W jego głosie pobrzmiwał arystokratyczny akcent i choć jego ubrania nie należały do najdroższych, potrafił je nosić we właściwy sposób.

– A któż to taki?

– Nazywa się Roberto Bartolini. Jest Włochem.

– A dokładniej w połowie Włochem, jak zakładam? – Devlin wskazał Carrickowi fotel.

– Oczywiście. W połowie Włochem.

– Chyba o nim słyszałem. Widziałem jego zdjęcie w gazecie – Devlin zmrużył oczy, próbując przywołać w pamięci artykuł z *USA Today*. – Czy

nie poślubił tej znakomitej pani prawnik walczącej z przestępczością w Chicago?

– Byłem na ślubie. – Carrick rozparł się wygodnie i czekał, aż Devlin zajmie swoje miejsce.

Wydawał się niezwykle władczy, zwłaszcza jak na swój młody wiek. Devlin z podziwem patrzył, jak Carrick radzi sobie z nietypową sytuacją. Nie wiedział przecież, czy spotka się tu z otwartą wrogością, drwiną czy też z sentymentalnym przyjęciem.

– Znalazłeś go? – Devlinowi nie przychodziła do głowy żaden inny powód niecodziennej wizyty.

– Naszego ojca? Och, nie. Znikł razem z pieniędzmi. Nikt nic nie wie. Ale być może słyszałeś, że rząd właśnie oskarżył moją matkę o współudział w tym wszystkim. Zwłaszcza o kradzież i defraudację. Szukam jedynie informacji. Być może zostawił jakąś wiadomość tobie lub twojej matce?

W Devlinie zawrzała krew.

– Po całym tym czasie przychodzisz tylko po to, by zadać takie pytania?

Panie... Fitzwilliam. Po tym, jak opuścił nas ojciec, moja matka i ja doświadczyliśmy wiele niegodziwości. Przyszły dla nas trudne czasy. Nathan nie ukradł tylko firmowych pieniędzy, ale również pozbawił swoją żonę, a moją matkę rodowej fortuny. Straciliśmy wszystko poza rodową posiadłością.

– Carrick uniósł w górę rękę. – Mieliśmy więcej niż inni, zapewne więcej niż pozostali moi przyrodni bracia, ale matka nie zna się na gospodarowaniu i borykamy się z poważnymi trudnościami. Odnajdowanie moich braci, czym postanowiłem się zająć, musiało ostatnio zejść na dalszy plan, bo przestajemy sobie radzić finansowo.

– Rozumiem – powiedział powoli Devlin, choć przyznawał to niechętnie.

– Oskarżenia rządu USA przyszły po wielu latach i zupełnie zaskoczyły moją matkę. Nie czuje się najlepiej a całe wydarzenie uważa za pecha ściągniętego na nią przez ojca. Nie ma ochoty się bronić i na mnie spoczywa obowiązek oczyszczenia jej imienia. Jedynym dziedzictwem, jakie pozostawił mi ojciec, są moi bracia i przez odnalezienie ich, zamierzam odkryć, kim właściwie jest moja rodzina.

Był niezły, ten brat Devlina. Szybko nakreślił swoją sytuację, przedstawił sprawę wnikliwie, ale bez zbędnego sentymentalizmu. W przeszłości, kiedy dowiedział się, że Melinda i Carrick zostali porzuceni, wywołało to na jego obliczu uśmiech dziejowej sprawiedliwości. Choć nie do końca uzasadniony. Ale to było całe wieki temu. Był dzieckiem, czuł straszliwą pustkę porzucenia i niewypowiedziany żal, że był jedynie jednym z wielu dla swojego niewdzięcznego ojca.

Obecnie martwiły go inne rzeczy i zupełnie nie chciał, by w sferze jego zainteresowań pojawił się, choćby na jej horyzoncie, okryty złą sławą Nathan Manly.

Miał wystarczająco wiele problemów z Meadow i jej misją zdobycia obrazu, którego sprzedaż miała umożliwić pokrycie kosztów leczenia jej matki. O lak, wspaniała dziewczyna, która zrobiłaby wszystko dla rodziny, dostatecznie wypełniała mu wolne chwile. Być może powinien wziąć od niej lekcje troski o bliskich? Dotychczas starał się najczęściej zapomnieć o swoim pochodzeniu, ale najpewniej nadszedł właśnie czas wybaczenia.

Da Carrickowi informacje, których ten potrzebuje; czemu nie? Pozwoli kontynuować poszukiwania a być może któregoś dnia stanie się świadkiem wielkiego rodzinnego zjazdu w którymś ze swoich hoteli?

– Kiedy widziałem go ostatni raz, dał mi rejestr księgowy swojej firmy. To było na kilka tygodni przed jego ostatecznym zniknięciem. Prosił, bym zachował go aż do jego powrotu.

Carrick wyprostował się w fotelu.

– Rejestr? Naprawdę? To więcej niż oczekiwałem.

– Przejrzałem go wtedy, wierz mi, nie ma tam nic konkretnego. Sam chciałem wierzyć, że to mapa skarbu albo sekretna wiadomość o tym, jak go odnaleźć.

Carrick zaśmiał się gorzko.

– O tak. To w jego stylu. Też wydawało mi się, że któregoś dnia do mnie wróci...

Bracia spojrzeli na siebie połączeni nagle niewypowiedzianymi więzami znajomych odczuć.

Mieli więcej wspólnego, niż Devlin przypuszczał. Może życie Carricka, syna porzuconego było równie trudne co życie bękarta? Carrick z pewnością musiał przeżyć straszliwy szok, gdy jego pozycja społeczna i majątek nagle legły w gruzach. Doświadczenie, którego oszczędzono Devlinowi. Być może nigdy nie doceniał faktu, że trudny początek lepszy jest od nagłych klęsk w życiu.

– Przyszło ci do głowy, że być może nie zostawił żadnych śladów prowadzących do fortuny? – Devlin nie oczekiwał zbyt wiele dobrego po swoim ojcu.

– Mój ojciec... Nasz ojciec uczynił wszystko, co w jego mocy, by fortuna rozwiała się bez śladu. Znał się na tym i nie pozostawił nam co do tego złudzeń. Ale mimo wszystko muszę próbować – powiedział spokojnie Carrick.

To było wystarczająco przekonywujące.

– Rejestr księgowy jest twój.

TTLR

Rozdział 33

Doktor Apps skończyła oględziny i schowała słuchawkę stetoskopu do kieszeni fartucha.

– Możesz przez kilka dni doświadczać nudności. Nie możesz też myć głowy aż do zdjęcia szwów. Zważywszy jednak na powagę obrażeń, wyszłaś z tego całkiem nieźle.

Meadow usiadła w szpitalnym łóżku i uśmiechnęła się szeroko do Devlina stojącego w drzwiach.

– A poza tym, nie muszę brać udziału w sprzątaniu po przyjęciu.

– Posadzimy cię na samobieżnym odkurzaczu.

– Naprawdę? – w jej oczach błysnęło zainteresowanie.

– Nie. – Zaplótł ramiona na piersi, szeroko rozstawił nogi, a spojrzeniu nadał władczy, nieznoszący sprzeciwu wyraz. Był w tym przecież wyśmienity.

– Ale to by była wspaniała zabawa!

Jego władcze spojrzenia i pozy najwyraźniej straciły na władczości.

– Muszę cię zmartwić, nie mamy samobieżnego odkurzacza.

– Szkoda – na twarzy dziewczyny odmalowało się rozczarowanie.

Wyglądała jednak o niebo lepiej i zdrowiej niż poprzedniego dnia.

Walczył z chęcią podejścia do niej, ucałowania, objęcia i trzymania w ramionach tak długo, aż będzie pewien jej zupełnego bezpieczeństwa.

– Czy pamiętasz cokolwiek sprzed samego upadku? – zapytała doktor Apps, nie patrząc na Devlina. W jej oczach cały czas musiał być winnym domowej przemocy.

– Wstałam, żeby... – Meadow zerknęła na Devlina. – Poszukać pewnego obrazu, który staram się od dłuższego czasu znaleźć.

Głęboko zaczerpnął powietrza. W końcu zaczynała mu ufać.

– A kiedy stanęłam u szczytu schodów, ktoś już tam był. Zaczęłam biec i nagle... – Pokręciła głową, mrużąc oczy.

– Obudziłam się już tutaj. Nie pamiętam zupełnie, co zaszło w międzyczasie. – Położyła głowę na poduszce i wzdrygnęła się, jakby było jej zimno.

Podszedł do łóżka i delikatnie ujął ją za ramiona.

Przytuliła policzek do jego dłoni.

O tak. Zaufanie. W końcu.

– Gdybyś nie wyłączyła wcześniej systemu bezpieczeństwa, wiedzielibyśmy dobrze, kto cię uderzył – powiedział miękko.

Uniosła głowę

– Niczego nie wyłączałam!

– Na pewno?

– Z pewnością bym pamiętała.

– Dobrze.

– Naprawdę tego nie zrobiłam.

– Wierzę ci, wierzę.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu. – Nie zamierzał jej na razie mówić prawdy o Czwartym. Znał ją wystarczająco dobrze, by zdawać sobie sprawę, że jego zdrada złamie jej serce.

Uśmiechnęła się do niego tak słodko, że aż poczuł się niezręcznie. Przecież wierzył jej nie tylko dlatego, że jej ufał, ale również dlatego, że miał pewne niezbite dowody.

Oczywiście zaufanie było istotne, ale dowody ważne były swoją drogą.

– Musimy pomówić o tym obrazie – powiedział powoli.

– Wiem. Ale wiem także, że zrozumiesz.

Doktor Apps odkaszlnęła znacząco.

– Mam jeszcze dodatkowe informacje dotyczące pani stanu zdrowia, pani Fitzwilliam, które mogą okazać się niespodzianką.

O co chodzi? Devlin nieświadomie zacisnął dłonie na ramionach dziewczyny.

– Wczoraj wieczorem, dokonaliśmy całej serii testów. Był wśród nich test ciążowy...

Devlin zastygł nagle w bezruchu.

Meadow wstrzymała oddech.

– Wynik był pozytywny.

Cisza, która zapanowała po ostatnich słowach, brzmiała jak krzyk. Doktor Apps dodała szybko.

– Proszę się nie obawiać. Upadek w żaden sposób nie wpłynął na ciążę. Płód rozwija się prawidłowo. Kiedy wróci pani do domu, proszę do mnie zadzwonić. Mam numer telefonu dobrej poradni ginekologiczno – położniczej. Powinna się tam pani udać jak najszybciej, żeby doktor mógł ustalić datę rozwiązania. Jakież pytania?

Meadow pokręciła głową.

Devlin nie mógł się ruszać, mówić ani myśleć.

– Dam wam parę minut na dojście do siebie. Dajcie znać salowym, kiedy będziecie gotowi do podróży do domu. – Doktor Apps odwróciła się i powoli wyszła z sali. Zupełnie jakby gęsta atmosfera zwalniała jej ruchy.

– Dziecko – wyszeptała Meadow i przycisnęła rękę do brzucha.

Zaszła w ciążę! Dokonali razem czegoś cudownego.

– To na pewno stało się tej nocy przy świetle księżyca, nie sądzisz? – Devlin nie odpowiedział, ale Meadow po prostu myślała na głos, myśląc o

sobie i nie oczekując odpowiedzi.

– Wiem, że nie wiesz, ale moja matka ma raka.

– Co się stało z twoją amnezją? Nagle sobie wszystko przypomniałaś?

– Jego sarkazm był jak brzytwa tnącą jej radosne uniesienie.

– Co? – zapytała, mrugając niezrozumiale.

Jego twarz była blada, oczy zimne i pozbawione emocji. Był w szoku. Biedny Devlin. Uśmiechnęła się zachęcająco.

– Było tak, że jakby trochę kłamałam o tej amnezji. Nie mów, że nie zdawałaś sobie z tego sprawy.

– Wiedziałem. Dlatego jakby trochę kłamałem o naszym małżeństwie

– jego głos balansował na krawędzi czegoś, czego nie potrafiła jednoznacznie określić.

Ale wspomnienie tych chwil, gdy poznawali się, a wymyślane naprędce kłamstwa zapętały się, tworząc coraz bardziej pogmatwany labirynt, sprawiło, że zachichotała.

– Kiedy powiedziałaś, że jesteśmy małżeństwem, nie wiedziałam zupełnie co robić. Myślałam, że wszystko zajmie mniej czasu. Że szybko znajdę obraz, zabiorę go, a ty nigdy nawet nie poznasz prawdy. Ale wtedy dowiedziałam się o ochronie, o ludziach zatrudnionych w hotelu i wszystko stało się o wiele bardziej skomplikowane.

– Chciałaś mnie okraść.

– Nie do końca. Moja babcia zostawiła obraz na wypadek nagłej potrzeby. Takiej jak choroba mojej matki. W pewnym sensie otrzymałam go w spadku. Tyle że pech chciał, że zjawiłam się po niego trochę za późno. Byłeś już właścicielem Waldemar. Weszłam tam wtedy w nocy, uderzyłam się w głowę... I od tego czasu wszystko się zmieniło. – Odnalazła jego dłoń i ścisnęła mocno. – Dlatego, że cię poznałam. A bycie z tobą okazało się

cudownym, zupełnie nieznanym mi doświadczeniem. Nie ma tego złego, co by nie wyszło na dobre.

– A która to część twojej niezmierzonej wyobraźni każe ci przypuszczać, że coś wyszło nam na dobre?

– Co masz na myśli? Nie podobało ci się bycie moim mężem? – Nie musiał odpowiadać. Wiedziała przecież, że bardzo mu się podobało.

– Tak. Ale teraz będziemy mieli dziecko. – Przypomniała sobie nagle, jak panikował, gdy zapomniał o zabezpieczeniu. Jak opowiadał o swoim straszliwie trudnym dzieciństwie nieślubnego dziecka, o wszystkich drwinach ze strony ludzi pokroju Benjamina Bradleya.

– Wiem, że tego nie planowaliśmy, a ty masz te swoje staromodne poglądy na temat nieślubnych dzieci...

– Staromodne? Dziewczyno, ja bezpośrednio wszystkiego doświadczyłem. Jestem ekspertem w tej dziedzinie.

– Wiem, wiem – powiedziała pośpiesznie. Co ty robisz, on jest przecież taki wrażliwy, dodała w myślach do siebie. Też okaż nieco wrażliwości. – Przepraszam, to było trochę protekcyjne. Ale chodzi mi tylko o to, że dziecko niesie tyle radości. Pomyśl tylko, ile rzeczy układa się teraz pomyślnie w naszym życiu. Otwarcie hotelu było wielkim sukcesem, a moja matka jest w okresie remisji choroby...

Wyprostował się i popatrzył na nią surowo.

Meadow nie przestawała mówić.

– Rozumiem nawet, dlaczego dziecko pojawia się właśnie teraz. Jeśli mama zachoruje, dziecko będzie impulsem do życia.

– Co za niewiarygodnie głupi powód dla posiadania dziecka!

Jego słowa i ton były jak siarczasty policzek. Ale Meadow starała się nie poddawać.

– Masz rację, ale przecież tego nie planowaliśmy. Ale skoro już się to stało, czyż nie powinniśmy patrzeć na to przez jak najszerszy pryzmat?

Podniósł się i odszedł o łóżka.

– Z czego tu się cieszyć? Z przyniesienia na świat życia, które będzie miało ojca „z doskoku” i wiecznie niezadowoloną matkę?

Oczywiście, że problem był większej wagi. Same zapewnienia o miłości i prosta radość nie wystarczą.

– Nie jestem niezadowolona. A ty wcale nie musisz być ojcem, jak to nazwałeś „z doskoku”.

– Tak? A może mi wyjaśnisz, gdzie zamieszkamy, skoro mam być ojcem w pełnym wymiarze godzin, Natalio Meadow Szarvas. – Jego oczy błyszczały triumfalnie, gdy wypowiadał jej pełne imię i nazwisko.

Był w istocie zły. Na nią? Na siebie? Na ich dziecko? Cokolwiek było przyczyną złości, zupełnie nie podobała jej się ta nieznana dotychczas część osobowości Devlina. Kierowały nim furie i ciemne, złe wspomnienia.

A ona walczyła z uczuciem zdrady.

– Od kiedy znasz moje imię?

– Od momentu, kiedy przyjechała moja matka i przywiozła prezenty. Zdałem sobie sprawę, że byłeś ekspertem w tej dziedzinie. Dalej już wszystko było łatwe i proste. Szybko dowiedziałem się, kim jesteś i gdzie mieszkasz. A to ostatnie wydaje się tu najpoważniejszym problemem. – Nachylił się nad nią. – Mieszkamy w różnych częściach kraju. Chyba że chowasz w zanadrzu jakieś wspaniałe wyjście z tego galimatiasu, jedno z nas będzie musiało się przeprowadzić. Prowadzę przedsiębiorstwo, którego centrum biznesowe znajduje się tutaj właśnie. A ty masz matkę, która jest bardzo poważnie chora. Jak myślisz, które z nas postanowi się przeprowadzić?

– Wiesz, jak się nazywam. Wiesz to od tygodni. – Z jakiegoś powodu wydawało się jej, że było to gorsze niż kłamstwo. To było zupełnie tak, jakby się z niej wyśmiewał.

– Okłamałeś mnie!

– Nie rzucałbym oskarżeń na wiatr moja Meadow albo Natalio, bo nie wiem, które imię wolisz. – Przezywał ją jej własnymi imionami. – Obie strony mają sobie wiele do zarzucenia.

– Wiesz, co robię i wiesz o mojej rodzinie. – Jej oddech stał się nierówny i palił w piersi. Bo za tym wszystkim czaił się gorszy problem. Wiedziała o tym, ale bała się spojrzeć mu w oczy. Nie było jednak wyjścia.

– Znam twój wiek, wagę i iloraz inteligencji.

– Wiedziałaś o mojej matce? – to był prawdziwie palący problem. Wiedział o jej zmartwieniach, a pozwalał, by farsa trwała nadal.

Uniósł brodę i patrzył na nią surowo z góry.

– Wiedziałaś! Wiedziałaś, a nie zaoferowałaś mi pomocy! Wiedziałaś, że szukam obrazu, by zapłacić za leczenie i po prostu pozwoliłaś mi szukać dalej?

Devlin przeobrażał się na jej oczach. Nie był już wspaniałym młodzieńcem, który dokazywał z nią oblany światłem księżyca, który kusił ją przy obiedzie i który zjadał ją pożądliwym wzrokiem, gdy objadała się lodem. Stał się nagle okrutny, nieczuły i niewzruszony w swym pragnieniu zwycięstwa za wszelką cenę.

Oto stali na szachownicy a ona była jedynie pionkiem.

Obawiała się tego. Obawiała się, że tak właśnie się stanie. Miała tylko nadzieję, że potrafi go przeobrazić. Nauczyć go że na życie poza ciągłymi zmaganiem wypełnionymi porażkami i zwycięstwami, składały się również inne rzeczy. Zakochała się w nim, był ojcem jej dziecka, a zarazem

potworem.

Nagle poczuła, jak opada na poduszki. Czerwona mgła zasłoniła jej oczy, a równocześnie od strony żołądka popłynęła ku głowie fala nudności. Jego słowa dopływały do niej jakby zza ściany:

– Dowiedziałem się o twojej matce dopiero wczoraj. Chciałem zaoferować pomoc, ale nie było ku temu okazji. A zaraz później zdarzył się wypadek.

Odwróciła się, nie miała wcale ochoty słuchać jego usprawiedliwień. Ani tego, jak mówił o ich dziecku.

Być może został w dzieciństwie zraniony chłodem matki i obojętnością ojca. Być może rany były głębokie i uczyniły go emocjonalnym inwalidą. Być może... Być może Meadow dokonywała bardzo nieudanych wyborów mężczyzn.

– Posłuchaj tylko, rozwiązanie jest proste. – Odszedł od łóżka, ale niezbyt daleko. Słyszała go wyraźnie.

– Wymkniemy się jakoś i po cichu weźmiemy ślub. Nikt się nie dowie, że dziecko było poczęte bez ślubu.

– Bez ślubu? – Chciało jej się śmiać i płakać naraz. – Nie wierzę, że przejmujesz się głupio czymś zupełnie pozbawionym znaczenia.

– Nie uważałabyś, że to bez znaczenia, gdyby przyszło ci spędzić dzieciństwo, użerając się z rówieśnikami, którzy nazywaliby cię nieustannie bękartem. – Usłyszała jak odkręca wodę, wypowiadając ostatnie słowa. – Kiedy się pobierzemy, wybuduję ci pracownię, a dziecko będzie miało dom z dwojgiem rodziców. – Jego głos się przybliżył. Poczowała na czole wilgotny ręcznik a tuż przy uchu jego ciepły oddech.

– Spróbujemy wyjść obronną ręką z tej beznadziejnej sytuacji.

Zacisnęła zęby, czując, jak napływa nowa fala mdłości. Jej twarz

nabrzmiała czerwienią, pot wystąpił na czoło. Głośno zaczerpnęła powietrza.

– Nie wyjdę za ciebie za mąż.

– Nie bądź śmieszna.

– Moje małżeństwo nie będzie jakimś tam sobie wyjściem z beznadziejnej sytuacji.

– Być może źle to wyraziłem...

– Być może tak. A być może miałeś na myśli to, co właśnie powiedziałeś.

– Meadow... – Szukał palcami jej dłoni.

Szarpnęła ręką.

– Nie ma to znaczenia. Nigdy za ciebie nie wyjdę. Nie dlatego, że jesteś nieślubnym dzieckiem, ale dlatego, że plotka o tobie jest prawdziwa. Niewdzięczny z ciebie bękart i już!

Rozdział 34

Meadow wkroczyła do domu przed Devlinem.

– Nie zamierzam więcej na ten temat dyskutować.

– Wcale na ten temat nie rozmawialiśmy. – Wszedł za nią, trzaskając drzwiami. – Po prostu za każdym razem mówisz „nie”.

– I czego w moim „nie” nie rozumiesz?

– Nie zachowujesz się logicznie.

Ten brak logiki doprowadzał go do szewskiej pasji. Musiała zacząć myśleć logicznie. Jak inaczej uda mu się ją zatrzymać?

– Logika jest przewartościowana – odrzekła Meadow chłodno. – A na dodatek nieprzydatna w sprawach miłości. Wiem to od mojej babci, która była najdzielniejszą kobietą na świecie.

– Tyle że nie najmądrzejszą.

– Nie. Najmądrzejszą kobietą była moja matka.

– O co chodzi? – zapytała Grace, zatrzymując się na progu drzwi do biblioteki i przyglądając im się uważnie, najwyraźniej zaalarmowana tonem ich rozmowy.

– O nic nie chodzi, mamo.

– Odchodzę od twojego syna – powiedziała Meadow.

Cholera, nie chciał wcale, żeby całe domostwo angażowało się w ich osobistą sprzeczkę.

– Zostawiasz go? – Grace wyciągnęła ręce do Meadow.

– Dlaczego?

– Ponieważ jak wolno wybiegowy kurczak zaszłam sobie z nim w ciążę. – Mimo całej złości Meadow nie mogła nie uścisnąć wyciągniętych dłoni.

– Dziecko? Będziecie mieli dziecko? – Grace spojrzała na brzuch Meadow, jakby szukając potwierdzenia usłyszanych właśnie słów. – To znaczy, że będę...

– Babcia. – Z głębi biblioteki doleciał ich suchy chichot Bradleya Benjamina. – Słyszałeś Osgood? Grace Fitzwilliam będzie babcią! Czy to nie wspaniała wiadomość?

– Więcej niż wspaniała. – Zarechotał Osgood.

Świetnie, tego właśnie potrzebowałem, pomyślał Devlin.

Obecności komitetu starych przyków.

Grace pociągnęła za sobą dziewczynę w głąb biblioteki.

– Zostaw ją Bradleyu. Jeśli chcesz na kogoś wylewać swoją gorycz, wylej ją na mnie. Ja przynajmniej nie jestem w stanie błogosławionym.

Devlin niechętnie ruszył za nimi na spotkanie dwóch starców. Bradley siedział rozparty w alkwie na skórzanym fotelu i otoczony kłębem dymu z cygara spoczywającego w popielniczce. Osgood zajmował miejsce po jego prawej stronie. Siedział na prostym krześle, ramiona zgarbione, dłonie zaplecione i złożone na kolanach, oczy szeroko otwarte za grubymi szklami okularów.

Osgood nie miał znaczenia. Stąpił się z otoczeniem. Zawsze tak było i nic się w tej kwestii nie zmieni.

Ale Bradley zachowywał się niczym pan na włościach. A do tego dyszał wrogością, która cegła po cegle rujnowała ścianę jego pozornej obojętności.

– Nie przejmuj się nim, Grace. – Dziewczyna machnęła lekceważąco w stronę Bradleya. – I tak muszę już iść, żeby się spakować.

– Nigdzie nie musisz iść – powiedział Devlin.

– Proszę, nie idź – szepnęła Grace.

– Nie rozumiesz, Grace – zaczęła Meadow.

– Może jej wytłumacz – przerwał Devlin podniesionym głosem. – Wytłumacz jej i to dobrze, bo może wtedy i ja w końcu zrozumieć, dlaczego uparłaś się, żeby mnie zostawić.

Meadow tupnęła nogą.

– Bo nie zamierzam wychowywać dziecka z mężczyzną, który nie widzi różnicy pomiędzy dobrem i złem. Z takim, dla którego liczą się jedynie zwycięstwa i porażki.

– Nie możesz go zostawiać. – Grace ujęła Meadow za ramiona i potrząsnęła nimi. – Warto go uratować.

– Nikt nie musi mnie ratować. – Devlin nie mógł uwierzyć, że jego matce przyszło coś tak nonsensownego do głowy.

– Nie zajmuję się ratowaniem zbłąkanych dusz – powiedziała Meadow obojętnie.

– Posłuchaj, wiem, że ma problemy z bezpośrednim wyrażaniem swoich uczuć, z intymnością... Ale to wszystko moja wina. Jestem jego matką, a kiedy dorastał, przejmowałam się za bardzo karierą i nie miałam czasu pokazać mu, na czym polega... Miłość. – Grace pocierała z zakłopotaniem czoło.

– Zresztą sama nie byłam w tym najlepsza.

– Nasze relacje nie mają z tym nic wspólnego, mamo – powiedział Devlin.

Kobiety popatrzyły na niego równocześnie, później na siebie i zbyły jego słowa niemal identycznym wzruszeniem ramion.

– Jest dorosły a każdy w pewnym momencie musi nauczyć się odpowiedzialności za własne postępowanie. Devlin już dawno powinien był to zrozumieć, więc możesz spokojnie przestać się obwiniać za fakt, że twój

syn jest strasznym, obojętnym gburem.

Odpowiedzią na jej słowa był rechot Bradleya Benjamina, który wstawał właśnie z fotela.

– O jakże się cieszę, że zostałem, żeby rzucić okiem na mój stary dom. Nie darowałbym sobie tego spektaklu za nic w świecie!

– O tak! – Meadow odwróciła się gwałtownie w jego stronę. – Rozglądaj się, rozglądaj po tym muzeum. Sam jesteś tu eksponatem numer jeden. Samotny, żaloszny starzec, w którego kiedyś zmieni się Devlin.

Uśmiech Bradleya rozwiął się momentalnie. Mężczyzna przybrał sztywną i urażoną postawę.

– Nie jestem samotny.

– Tylko żaloszny. Cieszysz się z naszych problemów, bo później będziesz mógł je wspominać, gdy udasz się do swojego domu, i będziesz sam jadł kolację i palił swoje śmierdzące cygara. Nikt nie będzie się na to uskarżał, aż któregoś dnia umrzesz, a zauważą to, dopiero po tym, jak trzeci raz z rzędu nie zjawisz się na lunchu. Oczywiście na twoim pogrzebie będzie wiele osób, tylko powiedz mi, która z nich zapłacze, he? – Głos Meadow drżał od emocji. – Kto będzie cię u diabła żałował?

– Meadow – Devlin dotknął jej ramienia. Wiedziała, że później będzie wstydziała się rzeczy, które powiedziała.

Ale jeszcze nie teraz.

Odsunęła się od niego.

– No dobrze, być może ktoś zauważy szybciej niż po trzech dniach, że cię nie ma, bo taki na przykład siedzący tu pan H. Edwin Osgood dodaje sobie powagi, ciągnąc się za tobą niczym ogon.

– Doprawdy! – Osgood wydał wargi zaskoczony tym atakiem.

– A teraz zadzwonię do mamy. – Meadow wyciągnęła z kieszeni

telefon i powiem jej, że wracam dziś do domu. Mama kocha mnie naprawdę – wyłkała przez łzy. – Kocha mnie tylko dlatego, że jestem sobą – powiedziała i zamknęła za sobą drzwi.

Na bibliotekę opadła zasłona niezręcznej ciszy.

Devlin mrugając, przyglądał się pozostałym osobom w pokoju.

Tamci pytająco patrzyli na niego.

Co gorsze, Devlin wiedział, że Meadow ma rację.

Był jak jego matka, sztywny, nieczuły i nieznający miłości. Rzeczywiście widział wszystko w kategoriach zwycięstwa i porażki a takie podejście nie działało w wypadku Meadow. Nie miało przecież znaczenia, czy mógł dominować w tym związku, jeśli miałby utracić Meadow, utraciłby tym samym wszystko.

Wybiegł za nią z pokoju.

– Zamierzasz płaszczyć się przed tą dziewczyną? – Głos Bradleya był wyrazem jego straszliwie urażonej męskiej dumy.

Devlin odwrócił się i spojrzał na niego. Na eksponat numer jeden.

Meadow znów miała rację. Jeśli nie przestanie się troszczyć o dziedzictwo swojego ojca i żałośnie wspominać swojego dzieciństwa, jeśli nie przestanie obawiać się, że **KTOŚ** weźmie nad nim górę, to stanie się właśnie Bradleyem Benjaminem, człowiekiem pozbawionym prawdziwych przyjaciół, rodziny i... Miłości.

I klął się teraz na Boga, że nie miał ochoty powielać pomyłek starego Benjamina.

– Czy będę się przed nią płaszczył? Pytanie. Będę leżał przed nią krzyżem, jeśli tego zapragnie – odpowiedział, odwracając się na pięcie.

– Oto prawdziwa miłość triumfuje – powiedział wolno, na swą sepleniącą modłę Osgood.

– Zamknij się, Hop! – mruknął Bradley.

Devlin zatrzymał się gwałtownie i odwrócił w stronę mężczyzn.

– Hop?

– Hop to jego stare przezwisko. Od Hopkins. Hopkins Edwin Osgood.

– W głosie Bradleya było zniecierpliwienie, jakby mówił o zupełnej oczywistości.

Być może Devlin o tym niegdyś wiedział, tylko nie potrafił wcześniej połączyć faktów. Dopiero opowieść Czwartego, którą usłyszał ostatniej nocy, naprowadziła go na trop.

Rzecz jasna mógł być to przypadek, ale Devlin nie wierzył za bardzo w tego rodzaju przypadki. Bacznie przyjrzał się Osgoodowi. Grube okulary, przyciemnione włosy, nieodłączna muszka. Czy to możliwe? Czy to mogło być przebranie?

Osgood podniósł się powoli z krzesła. Devlin widział jak głupkowaty, uganiający się za panienkami staruszek przeistacza się w żwawego jegomościa o bystrym spojrzeniu. To spojrzenie było w nim teraz bacznie utkwione.

Obaj wyprostowali się i mierzyli się przez moment wzrokiem, jakby przygotowywali się do pojedynku.

– Nigdy nie brak ci pieniędzy. – Devlin mówił powoli, Jakby porządkował takty w swojej głowie. Zawsze wiesz, co się dzieje w okolicy. I mieszkasz sam w swojej rezydencji... A może również zajmujesz *się* kolekcjonowaniem sztuki?

Grace przysunęła się do Bradleya.

– Czy wiesz, o czym on mówi?

Bradley wodził oczyma od jednego do drugiego.

– Nie mam pojęcia. O co go podejrzewasz, Devlinie?

Nikt nie zareagował na jego pytanie.

Osgood uniósł głowę.

– Moje spektrum zainteresowań jest bardzo szerokie. – Po sepleniącej manierze nie pozostał nawet ślad. Osgood zaczął właściwie mówić zupełnie inaczej, niż miał to w zwyczaju. Devlin nie poznawał jego głosu.

– O tak, zupełnie w to wierzę.

Ten stary przyk przeszukiwał hotel w poszukiwaniu obrazu Isabelli. Podnóżek Bradleya groził śmiercią jego jedyjnemu synowi, Czwartemu. On właśnie, budzący litość staruszek, zlecił zamach na Meadow! Devlin podszedł błyskawicznie do Osgooda, chwycił za marynarkę i uniósł go do góry.

– Powinienem cię właściwie zabić.

– Devlin, przecież to starszy człowiek! – Grace machała przerażona rękoma. – Jest jednym z nas!

– Nie mamo, chyba że uważasz się też za morderczynię. A nasz drogi przyjaciel Osgood wcale nie jest takim ułomkiem, na jakiego chce wyglądać. – Devlin zdjął okulary z twarzy Osgooda i spojrzał przez nie. – Tak jak mówiłem, to prawie zerówki. – Odrzucił je na bok. – Co jeszcze masz do ukrycia?

– Nic wielkiego. – Osgood patrzył bez strachu, ba, nawet z cieniem pogardy w oczy Devlina. – Zamierzasz złamać mi kark? Bo trochę mi niewygodnie tak balansować na czubkach palców.

Devlin odepchnął go od siebie.

Nie, nie zabiję cię – podszedł do alarmu bezpieczeństwa i nacisnął przycisk.

Osgood masował szyję, przykładając co chwila rękę do ust i odkasłując.

– Tchórz – powiedział w końcu z uśmiechem.

Dwaj pracownicy ochrony pojawili się w drzwiach.

– Proszę zabrać pana Hopkinsa do jakiegoś bezpiecznego, dobrze strzeżonego miejsca – powiedział, ale naraz przyszły mu do głowy wątpliwości, jakie wyrażał Gabriel na temat swoich pracowników. Postanowił nie lekceważyć przeciwnika. Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer Gabriela. W kilku krótkich zdaniach przedstawił mu sytuację i rozłączył się.

– Gabe zadzwoni na policję i do FBI.

– Myślisz, że to wystarczające siły, żeby zatrzymać jednego staruszka? – powiedział sarkastycznie Osgood, ale na jego czoło wystąpiły kropelki potu.

To dobrze, pomyślał Devlin. Stary przyk zaczyna się martwić.

– Osgood, co u diabła się z tobą dzieje? – zapytał Bradley.

– Zachowujesz się bardzo dziwnie.

Osgood utkwiał spojrzenie w Benjaminie Trzecim.

– Naprawdę?

– Mówisz w dziwny sposób. – Bradley podszedł w stronę kolegi. – Kim ty właściwie jesteś, co?

– Czym jesteś? Byłoby lepszym pytaniem. – Devlin spojrział na otwarte drzwi. Cały czas miał ochotę udać się za Meadow. Chciał się przed nią płaszczyć, wyjaśniać i przeproszać. Chciał jej powiedzieć, że ich związek nie będzie związkiem Bradleya i Isabelli. Że do końca będą sobą i tylko sobą.

Ale nie chciał zostawiać Osgooda w rękach kogoś, komu do końca nie ufał.

– Panie Osgood, czy dobrze się pan czuje? – zapytała Grace.

Osgood poluzował muszkę wokół szyi.

– Raczej... Nie. – Pot krył już całą twarz, a kiedy zdjął marynarkę, ujrzeli plamy w okolicach pach.

Grace ruszyła w jego stronę.

– Nie! – Devlin chwycił ją za ramię. – Nie podchodź. Jest niebezpieczny.

– Czy mogę dostać krzesło? – zapytał Osgood.

Jeden ze strażników ruszył w jego stronę, ale zanim wykonał trzy kroki, Osgood osunął się na kolana, przyciskając ręce do piersi.

– Atak serca – krzyknął Benjamin, masując własną pierś.

– Nie wierzę – rzekł Devlin. – Musi udawać.

– Na Boga, Devlin. Spójrz na niego tylko – powiedziała

Grace. – Twarz Osgooda siniała z każdą chwilą. Otwartymi szeroko ustami starał się łapać powietrze.

No dobrze, być może nie udawał. Tyle że było to dla starca nadzwyczaj podejrzenie na rękę.

– Mamo, pomóż panu Benjaminowi. Nie chcę, żeby też zemdłał.

Grace ujęła Bradleya za ramię i pociągnęła w stronę fotela. Stała przy nim i klepała go po dłoni, aż odpowiedział uściskiem.

– Zadzwoń o ambulans – powiedział jeden ze strażników.

Drugi strażnik zdjął marynarkę.

– Jestem certyfikowanym ratownikiem medycznym.

Do pokoju wszedł Gabriel, rozejrzał się badawczo i zwrócił w stronę Devlina.

– Co dokładnie się wydarzyło?

– Myślę, że coś wziął. Unosił rękę do ust. – Devlin przyglądał się spazmom Osgooda.

Gabriel pokiwał wolno głową.

– Wysokie prawdopodobieństwo.

Czyn Osgooda robił wrażenie. Najwyraźniej starzec wolał popełnić samobójstwo, niż dać się aresztować.

– Ambulans w drodze – rzucił strażnik. – Wszyscy zostają na pozycjach, do momentu, kiedy ambulans zabierze pana Osgooda.

– Jesteś świadkiem rutynowej procedury bezpieczeństwa – powiedział Gabriel. – Na wypadek, gdyby ktoś miał zamiar go odbić.

– Dobrze. – Devlin słyszał już zbliżające się wycie syren karetki.

Ratownicy medyczni wpadli do pokoju i od razu zajęli się Osgoodem. Kiedy jego stan był stabilny, położono go na noszach.

Devlin i Gabriel powoli szli za nimi.

W drzwiach hotelu pojawił się nagle Sam.

– Pojadę z nim – powiedział sucho.

Devlin uniósł brwi. Interesujące. Co jeszcze miało go zaskoczyć tego dnia?

– Dlaczego mój sekretarz wybiera się na przejażdżkę z tak niebezpiecznym człowiekiem?

– Jestem agentem federalnym. Sam Mallery. Moim celem było złapanie Hopkinsa. Sam wyszedł na werandę, nie spuszczając noszy z oczu.

Po ogrodzie kręciło się wielu strażników w pełnej gotowości. Gabriel podbiegł do jednego z dowodzących.

Devlin nie chciał wypuścić Sama po tak pobieżnym wyjaśnieniu.

– Agent federalny? A co funkcjonariusz FBI robi jako mój osobisty sekretarz?

Sam wyciągnął z kabury na piersi mały pistolet i rozejrzał się wokół.

– Wiedzieliśmy o panu Hopkinsie od lat. Ma niebywały wpływ na

życie przestępcze w całej Atlancie i Georgii. Nie potrafiliśmy tylko powiedzieć, kim naprawdę jest. Mieliśmy dużo informacji na temat jego głosu, nieco mniej na temat tego, jak wygląda. Nic konkretnego. Był duchem. Bardzo sprawnym i niezwykle złośliwym duchem. Wiedzieliśmy jedynie, że przeniósł swoją działalność bardziej na północ, gdzieś do Południowej Karoliny, a to już był punkt zaczepienia. – Sam nie patrzył na Devlina, wypowiadając te słowa. Cały czas bacznie lustrował teren. Przyglądał się ratownikom medycznym, strażnikom i przede wszystkim Hopkinsowi.

– Słyszałem, że zajmuje się kolekcjonowaniem sztuki. Jeden z tych „prywatnych kolekcjonerów”, o których słyszy się, kiedy z którejś galerii znika Picasso. Później usłyszałem też plotki o zagubionym arcydziele ukrytym gdzieś na terenie posiadłości Waldemar i postanowiłem znaleźć tu zatrudnienie, zwłaszcza że nadarzyła się okazja.

– Niezły z ciebie sekretarz jak na agenta federalnego.

– Devlin wiedział już, że może sobie odpuścić sprawdzanie Sama Mallery’ego.

– Dziękuję. Zarabiałem w ten sposób na edukację.

Fascynujące.

– Podejrzewałeś Osgooda?

– Podejrzewam wszystkich.

– Poza mną oczywiście. – Zaśmiał się Devlin.

Technicy wnosili nosze do ambulansu.

Sam skinął poważnie głową.

– Tak, ale tylko dlatego, że wiedziałem, co robisz z wolnym czasem.

Sam stanął przy karetkie i czekał, aż personel medyczny skończy montowanie noszy na miejscu.

– Wiedziałem też, że pani Fitzwilliam, a raczej Natalie Szarvas była zbyt młoda, by być panią Hopkins. Zdałem sobie jednak sprawę, że też szuka obrazu, a to stawiało ją w poważnym niebezpieczeństwie. To dlatego kazałem zamknąć ją w składzie na pościel jednej z moich agentek. Miałem nawet taśmę na poparcie moich oskarżeń. – Sam wykrzywił się, jakby powiedział za dużo. – Chciałem, żebyś ją wyrzucił. Ale nigdy nawet nie chciałeś zerknąć na tę taśmę. Było już za późno, bym pomiędzy was wchodził. Byłeś przecież strasznie zakochany.

Devlin drgnął, jakby ktoś ukłuł go szpilką.

– Nie zakochany... to znaczy... nie wtedy.

Sam wskoczył do ambulansu i zajął miejsce przy leżącym Osgoodzie.

– Byłeś zakochany, od kiedy pierwszy raz spojrzales jej w oczy, Devlinie.

Rozdział 35

Ambulans podskoczył na nierówności drogi. Osgood czuł się straszliwie, ale przynajmniej zażyty środek przestawał działać. Dobrze. Bardzo dobrze. Gapił się przez moment na sufit, jego oczy szeroko otwarte, obraz nieostry. Agent FBI siedział tuż przy nim, trzymając w dłoni pistolet, twarz bez wyrazu.

Spryciarz.

Osgood czekał.

Czekał.

Ambulans zwolnił gwałtownie, zjechał na bok drogi i za – trzymał się.

Zanim Sam zdążył wstać, otworzyły się tylne drzwi i ujrzał za sobą mężczyzn celujących do niego z uzi.

Plan awaryjny działał bez zarzutu. Kontakty z miejscową policją również ułatwiały wyjście z opresji, myślał Osgood, uwalniając się z pasów. Uniósł się na łokciach.

Sam zerknął do kabiny kierowcy. Jeden z ratowników medycznych mierzył z pistoletu do swojego kolegi. Niemal równocześnie ujrzał ruch i zobaczył, siedzący obok niego ratownik wyciąga pistolet i przykłada mu go do boku, drugą ręką podając Osgoodowi wodę i tabletkę antidotum.

Sam usiadł powoli, odkładając pistolet i unosząc ręce.

– Bardzo mądrze, panie Mallery. – Osgood popijał pigułkę. Opierając się na ramieniu ratownika, wysiadł z ambulansu.

Otrzeptał rękawy marynarki, skinął głową agentowi, po czym zajął miejsce w czekającej na niego czarnej limuzynie. Zanim jeden z jego ludzi zamknął za nim drzwi, usłyszał jeszcze odgłos strzału z broni palnej.

Miał nadzieję, że to jeden z jego ludzi zabijający kierowcę albo Sama.

Ale po prawdzie nie miało to dla niego specjalnego znaczenia.

* * *

Pierwszą osobą, którą ujrzał po wejściu do domu, była Meadow.

Jej łzy zdążyły wyschnąć. W dłoni trzymała telefon, jakby był to przynajmniej granat. Była blada, ale równocześnie perfekcyjnie opanowana. Rzuciła mu niechętnie spojrzenie, jakże wymowne tym razem, i weszła do biblioteki.

Devlin postępował za nią.

Grace przystanęła, by spojrzeć przez okno.

Bradley Benjamin wciąż siedział na krześle, gapiąc się przed siebie. Czuł się jak ostatni głupek. Został przecież wystrychnięty na dudka przez kogoś, kogo od lat uważał za przyjaciela.

Meadow chwiała się trochę, ale nie spuszczała czujnego wzroku z Bradleya.

– Rozmawiałam z ojcem. Moja matka jest znowu na oddziale onkologicznym szpitala w Seattle.

Devlin objął ją ramieniem i mocno przycisnął.

Nie zwróciła na to uwagi. Wydawała się nie dostrzegać nikogo poza Bradleyem.

– Potrzebuje przeszczepu szpiku kostnego. Ja już przechodziłam testy. Niestety nie mogę być dawcą, ale być może ty mógłbyś.

Bradley Benjamin wstał i rozejrzał się wokół.

– Ja? A dlaczego ja?

– Ponieważ jesteś jej ojcem – powiedziała zupełnie spokojnie, niemal obojętnie.

– Nie jestem jej ojcem. – Jego oczy rozblęły. – Na wypadek, gdybyś nie znała tej historii, chętnie ci ją przypomnę...

– Znam prawdziwą historię. – Meadow przycisnęła ręce do piersi. – Znam prawdę, babcia mi wszystko powiedziała, kiedy miałam osiem lat.

– Zupełnie w stylu Isabelli. Zabawiać ośmiolatkę historiami swoich romansów, jakby były powodem do dumy.

– Nie opowiadała mi o romansach. Opowiadała mi o tobie – rzekła poważnie Meadow. – Powiedziała mi, że prawdziwie cię kochała, ale że mimo to uczyniłaś jej życie żalnym przez wszystkie te swoje zasady i konwencje.

– Nie potrafiła się właściwie zachować – powiedział Bradley, jakby była to zbrodnia.

– Była sobą. A kiedy urodziła moją matkę, twój dyktat stał się jeszcze gorszy. Musiała porzucić sztukę, by zostać przykładną żoną, tak tego wymagałaś. – Pogarda Meadow była tak żywa, jak pogarda Bradleya. A kiedy oskarżyłaś ją o niewierność, nie mogła zrozumieć, jak coś takiego mogło ci przyjść do głowy.

– Miała tysiące romansów – odpowiedział zimno Bradley, ledwo otwierając wargi.

– Po tym, jak się z nią rozwiodłaś. – Meadow zaczerpnęła powietrza i z całym przekonaniem kontynuowała. – Była ci absolutnie wierna. Jesteś moim dziadkiem. Moim biologicznym dziadkiem a moja matka jest twoją córką.

– O rany – westchnął Devlin. Wcześniej nawet nie potrafił sobie wyobrazić sceny, która teraz rozgrywała się na jego oczach.

W Meadow przejawiały się oto cechy jej babci i dziadka oraz matki i ojca. A wszystko tworzyło wybuchową esencję jej samej.

Bradley trząsał się jak liść na wietrze.

– Nakłamała mi, że miała romans z tym artystą.

– Nie, nie miała. – Meadow podeszła do szezlongu, sięgnęła i spod jednej z poduszek wydobyła klucz niemal identyczny, jak ten, który otwierał furtkę tajemniczego ogrodu. Uniosła go i wyciągnęła w stronę Bradleya na wyciągniętej dłoni.

– Dla niej przeznaczyłeś tę część ogrodu. Kochałeś ją. Mieliście razem dziecko. Myślała, że jej ufasz. A wtedy oskarżyłeś ją o romans z Bjornem Kellym. Zgodziła się, ponieważ nie chciała mieć nic wspólnego z kimś, komu takie rzeczy przychodzą do głowy. Bardzo zmartwiła się, że tak nisko ją cenisz.

Bradley stał wyprostowany, nerwowo prostując i zginając palce sztywnych dłoni.

Devlin widział, jak przez umysł starca galopują myśli, jak niedowierzanie spiera się z wahaniem. Jak błyszczy ta jedna, nieprawdopodobna możliwość... Devlin już chciał się założyć, że starzec nie uwierzy Meadow. Że postanowi nagle ją zbyć jakimś ostrym słowem, do reszty przesądając o ruinie swojej żalosnej egzystencji.

Chyba Meadow pomyślała o tym samym, bo nagle zacisnęła rękę na kluczu w pięść.

– Poddaj się tylko testowi DNA, a zaraz przekonasz się, że mówię prawdę. A wtedy pojedziesz do Seattle, żeby oddać szpik kostny i uratować życie córki.

Bradley nie rzekł ani słowa.

– Nie musisz, oczywiście nie musisz tego robić. Ale mówimy o życiu mojej matki, więc wysłuchaj mnie do końca. Jeśli się nie zgodzisz, wyciągnę na światło dzienne skandal o wyrzuceniu mojej babci z małą córeczką na bruk. Pozwę cię do sądu i odbiorę resztki starej fortuny. W ruinę obrócę resztki życia. – Głos Meadow był chłodny i bezwzględny. Meadow mówiła

jak... Bradley.

– O, mój Boże – wyszeptała Grace, wodząc oczyma od Bradleya do Meadow. – O, mój słodki Boże.

– Alternatywą jest prosta operacja przeszczepu – powiedziała Meadow. – Tym samym uratujesz ludzkie życie. Życie swojej córki!

W końcu Bradley zareagował. Zatoczył się i opadł na krzesło.

– Ma atak serca – pisnęła Grace.

Dwa ataki na jeden wieczór to odrobinę za dużo, pomyślał Devlin, ruszając w stronę Benjamina.

Meadow ruszyła za nim.

– Nie może teraz umrzeć. O, Boże, tylko nie to!

Ale starzec ukrył tylko twarz w dłoniach i gorąco zaszlochał.

Devlin zatrzymał się i postąpił krok do tyłu.

Starzec płakał jak dziecko.

Meadow zatrzymała się. Wsadziła klucz do tylnej kieszeni spodni i uklękła przy fotelu, łapiąc Bradleya za dłoń.

– Jak się czujesz? – zapytała cicho.

Zaczerpnął kilka razy głęboko powietrza i uniósł głowę. Jego pomarszczona policzki były mokre. Przyglądał się łzom na starczych dłoniach, jakby nigdy ich wcześniej nie widział.

W końcu przeniósł wzrok na Meadow i jego oczy znowu zwilgotniały.

– Moja wnuczka? – Dotknął jej policzka. – Jesteś moją wnuczką?

– Tak.

– A więc mnie nie zdradziła. Ale kiedy powiedziała, że z nim spała, chciałem... chciałem zabić ich oboje.

Meadow złapała go za rękę i ścisnęła.

– Wiem.

- Ponieważ ją kochałem. Tak bardzo ją kochałem.
- Wiedziała o tym. Wiedziała, że ją kochałeś.
- Naprawdę? Naprawdę wiedziała? Bo bałem się, że odchodziła z tego świata, myśląc, że nigdy jej nie kochałem.

Meadow pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Muszę iść, muszę szybko kupić bilet lotniczy. – Bradley poklepał się po kieszeniach marynarki. – Dobrze, mam swój portfel – dorzucił i ruszył w stronę wyjścia. Nagle zatrzymał się, odwrócił, niemal podbiegł do Meadow i wycisnął jej na czole czuły pocałunek.

– Dziękuję, bardzo ci dziękuję.

Devlin wymienił z matką porozumiewawcze spojrzenie.

– Zaprowadzę cię do telefonu – powiedziała Grace, ujmując Bradleya pod ramię i wyprowadzając go z pokoju.

Kiedy tylko zamknęli drzwi, odezwał się Devlin.

– Meadow, musimy porozmawiać.

Jeśli nawet Meadow czuła współczucie dla Bradleya Benjamina, z pewnością nie miała go dla Devlina. Ruszyła w stronę drzwi:

– Wszystko już sobie powiedzieliśmy.

– Nie, wcale nie. Proszę cię Meadow, nie chcę, żebyś odeszła.

Nie zwolniła.

Ruszył za nią.

– Chcę, żebyś została, żebyś mnie poślubiła.

Zmierzała już w stronę klatki schodowej.

– Jesteś jak ona a ja jak on, ale nie jesteśmy twoimi dziadkami.

Weszła na pierwsze stopnie.

Chwycił barierkę i spojrzał w górę.

– Meadow, kocham cię.

Odwróciła się do niego, jej policzki czerwone, błękitne oczy wąskie i wściekłe.

– Powiedziałbyś wszystko, by wygrać, nieprawdaż?

Zastygł na moment z szeroko otwartymi ustami. Nie spodziewał się takiej reakcji.

– Myślisz, że kłamię? Nigdy nie powiedziałem tego innej kobiecie!

– Powiesz wszystko, byle twoje było na wierzchu.

– Nie mówię tego, by zwyciężyć, bądź przegrać. Mówię to, bo to najczystsza prawda. Kocham cię! – Jak należało to powiedzieć, żeby w końcu mu uwierzyła?

W przypadku Meadow działało tylko jedno.

Wbiegł po schodach i przytulił ją mocno. Próbował ją pocałować.

Stała sztywno, nie ruszała się, nie odpowiedziała na jego uścisk. Odsunęła usta.

– Słuchaj – powiedziała poirytowanym głosem. – Wczoraj byłam w siódmym niebie na myśl o zostaniu twoją żoną. Później zostałam ogłuszona, w szpitalu dowiedziałam się, że jestem w ciąży, moja matka jest ciężko chora, a przed chwilą wygarnęłam wszystko mojemu dziadkowi. Czy możemy zostawić na razie ten temat?

– Nie, nie możemy. – Ulatywała w nieznane, chociaż trzymał ją mocno. – Nie chcę, żebyś mnie zostawiła.

Spojrzała na niego poważnie i bardzo powoli i wyraźnie powiedziała.

– Nie poślubię cię.

Rozdział 36

Devlin wypuścił ją z objęć.

– Zanim odejdiesz, nie chcesz dowiedzieć się, jak cię rozpoznałem?

Meadow rzeczywiście bardzo chciała wyjść. Ale nie mogła. Proste słowa zbyt mocno rozpały ciekawość.

– Wiedziałeś, kim jestem?

– Od momentu, gdy pierwszy raz spojrzałem w twoje oczy. Jej serce podskoczyło gwałtownie. Oczy. Rozpoznał jej oczy. Ale jak?

– Powiedz mi.

– Muszę ci pokazać – rzekł. Ruszył w jej stronę. Odsunęła się o krok. Nie chciała, by jej dotykał. Mogła mówić, że go nie pragnie, ale był to jedynie głos rozsądku. Jej ciało mogło mieć inne zdanie.

Nie patrzył na nią, ale mogła przysiąc, że zobaczył jej unik. Devlinowi nigdy nie umykał żaden szczegół. Przeoczenie detalu mogło przyczynić się do porażki, a Devlin zawsze wygrywał. Zawsze i za wszelką cenę.

Ale teraz tylko ją minął i ruszył korytarzem, nie oglądając się nawet za siebie, żeby sprawdzić, czy za nim podąża. Przez chwilę nie ruszyła się z miejsca. Wietrzyła jakiś podstęp.

– Wskazówki znalazłem na strychu – krzyknął.

To sprawiło, że ruszyła, choć postanowiła utrzymywać bezpieczny dystans.

– Jakim strychu?

– A myślałaś, że w tak olbrzymim domu nie znajdzie się miejsce na strych? – zapytał, naciskając przycisk windy. Drzwi otworzyły się natychmiast. Meadow zastygła w bezruchu.

– Wolałabyś schody? – zapytał i należało przyznać, że w pytaniu nie

było kpiny.

Rzeczywiście, przemknęło jej to przez myśl. Nie znaleźć się z nim w małej, ciasnej przestrzeni. Obawiała się ciszy, kiedy staliby ramię w ramię, zupełnie, jakby byli sobie obcy. Albo jeszcze gorzej, obawiała się, że zacznie prowadzić z nią trywialną rozmowę, zamiast namiętnie ją pocałować, jak to zawsze czynił w windzie.

– Nie. Winda będzie w porządku – powiedziała szybko.

W porządku. Neutralne stwierdzenie wyrażające jej obojętność. Obojętność fałszywą, ale Devlin zrozumiał. Nie podobało mu się to, ale starał się nie dać nic po sobie poznać. Zacisnął tylko kilka razy pięści, ale utrzymał miłą i łagodną barwę głosu.

– Kiedy dom był nowy, służący mieszkali na poddasza, a strych używany był jako magazyn. Właściwie to wciąż pełni tę funkcję.

Okna poddasza już dawno przykuły jej uwagę.

– Podobno nie ma do niego dostępu... – powiedziała ostrożnie.

Spojrzał na nią.

– Sprawdziłaś to?

– Oczywiście. Pytałam nawet służące. To one mi powiedziały, że na strych nie ma wejścia, a nie sądziłam, że ktoś będzie mógł wiedzieć to lepiej, niż one.

– W tym wypadku nie wiedziały.

Drzwi windy otworzyły się na trzecim piętrze, a on poprowadził ją ku białej ścianie poprzecinanej drewnianymi panelami. Pochylił się i przesunął zasuwkę znajdującą się tuż przy podłodze. Następnie wyprostował się i naparł obiema rękoma na ścianę. Przez chwilę nic się nie działo aż w końcu długa na półtora metra część ściany ustąpiła i przesunęła się powoli na ukrytych głębiej szynach, ukazując oczom Meadow ciemne, wąskie

przejście i prowadzące na górę schodki. Devlin odnalazł włącznik światła i po chwili nad schodami rozbłysła żarówka.

– Zapraszam – powiedział, wykonując szarmancki gest ręką.

Schody wysłane były zakurzoną wykładziną i zakręcały dwukrotnie, prowadząc ku szerokiej, otwartej przestrzeni, prawdopodobnie strychu, o którym wcześniej mówił. Wszędzie unosił się zapach kurzu, starości i czegoś mniej określonego... Jakby skondensowanego smutku. Nie podobało jej się tutaj. Miejsce było przesiąknięte atmosferą nieszczęścia.

– Chcesz, żebym ja poszedł pierwszy?

Nie zwróciła uwagi na jego ironiczny ton. Zachowywał się, jakby wierzył, że jej wahanie wynika z jego obecności, a nie z otaczającej ich atmosfery czyjegoś nieszczęścia.

– Proszę.

– Uważaj, schody są bardzo wąskie, a sufit jest nisko zawieszony – rzekł, ruszając przodem z pochyloną głową.

Szła zaraz za nim, opierając się ręką o ścianę, bo schody nie miały poręczy. Jeden ze stopni skrzypnął niebezpiecznie.

– Niedługo przeprowadzę tu remont – powiedział Devlin.

– A tymczasem stąpaj ostrożnie.

Zrobiła, jak kazał i odetchnęła z ulgą, gdy w końcu stanęła na solidnej podłodze.

Tylko to uczucie smutku potęgowało się jeszcze bardziej, gdy patrzyła teraz w głąb ciemnego korytarza zakończonego ścianą z jednymi drzwiami.

– Pokoje służby – Devlin ruszył zdecydowanie w tamtą stronę.

– A w nich?

– Zardzewiałe ramy łóżek. Zakurzone szafy. Kufry pełne śmieci. Kiedy kupiłem posiadłość, wszystko zostało przejrane i oszacowane. Co

bardziej wartościowe rzeczy umyto, wyczyszczono i przeniesiono do głównej części hotelu. Większość jednak pozostała tutaj, jako bezwartościowa. – Weszli do głównego pomieszczenia strychu i Devlin przechadzał się teraz od okna do okna, otwierając je szeroko. – Kiedy hotel zacznie normalnie działać, pewnie wywalę większość z nich na śmieci.

Szła niespiesznie za nim. Sufit poddasza oddawał silne krzywizny dachu i opadał gwałtownie ku wysokim na metr ledwie ścianom. Przez wąskie mansardowe okna wlewało się do środka leniwe światło, rozświetlając nieprzemienne roje drobin wszędobylskiego kurzu. Sosnowa podłoga od lat nie była pastowana, ale mimo to zachowała się bardzo dobrze. Usiana była odłamkami stłuczonych naczyń, znoszonymi ubraniami i najprzeróżniejszymi gratami. Pod ścianą stała zdezelowana szafa balansując niepewnie na trzech nogach.

– Wygląda gorzej, niż to zapamiętałem.

– Co za marnotrawstwo – powiedziała Meadow, unosząc wazę na owoce, która zachowywała pozory całości. Pozory jednak, bo zaraz rozleciała się pod wpływem dotknięcia na dwie niemal identyczne części.

Wiosna w Południowej Karolinie niosła ciepłą zapowiedź lata. Otworzenie okien sprawiło, że poczuli się świeżej, ale na pewno nie było im zimno. Chciała wystawić głowę przez otwarte okno i poczuć na policzkach rześki powiew bryzy. Zamiast tego poluzowała jedynie odruchowo górny guzik koszulki.

– Jak więc zgadłeś? Co powiedziało ci, kim jestem?

– Uważaj, gdzie stąpasz – powiedział, zwinnie mijając wywróconą szafkę, wokół której leżało kilka książek i stara szachownica.

– Uważam, uważam – odpowiedziała, przypatrując się jego plecom. Od momentu, w którym dowiedział się, że jest w ciąży, zachowywał się,

jakby chciał ją owinać folią do pakowania. – Jestem tylko w ciąży. Wszystko pod kontrolą.

Ledwie wypowiedziała ostatnie słowa, zaraz rąbnęła kolaniem o kant szafki. Zakłęła cicho. Będzie siniak, nie ma co.

Przeciwległa ściana usiana była drobnymi plamkami we wszystkich kolorach tęczy. Wielkie sztalugi i kilka drewnianych ram stało opartych o ścianę.

Meadow poczuła, jak na zmianę ogarniają ją fale gorąca i zimna. Pięćdziesięcioletni kurz przykrył wszystko grubą warstwą, ale nagle zrozumiała promieniujące z tego miejsca uczucie smutku.

Była w pracowni babci. Tutaj właśnie Isabelle namalowała swój ostatni obraz. Tutaj podjęła decyzję o opuszczeniu Bradleya. Tutaj pękło jej serce.

A może wśród obrazów opartych o ścianę znajdował się ten eden. Ten którego szukała? Czy w końcu go odnalazła?

Devlin uklęknął na podłodze przy ścianie.

– Chodź i spójrz sama.

Uczucie, które ją ogarniało, było nie do zniesienia. Tak bardzo pragnęła tego obrazu, ale teraz, nawet gdyby okazało się, że to ten, i że Devlin pozwoli jej go sprzedać, by mogła zapłacić za leczenie matki, nic nie zmieniało ponurego obrazu rzeczywistości.

Jedyną nadzieją dla Sharon, był dawca szpiku kostnego. Jedyną nadzieją był dziadek Meadow.

A szanse, na to, że przeszczep się uda, nie były wielkie. Nigdy.

Wszelkie podjęte przez Meadow działania, wydawały się jej teraz bezcelowe. Nie zrealizowała żadnego z zamiarów, a serce krwawiło ze smutku.

Przycisnęła rękę do brzucha. Przynajmniej ma swoje dziecko.

Poza tym to nie mógł być ten sam obraz. Devlin nie rozpoznałby jej oczu na jego podstawie.

Rozluźniła się i czuła jak całe napięcie z niej ulatuje. Teraz nie miała właściwie już nic do stracenia. Być może ten smutek nie emanował ze strychu, ale z niej samej.

Czuła, że babcia podjęła właściwą decyzję. Nie mogła przecież skazać dziecka na dorastanie w domu bezwzględnego i zgorzkniałego Bradleya Benjamina. Ona sama też nie mogła ryzykować. Miała tylko nadzieję, że w dniu porodu nie zabraknie Sharon. Że będzie nuciła jej dziecku kołysanki, że uniesie nowo narodzone życie ku niebu i ofiaruje je słońcu, że odcisnie jego rączki w gipsie i zawiesi w pracowni Meadow.

Devlin przyglądał się uważnie jej twarzy i w końcu rzekł.

Szpik kostny będzie pasował. Bradley Benjamin musi zrobić choć jedną dobrą rzecz w życiu, a nie sądzę, żeby los chciał być aż tak okrutny. Przeszczep musi się udać.

Bezbłędna intuicja Devlina wprowadzała ją w zakłopotanie. Czuła się, jakby dopuściła go zbyt blisko, jakby bez trudu widział przez nią na wylot.

– Co to jest? – zapytała, klękając koło niego.

Odwrócił płótno, a Meadow spojrzała w wielkie, błękitne oczy, które całej przedstawionej na obrazie twarzy przydawały wyrazu smutku i melancholii. Patrzyła na opalone policzki, wyrazisty podbródek i włosy tak czarne, że wydawały się połyskiwać kruczym granatem. Technika wykonania nie była pierwszorzędna i Meadow, nigdy nie widziała modelki w tak młodym wieku, ale nie miała wątpliwości co do tego, kto przedstawiony jest na obrazie.

– Babcia – wyszeptała z uśmiechem. – Moja babcia.

Rozdział 37

Meadow przypatrywała się płótnu pod każdym możliwym kątem.

– Autoportret. Bardzo rozpoznawalny styl.

– Wiem. Spójrz, podpisała się. Isabelle Benjamin – we własnej osobie

– Devlin wskazywał palcem zawijasy w dolnej części obrazu.

– Jest taka... Uroczysta. – Meadow brakowało słów i z zapartym tchem dotykała po kolei policzków i oczu babci. Farba była miejscami wyblakła, sucha i groziła nadkruszeniem.

– Musiała namalować to zaraz przed opuszczeniem Bradleya.

– Tak przypuszczam.

– Wcale nie wyglądałam tak jak ona. – Meadow zmarszczyła czoło. Na opuszkach pozostały jej drobinki czerwonej farby.

– Twoje oczy wyglądają dokładnie tak samo.

– Naprawdę? – zapytała. Było jej miło, że przypominała kobietę, którą tak bardzo kochała. A oczy jej babci były przy tym takie piękne i ekspresywne.

– Nie możesz w to wątpić. Przecież od razu zgadłem, kim jesteś.

Nie chciała w to wątpić. Nie chciała się kłócić. Byli sam na sam, w odosobnionym miejscu. A choć nie znali się długo, uważała, że całkiem nieźle poznała ścieżki, którymi podążał umysł Devlina. Gdyby zaczęli dyskusję, próbowałby ją przekonać, że tak naprawdę chce zostać z nim w Tajemniczym Ogrodzie. A wiedziała, że tu czyha pewne niebezpieczeństwo, bo jej ciało okazywało się zdradliwe, i nie podążało w kłótniach za tym, co podpowiadał logiczny umysł.

Zignorowała więc uwagę i zadała następne pytanie.

– Gdzie znalazłeś obraz?

– Właśnie tu. – Wskazał na ścianę. – Kiedy odeszła Bradley musiał kazać go schować, by nikt nie spojrział na twarz kobiety, którą tak miłował.

– O tak. To dla niego typowe – mruknęła. – Niemądry, zgorzkniały starzec.

– A na co ja będę patrzył? Nic mi przecież nie zostawiasz.

– Naraz wydawał się stroskany i wyzywająco pewny siebie. Niełatwe osiągnięcie.

– Masz zdjęcia z naszego przyjęcia ślubnego. Masz ubrania, które mi kupiłeś. A jeszcze... Wiem, niech będzie. Zrobię ci ładną szklaną wazę. Wiesz, pamiątkową. – Zdała sobie nagle sprawę, że jego ramiona napierają na jej ramiona. Choć chciała odpowiedzieć wyniosłym spojrzeniem, jej ciało zareagowało inaczej i zdołała jedynie niezręcznie odsunąć się na bok, byle dalej od niego.

– Waza nie będzie niosła twego uśmiechu. Twojego porannego entuzjazmu. Tego, jak tańczysz w świetle księżyca, wolna i wspaniała. Czy waza będzie zawierała całą tę miłość, którą mnie obdarzyłaś, nie patrząc na to, jak niegodny jej byłem?

– Właśnie teraz myślę sobie, jaki z ciebie niegodny człowiek. – Wzrok utkwiała w szerokiej ramie obrazu zdobionej czarną emalią i połączanym, liściastym motywem. – Nie pozwolę, żebyś znów mnie uwiodł.

– Nigdy cię nie uwiodłem. Ani razu. To ty brałaś mnie wtedy, kiedy chciałaś. Zabierałaś mnie na cudowne wędrówki w świat zupełnego zapomnienia. Więc nie obawiaj się, nie zamierzam cię uwodzić. – Jego głos stał się głęboki i łagodny jak grube, przyciemniane szkło. – To ja chcę, żebyś mnie uwiodła.

To była prawda. Zawsze pozwalała, by radość, jaką czerpała z jego obecności, niosła ich ku pełnemu cielesnemu spełnieniu. Jakże głupie to i

naiwne. Jakże nieodpowiedzialne. Czuła jak ogarnia ją fala złości zmieszanej ze zrezygnowaniem.

Błąd.

Wyraz jego smagłej twarzy nie uległ zmianie. Była męska i skupiona jak zawsze. Tylko te oczy, szeroko otwarte i ciemne, zdawały się zanosić błagalne wołanie.

Ale Meadow nauczyła się wiele. Nie ufała tym oczom. Nie ufała Devlinowi. I fakt, że bardzo chciała zaufać, wkurzał ją tym bardziej.

– Czego chcesz? Znowu wygrać? Zanim odejdę z twojego życia na dobre, chcesz poczuć radość ostatniego zwycięstwa?

– Tak. Odchodzisz ode mnie, zabierając słoneczne promie – nie, uprowadzając mą duszę i serce. Wyjeżdżasz gdzieś daleko, a ja będę cię widział raz w miesiącu, podczas przekazywania sobie dziecka na jakimś lotnisku. Mam tylko nadzieję, że będzie do ciebie podobne. Oczywiście, że chcę, żebyś ze mną została. Chcę uczynić cię szczęśliwą i mam nadzieję, że ty też obdarzysz mnie szczęściem. I tak, myśl sobie co chcesz, ale uznałbym to za zwycięstwo. – Usiadł na ziemi po turecku i przypatrywał się jej twarzy.

Spryciarz. Spryciarz wyjątkowy. Przyjął nawet pokorną, ba, błagalną postawę, by uwierzyła, że w jego życiu jest miejsce na pokorę i błaganie.

Nie chciała męża, którego musiałaby chronić. Chciała takiego, który stanie u jej boku, trwały niczym skała i prawdziwe godzien zaufania. Chciała męża, który będzie ojcem jej dzieci, męża, który będzie wspierał jej sztukę i takiego, który będzie ją kochał.

Devlin mógł się nim okazać.

Mógł też okazać się kłamcą. Falszywym opakowaniem kłamliwego wnętrza.

Nie było wyjścia pośredniego.

A w głębi serca czuła, że kłamcą nie był.

– Co do dziecka... – zaczęła.

– Lubię dzieci. Nigdy się nimi specjalnie nie zajmowałem, ale bez znaczenia na to, co będzie między nami, obiecuję, że będę dobrym ojcem. – Ujął ją za rękę.

Typowe. Nigdy się nie poddawać.

– Ale dziecko nie jest argumentem w tej dyskusji. Zawsze będę cię kochał, a nawet zawsze mogę się z tobą kochać bez zabezpieczeń. Zwłaszcza że twoja obecność burzy wszelkie tamy moich zachowań, które tak pieczołowicie wznosiłem. Oto jestem. Podatny na rany, jak każdy człowiek, który stracił z miłości głowę. – Uderzył się szczerze w pierś.

– Możesz mi teraz odmówić i patrzeć, jak moje serce krwawi.

Nie mogła powstrzymać szerokiego uśmiechu. Nikt nie wyraziłby tego lepiej.

– Więc jeśli ci odmówię, wykrwawisz się i już nigdy nie będziesz na mnie nastawał? – patrzyła, jak podnosił się powoli na nogi, taktownie dając jej do zrozumienia, że nie podda się nigdy.

Zerknęła na zegarek.

Otworzył usta.

Przerwała mu gestem.

– Nic nie mów, znam cię zbyt dobrze i wiem, co chcesz powiedzieć.

– Poddam się, kiedy zobaczę, że jesteś pewna, tego co robisz.

Zawsze trafiał w czułe punkty swoimi niby mimochodem wypowiedzianymi uwagami.

– Nie mamy ze sobą nic wspólnego – wykrzyknęła zdenerwowana. – Pochodzimy z różnych części kraju. Wychodzimy z zupełnie innych kręgów. Jesteś businessmanem, bezlitosnym kapitalistą. Czytasz magazyny

budowlane a ja...

– Tajemniczy Ogród.

– Tak! Żebyś wiedział. Jestem na wskroś artystką!

– A mimo to kochamy się.

– Rekin może kochać pszczołę, tylko gdzie wybudują sobie dom?

– Ja zbudowałbym dom wszędzie, jeśli tylko zgodziłabyś się w nim zamieszkać – powiedział uwodzicielskim głosem.

– Moglibyśmy nawet żyć na Majorce.

– Tak? O rany, zawsze chciałam tam pojechać – prawie wykrzyknęła, ale zaraz zreflektowała się. Skup się Meadow. Myśl logicznie. – Nie wiem, czy znalezienie kompromisu będzie możliwe.

– Nie musimy szukać kompromisów. Mogę zamieszkać z tobą w komunie artystycznej. Nie mogę obiecać, że nie będę starał się poprawić nieco tego miejsca... – Uśmiechnął się, wyciągając dłoń w jej stronę. – Wszystkie twoje obawy są takie praktyczne i chłodne. Zupełnie nie przystoją Meadow tańczącej nago w świetle księżyca.

– Pamiętam bardzo dobrze moją babcię. – Spojrzała na obraz i jeszcze raz go dotknęła. – Farba wydawała się sucha, taka bezcielesna. – Była panią swojego życia. Malowała. Wychowywała Sharon. Bywała w wielu miejscach. Brała kochanków, jak się jej podobało. Była szczęśliwa. Ale głębiej... Czegoś jej zawsze brakowało. Po Bradleyu nikogo już nie potrafiła pokochać. Chciała go, a nie mogli żyć razem. Za bardzo różnili się od siebie.

– Okoliczności są zbliżone, ale nie identyczne. Nie jestem

Bradleyem Benjaminem, a ty nie jesteś swoją babcią. Posłuchaj Meadow, przysięgam, że jesteś najwspanialszą rzeczą, jaka przytrafiła mi się w życiu. Kocham cię nad życie. Ale jeśli chcesz odnaleźć więcej łączących nas cech, to niech choćby to będzie tego przykładem – powiedział,

wyciągając z kieszeni książkę w miękkiej oprawie.

TTLR

TLLR

Rozdział 38

Tajemniczy ogród

Meadow ujęła książkę w dłonie.

Była czytana. Grzbiet był pogięty, rogi nieco postrzępione.

– Kiedy byłeś w szpitalu, udałem się do sklepu z upominkami i znalazłem to. Dostali tę książkę właśnie tego dnia – powiedział Devlin. – Nie, żebym wierzył w znaki – dodał szybko z właściwym sobie talentem do rozwiewania mistycznego nastroju. – Tego jednak nie mogłem zignorować i ją kupiłem.

– I? Ził się nieco jaśniej. – Nie cała, oczywiście. Chociaż ja skończyłem ją ostatniej nocy przed pójściem spać.

– Nie obawiałeś się docinków i posądzenia o romantyczność? – Nuta ironii zabrzmiała może odrobinę za ostro nawet dla niej samej.

– Czy kiedykolwiek brałem pod uwagę osąd innych?

– No dobrze – powiedziała. Bardzo chciała usłyszeć jego opinię. – Co sądzisz?

– Pamiętasz cud na samym końcu? Kiedy nieżyjąca żona Archiego przyzywa go do ogrodu?

Devlin nachylił się nad nią, a jego oczy zaśniły.

– Aż dostałem dreszczy.

Powtarzała sobie, że będzie odporna na jego czar, ale nie panowała do końca nad odruchami. Wybuchła żywym entuzjazmem.

– Czy to nie było wspaniałe?

– Dowód na to, że miłość nigdy nie umiera. Czasami tylko zbacza z drogi.

Wydawało jej się, że każde jego słowo mogłoby wypłynąć z jej ust.

Ale oto zamilkł nagle, wyciągnął ręce i przysunął do siebie.

Odsunęła głowę na bok, by umknąć jego ustom.

Ucałował koniuszek jej ucha.

Z westchnieniem spojrzała mu w twarz i napotkała zaraz jego usta.

Pocałunek sprawił, że w jednej chwili zapomniała o wszystkim. O naganach, wyrzutach, nawet o konieczności oddychania. A on sprawił, że pamiętała tylko o tym, by odwzajemnić pocałunek.

Kiedy uniósł głowę, leżała na jego kolanach z zamkniętymi oczami i szerokim uśmiechem. Ale chciała, by wiedział bez cienia wątpliwości, że to nie pocałunki ją uwiodły. A przynajmniej... Nie tylko pocałunki.

– Wyjdę za ciebie z powodu Mii – powiedziała spokojnie.

– Kogo?

Otworzyła oczy.

– Mii. Kucharki, pomocnicy Jordana. Specjalistki od sosów.

Na jego twarzy wciąż odmalowywało się zaskoczenie.

Ale mogła się założyć, że pamiętał. Znał wszystkich swoich pracowników.

– Gdybyś nie uczynił nigdy wcześniej niczego szlachetnego, wiedziałabym, że jesteś przypadkiem beznadziejnym. Ale ty pomogłeś wspaniałomyślnie tej kobiecie.

– Tak?

– Zatrudniłeś ją, gdy desperacko poszukiwała pracy.

Przestał udawać, że nie wie, o kogo chodzi. Oczywiście udzielił chłodnej i pragmatycznej odpowiedzi, jakiej Meadow się spodziewała.

– Potrzebowałem kogoś takiego w mojej kuchni. Kogoś, kto mieszka niedaleko. Dałem jej pracę, bo świetnie się do tego nadawała.

– Dałeś jej pracę i niezłe zarobki. To więcej, niż ktokolwiek w tym

mieście był gotów uczynić.

– Świetnie się sprawdza, a gdyby tak nie było, wyrzuciłbym ją bez chwili wahania. Rozwódka, czy nie, z rodziną czy bez. – Błysk w jego oczach był mroźny, zupełnie, jakby oskarżyła go o nepotyzm.

– Dałeś jej jedną szansę, a zaraz później dorzuciłeś kolejną. Większość pracodawców zwolniłoby ją, a ty pomogłeś jej rozwiązać problemy z synem. – Meadow musnęła dłonią czubek jego nosa. – Ona cię uwielbia!

– Dobry Boże. – Jego usta, jego cudowne usta wykrzywiły się w smutku. – Nie poradzę sobie z kilkoma kobietami, które naraz mnie uwielbiają.

Znowu ją pocałował.

– O tak, już mi się przypomniało – powiedziała, podnosząc się i odgarniając włosy z czoła.

– Pobierzemy się jak najszybciej. – Nie był człowiekiem, który by spoczywał na laurach. – Na Majorce. Na plaży, na której przysięgliśmy sobie miłość, gdy cudowna bryza miękko rozwiewała nasze rozgrzane twarze i...

– Jasne, jasne – przerwała, zanim udało mu się ją skusić.

– Pobierzemy się w Górach Kaskadowych, w domu moich rodziców. Babcia na pewno by tego chciała. – Zerknęła na portret babci i dostrzegła, że farba w górnym rogu zupełnie się wykruszyła. Nachyliła się bliżej i zamarła w oczekiwaniu.

– Babcia chyba nie znała podstaw techniki malarskiej – rzekła wolno. – Popatrz tylko, to źle dobrane farby – dotknęła palcem nieco mocniej miejsca na obrazie i mały płatek zaschniętej farby pozostał jej na palcu.

Westchnęła zaskoczona. Farba odstawała od obrazu w miejscu

dotknięcia, jakby prosiła się o zerwanie. Płótno pod spodem błysnęło złościście w promieniach wpadającego do pomieszczenia słońca.

Meadow przyglądała się obrazowi, nie mogąc wydusić słowa. Ekscytacja ścisnęła ją za gardło. Czy to było w ogóle możliwe? Czy babcia mogła być tak przebiegła? Środkowym palcem odłupała jeszcze odrobinę farby. Odchodziła lekko, niemal nie pozostawiając śladu.

– Co robisz? – zapytał, chwytając ją za nadgarstek. – To przecież dzieło sztuki, którego szukałaś.

– Myślę, że masz rację. To może być to, czego szukałam – powiedziała Meadow, pochylając się tak nisko, że prawie dotykała nosem płótna. Na czole babci było kilka wyraźnych rys i im właśnie przyglądała się teraz z uwagą dziewczyna.

– Pod spodem jest obraz olejny. olejnym? To bez sensu.

– By ukryć coś o prawdziwej wartości. – Meadow uwolniła rękę z jego uścisku. Powoli zdejmowała cienką warstewkę wodnych farb, odkrywając wspaniałą, holenderską scenę domową. Matkę trzymającą dziecko, ojca czytającego synom, ogień w kominku, gotujący się czajnik.

– Ale autoportret Isabelli... – powiedział załamany.

– Nie martw się. Namalowała inne. Dużo, dużo lepsze. Na ten tutaj nawet nie traciła czasu. Nie był przeznaczony dla potomności. – Meadow uniosła dłoń. – Daj mi jakiś kawałek materiału.

Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni chusteczkę.

Delikatnie przetarła obraz, usuwając resztki przykrywającej go warstwy, która teraz leżała w ruszanych powiewami wiatru płatkach na podłodze.

Teraz już cały obraz lśnił. Olej wyglądał świeżo i każdym calem świadczył o mistrzostwie dłoni, która go stworzyła.

– Rembrandt – wyszeptała Meadow w podziwieniu.

– Rembrandt? To nie może być... – Przerwał w pół słowa. Patrzył przez moment, a po chwili jego twarz znalazła się przy twarzy Meadow. Oboje niemal dotykali nosem obrazu.

Uśmiechnęła się szeroko, gdy dostrzegła podziw malujący się na jego twarzy. Patrzył na nią pytająco.

– Prawdziwy Rembrandt.

– Zagubiony Rembrandt. Było mnóstwo plotek na jego temat. Moja babcia znalazła go w jednej z sypialni gości. Próbowała powiedzieć o tym Bradleyowi i Bjornowi, ale obaj ją wyśmiali. Co prawda zaczynała dopiero swoją karierę, a to były lata pięćdziesiąte. Nikt nie traktował poważnie kobiet odnajdujących zaginione arcydzieła.

– Przecież mogła powiedzieć o tym komuś innemu.

– Znalazła obraz na kilka dni przed rozwiązaniem.

– No tak, nie mogła narażać na szwank swojego zdrowia. Miała ważniejsze rzeczy na głowie.

Meadow pomyślała przez moment, że Devlin mimo wszystko dałby jej posłuch. Nawet wówczas, w latach pięćdziesiątych.

– Po urodzeniu mojej matki, Isabelle stała się jeszcze bardziej nieszczęśliwa. Jej teściowa wprowadziła się do domu. Bradley nie chciał, żeby dłużej zajmowała się malarstwem. Zatrudnili opiekunkę, która właściwie nie dopuszczała jej do dziecka – Meadow zdenerwowana wspomnieniami wytarła dłonie o materiał jeansów.

– Moja matka nie będzie przeszkadzała nam w wychowaniu dziecka. Będziemy się cieszyć, jeśli uzna za stosowne rozmawiać z nim, gdy osiągnie pełnoletność. A ja będę pozwalał ci trzymać dziecko zawsze wtedy, gdy akurat ja nie będę tego robił.

Meadow roześmiała się rozluźniona. Oparła głowę na jego ramieniu i przyjrzała się obrazowi raz jeszcze. Był piękny. Był prawdziwym cudem. Pierwszy raz szczerze wierzyła, że jej matka wyzdrowieje, że szpik kostny Bradleya będzie pasował, że Sharon Szarvas raz jeszcze odzyska wigor i radość życia.

Wróciła wspomnieniami do tej pamiętnej nocy.

– Babcia wiedziała, że opuści Bradleya. Nie chciała niczego mu zabierać, ale nie chciała też, by wyrzucono obraz. Obraz miała za spadek, jaki chciała przekazać swojej córce. Powiedziała mi o tym, kiedy trochę podrosłam. Byłam zachwycona. Chciałam tam iść i natychmiast go odzyskać. Ale kiedy podzieliłam się pomysłami z moją matką, usłyszałam kategoryczne „nie”. Nie chciała mieć nic wspólnego ze swoim ojcem i uważała, że zabieranie obrazu z jego domu miałyby cechy kradzieży.

– Ach, więc to dlatego nie powiedziałaś matce, dokąd się wybierasz.

– Dokładnie dlatego.

– Ciekawe jak przywita Bradleya Benjamina.

– O to akurat nie muszę się martwić. Przesłał mnie Duch Wszechświata, bym go znalazła dla niej. Jaki mógłby być inny cel mojego pobytu tutaj?

– Mówisz akurat o zbiegu okoliczności. Tak naprawdę to Duch Wszechświata przysłał cię tu, byś wpadła w moje ramiona. – Ucałował ją w czoło, a kiedy podniosła wzrok przeniósł wargi na jej usta. – Jak myślisz, ile warte jest to płótno?

– Przynajmniej dwadzieścia pięć milionów dolarów – usłyszeli kobiecy głos za plecami.

Spojrzeli w tamtą stronę zaskoczeni.

Judith stała zaraz obok wielkiej szafy, przy wejściu do pracowni.

– Judith. – Meadow uniosła się na kolana. – Martwiłam się o ciebie. Nie miałam od ciebie wiadomości... – Meadow zamilkła a w miarę jak w jej duszy rodziło się podejrzenie, bledła coraz bardziej.

Devlin dotknął jej uda.

– Meadow. Kto to jest?

Nie spojrzała nawet na niego. Nie przestawała wpatrywać się w Judith.

– Stary przyjaciel rodziny. Kobieta, która właśnie teraz powinna opiekować się moją matką. – Skrzyżowała spojrzenia z Judith. – Również ta, która zepchnęła mnie ze schodów.

TTLR

Rozdział 39

Devlin spojrzał na kobietę stojącą przy drzwiach, jak na zagrożenie, które należało wyeliminować. Ujrzał też całą powierzchnię dzielącą ich podłogi i błyskawicznie odnotował w pamięci przedmioty, które leżały na drodze do zagrożenia – kawałki drewna i naczyń, przypadkowe graty, których świetność dobiegła końca jeszcze przed jego narodzeniem – nie przegapił też zimnych, stalowych oczu Judith.

Nie był zaskoczony, gdy wyciągnęła pistolet z kabury pod czarną marynarką.

Rozejrzał się wokół. Jego wzrok padł na jakiś kufer stojący co prawda blisko, ale nie zapewniający dobrej ochrony.

Judith kontynuowała drwiącym głosem.

– Jestem też kobietą, która chce, byś przyniosła jej obraz.

– Skierowała wylot lufy w pierś Meadow. – Rusz się! Szybko!

Devlin wiedział, że już kiedyś widział twarz Judith. Tylko gdzie? I kiedy?

– Moja matka przez cały ten czas była sama, tak?

Meadow jak zwykle, potrafiła go zaskoczyć. Oto kobieta o oczach zimnych, niczym oczy węża, trzymała skierowany w nią pistolet, a Meadow zadawała pytania o swoją matkę.

Judith poruszyła niezręcznie ramionami.

Devlin nie mógł uwierzyć. Kobieta czuła się winna swojego występku.

– Został z nią twój ojciec – powiedziała głośno. Jej głęboki nowojorski akcent sprawił, że coś zaczęło mu świtać w głowie.

– Jesteś tu pracownikiem ochrony, prawda? – powiedział. Widział jej ocienioną twarz na ekranie swojego walkie – talkie. Teraz miał okazję

przyjrzeć się jej lepiej. Była niska i przysadzista. Skromny strój, spódnica, niskie obcasy, biała bluzka. Przypominała kurę domową wyciągniętą z filmu o latach pięćdziesiątych. Oczywiście, taką specyficzną kurę domową z pistoletem typu Glock 26, wykonanym z najłżejszych polimerów, szesnastonabojowym o metalowym zamku.

Pożądała tego obrazu i bez zmrużenia oka zabije i jego i Meadow, by go zdobyć.

Przeniosła na niego wzrok.

– Miałam najlepsze referencje. Sam wiesz, od pana Hopkinsa.

– Właśnie pojechał do szpitala z atakiem serca. – Przyszło mu do głowy, że bardzo niesprawiedliwie osądził Czwartego.

– Przypadną mi więc w udziale wszystkie zasługi. Wspaniale. – Judith uśmiechnęła się tajemniczo uśmiechem godnym Mona Lisy;

Devlin rozglądał się gorączkowo po pomieszczeniu. Przyglądał się meblom, rozrzuconym śmieciom, nawet oknom. Dostrzegł nocny stolik z pękniętym marmurowym blatem. Obok stała wielgachna szafa z ułamaną jedną nogą. Szafa... Czy można użyć szafy jako broni?

– Cicho, Devlin! – powiedziała ze złością Meadow, odwracając się do Judith. – Mój ojciec może i potrafi wydmuchiwać szkło i lepić glinę, ale ma problemy ze zrozumieniem wyciągów z banku i ty dobrze o tym wiesz. – Gwałtownym gestem odrzuciła włosy z czoła. – Jak mogłaś zostawić ich na pastwę losu?

– Musiałam być tutaj, żeby pomóc ci dźwigać obraz, po tym, jak go w końcu znajdziesz. – Głos Judith był już spokojny i opanowany. Jej źrenice wydawały się wysysać kolor z tęczówek. Judith spoglądała wzrokiem węża.

– Chciałaś ukraść ode mnie obraz? Obraz, który miał uratować życie mojej matce? Dlaczego? – Meadow z trudem wymawiała słowa. – Masz

przecież pieniądze. Po co ci on?

– To Rembrandt – powiedziała z pasją Judith. – Czy wiesz, jaką sławą okryci są odkrywcy arcydzieł tej klasy? Na Boga, może nie potrafię rzeźbić w glinie jak ty, albo twój ojciec ani malować, jak twoja matka i babka, ale dla historii sztuki byłabym odkrywczynią Rembrandta! – Zerknęła na obraz, a jej oczy zwęziły się pożądliwie. – Panie Fitzwilliam, proszę przynieść mi obraz – powiedziała wyraźnie, kierując wylot lufy ku Meadow. – Szybko albo ją zastrzele.

Obserwowała go albo słuchała plotek. Dobrze wiedziała, jak zmusić go do posłuszeństwa.

I oddałby jej ten przeklęty obraz. Nie miał dla niego znaczenia, poza tym, oczywiście, że był jego własnością. A co było jego, takim miało pozostać. Wiedział jednak, że w momencie, kiedy obraz znajdzie się w jej rękach, uda jej się uciec tylko zabiwszy uprzednio jego, Meadow i ich dziecko. A na to nie mógł pozwolić.

– Schowaj się za szafą – powiedział do Meadow.

Nie zdziwił się wcale, widząc, jak dziewczyna dumnie unosi brodę.

– Co mam robić? Pozwolić jej, by cię zastrzeliła?

– Mogę uciekać i robić uniki. – Chciał powiedzieć to z przekonaniem.

– A ty, ty nosisz moje dziecko... – Odczekał, aż w końcu Meadow niechętnie skłoniła głowę. – Schowaj się za tą szafą...

– To nie szafa mnie obroni – krzyknęła dziewczyna, przyciągając obraz ku sobie i obracając dłuższymi krawędziami pionowo do ziemi.

– Co robisz? – Pewna ręka Judith zadrżała lekko. – Meadow, słuchaj męża!

Genialne. Jego cudowna dziewczyna była genialna. Judith nie strzeli do obrazu, a on zyskał chwilę jej nieuwagi. Rzucił się na ziemię i

przekoziołkował zgrabnie, łądując za stołem. Nie docenił jej. Kule świsnęły mu tuż koło ucha. Strzelała dobrze, ale na razie nie trafiała.

Ruszył zygzakiem, obierając szafę na trzech nogach za cel. Zatrzymał się, nie wyściubiając nawet nosa zza dębowego, odrapanego sekretarzyka. Strzelanie ustało. Judith nie była pewna, gdzie się chował.

– Judith, nie rób tego. – Meadow poruszyła się.

Cholera. Słyszał, jak się przemieszcza. Co za uparta dziewczucha. Dlaczego nie mogła choć przez chwilę robić tego, co jej kazał.

A Meadow z uwagą dobierała raniące słowa.

– Nie wierzę, że jesteś zdolna zabić, by zdobyć jakąś rzecz! To nie w posiadaniu leży tajemnica sztuki. Liczy się ludzka dusza.

Jeśli zaraz doda, że kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada, chyba zacznie wyć.

– Powinnaś pamiętać, że kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada.

– Zamknij się. – W głosie Judith znać było zniecierpliwienie.

Usłyszał, jak poruszyła się, by zmienić kąt patrzenia i dostrzec, gdzie się schował.

Rzucił się w stronę szafy.

Niemal czuł, jak kule odłupują drzazgi z drewnianej podłogi. Czuł, jak Judith raz po raz pewnie naciska spust.

Potworny ból w łydce niemal pozbawił go przytomności.

Dostał. Jasna cholera! Trafiła go.

O Boże, co za ból! Miał kulę w nodze.

Stracił równowagę, ale udało mu się schować za jakąś komodą. Usłyszał kolejny wystrzał, a zaraz po chwili poczuł, jak spadają na niego drobinki czegoś... Czegoś tnącego. Lustro. Kula rozbiła lustro. Zaklął,

wyciągając z dłoni ostry kawałek szkła. Nie dbał o to... Tylko ta noga. Naprawdę bolała. Raz podczas meczu, jakiś idiota uderzył go nieszczęśliwie stopą, łamiąc piszczel, ale tamten ból nie mógł równać się z tym, co odczuwał teraz. To była niemal agonia. Czyste piekło.

Spojrzał na łydkę. Plama czerwieni rozlewała się na jeansy. Pod rozerwanym materiałem widział paskudną ranę.

Ocecił dystans do szafy.

Nie uda mu się uderzyć wystarczająco mocno, żeby ją przewrócić i ujść z tego z życiem.

No cóż.

Niech i tak będzie. Doświadczył przecież najpiękniejszej miłości, o jakiej można marzyć. Poznał smak życia w przeciągu trzech tygodni. Spłodził dziecko i jeśli on nie wyjdzie z tego cały... To przynajmniej musi się udać Meadow. Musi.

Jeśli rzuci się z całym impetem, to nawet jeśli Judith go trafi, jego ciało uderzy siłą pędu w szafę.

Zakładał, że mebel przygniecie Judith a Meadow... Jakoś zdoła to wykorzystać.

Musiał biec, zanim straci zupełnie czucie w nodze.

Jak zza ściany słyszał głos Meadow.

– Obraz będzie bez wartości, jeśli znajdą się na nim plamy krwi.
– Zamknij się – krzyczała Judith. – Zamknij się i oddaj mi ten obraz.
– Jeśli ci go dam, zabijesz mnie przecież – odpowiedziała Meadow spokojnie. – A ja noszę w sobie przyszłość. Być może tego nie rozumiesz, ale...

Devlin zebrał się w sobie ostatnim wysiłkiem woli.

I usłyszał nagle, jak zaskrzypiała deska podłogi przy wejściu do

pomieszczenia. Kątem oka dostrzegł tam ruch.

Czwarty! Przeklęty głupiec! Butelka w dłoni, chwiejny krok.

Ujrzał Devlina i wyciągnął rękę w jego stronę. Co za idiota! Przecież pokazywał go palcem.

– Widzisz, Devlin – powiedział bełkotliwie. To nie byłem ja. Nie zepchnąłem Meadow ze schodów.

– Uciekaj! – pisnęła Meadow.

Judith wymierzyła i wypaliła bez słowa w stronę Czwartego.

Czwarty jęknął, wygiął się nienaturalnie i powoli osunął się na podłogę.

Devlina nie czekał dłużej. Skoczył, wkładając w skok wszystkie siły, jakie mu zostały.

Judith zareagowała odrobinę za późno. Strzeliła.

Chybiła.

Wciąż żył.

Rąbnął w szafę z całą mocą zawodowego amerykańskiego futbolisty.

Szafa przechyliła się niebezpiecznie z głośnym jękiem. Na krótki moment zawisała w powietrzu. Drzwi otworzyły się na całą szerokość. Najpierw runęły na nią książki, jakieś naczynia, puste tuby po farbie. Widział, niczym na zwolnionym filmie, jak toczy się w jego stronę ceramiczna podstawa starej lampy.

Judith postąpiła krok do tyłu. Ręce odruchowo uniosła w górę w obronnym geście, jej oczy błyszczały furją. Szafa rąbnęła z całą mocą o ziemię, a kurz oślepił Devlina.

– Bękart! – ryknęła Judith głośno i wyraźnie.

Nie zabił jej.

Jeszcze nie koniec.

Ale kiedy próbował zrobić krok, ból w nodze rozsadził mu czaszkę. Czuł, jak naraz traci czucie w członkach.

Przez opadający kurz dostrzegł Judith. Siedziała ogłuszona na ziemi, krew sączyła jej się z policzka. W obu dłoniach trzymała pistolet i starała się wymierzyć w niego właśnie.

Nie miał gdzie uciekać.

Nawet gdybym miał, to nogi i tak by go tam nie zaniósły.

Zaraz umrze, a nie udało mu się uratować Meadow, która najpewniej do niego dołączy.

Ich spojrzenia się spotkały.

Brak czasu na przeprosiny. Tracił przytomność. Ręce przyłożył do serca, by bez słów przekazać jej swoje uczucia.

Meadow uniosła głowę i głosem pełnym nienawiści powiedziała:

– Judith, jeśli go zastrzelisz, to ja porwę Rembrandta.

Nie mógł w to uwierzyć. Wiedział, że nigdy, ale to przenigdy nie zapomni sposobu, w jaki patrzyła na niego Meadow.

Dziewczyna trzymała teraz obraz w jednym ręku. W drugim dzierżyła ciężki, srebrny klucz, który przyłożyła teraz niebezpiecznie blisko płótna.

– Możesz spróbować zastrzelić mnie. Być może ci się uda. Być może nie trafisz i przestrzelisz obraz.

Oczy Meadow zwęziły się. Wyglądała wręcz... Złowieszczo. Zupełnie jak nie Meadow.

– Ale jeśli zastrzelisz Devlina, przysięgam, że otrzymasz płótno tak zniszczone, że wszyscy będą pamiętali cię tylko dlatego, że przyczyniłaś się do zniszczenia arcydzieła.

Nigdy nie słyszał, żeby Meadow mówiła w ten sposób.

Nigdy nie widział spojrzenia zimniejszego, niż spojrzenie Judith, która

teraz powoli unosiła pistolet, celując w głowę Meadow.

Chłodne spojrzenie dziewczyny musiało zadziałać na niego trzeźwiąco. Płynnym ruchem uniósł z ziemi podstawę lampy i z całej siły, wkładając w to pełnię swych sportowych umiejętności, cisnął w głowę Judith.

Nadzwyczaj celnie, bo Judith zwała się jak kłoda na ziemię.

Devlin też ciężko osunął się na kolana. Był wykończony, obolały, pokryty potem i krwią.

Miał dość.

Miał nadzieję, że Meadow poradzi sobie z resztą.

Podryfował na morzu bólu ku słodkiej ciemności.

Ale nie dane było mu zemdleć. Kolejna fala bólu sprawiła, że z jękiem otworzył oczy.

Meadow siedziała przy nim, starając się opatrzeć mu nogę.

Gdyby tylko to tak cholernie nie bolało.

Nagle przed jego oczami zmaterializowała się doktor Apps w białym kitlu dźwigająca dwie torby. Nie przywitała się nawet tylko od razu przysiadła przy jego łydce.

– Zaczekaj, Devlin. – Meadow ucałowała jego dłoń. – Po prostu zaczekaj. Nie odchodź.

Minęło go dwóch pracowników ochrony. Jeden niósł kajdanki.

Ból w nodze zelżał. Przynajmniej odrobinę.

Strażnicy znowu go minęli, prowadząc ślaniającą się na nogach Judith. Na jej czole widniał wielki siniak w kształcie ceramicznej podstawy do lampy.

– Niezły rzut. Naprawdę dobry – głos Meadow dochodził z oddali i cichł.

Devlin próbował się odezwać, ale tylko poruszył bezgłośnie wargami.

Czwarty?

– Ratownicy medyczni mówią, że dojdzie do siebie. Wszystko będzie dobrze.

Devlin spojrzał na Meadow. Stracił dużo krwi. Nie czuł palców. Kula rozerwała mu nogę. Świat rozmazywał się przed oczami, a z niewyraźnych plam wyłaniała się cudem głowa jego ukochanej. Umierał, choć bardzo chciał żyć. Chciał z nią zostać.

– Pamiętasz Majorkę? Pamiętasz, jak przechadzałaś się w letniej sukience, a gdy mnie ujrzałaś, pocałowałaś mnie od razu...

– Bo kochałam cię od pierwszego wejrzenia. – Uśmiechnęła się do niego, ale jej uśmiech był niepewny. Walczyła ze wzruszeniem.

– I ująłem cię za dłoń i poprowadziłem ku ustronnemu miejscu, gdzie oddaliśmy się miłości.

Meadow znikła. Nie widział jej, choć jeszcze mógł ją usłyszeć. A na zamkniętych powiekach rysowały się przed nim sceny z Majorki. Czuł na sobie jej ręce i wspominał zakochiwanie się w niej od pierwszego wejrzenia i na zawsze.

Historia, którą wymyślił, nie była kłamstwem.

Po prostu nie zdążyła się jeszcze wydarzyć.

Rozdział 40

Wrzask sprawił, że Devlin odwrócił głowę.

Pobiegł spojrzeniem za wyciągniętym palcem matki. Ujrzał Edzia patrzącego w tym samym kierunku, dalej opadający nasyp plaży, zebraną gromadkę ludzi i rozbijające się o brzeg fale.

– Zrobiła sobie przerwę.

– Wiedziałam, że nie przetrwa tego ślubu bez choćby próby ucieczki.

– Biedactwo. Za dużo ostatnio doświadczyła.

Devlin wbiegł do morza. Czuł, jak woda wlewa mu się do skórzanych pantofli, a garnitur od Armaniego nasiąka po same kolana. Sięgnął do wody i wyciągnął swoją dziewięciomiesięczną córeczkę z wody. Przytulił ją mocno do piersi i ruszył niespiesznie w stronę brzegu.

Wiergała i kopała, jakby wyciągnięcie z wody wcale jej się nie podobało. Spod przybranego kwiatami drzewa doleciał go śmiech Meadow. Cieszyła się, że nauka pływania, którą zafundowała dziecku, nie szła w las. Nie tylko cieszyła się, ba! – była dumna ze swej nieustraszonej córki.

Sharon ruszyła w jego stronę z rozłożonymi szeroko ramionami.

– Och, czy nie cudowna z ciebie dziewczynka? – zaszcebiotała.

Willow zaczęła zawodzić płaczliwie. Próbowwała zsunąć się z jego ramienia z powrotem do wody.

– Nie zachęcaj jej do tego. – Devlin wyciągnął chusteczkę, by wytrzeć spocone ze strachu czoło, ale zaraz skonstatował, że chusteczka była przesiąknięta morską wodą.

– Ależ przeciwnie, oczywiście, że będziemy ją zachęcać

– powiedziała Sharon. – Uczy się swoich ścieżek, a jako jej przewodnicy, powinniśmy dać jej stopki, by mogła je przemierzać.

– Może mogła by szukać stopek gdzie indziej, a nie koniecznie na morskim dnie? – parsknęła nieuprzejmie Grace.

I zaraz dodała grobowym tonem.

– O nie, jej ubranko jest zupełnie zniszczone.

Na dźwięk głosu Grace, kwilenie Willow ustało, jak na komendę. Utkwiła swoje wielki, niebieskie oczy w twarzy Grace i rozkosznie gaworząc, wyciągnęła w jej stronę rączki.

– O nie. – Grace cofnęła się o krok, krzyżując ramiona.

Willow mruzczała coś po swojemu radośnie i słodko wychylała się w stronę babci.

– Nie, nie, nie! – Grace miała na sobie stylowy kapelusz, wyborne sandały i lniany, nieskazitelnie beżowy kostium.

– Tutaj, tutaj. Daj mi ją potrzymać. – Sharon ubrana była w luźną, rozpiętą koszulę w kolorze słoneczników i spódnicę artystycznie potraktowaną wybielaczem. Była boso.

Willow potrząsnęła głową i dalej wyciągała rączki w stronę Grace.

– No chodź, kochanie. Przecież druga babcia bardzo cię kocha.

Głowa Sharon obwiązana była chustą. Wielki słomiany kapelusz chronił skórę, którą niedawna, otrzymana po przeszczepie radioterapia uczyniła bardzo wrażliwą.

– No dobrze, na litość boską, niech już będzie – powiedziała Grace, ujmując Willow i starając się trzymać ją jak najdalej od wspaniałego kostiumu zaprojektowanego specjalnie na tę okazję.

Willow uśmiechnęła się do niej szczerze i radośnie.

– Na litość boską – powtórzyła Grace. Niechęć do kąpiącej z dziecka morskiej wody walczyła o lepsze z dziecięcą adoracją. To ostatnie wygrało i Grace przytuliła mocno Willow, posławszy złośliwy uśmiech w stronę

Sharon.

Devlin i Meadow wymienili spojrzenia.

Ich matki znowu starły się w walce. Jeszcze raz. Przyjęli to bez zaskoczenia.

Trudno o bardziej różniące się od siebie osoby. Trudno o osoby bardziej zaangażowane w walkę o względy Willow, która uwielbiała obie babcie i nauczyła się już nawet, jak nimi manipulować.

– Czy zaczynamy jeszcze raz? – zapytał pastor.

Buty Devlina strzykały wodą i piszczały śmiesznie, gdy prowadził Meadow w stronę udekorowanego, rozłożystego drzewa. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

Pastor rozpoczął ceremonię od nowa.

Meadow miała na sobie prostą, białą sukienkę. Rude włosy ozdobione były delikatnymi płatkami, trzymała w ręku bukiet pomarańczowych kwiatów i wzorem matki była boso. Nos usiany był piegami, na palcach miała oparzenia od pracy przy szkłe i patrzyła na Devlina, jakby wszystko, co robił, bezwzględnie ją zachwycało.

Meadow była panną młodą z jego snów a teraz sny miały się spełnić.

Musiał jednak przyznać, że pozostałe ceremonie ślubne też były cudowne. Każda była przepięknym doświadczeniem, które będzie żyło w jego sercu. Pierwszy ślub wzięli już dwa tygodnie po tragicznych wydarzeniach w hotelu. Odbył się w cedrowym gaju nieopodal domu Meadow, w stanie Washington. Sharon nie chciała rozpocząć leczenia przed ceremonią ślubną i choć powitała Devlina z otwartymi ramionami, była blada i bardzo cicha. Przez cały czas wspierała się na silnym ramieniu Rivera.

Noga Devlina nie zawiodła go wówczas podczas samej ceremonii i

stara szeptucha (jak określała ją Grace) nie musiała skracać swoich magicznych inkantacji i błogosławieństw kryształową kulą. Na szczęście ból w łydce pozwolił mu na utrzymanie powagi, o którą byłoby niezwykle trudno u boku Grace ubranej w nieskazitelną suknię matki pana młodego z wiosennej kolekcji włoskich dyktatorów mody, wytworny kapelusik i budy od Prady. Grace miała poważne problemy z utrzymaniem równowagi, bo obcasy butów tonęły w mchu i runie leśnym.

Niewiele lepszy okazał się Czwarty wystrojony w coś, co miało chyba uchodzić za niezobowiązujący strój typowy dla leśnych ceremonii ślubnych. W wyobrażeniu Czwartego, na miano takie zasługiwał wełniany sweter od Dolce Gabbana i przesadnie pumpiaste spodnie w paski. Wyglądał trochę jak zabłąkany pasterz owiec.

Był też Bradley Benjamin w garniturze gentlemana z Południa. Och, z jakim przestraczem spoglądał wówczas na artystyczne środowisko Waszyngtonu i codzienne ubrania sąsiadów, którzy przybyli na wesele. Cały czas towarzyszyły mu bardzo silne emocje. Dopiero co poznał córkę i bardzo pragnął, by go zaakceptowała.

Na szczęście jego szpik kostny idealnie nadawał się do przeszczepu a jego chęć, a nawet więcej niż chęć – olbrzymie pragnienie pojednania i pomocy Sharon wydawały się przynosić owoce i uzdrawiać relacje pomiędzy ojcem a córką.

Interesująca para pojawiła się niespodziewanie na weselu. Wysoki, potężnie zbudowany Włoch z blondynką baśniowej urody. Devlin zaraz rozpoznał w nim brata – Roberto Bartoliniego. Towarzyszyła mu żona, Brandi. Spotkanie było interesujące a dzięki ciepłemu przyjęciu, jakie zgotowała parze Meadow, lody zostały błyskawicznie skruszone i rodzinnemu poznaniu towarzyszyła niezmierna serdeczność.

Od tego czasu dzwonili do siebie regularnie, czasami odwiedzali się a sama myśl o posiadaniu braci przestała wydawać się Devlinowi nieporozumieniem.

Po pierwszym ślubie Devlin zamieszkał w stanie Waszyngton z Meadow i jej rodziną. Jego nowo poślubiona żona troszczyła się o artystyczną komunę i zaokrągląa ślicznie, w miarę postępów ciąży. Poznał niemal wszystkich jej przyjaciół a zwłaszcza rodzinę Hunterów – Rosjan zajmujących się uprawą winorośli.

Sharon przeszczepiono szpik kostny jej ojca. Kobieta otarła się jednak o śmierć. Devlin wciąż z dreszczem wspominał dzień, kiedy dowiedzieli się w szpitalu, że Sharon wypisała się na własne życzenie, by doczekać końca swych dni w rodzinnym domu.

Przeżyła, choć nieszczęście było o włos. Devlin do końca nie wiedział, czy przy życiu utrzymały ją narodziny Willow, czy może chęć życia dłużej niż Grace.

Kilka miesięcy po narodzinach Willow znowu celebrowali swoje zaślubiny, połączone tym razem z chrztem córeczki. Wszystko odbyło się w Tajemniczym Ogrodzie w tej wspaniałej części jego posiadłości, gdzie Meadow tańczyła niegdyś skąpana promieniami księżyca. To był, jak oznajmiła jego matka, prawdziwy ślub, którego powagę miał potwierdzić pastor kościoła metodystów. Meadow miała na sobie wspaniałą suknię ślubną, Devlin paradował w smokingu. Nawet Sharon i River byli wytwornie, choć może niezbyt wygodnie wystrojeni.

Edzio nie zdążył wrócić z Europy na pierwszą ceremonię, która odbyła się w lesie, ale w Tajemniczym Ogrodzie dał z siebie wszystko i istotnie był najwspanialszą druhną, jaką można było sobie wymarzyć.

Dwa pierwsze wesela były dla ich rodziców.

Ale to wesele na plaży słonecznej Majorki było dla nich.

Kiedy Devlin skończył wymawiać formułę przysięgi i spojrzał na uśmiechnięty tłum, wiedział, że prawdziwie oddał się swej żonie duszą i ciałem.

A ona wiedziała, że jej serce było mu najdroższą rzeczą na świecie.

Spojrzała wokół na rodzinę i przyjaciół.

Na matkę powoli dochodzącą do zdrowia. Na ojca, cieszącego się szczerze radością córki a jeszcze bardziej na możliwość odwiedzenia słynnych europejskich pracowni artystycznych. Na Grace w pogniecionym i przemoczonym kostiumie, całkowicie pochłoniętą swoją wnuczką. Na Willow w kapeluszu babci i wyciągającą rączki w stronę słonecznych okularów od Christiana Diora. Na Czwartego przebierającego nerwowo palcami po rzuceniu palenia i na Bradleya Benjamina, który z całych sił pragnął wyglądać normalnie, a wyglądał jak skrajnie ekscentryczny staruszek. Pomagały mu w tym absurdalnie kwiecista koszula, krótkie spodniki, podkolanówki i sandały.

W końcu spojrzała znów na Devlina, o twarzy zbyt smagłej, by można ją było uznać za klasycznie piękną, wysokiego i w pełni jej oddanego. A przede wszystkim żywego... Miewała koszmary po wydarzeniach na strychu, śniły się jej jego rany, straszliwa utrata krwi, rozerwane mięśnie. Szybko wrócił do zdrowia, ale mimo to gdy budziła się w nocy, przytulała do niego i całowała w usta, zawsze odpowiadał pocałunkiem.

Zbyt blisko był śmierci, zbyt blisko była utraty ukochanej osoby, by teraz nie doceniać jego obecności.

Chwycił ją za dłoń i uniósł ramiona w górę.

– Wesele odbędzie się na górze, na terenie mojej posesji. Chodźmy i dajmy się ponieść zabawie.

- Jeszcze raz! – Czwarty uniósł swój kielich w toaście.
- Jesteśmy sobie dogłębnie zaślubieni. – Uśmiechnęła się Meadow.
- Trójka jest liczbą doskonałości – zawtórował jej Devlin.

Niezaproszona postać przykuła uwagę Meadow. Wysoki mężczyzna w słonecznych okularach. Kiedy poczuł na sobie wzrok Meadow, zdjął okulary i ukłonił się lekko.

Chwyciła ramię Devlina.

- Popatrz, to Sam.

Ostatni raz wiedzieli go, gdy odjechał ambulans z panem Hopkinsem. Znaleziono tylko ambulans, pusty, jeśli nie liczyć przerażonego kierowcy i jego martwego asystenta. Pan Hopkins rozwiął się w powietrzu. Choć próbowali się czegoś dowiedzieć o Samie, ich pytania kierowane do różnych organizacji, pozostały bez odpowiedzi.

Rembrandt został sprzedany na aukcji, przynosząc im dwadzieścia dziewięć milionów dolarów. Judith dostała lżejszą karę, bo zgodziła się zeznawać przeciwko Hopkinsowi. Pieniądze należały się Devlinowi, ale całą kwotę oddał Meadow, a ta opłaciła rachunki matki i utworzyła fundusz pieniężny dla Czwartego. Tłumaczyła Devlinowi, że jego przyjaciel nie przetrwa bez jej pomocy. Jedyne co umiał przecież to bawić siebie i innych. Za resztę pieniędzy ufundowała kilka stypendiów dla młodych, obiecujących artystów.

A teraz Sam pojawiał się znikąd, cały i zdrowy. Przyglądał się przez moment gościom zmierzającym wąską ścieżką w stronę włości Devlina, a następnie podszedł, by się z nimi przywitać.

- Gratulacje i wszystkiego dobrego w dniu ślubu – powiedział bez uśmiechu.
- Och, Sam! – Meadow zarzuciła mu ręce na szyję. – Cały czas

mieliśmy nadzieję, że żyjesz.

Sam jakoś wytrzymał jej uściski, nie dając nic po sobie znać.

Kiedy go puściła, Devlin uściskał jego dłoń.

– Dobrze cię widzieć, Sam.

– Mnie również jest miło, panie Fitzwilliam. I dziękuję za zainteresowanie moimi losami. Niestety nie mogłem udzielać żadnych informacji na mój temat.

– Tak przypuszczaliśmy. Było miło ujrzeć, że Sam jest zadowolony z tego, że ma okazję ich spotkać. Przynajmniej Meadow dopatrywała się w tym zadowolenia. Trudno było przecież stwierdzić, czy twarz Sama wyraża właśnie zadowolenie, smutek czy złość.

– Chciałem wam podziękować za pomoc w dochodzeniu, jakie prowadziłem rok temu. W mojej pracy spotykam się z wieloma ludźmi, ale pana profesjonalizm, panie Fitzwilliam, okazał się niezwykle pomocny w moim zadaniu. – Sam ponownie nałożył okulary. – Gdyby chciał pan nawiązać ścisłą współpracę z rządem USA...

– Co? Nie ma mowy! – Meadow wyglądała na niezwykle rozzłoszczoną i bezceremonialnie weszła pomiędzy mężczyzn. – Mój mąż nie chce nawiązać bliskiej współpracy z rządem USA, a jeśli przypadkiem nabiorę podejrzeń, że współpracę taką nawiązał, przysięgam, a jestem tak samo uparta jak Devlin, że znajdę cię Sam i będziesz tego żałował, kimkolwiek tak naprawdę jesteś!

Devlin stanowczo ujął ją za ramię i odciągnął na bok.

– Wydaje mi się, że właśnie zrezygnowałem z propozycji, Sam.

– No cóż. – Sam wykrzywił delikatnie usta w czymś, co od biedy mogło uchodzić za uśmiech.

– Wpadniesz na wesele? – Devlin wskazał ścieżkę prowadzącą w górę

plaży. – Zaraz się zacznie.

– Niestety, za chwilę muszę opuścić wyspę. – Sam przyjrzał się im bacznie od stóp do głów. – Śledztwo w sprawie twojego ojca nabiera pędu. Myślę, że niedługo pojawią się bardzo ważne informacje dotyczące jego zniknięcia. Ważne dla ciebie i twoich braci.

– Ilu braci? – zapytała Meadow.

– Jak ważne? – Devlin postąpił krok w jego stronę.

– Nie mogę powiedzieć. Chciałem tylko, byście wiedzieli – powiedział, kłaniając się lekko na swoją modłę i odwracając na pięcie. Ruszył powoli w stronę zachodzącego słońca.

– To naprawdę jest dziwny facet – powiedziała Meadow.

– Uważałam tak od momentu, gdy po raz pierwszy otworzyłam oczy i go ujrzałam i myślę tak cały czas.

– O tak, pamiętam. Spojrzałaś na mnie tylko raz i zaraz padłaś do moich stóp.

– Kto tu ma teraz amnezję, co?

Devlin przyciągnął ją do siebie.

– A co myślałaś o mnie, po otwarciu oczu?

Wydęła usta.

– Że jesteś niegrzeczny i brzydki.

– I?

– I seksowny. I jeszcze, że ładnie pachniesz.

– To brzmi lepiej.

Dobiegły ich pierwsze dźwięki muzyki. Ludzie śmiali się wesoło. Ktoś śpiewał. Słyszeli nawet strzelające korki szampana i brzęk szklanek.

Ale cieszyli się sobą i tym, że są sami na plaży.

Uśmiechnął się do niej.

– Dziękuję Bogu za noc, w którą włamałaś się do mojego domu i rąbnęłaś głową wystarczająco mocno, żeby obwieścić, że masz amnezję.

– A ja dziękuję, że skojarzyłeś mnie z Isabelle i utrzymywałeś, że jesteśmy małżeństwem.

– Nie wiem, co we mnie wtedy wstąpiło. – Pokręcił głową, jakby sam nie mógł uwierzyć w wypadki tamtego wieczoru.

– Też nie wiem. Wiem tylko, że twoje opowieści o Majorce były prawdziwie czarujące. – Ucałowała go w brodę.

– Czy zastanawiałaś się kiedyś nad... – Umilkł w pół słowa. Pytanie wydawało mu się cokolwiek niemądre.

– Czy zastanawiałam się nad czym?

Chciał jej powiedzieć, ale nie chciał, by na niego patrzyła, gdy będzie wyłuszczał jej swój pomysł. Dlatego przytulił ją mocno.

– Czy nie zastanawiałaś się, że to może Isabelle wysłała cię do Waldemar, bo kochała Bradleya i chciała jeszcze raz przychylić mu szczęścia?

– Co za wspaniały pomysł. – Meadow złożyła głowę na jego piersi. – Zdajesz sobie sprawę, że magiczne moce mej rodziny właśnie biorą cię w posiadanie?

– Bzdura. – Spojrzał ponad jej głową na wodę, gdzie ostatnie promienie słońca kolorowały czerwienią grzbiety fal.

– Jestem Południowcem i kiedy stan Waszyngton porośnięty był dziewiczym lasem, my już mogliśmy poszczycić się duchami nawiedzającymi nasze domostwa.

– Nie różnimy się więc tak bardzo...

– Chyba żartujesz. Widziałaś naszych gości? Naszych bliskich? Spójrz na nas samych! – rzekł, wskazując swoje mokre pantofle i jej nagie stopy. –

Zupełny brak podobieństw.

Wykręciła mu rękę.

– I co z tym zrobimy?

– Będziemy radować tym, jak jesteśmy różni. – Przyciągnął ją blisko, by ucałować ją w usta. – Będziemy się już zawsze radować.

TTLR